

Nieurodziwa księżniczka,
która została matką królów

BRZYDKA KRÓLOWA

ELŻBIETA RAKUSZANKA
żona Kazimierza Jagiellończyka

VICTORIA GISCHE



Książnica

VICTORIA GISCHE

BRZYDKA
KRÓLOWA



Książnica

WROCŁAW 2017

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce
LEE AVISON/TREVILLION IMAGES

Redakcja
MAG – USŁUGI WYDAWNICZE. MAŁGORZATA GROCHOCKA

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Skład
JAROSŁAW DANIELAK „AD FONTES” AGENCJA WYDAWNICZA

Motto zaczerpnięto z *Listu do Koryntian*, [w:] *Pismo Święte Nowego Testamentu. Nowy przekład z Wulgaty. Komentarz ks. E. Dąbrowskiego*, PAX, Warszawa 1953.

© Publicat S.A. MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-245-8288-4



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Dedykacja

Panna

Kawaler

Małżonkowie

Wdowa

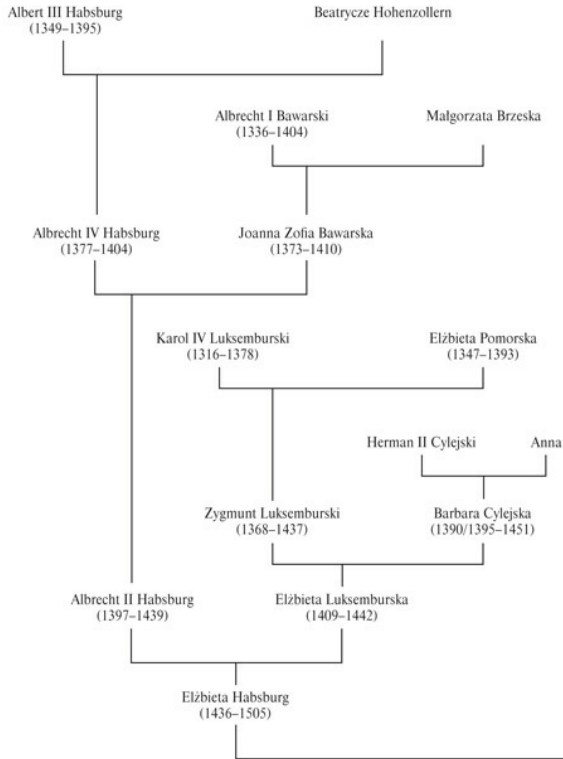
Od autorki

Przypisy

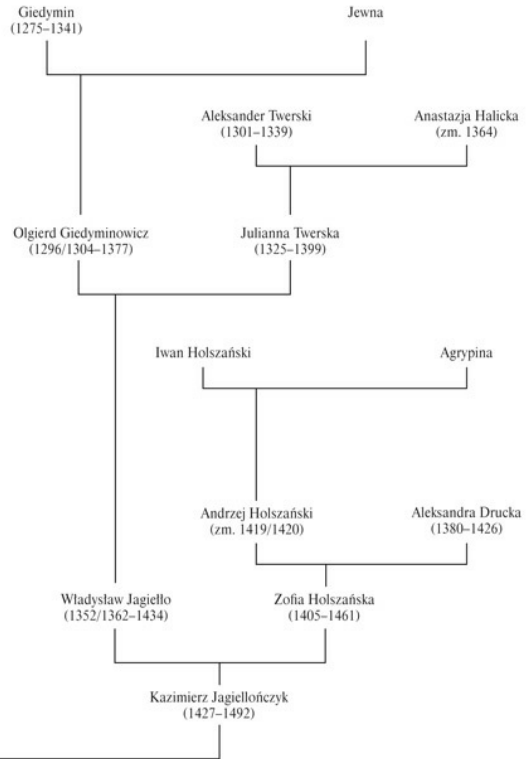
Mężowi

*Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.
Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu,
nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego;
nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą.
Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy,
we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. [...]
Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy:
z nich zaś największa jest miłość.*

TABLICA GENEALOGICZNA ELŻBIETY HABSBURG



TABLICA GENEALOGICZNA KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA



PANNA



Skulona postać zatrzymała się w pół kroku. Musiała uspokoić oddech i drżące z wysiłku mięśnie. Przebiegła już spory kawałek drogi. Nie była do tego przyzwyczajona, ale sytuacja wymagała pośpiechu. Dla pewności chowała się między rosnącymi przy drodze drzewami. Teraz przywarła do grubego pnia. Ubrana na czarno wtopiła się w jego tło. Tylko bystry obserwator zauważyłby unoszącą się w powietrzu parę, która zdradzała jej obecność. Oddychała szybko, przez otwarte usta. Do płuc dostawało się mroźne powietrze. Nie zważała na ból, który czuła przy każdym głębszym wdechu. Głęboki wdech i wydech. I jeszcze raz. Zerknęła w niebo. Było czyste, bezchmurne, usiane migoczącymi gwiazdami. Takie niebo zwiastowało kolejny chłodny dzień. Marzec roku pańskiego 1440 był niezwykle zimny. Mróz trzymał Królestwo Węgierskie w okowach. Odetchnęła jeszcze dwa razy. Zanim ruszyła dalej, spojrzała za siebie, chociaż przez nieprzeniknioną czerń nocy trudno było cokolwiek dostrzec. Ostrożności nigdy za wiele, pomyślała. Wstrzymała oddech i wytężyła słuch. Oprócz niej na drodze prowadzącej z Wyszehradu do Białogrodu Królewskiego nie było nikogo.

Dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Najtrudniejszą jego część miała już za sobą. Skarb, po który przybyła do zamku wyszehradzkiego,

przyciskała tak mocno do piersi, że aż zbieleły jej palce. Zmęczenie dawało o sobie znać. Ciężkie z niewyspania powieki opadły na oczy. Najchętniej zapadłaby w błogi sen.

Nagle do jej uszu doleciał jakiś odgłos. Marzenie o odpoczynku rozwiało się jak chmura pary ulatująca z jej zmarzniętych, popękanych i bolących warg. Nasłuchiwała. Nie, to nie ludzkie kroki, pomyślała. To woda, która próbowała przedostać się przez grubą warstwę lodu, powodowała to nieprzyjemne trzeszczenie. A więc jest już blisko. Po kilku krokach stanęła nad brzegiem Dunaju. Rzeka wciąż była zamarznęta. Kiedy wczoraj w południe stanęli na przeciwległym brzegu, patrząc na sterczący na wzgórzu gmach zamczyska, zobaczyła ludzi i sanie na lodowej tafli. Sanie i wyładowane sprawunkami wozy sunęły szybko, płynnie, a ludzie szli pewnie i bez bojaźni. Już miała wejść na lód, gdy atak paniki uderzył w nią z nienacką. Cofnęła się o kilka kroków i omal nie przewróciła, zawadzając nogą o leżący na ziemi gruby konar. Przycupnęła, podpierając się jedną ręką. Syknęła z bólu, ponieważ pod ciężarem własnego ciała uszkodziła nadgarstek. Zastygła w niewygodnej pozycji. W końcu wstała i znowu zbliżyła się do brzegu, ale nie weszła na lód.

A jeśli został nadwreżony przez ciężkie wozy, sanie i setki przechodzących tędy od miesięcy ludzi?, przemknęło jej przez głowę. Na samą myśl, że mogłaby znowu znaleźć się w lodowatej wodzie, zrobiło jej się niedobrze. Kwaśna zawartość żołądka podeszła do gardła. Zastłoniła usta, z niesmakiem przełykając ślinę. Wróciły niechciane wspomnienia.

Był 1408 rok. Miała zaledwie sześć lat. Jak zawsze, kiedy nadeszły mrozy, a śnieg przykrył świat białym, ulotnym prześcieradłem, ojciec zabierał ją i braci na niewielki staw znajdujący się w pobliżu ich rodowej siedziby. Uwielbiała te niezapowiedziane wypadki. Ojciec nigdy nie mówił, który to będzie dzień. To była niespodzianka, na którą

wszyscy czekali z niecierpliwością.

– A jutro? Ojczy, czy pójdziemy tam jutro? – Patrzyła na surową twarz rodzica i starała się odgadnąć jego myśli. Bracia stali z tyłu, poszturchując się nawzajem. Oni też nie mogli się doczekać wspólnej eskapady.

– Idźcie spać! – Ojciec wstał z głębokiego fotela. Jego rosła postać wypełniła izbę. – Nic wam nie powiem, bo nie zaśnecie. No, już! Do łóżek! Chyba nie chcecie, żebym użył różgi? – Mówił głośno i poważnie, ale na jego ustach igrał uśmiech.

– Jutro! Pójdziemy jutro! – pokrzykując, ruszyli pędem do komnat, popychając się wzajemnie.

Helena uwielbiała zimę z jeszcze jednego powodu. Spędzali wówczas z ojcem trochę więcej czasu. Już wtedy potrafiła docenić te krótkie chwile, które mieli dla siebie.

W końcu nadszedł wyczekiwany dzień. Dzień wyprawy. Całą drogę trzymała ojca za rękę. Kiedy weszli na zamrznięty staw, chwyciła go mocniej. Najpierw szli powoli, balansując ciałem, żeby nie upaść. A potem ojciec zaczął biec, ciągnąc ją za sobą. Trzewiki ślizgały się po lodzie, wywołując na jej twarzy szeroki uśmiech. Chichotała głośno, prosząc go, żeby biegł jeszcze szybciej. Ile sił w nogach. Jej perlisty dziecięcy śmiech niósł się daleko, ponad drzewami, których pozbawione liści gałęzie siłowały się z oblepiającym je śniegiem. Bawili się tak godzinami, aż nie czuła nóg. Ojciec sadzał ją wtedy na szerokich ramionach, a ona opierała podbródek o czubek jego głowy. Ze śpiewem na ustach wracali do domu, obszczeni przez biegające psy i poganiani przez jej starszych braci. Kiedy przechodzili pod gałęziami drzew, ciągnęła za ich końce. Biały puch obsypywał wszystkich, wpadając za kołnierze. Wpatrywała się w migoczące płatki, które opadały na głowę ojca, osiadając na poprzetykanych siwizną czarnych, lekko kręconych włosach. Cudowne gwiazdeczki srebrzyły się jak

gwiazdy na niebie. Jedna niepodobna do drugiej. Były niczym miniaturowe koronki, zbyt delikatne, aby przetrwać dłużej niż mgnienie oka.

Tamtej pamiętnej zimy nie posłuchała przestrogi ojca.

– Jego Królewska Mość wzywa mnie do siebie. – Zrobił krótką przerwę. – Macie słuchać matki, być posłusznymi i nie przysparzać jej zmartwień – dodał po chwili. Spoglądał na każdego z osobna i czekał na potwierdzenie. Potaknęli głowami jak jeden mąż: „Tak, ojcze”. Zapatrzył się na uroczą gromadkę, która ustawiła się przed nim wedle wzrostu. W końcu rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – A kiedy wrócę, w nagrodę zabiorę was na tak długi spacer jak jeszcze nigdy. Będziecie błagać, abyśmy wrócili do domu.

Żegnali go, przyrzekając, że będą grzeczni. Wytrzymali w postanowieniu trzy tygodnie. Czas mijał, a ojca jak nie było, tak nie było. Pewnego dnia zobaczyli nadciągającego jeźdźcę. Niestety, okazało się, że to posłaniec z królewskiego dworu przybył z listem, w którym ojciec przeproszał za zwłokę i przypominał o posłuszeństwie.

W końcu jednak chłopcy nie wytrzymali. Nie chciała być taka jak oni. Pragnęła wytrwać do końca w złożonej obietnicy, ale bracia mieli swoje sposoby, żeby ją przekonać. Następnego dnia nad ranem wszyscy wymknęli się cichaczem z domu. Matka spała kamiennym snem, zmęczona uspokajaniem najmłodszego dziecka.

Potykając się o leżące na zmarzniętej ziemi konary drzew, dotarli do stawu. Najpierw bawili się tak jak z ojcem. Starsi bracia ciągnęli ją po lodzie, a ona śmiała się jak zawsze, zachęcając ich do szybszego biegu. Po jakimś czasie chłopcy znudzili się zabawą. Odeszli od niej na kilka kroków, aby nie słyszała, o czym szepczą. Kiwali głowami, co jakiś czas zerkali w jej stronę. W końcu zapadła decyzja. Naśladując stanowczy ton ojca, rozkazali jej lepić bałwana i czekać na ich powrót. Sami zaś pobiegli do pobliskiego zagajnika. Rozejrzała się dookoła. Śnieg leżał już tylko

w niektórych miejscach. Był brudny i nie zachęcał do zabawy. Przez kilka chwil stała więc bezczynnie. W końcu zaczęły jej marznąć nogi. Musiała się rozruszać, więc nie namyślając się długo, weszła na lód. Trafiła na miejsce, gdzie tafla była pęknięta. Ze wszystkich stron oblało ją nagle przerażające zimno. Miała wrażenie, że jej ciało tną setki noży. Ubranie namokło w okamgnieniu. Zrobiło się ciężkie, jakby ktoś przyczepił jej do szyi wór z kamieniami. Z całych sił starała się utrzymać głowę ponad poziomem wody. Machała bezradnie rękami, rzucając się chaotycznie na lód. Woda zachłannie ciągnęła ją w dół. I nagle zapanowała ciemność. I cisza. Ocknęła się w domu. Trzęsła się z zimna i przerażenia.

Strach, który wtedy czuła, powrócił ze zdwojoną siłą. Musiała przejść przez rzekę. Nie miała wyboru. Wóz, którym podróżowała przez ostatnie tygodnie, czekał po drugiej stronie. Zacisnęła skostniałe ze strachu dłonie na trzymanym skarbie i zrobiła pierwszy, niepewny krok.

Wzięła głęboki oddech. Po chwili wypuściła powietrze z płuc. Wokół ust od razu pojawiła się cienka smuga, przypominająca szarobiały dym uciekający z komina.

Szła powoli, mozolnie. Ile jeszcze? Kiedy skończy się ta tortura?, myślała intensywnie. I nagle usłyszała cichy chrzęst. Zamarła w bezruchu. Nadstawiła uszu. Wokół panowała nieprzenikniona cisza, którą zakłócało jedynie walące w piersi serce. Ruszyła dalej. Zrobiła kolejny krok i znowu usłyszała trzask. Serce kazało uciekać, ale rozum nakazywał się zatrzymać. Wyobraziła sobie pękający pod stopami lód. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Przeżegnała się trzy razy i puściła biegiem, licząc na łut szczęścia i boskie miłosierdzie.

Nagle ktoś chwycił ją mocno w pasie. Zanim zdążyła krzyknąć, zakrył jej usta szorstką, zimną dłonią. Zaczęła się szamotać. Przerażenie rozsadzało jej czaszkę. Boże, czyżbym zamiast w czeluściach zimnej

wody miała umrzeć od ciosu wędrownego złoczyńcy?, przemknęło jej przez myśl.

– Wielmożna pani, wybaczenie, proszę, śmiałość, ale musieliśmy zatkać usta wielmożnej pani, żeby nie krzyczała. – Ochrypły głos jednego ze sług, który towarzyszył jej w podróży, sprawił, że opadło z niej całe napięcie. Miała ochotę się rozpłakać, ale musiała wziąć się w garść. Nie byli tu bezpieczni. Pościg był tylko kwestią czasu.

– Ruszajmy, a żwawo! – rzuciła stanowczo, kierując się w stronę czekającego zaprzęgu.

*

Czterokonny wóz sunął po grząskiej drodze, która to tu, to tam, spowalniała jazdę. Siedząca w środku kobieta miała zamknięte oczy, ale nie spała. Rozmyślała. Wspominała, jak wcześniej z duszą na ramieniu przemierzała zamarznięty Dunaj. I chociaż od tamtej chwili minęło sporo czasu, strach wciąż jej nie opuszczał. Nad mknącym zaprzęgiem rozpostarło się wreszcie upstrzone jaśniejącymi gwiazdami bezchmurne niebo, które jeszcze nad ranem zasnuwane było ciężkimi, deszczowymi chmurami. Padało kilka godzin, aż zza chmur nagle wyjrzało słońce. Silne, marcowe. Dopiero późnym popołudniem na niebie znowu pojawiły się ciemne chmury. Najpierw spadła jedna kropla, następnie druga i trzecia. A potem otworzyły się niebiosa i zaczęło lać jak z cebra. Na dodatek zrobiło się ciepło. Nie żeby narzekała. Łaknęła słońca i ciepła jak kania dżdżu, ale śnieg topił się w mgnieniu oka i zmarznęta ziemia zaczęła zmieniać się w grząskie bagno. Lód na rzece robił się coraz cieńszy. Na krótką chwilę wyjrzała na zewnątrz. Zerknęła w niebo. Było zasnuwane ciemnoszarymi chmurami. Ani jednego prześwitu. Z ciężkim westchnieniem wsunęła się z powrotem do środka, gdzie było wilgotno i nieprzyjemnie.

Rozpięta na drewnianej ramie wozu plandeka przemokła tak bardzo,

że woda strużką wpływała do środka. Wielkie kałuże przelewały się z jednej strony na drugą przy każdym, nawet najlżejszym wstrząsie, mocząc i tak już mokre skórzane trzewiki podróżującej. Helena Kottanner z utęsknieniem spojrzała na miękkie poduchy, które jakiś czas temu odrzuciła na bok. Ale one też były całe przemoczone. Chętnie położyłaby na nich głowę i zażyła krótkiej drzemki, ale na samą myśl o wilgotnym materiale dotykającym policzka przeszły ją ciarki. Mimowolnie otrząsała się niczym pies strzepujący krople wody z sierści.

Zatopiła się w modlitwie. Modliła się o szczęśliwy powrót do Białogrodu Królewskiego. Marzyła jej się ciepła komnata, gorący grzaniec i miękka pościel. A najbardziej ze wszystkiego pragnęła świętego spokoju.

Dopiero minęło południe, ale z powodu ciężkich burzowych chmur zrobiło się prawie ciemno. Helena, z nudów, po raz kolejny wystawiła głowę na zewnątrz. W oddali majaczyła wezbrana rzeka, szumiąc niespokojnie. Woda piętrzyła się na grubych, dryfujących taflach lodu. Jeżeli ulewy nie ustaną, rzeka wystąpi z koryta. Już teraz gdzieś rozlewała się szerokimi pasami, tworząc stawiki na okolicznych łąkach. Helena zauważyła, że mimo paskudnej pogody świat ożył. Korony drzew zapełniły się ptakami. Z minuty na minutę było ich coraz więcej. Rozsiadły się na gołych gałęziach, trzepocząc skrzydłami, z których opadały mieniące się krople. Z daleka wyglądały jak spadające na ziemię małe klejnoty. Zachowywały się głośno, przekrzykując jeden drugiego. Ciepłe powietrze dodało im wigoru. Czuły, że zima wreszcie odeszła. Powoli, leniwie, wciąż nieśmiało nadchodziła wiosna. Helena nie potrafiła cieszyć się razem z nimi. Ich wysokie ptasie głosy wdzierały się do wozu, nie pozwalając jej się odprężyć. Nerwy miała napięte jak postronki. Potrzebowała ciszy, samotności, ciepła, snu i ukojenia. Ileż jeszcze? Jak długo trwać będzie ta niekończąca się podróż?

– Żwawiej, żwawiej! – krzyknęła do woźnicy. Jednak silny wiatr porwał jej słowa i mężczyzna nie usłyszał nawoływań.

Mocniej wychyliła głowę. Zerknęła przez ramię. Zmrużyła oczy, chroniąc je przed deszczem zalewającym twarz. Wciąż obawiała się pościgu. Nie, pomyślała z nadzieją, nikt ich nie ściga. Inaczej już dawno konni pojawiliby się na horyzoncie. Westchnęła. Ale tym razem był to oddech ulgi. Z serca spadł jej kamień. Czyżby podróż miała zakończyć się sukcesem?

Schowała się na wozie. Znowu zaczęła się modlić. W palcach kurczowo trzymała stary drewniany różaniec, który był w jej rodzinie od dziesiątek lat. Może nawet od stu. Od ciągłego pocierania w palcach niektóre paciorki zrobiły się mniejsze, a malutka postać ukrzyżowanego Chrystusa straciła ostrość rysów.

– Boże, wesprzyj mnie. Dodaj mi sił. Panie, pośpiesz mi na ratunek, jeśli będzie trzeba. Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen. – Podniosła do ust srebrny krzyżyk i go ucałowała. Nigdy nie modliłam się tak często jak teraz, pomyślała i zrobiło jej się wstyd.

– Jak trwoga, to do Boga – wyszeptwała starą ludową prawdę i wykrzywiła usta w smutnym uśmiechu.

Żeby zabić czas, myślami wróciła do początków podróży. Z białogrodzkiego zamku wyjechała ponad trzy tygodnie temu. Zgodnie z królewskim rozkazem miała dojechać do Wyszehradu. Musiała jednak zachować ostrożność, dlatego najpierw, narażając się na trudy podróży i niebezpieczeństwo, które czaiło się na trakcie, objechała pobliskie twierdze i zamki, jakoby z polecenia Jej Wysokości królowej wdowy Elżbiety Luksemburskiej.

To w głowie królowej zrodził się ten jakże szalony plan. Pewnej nocy, kiedy krzątania na zamku ucichła i wszyscy smacznie spali, Elżbieta Luksemburska podzieliła się z Heleną pomysłem, który od jakiegoś

czasu spędzał jej sen z powiek. Kiedy skończyła mówić, zostawiła nianię sam na sam z myślami. Ta musiała podjąć bodaj najważniejszą i możliwe, że najtrudniejszą decyzję w życiu. Potrzebowała aż trzech dni, aby dać królowej odpowiedź.

Pełne niepokoju słowa królowej matki, które ta powiedziała dwa dni przed wyjazdem Heleny, ciągle brzmiały w uszach podróżującej.

– Szpiedzy czają się po kątach niczym wilcy w ostępach. Szczerzą kły, ślinią się, czyniąc zakusy na coś, co im się nie należy. Bacznie patrzą. Ani za dnia, ani w nocy nie spuszczają z nas oczu. I z naszych najwierniejszych sług też. – Elżbieta Luksemburska nerwowo rozejrzała się po komnacie, przeznaczonej dla małego Władysława, czteroletniej Elżbiety oraz niani Heleny i dwójki jej dzieci, Piotra i Alberty.

Rozmawiały szeptem, co jakiś czas uważnie nasłuchując. Milkły co chwila, przyglądając się dzieciom. Helena na dłużej zatrzymała wzrok na swoich pociechach śpiących obok królewskiej pary. Jej puciołowaty trzyletni syn i sześciolatnia, wiecznie roześmiana córka, najlepsza przyjaciółka małej księżniczki, Elżbiety. Jeżeli plan królowej się nie powiedzie, może stracić życie, pomyślała. Serce zadrżało jej w piersi. Oczy zaszyły łzami. A jednak podjęła wyzwanie.

Od tamtej pory ciągle bała się o swoje życie. Nawet teraz, kiedy wyprawa miała się ku końcowi, nie będzie czuć się bezpiecznie, dopóki brama zamkowa nie zamknie się z trzaskiem. Niebezpieczeństwo pojmania wciąż wisiło nad jej głową niczym miecz Damoklesa. Łatwo mogła trafić do lochu, a stamtąd przed oblicze surowego sędziego, oskarżona o zdradę i kradzież. Śmierć, która czekała skazańców, była długa, powolna i bolesna. Wiele lat temu była świadkiem straszliwej kaźni. Przymknęła powieki. Przed oczami stanęły obrazy, które na zawsze wyryły się w jej pamięci.

Była jeszcze młodką. Jej pierwszy mąż, Piotr Gelusz, piastował urząd sędziego w Oedenburgu, kiedy zabrał ją na publiczne przesłuchanie.

Oskarżoną była młoda kobieta, której mąż przebywał na dworze w Budzie. Obwiniono ją o uprawianie czarów i kuszenie mężczyzn. Ludzie szeptali, że cudzołożyła z niektórymi w przytomności samego diabła, który z chuci kotłujących się w łożnicy czerpał radość i przyjemność. Tłum zebrał się pod miejscem, gdzie ustawiono specjalny podest, na który wprowadzano skazanych. Gapie czekali z niecierpliwością. Ona też czekała. Trwała u boku męża, chociaż przysłała tu wbrew swojej woli. Zerknęła na podwyższenie, na którym stała prosta, drewniana ława. Wystawały z niej skórzane pasy do krępowania rąk i nóg. Motłoch przybierał z każdą minutą. Szli całymi rodzinami. W dłoniach trzymali worki ze zgniłymi odpadkami i inne nieczystości. Umorusane dzieci, szkraby niemające więcej niż cztery, pięć lat, stały przed rodzicami, patrząc dookoła szeroko rozwartymi oczami. Ludzie śmiali się i żartowali, jak na jarmarku, gdzie można się było zabawić i upić. Nagle przez tłum przeszedł szmer. Z oddali dobiegł stukot końskich kopyt i zgrzyt klatki, w której zamykano więźniów. Zebrani wpadli w amok. Złorzeczyli wystraszonej, trzęsącej się, prawie nagiej kobiecie, której ciało skrywał zwieszający się z ramion strzęp materiału, kiedyś zapewne będący suknią. Obrzucano ją tym, co trzymano w dłoniach i workach. Kobieta zakrywała się rękami. Skuliła się, ale na nic zdały się jej wysiłki. Odpadki trafiały w jej wykrzywioną ze strachu twarz, piersi, plecy, brzuch. W końcu wóz dojechał do podwyższenia, na którym czekali już kat, duchowny i mąż Heleny. Tuż obok niego pojawił się jeszcze jeden sędzia oraz rajca miejski. Ku uciechu gawiedzi rozpoczęto spektakl. Kobietę położono na ławie. Ręce, ułożone wzdłuż ciała, wsunięto w pasy i mocno zaciągnięto. Nogi rozwarło, tworząc trójkąt. Stopy unieruchomiono. Zakapturzona postać kata krążyła wokół narzędzi tortur. Kat wyciągał rękę w ich kierunku, a potem cofał ją szybko, drażniąc rozochocony tłum. Sycił się niepewnością patrzących i strachem skazanej. Wreszcie

podniósł coś, co wyglądało jak metalowa gruszka. Kobieta jęknęła i zamknęła oczy. Helena również. Tymczasem kat z przyjemnością i lubieżnym rechotem, który poniósł się ponad skandującym i życzącym kobiecie bolesnej śmierci tłumem, włożył ją do pochwy skazanej, odkręcając powoli, aż do samego końca. Krzyk kobiety wypełnił uszy Heleny. Chciała stamtąd uciec, ale poczuła na sobie palący wzrok męża. Otworzyła oczy. Wpatrywał się w nią z gniewnym grymasem. Stojący obok mężczyźni też nie spuszczaali z niej wzroku. Widziała w nim dezaprobatę z powodu współczucia okazanego skazanej.

W końcu kat odsunął się od ławy. Do półprzytomnej kobiety podszedł ksiądz. Nachylił się nad nią i zaczął coś mówić. Z powodu ogłuszającego ryku gapiów Helena nie usłyszała jego słów. Nieszczęsna, umęczona pobyt w więzieniu i pierwszymi torturami, stanowczo pokręciła głową. Nie zgadzała się ze słowami klechy. Szamotała się rozpaczliwie. Chyba błagała o litość. Krzyczała, że jest niewinna. Jednak szybko opadła z sił, a słowa uwięzły jej w gardle. Łzy lały się z jej zaczerwienionych oczu.

– Cisz! – wrzasnął kat. Tłum spokorniał i zamilkł.

– Nie bój się, dziecię. – Duchowny ponownie stanął obok kobiety. Za jego plecami pojawił się kat trzymający dwa wiadra, z których unosiła się para. – Dusza twoja, splamiona grzechem, kuszona przez diabła, zostanie teraz oczyszczona. Grzech cudzołóstwa wypalony na zawsze, a plugastwo, które do ucha sączył ci szatan, czystą wodą wypłukane z twych trzewi. Dzięki temu będziesz mogła stanąć przed obliczem Boga niewinna jak nowo narodzone dziecko. Dziękuj nam za to i zamiast krzyczeć, zacznij się modlić, prosząc Pana o przebaczenie. – Sięgnął po metalowe szczypcy i z pierwszego wiadra wyciągnął mały, żarzący się węgiel. Kat przytrzymał głowę skazanej i zmusił do otwarcia ust, do których włożył trzymany kamień. Helena znowu zamknęła oczy. Najchętniej zatkałaby też uszy. Tymczasem duchowny podszedł

do nieprzytomnej kobiety z metalowym kubkiem wypełnionym wrzątkiem, a kat uderzył skazaną w twarz, aby na chwilę wróciły jej zmysły. Nie opierała się już, kiedy otwierał jej usta, by wlać wrzątek. Głos zamarł na wypalonych wargach, na których pojawiły się wielkie sącące się bąble. Szamotała się jeszcze jakiś czas, aż wreszcie przestała. Czy umarła tam na ławie, czy dogorywała rzucona do zbiorowej mogiły pochowana żywcem – tego Helena nigdy się nie dowiedziała. Bała się zapytać męża, który i tak zbeształ ją za wrażliwość i jawność uczuć okazywanych grzesznicy. Możliwe, że dlatego już nigdy nie zmuszał jej do towarzyszenia mu przy podobnych spektaklach, które jeszcze nie raz odbywały się na miejskim placu ku uciechu gawiedzi spragnionej rozrywki.

Wóz podskoczył na wyboistej drodze. Helena otworzyła oczy. Wizyta na zamku wyszehradzkim, potem kradzież i wreszcie ucieczka mocno ją wyczerpały. Jej zdrowie zostało nadwątlone. Emocje nie pozwalały spokojnie zasnąć. Zwłaszcza teraz, kiedy na kolanach, schowany w poduszce, spoczywał prawdziwy skarb. Tak drogocenny, że aż parzył. Chciała się go pozbyć jak najprędzej. Oddać prawowitemu właścicielowi. Zmyć z siebie grzech, jakiego się dopuściła. Po chwili uśmiechnęła się szeroko i raz jeszcze pogładziła zawiniątko.

– Udało się – szepnęła. – Na Boga, udało się! – krzyknęła, pewna, że i tak nikt jej nie usłyszy, i przycisnęła zdobną poduchę do piersi. – Mimo wszystko było warto – dodała już ciszej.

*

Wszystko ucichło. Cisza była przytłaczająca, a jednak kojąca. Odgłosy towarzyszące codziennej krzątaninie zamarły. Ustały śmiech, podniesione, zdenerwowane głosy, dochodzące zarówno z pańskich komnat, gdzie bezustannie od kilkunastu dni prowadzono burzliwe dysputy, jak i z pomieszczeń, w których przebywała liczna zamkowa

służba. Szczęk oręza pozostał już tylko w pamięci, podobnie jak zgrzyt stali i szelest suchej słomy, którą wyłożono ciemne, wąskie i duszne o tej porze roku zamkowe korytarze, oświetlone gdzieniegdzie pochodniami zatkniętymi w uchwyty wystające z surowych kamiennych murów.

Trzynasta noc maja 1440 roku była pogodna i ciepła. Czarne niebo rozciągające się nad Białogrodem Królewskim rozświetlały dobrze widoczne konstelacje gwiazd i jasna twarz księżyca, poorana bruzdami niczym u wiekowego starca zebrzącego o jałmużnę pod kościołem. To węgierskie miasto, które leżało od wieków na szlaku pielgrzymów idących do Ziemi Świętej, było miejscem wielu królewskich koronacji. Niebawem miała się tu odbyć następna, dzięki odwadze niani, która urzeczywistniła śmiały pomysł królowej Elżbiety Luksemburskiej. Taka szalona myśl mogła zrodzić się tylko w głowie matki broniącej praw swego małoletniego dziecka.

Poruszone lekkim wiatrem liście szumiały rytmicznie, kojąc skołataną nerwy Heleny siedzącej na brzegu wielkiego łoża. Sienniki były miękkie, a świeżo zmieniona biała, misternie haftowana pościel, którą dostała z okazji zaślubin z drugim mężem, Janem Kottannerem, pachniała przyjemnie suszonymi ziołami. Dzwoniącą w uszach ciszę przerwał odgłos nawołującego ptaka. Gdzieś w oddali odezwał się puchacz, pohukując gardłowo. Helena zamknęła oczy i wsłuchała się w odgłosy nocy. Przyspieszony oddech zwolnił. Serce też się uspokoiło. Marzyła o tym, żeby pozbyć się wreszcie nawiedzającego ją wciąż niepokoju. Od kilku tygodni była kłębkim nerwów. W ciągu dnia nie mogła odegnąć natrętnych myśli, które w miarę upływających godzin powodowały u niej coraz większe roztargnienie. Nie mogła pozwolić, aby przytrafiła jej się jakaś pomyłka czy niedopatrzenie. Darzono ją ogromnym zaufaniem i wierzono, że pod jej czujnym okiem, niczym pod okiem rodzonej matki, królewskie dzieci będą bezpieczne. Starła się

nie myśleć o minionych wydarzeniach. Niestety, tylko noc przynosiła ukojenie. Tęskniła za beztroską. Za dniami, kiedy mieszkańców zamku cieszyły drobiazgi, a na twarzy królowej Elżbiety Luksemburskiej zamiast zatroskania pełgał czuły uśmiech, którego nie szczędziła nikomu.

A wszystko zaczęło się na początku listopada roku pańskiego 1439, kiedy do zamku dotarła smutna wiadomość, że król Albrecht zmarł na czerwonkę. Moźni panowie wpadli w panikę, martwiąc się o kraj uwikłany w wojnę z Turkami. Przyrównywano go do ludzkiego ciała. A czyż ciało pozbawione głowy nie staje się bezbronne?, pytano. Kobiety szeptały po kątach, że tylko patrzeć, jak hordy niewiernych zaleją zielone węgierskie pola, siejąc strach i spustoszenie. Czy będzie miał nas kto bronić? Takie i podobne pytania nie schodziły z zatrwożonych warg.

Raz jeden przyszło jej na myśl, że bronić trzeba nie tylko zamków, twierdz, miast i miasteczek, lecz także wsi, a jednak o ludzi tam mieszkających się nie frasowała. Chłopi potrafili strzec swojej własności jak najcenniejszego skarbu. Słyszała o tym tu i ówdzie. Dotąd nie miała okazji być na wsi. Dawała jednak wiarę temu, co o jej mieszkańcach mówiono. Gadano, że chłopi to ludzie skorzy do pijaństwa i kłótni, że nie wahają się zabić czy okaleczyć. Dziękowała Bogu, że podczas licznych podróży nie musiała korzystać z ich pomocy. Wzdrygała się na samą myśl o tym.

Serce zatrzepotało w piersi Heleny. Bała się o przyszłość, która wciąż była niepewna. Panowie węgierscy podzielili się w swoich opiniach. Większość uważała, że malutki syn Albrechta, Władysław, nie może samodzielnie sprawować rządów. Kraj potrzebował władcy silnego, zdecydowanego, mężnego. Rycerza, który nie zawaha się stanąć do walki z Imperium Osmańskim, odpowiadając na apel papieża, wzywającego do obrony chrześcijaństwa. O pomyśle, aby władzę tymczasowo

powierzyć matce królewicza, wnet zapomniano, wysyłając czym prędzej posłów do Polski, w której upatrywano ratunku.

Na samą myśl, że delegacja stanów węgierskich 8 marca 1440 roku stanęła na Wawelu przed osobą króla polskiego Władysława III Helena zacisnęła dłonie w pięści i poczerwieniała na twarzy. Tymczasem panowie węgierscy mieli otrzymać od Władysława III dwa dokumenty. W pierwszym potwierdzono prawa, przywileje i zwyczaje węgierskie, jednocześnie zapewniając Węgrom wsparcie polskie w walkach z Turkami. Drugi dokument miał charakter bardziej osobisty i odnosił się do ślubu, jaki król polski miał zawrzeć z królową Elżbietą jeszcze przed aktem koronacji. Jednakże nic nie zdołałoby przekonać Heleny do zmiany nastawienia względem poczynionych planów, dotyczących osadzenia na tronie węgierskim władcy z zewnątrz. Kochała królewskie dzieci jak własne i jakiegokolwiek zakusy na ich prawa uważała za bezceństwo. Był to jeden z powodów, że zgodziła się na ryzykowną propozycję Elżbiety Luksemburskiej. Nie pokładała w swojej eskapadzie wielkiej nadziei, ale wróciła cała i zdrowa, chociaż ciągle jeszcze była kłębkiem nerwów. Strach pojawiał się nagle i trzymał ją za gardło niczym rzeźmieszek ofiarę. Obawy pewnie nigdy nie znikną. Schowają się gdzieś głęboko w podświadomości i będą ją kąsać jak bezpańskie psy w chwilach, kiedy najmniej się tego będzie spodziewać. Była tego świadoma.

Kiedy wieczorem, w dniu powrotu, podawała królowej srebrną, inkrustowaną szkatułę, nie potrafiła zapanować nad drżeniem rąk, które trzęsły jej się także teraz. Patrzyła na smukłe palce, lekko falujące pod wpływem powstrzymywanych emocji – po trochu ze strachu, po trochu z poczucia winy. Postąpiła wbrew przykazaniom, łamiąc nie jedno, lecz kilka boskich praw. Pocieszała się, że zrobiła to w słusznej sprawie. Miała nadzieję, że spowiadający ją ksiądz usprawiedliwi jej czyn i odpuści grzechy. Wszak nie można było przeprowadzić uroczystości

koronacyjnych bez najważniejszych insygniów. A ponieważ nie było zgody na koronację królewicza Władysława przed powrotem panów z Polski, ktoś musiał wykraść koronę Świętego Stefana, aby ubiec tych, którzy tron węgierski chcieli oddać Jagiellonom. Po moim trupie!, pomyślała i nieświadomie tupnęła nogą, obutą w miękki trzewik.

Zerknęła w lusterko stojące na prostym stoliku, na którym paliła się mała świeca, rozpraszając mrok nocy. Nawet w tak niewyraźnym świetle widziała wokół oczu nowe, głębokie bruzdy, a we włosach siwe pasma. Ale to bez znaczenia – ważne, że dzięki jej odwadze za dwa dni w katedrze pod wezwaniem Marii Panny odbędzie się koronacja królewicza Władysława, syna Albrechta II Habsburga i Elżbiety Luksemburskiej.

*

W nocy z 14 na 15 maja 1440 roku, która poprzedzała koronację malutkiego Władysława, Helena Kottanner nie zmrużyła oka. Przez jakiś czas siedziała w pokoju dzieci, czuwając nad ich spokojnym snem. Kiedy upewniła się, że śpią głęboko, postanowiła na kilka chwil zajrzeć do swojej komnaty. Usiadła na małym zydelku przy niewielkim skrytorio, które kupiła dawno temu, wizytując Opactwo Benedyktynskie w Pannonhalmie. Na pulpicie, który nosił ślady częstego użytkowania, stała świeca rzucająca słabe, migoczące światło. Nie zważając na panujący mrok, Helena sięgnęła po leżącą na stoliczku skórzaną księgę. Przyciągnęła ją do siebie i położyła dłoń na jej gładkim grzbiecie, jakby przygotowywała się do złożenia przysięgi. Zamknęła oczy. Trwała tak kilka minut, tyle, ile zajmowało odmówienie modlitwy.

„Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum...”^[1] – szeptała po łacinie.

Otworzyła oczy i pociągnęła za sznurek, otwierając księgę w zaznaczonym miejscu. Zerknęła na tekst, a potem sięgnęła

po przybory do pisania. Trzymając w dłoni piękne łabędzie pióro, którym obdarowała ją królowa, uśmiechnęła się delikatnie. Dbała o nie jak o największy skarb i używała go tylko wtedy, kiedy otwierała strony pamiętnika. Listy oraz inne dokumenty pisała przeważnie gęsimi piórami. Miała w zapasie także kilka piór wronich, indyjskich oraz orlich i korzystała z nich w zależności od tego, jaki pragnęła osiągnąć efekt.

Na pulpicie obok dwóch kałamarzy, wypełnionych czarnym i czerwonym atramentem, postawiła pilniczek do ostrzenia piór. Podniosła wzrok znad tekstu i wiedziona dziwną pokusą, wzięła do ręki jeden z kałamarzy wykonanych ze szkła rżniętego, ozdobionego małymi bursztynami. Przytknęła go do nosa. W nozdrza uderzył ją nikły zapach soku kapuścianego oraz nieco mocniejszy aromat piwa. Z czystej ciekawości sięgnęła po drugi pojemniczek, wypełniony czerwonym inkaustem. Zamiast piwa wyczuła lekki zapach wina. W końcu odstawiła pojemniki i zanurzyła pióro w czarnej, gęstej cieczy. Po krótkiej chwili namysłu poruszyła ręką. Na czystych stronicach zaczęły pojawiać się starannie malowane litery. Najpierw jedna, druga, trzecia, aż w końcu powstała cała linijka.

Helena pisała:

„Czeka nas jutro rzecz najdonioślejsza z doniosłych. Na skronie królewicza Władysława nałożona zostanie korona Świętego Stefana. Raduje się moje serce. Udało nam się przechytryć niegodziwych i słabych, którzy nie wierzą w siłę i mądrość królowej Elżbiety Luksemburskiej.

Na samo wspomnienie tej wyprawy ręce drżą mi jak liście osiki, a serce omal nie wyskoczy z piersi. Nie mogło być inaczej. Bez korony Świętego Stefana ceremonia byłaby nieważna w oczach zarówno ludzkich, jak i boskich.”

Przerwała na chwilę, zamyślając się głęboko. Potem wstała i cicho ruszyła w stronę pokoju, gdzie w łóżeczkach spały dzieci: królewicz

Władysław i królowa Elżbieta oraz jej własne: Piotr i Alberta. Upewniwszy się, że są bezpieczne i śnią kolorowe sny, wróciła do siebie.

Ponownie ujęła pióro i zaczęła pisać:

„Nie wszyscy wiedzą, że istnieją trzy prawa w Królestwie Węgierskim. Wszystkie muszą mieć miejsce, inaczej król nie jest królem, chociaż nosi koronę. Pierwsze prawo mówi, że król Węgier musi być koronowany Świętą Koroną. Drugie, że koronację prowadzi arcybiskup ostrzyhomski. Trzecie zaś, że musi się ona odbyć w Białogrodzie Królewskim, który nazywają Alba Regalis”^[2].

Znowu zrobiła krótką przerwę. Tym razem po to, aby zaostrzyć pióro i wymienić dopalającą się świecę. Już po chwili jej wprawna ręka sunęła po pustych stronicach. Czarne litery zapełniały je, tworząc plątaninę wzorów, które przywodziły na myśl uwijające się mrówki, uginające się pod ciężarem liści i motyli skrzydeł. Czas mijał, a Helena wciąż pisała.

Nieprzenikniona ciemność nocy z wolna ustępowała świtowi. Gdzieś daleko na wschodzie czarne chmury z minuty na minutę stawały się jaśniejsze, przybierając barwę od ciemnoszarej po białą, rozświetlone budzącym się słońcem. Niania zerknęła przez okno. Spojrzała na słoneczny dysk, spod którego wyzierały zabarwione na czerwono chmury. Wróciła na miejsce. Dopisała coś jeszcze i odłożyła pióro. Trzepnęła ręką w powietrzu, bo ta zaczynała cierpnąć od wielogodzinnego pisania. Chociaż nie zmrużyła oka, nie czuła zmęczenia. Ekscytacja dodawała jej sił. Za kilka godzin dzwony katedry obwieszczą radosną nowinę. Królewicz Władysław zostanie królem.

*

15 maja 1440 roku przywitał Białogród Królewski piękną, słoneczną pogodą. Na ulice miasta wyległy tłumy mieszkańców, wzywanych przez dźwięk kościelnych dzwonów, które niosły się daleko poza granice Alba

Regalis. Ludzie wiwatowali na wieść o koronacji królewicza Władysława. Życzyli malutkiemu królowi wielu lat wspaniałego panowania: pokoju w królestwie, zdrowia, bogactwa i miłości poddanych. W oczach Heleny Kottanner zaśniły łzy radości i ulgi. Udało się, chociaż jeszcze rano, kiedy stanęli w bazylice Marii Panny, wydawało się, że uroczystość nie zostanie odprawiona.

Prymasem targały wątpliwości.

– Grzechem jest przeciwstawiać się woli większości. Czy panowie szlachta nie mówią głosem całego narodu? A jeżeli dzisiejszym krokiem wzniciemy wojnę domową? Czyje sumienie zostanie obciążone krwią niewinnie przelaną w bratobójczych walkach? Czy Wasza Wysokość będzie żyć spokojnie? – Chodził od jednej ściany zakrystii do drugiej, odrzucając co jakiś czas szaty liturgiczne do tyłu, niczym dama tren sukni.

Królowa Elżbieta milczała. Towarzysząca jej Helena trzymała księżniczkę Elżbietę za rączkę. Dziewczynka wpatrywała się w matkę. Czasami pytająco zerkała na nianię, której dzieci, w towarzystwie damy dworu należącej do królewskiego fraucymeru, siedziały grzecznie na chórze. Za chwilę mała Elżbieta miała do nich dołączyć.

– Wasza Wysokość zmusza mnie do pogwałcenia przykazania. Chce, abym namaścił królewicza i nałożył na jego skronie koronę Świętego Stefana, która została wykradziona, a nie przekazana. Czy mnie, duchownemu, godzi się taki czyn popierać? – Jego małe oczka osadzone w tłustej twarzy patrzyły na Elżbietę Luksemburską przenikliwie.

Helena lękała się, że królowa, nie przebierając w słowach, przywoła duchownego do porządku, wytykając mu gorsze grzechy, o których rozprawiało się nie po kątach, ale przy biesiadnych stołach. Królowa nerwowo przełknęła ślinę. Westchnęła kilka razy, uspokajając napięte nerwy. Nie mogła urazić prymasa. Musiała go ułagodzić, ugłaskać, ponieważ od jego dobrej woli zależało powodzenie przedsięwzięcia.

– Eminencjo – powiedziała przymilnie, przysuwając się do niego. – Wierzę, że tak jak ja kochaliście nieodżałowanego Albrechta, męża mojego i ojca przyszłego króla. Zgadza się, że tylko Władysław ma prawo do tronu? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej. – Co innego, gdyby kraj pozostał bez dziedzica. Ale czy nam maluczkim wolno odsuwać od korony i przynależnego dziedzictwa spadkobiercę tylko dlatego, że ojciec zginął, broniąc swych poddanych? Jeżeli Bóg byłby temu przeciwny, nie udałoby się wykraść korony, prawda? – I tak jak poprzednio znowu nie dopuściła prymasa do głosu, chociaż ten już otwierał usta, żeby odpowiedzieć. – Niezbadane są wyroki boskie. Zaufajmy Panu. Naród Mu ufa. Ufa także wam, Eminencjo. Ja zaś wierzę w wasz zdrowy rozsądek i szlachetne serce. – W tym na pozór niewinnym zdaniu zawarta była mała groźba, którą dostojnik zrozumiał. – Wiem, że podejmiecie jedyną słuszną decyzję.

Prymas krążył jeszcze przez chwilę po zakrystii, żeby pokazać swoją niezawisłość, po czym skinął głową i przywołał do porządku pozostałych uczestników uroczystości, czekających tak jak Helena w niepewności. Koronacja się odbyła. Dziedziniec przed bazyliką był wypełniony tłumem ludzi. Chyba żaden mieszkaniec Białogrodu nie został dziś w domu. Dostojników było niewielu. Przybyli tylko ci, którzy od śmierci króla Albrechta wspierali królową w jej staraniach. Wśród wielmożów Helena dostrzegła przystojną twarz Jana Jiskry z Brandysa nad Orlicą, który do zamku dotarł wczoraj wieczorem, przywożąc wieści. Obawiał się, że z powodu późnej pory nie uda mu się porozmawiać z królową. Szczęście mu dopisało. Elżbieta Luksemburska wezwała go przed swoje oblicze.

– Wasza Wysokość! – Jan Jiskra pokłonił się nisko. – Pozwolisz, pani, że zanim udam się na spoczynek, podzielę się z wami dobrą wiadomością. – Poczekał chwilę na znak aprobaty dany przez królową. – Ludzie moi, w liczbie około pięciu tysięcy, wszyscy głęboko wierzący,

że księżę Władysław zostanie naszym królem, zajęli kilka miast na północy kraju. W naszych rękach jest także Spisz. – Na twarzy Jiskry zagościł szeroki uśmiech.

– Nawet nie wiecie, jak bardzo nas to cieszy. Nigdy wam tego nie zapomnę. – Elżbieta Luksemburska zrobiła krótką przerwę. – A teraz udajcie się na spoczynek, bo jesteście srodze zdrożeni, a i jutro czeka was pracowity dzień. – Królowa nareszcie wyglądała na szczęśliwą i odprężoną.

Także dziś, kiedy opuszczała bazylikę, z szerokim uśmiechem na ustach patrzyła na zgromadzonych ludzi. Wśród tłumu zauważyła żołnierzy husyckich, którzy przyłączyli się do armii Jiskry. Dzięki ich poświęceniu i odwadze udało się odciąć Władysławowi Jagiellończykowi najkorzystniejszą drogę na Węgry. Skinęła Janowi Jiskrze głową i pomyślała o nim z wdzięcznością – dał im bowiem jedną z najcenniejszych rzeczy: czas.

Wykorzystała go w najlepszy sposób. Doprowadziła do koronacji syna. Z bazyliki Marii Panny wychodziła teraz procesja, której przewodził prymas i wspomagający go biskupi. Za szacownym gronem duchownych podążała królowa matka, a dalej niania Helena, niosąca na rękach małe, białe zawiniątko – dopiero co koronowanego Władysława. Kilka kroków za nią szedł dziarskim krokiem król niemiecki oraz władca Styrii i Karyntii Fryderyk Habsburg, stryj nieletniego króla. Na ozdobnej poduszce niósł koronę Świętego Stefana.

Za nim podążali możni, wśród których oprócz Jana Jiskry znaleźli się Jerzy z Podiebradów, Jan Hunyady, a także Ulrich z Eyczing i Ulryk Cylejski. Szła też nielicznie reprezentowana szlachta, szli panowie ziemscy, bogaci mieszczenie oraz miejscy przedstawiciele Budy, z których jeden dzierżył w dłoni chorągiew Królestwa Węgierskiego. I wreszcie szedł zwykły lud, który najgłośniej skandował imię nowego władcy. Jego zapał udzielił się pozostałym uczestnikom pochodu.

Wszyscy zmierzali do kościoła Świętych Piotra i Pawła, gdzie pochowano księcia Gejzę, ojca Świętego Stefana, i gdzie nowo koronowany król, zgodnie z tradycją, miał wydać wyrok w dwóch sprawach sądowych.

Księżniczka Elżbieta, niezwykle ruchliwa tego dnia, odjechała wraz z dziećmi Heleny sprzed bazyliki, krótko przed zakończeniem uroczystości. Teraz czekała przed kościołem, do którego zmierzała procesja. Podskakiwała co jakiś czas, ciągle zadając pytania. A dlaczego Władysława nie ma z nimi? A dlaczego pan w kolorowej sukni trzymał koronę nad Władysławem? A dlaczego przyjechało tylu ludzi? A dlaczego wszyscy są tacy radości? A dlaczego dzwony ciągle biją, skoro od tego bolą uszy? Niania, która zastąpiła tego dnia Helenę, cierpliwie odpowiadała na każde pytanie. W końcu pojawił się prymas, a za nim pozostali.

– Król ma być władcą sprawiedliwym, broniącym słabych przed uciskiem możnych! – Tymi słowami Elżbieta Luksemburska rozpoczęła w imieniu króla Władysława dwie krótkie rozprawy sądowe.

Kiedy skończyła ogłaszać drugi wyrok, tłum zebrany wokół ustawionego przed kościołem podestu zaczął wiwatować na cześć króla i królowej matki. Tymczasem do Elżbiety Luksemburskiej podchodzili kandydaci na rycerzy. Rozpoczął się kolejny punkt uroczystości koronacyjnych. Po kilku godzinach, kiedy pasowanie dobiegło końca i zostały odebrane przysięgi wierności, tłum ruszył w stronę wieży kościoła Świętego Marcina. Tam Helena podała syna matce. Trzymając Władysława na rękach, Elżbieta Luksemburska w towarzystwie Jana Jiskry wspinała się po schodach, aby z góry ciężkim mieczem nakreślić znak krzyża, wypowiadając ponownie słowa przysięgi koronacyjnej. Nad miastem zaczęły się już gromadzić wieczorne chmury, kiedy oficjalne uroczystości dobiegły końca.

Nowy władca, królowa matka oraz świeccy i duchowni dostojnicy

w towarzystwie tłumów udali się w kierunku zamku, gdzie przygotowano ucztę. W komnatach ustawiono stoły dla znamienitych gości, na zewnątrz zaś rozstawiono dla mieszkańców drewniane ławy uginające się od jedzenia. Na dzień następny zapowiedziano, oprócz dalszego ucztowania, turniej rycerski. Wieść ta została przyjęta z radosnym okrzykiem. Nastął czas świętowania.

Helena odetchnęła z ulgą. Stała u boku swoich dzieci oraz księżniczki Elżbiety, którą wzięła za rączkę. Ich obecność była kojąca. Napięcie, które odczuwała jeszcze wczoraj wieczorem, opuściło ją całkowicie. Uspokojona siadła do stołu. Chwyliła kielich pełen wina. Wraz z innymi raczyła się trunkiem, wznosząc toasty za króla i królową matkę.

*

Nowe Miasto Korczyn było tego dnia świadkiem niecodziennego zdarzenia. Przebywająca w dobrach oprawnych królowa Zofia miała zegnać swego młodszego syna, Kazimierza, który towarzyszył jej od jakiegoś czasu, dziś zaś miał wyruszyć w drogę do Wilna. Chodniki, domy, kościoły i ludzie spieszący zatłoczonymi ulicami w kierunku wzgórza zamkowego byli skąpani w majowych promieniach słońca. Królewicz Kazimierz szedł w towarzystwie wysokiego, chudego i ponurego Jana z Czyżowa, pełniącego funkcję kasztelana krakowskiego, oraz jego przeciwnictwa – Pawła Chełmskiego, marszałka dworu. Nie sposób było przeoczyć w tłumie tych dwóch ludzi. Jan, trzymający się prosto, wyglądał, jakby połknął kij, zaś uśmiechnięty szeroko okrągłutki i niewielkiego wzrostu marszałek Paweł garbił się, co powodowało, że sprawiał wrażenie jeszcze niższego.

– Niech Wasza Wysokość raczy spojrzeć – zwrócił się szeptem do królowej matki, Zofii Holszańskiej, kręcący się koło jej nóg błazen. – Ktoś powinien przekonać kasztelana Jana, żeby ten kij, który trzyma

w tyłku, zostawił w domu, bo podczas podróży strasznie go będzie uwierać w cztery litery. A marszałek Paweł musi nieco powietrza upuścić z brzucha, bo niechybnie wzniesie się kiedyś w górę.

– Nie męcz nas już dziś tymi swoimi mądrościami. Nawet błazen powinien znać umiar. – Podniosła nieco głos, ale kiedy garbus nadal trzymał się mocno jej sukni, krzyknęła z całych sił, wywołując konsternację zebranych: – Idźże precz! Wynoś się! Niech cię nie oglądam!

Była to rzecz tak osobliwa, że obecni na kilka sekund zamarli, starając się zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Zdenerwowanie matki zauważył też Kazimierz, który ominął tarasujących mu drogę dostojników i na oczach zebranych przyłgnął do niej, chowając twarz w matczynych ramionach. Zofia zamrugała szybko powiekami, ale na nic zdały się próby powstrzymania łez. Kiedy pierwsza zrosiła blade lico królowej, reszta popłynęła niczym rzeka, która przerwała tamę.

– Matko, proszę, nie płaczcie. – Kazimierz nie odrywał twarzy od piersi matki, przez co jego słowa były nieco przytłumione, ale na tyle wyraźne, że Zofia rozumiała je bez trudu. – Jeżeli natychmiast nie przestaniecie, ja też zacznę płakać, a przecież nie mogą mnie panowie szlachta widzieć w takim stanie. – Odsunął się od niej na odległość ramion i chociaż broda nieco trzęsła mu się ze wzruszenia, oczy miał suche, a głos pewny. – Mam być namiestnikiem mego brata, króla Władysława. Muszę być silny i opanowany. Dlatego i ty, matko, musisz być silna. Dla mnie i dla Władysława.

– Mój kochany synku. – Zofia pogładziła Kazimierza po delikatnym policzku. – Nie miej matce za złe, że się smuci. Niedawno żegnałam twego brata, a dziś i ty nas opuszczasz. – Łzy nadal płynęły z jej oczu, ale kiedy zobaczyła, że Kazimierz prosi ją wzrokiem o powagę, uśmiechnęła się, zamrugała jeszcze kilka razy powiekami i przestała płakać. – Jedź! Jedź, ale napisz, jak tylko dotrzesz na miejsce – mówiła już znacznie

spokojniej.

Raz jeszcze przytuliła syna do serca. Stali tak chwilę, aż w końcu charakterystyczne chrząknięcie, znak, że czas ruszać, sprawiło, iż Kazimierz wysunął się z matczynych objęć. Podeszedł do czekającego powozu, przy którym stali już kasztelan krakowski Jan i marszałek dworu Paweł. Spojrzał po raz ostatni na zamek, na zebranych dworzan, po czym wsiadł do środka.

*

Noc była gwiazdzista. Czarne jak smoła niebo upstrzone jasnymi, migoczącymi gwiazdami, które wyglądały niczym rozsypane na czarnym aksamicie diamenty. Malutka chmura zatrzymała się na wciąż okrągłej twarzy księżyca, zasłaniając ją przezroczystym welonem, przez który przebijało żółte światło.

W liściach drzew porastających Zamkowe Wzgórze coś zaszeleściło, zakotłowało się, a potem nocną ciszę przerwał krzyk. Kilka sekund później w stronę księżycowej tarczy wznosił się puszczyk, trzymający w mocnych szponach szamoczącą się zdobycz. Przemykająca po zamkowych murach postać zatrzymała się, aby spojrzeć na rozgrywający się na tle żółtej kuli dramat. Już chciała ruszyć dalej, kiedy tuż przed jej nosem wyrósł strażnik.

– Stój! – krzyknął, kierując trzymaną w dłoni giewię w stronę intruza.
– Zdejmuj kaptur albo nie dożyjesz kolejnego mrugnięcia! – Strażnik w gotowości bojowej rozejrzał się dookoła. Niespodziewany gość był najprawdopodobniej sam, co nie znaczyło, że można go lekceważyć. Przebywający na zamku w Wilnie królewicz Kazimierz miał wrogów, którzy wypatrywali każdej sposobności, aby się go pozbyć. – Nuże! – ponaglił i podsunął broń bliżej stojącej sztywno postaci.

– Spokojnie. – Głos zakapturzonego był dziwny. Pobrmiewały w nim zarówno nuty typowo męskie, jak i chłopięce. Strażnik przyjrzał się

uważnie i zanim intruz zsunął naciągnięty na twarz kaptur, zorientował się, że stoi przed Kazimierzem. – Niech Wasza Książęca Mość wybaczy pomyłkę! – Mówiąc to, opuścił broń i skłonił się nisko, przyklękając na jedno kolano.

– Spokojnie – powtórzył królewicz, odchrząkując w chwili, kiedy głos mu się załamał. Przypadłość ta, która zwiastowała wkroczenie w wiek męski, bardzo go irytowała. Miał wrażenie, że przez nagłe zmiany barwy głosu wydaje się rozmówcom mało poważny, a tego pragnął za wszelką cenę uniknąć. – Twoja postawa zasługuje na nagrodę, a nie karę. Rad jestem, że takich przydzielono nam strażników. Odprowadź mnie do komnaty. Ochota na spacer już mi przeszła. Co by to było, gdyby inny strażnik był mniej roztropny, a bardziej porywczy. – Królewicz roześmiał się cicho, a potem odwrócił plecami do strażnika i skierował w stronę schodów, którymi zszedł z murów zamkowych. Mężczyzna westchnął z ulgą i ruszył za Kazimierzem.

Kiedy dotarli pod komnatę królewicza, ten zatrzymał się w otwartych drzwiach.

– Życzyłbym ci dobrej nocy, ale skoro musisz trzymać straż, to życzę przynajmniej spokojnej. Sobie także, choć trudno będzie zmrużyć oczy, kiedy jutro czeka wszystkich wielki dzień – powiedział. Wszedł do oświetlonej przez kilka świec izby i zamknął cicho ciężkie drzwi. Strażnik stał jeszcze kilka minut w tym samym miejscu, po czym z uśmiechem na twarzy wrócił na swoje stanowisko.

Tymczasem Kazimierz podszedł do niewielkiego okienka. Otworzył je na oścież i mocno się wychylił. Ciemność była nieprzenikniona. Jak ciężka, czarna kotara, która zazdrośnie strzegła przed wzrokiem patrzącego tego, co kryło się za nią.

– Chciałbym, matko, żebyś tu jutro była – szepnął w mrok. Milczał przez dłuższą chwilę, jakby liczył, że otrzyma odpowiedź.

Od jego wyjazdu z Nowego Miasta Korczyna upłynęło kilka tygodni.

Wciąż czuł się osamotniony w wielkim wileńskim zamku. Jutro, 29 czerwca 1440 roku, miała się odbyć msza święta na jego cześć. Katedra wileńska już od paru dni była starannie przygotowywana do tej uroczystości. Powinien więc być wypoczęty. Był jednak zbyt zdenerwowany, aby zasnąć. Zamiast przewracania się w wielkim łożu z boku na bok w oczekiwaniu na sen wolał patrzeć w gwiazdy. Żeby czas płynął szybciej, zaczął się cicho modlić, prosząc Boga o spokój, opanowanie i mądrość.

Godziny mijały, a Kazimierz wciąż stał przy otwartym oknie. W końcu na horyzoncie pojawiła się słoneczna tarcza. Budził się nowy dzień. Królewicz spojrział w stronę łożka i pomyślał, że dobrze byłoby choć na chwilę zamknąć oczy i uspokoić skołatane nerwy. Chciał jedynie poleżeć, ale kiedy tylko opadły ciężkie powieki, zmorzył go twardy, kojący sen. Śnił, że przedziera się przez niewielki las. Gdzieś z oddali ktoś go wołał. Królewicz rozglądał się wokół i nasłuchiwał, ale nie mógł pośród gałęzi nikogo dojrzeć. Zaczął się denerwować. Czyżby ktoś bawił się z nim w kotka i myszkę, a może to wrogowie urządzili na niego zasadzkę i teraz wypatrują tylko sposobności, żeby spaść na niego z nienacką? Znowu to wołanie. Głos wydawał mu się znajomy, a mimo to nie miał ochoty odpowiedzieć.

– Wasza Książęca Mość. – Pokojowiec delikatnie poruszał ramieniem śpiącego. – Wasza Książęca Mość! – Mężczyzna odwrócił się i z rezygnacją spojrział na drugiego pokojowca, który trzymał przewieszane przez ręce świeże ręczniki. – Idź po ochmistrza – rzucił w końcu w jego stronę i odsunął się od książęcego łożka.

Marszałek dworu Paweł już od dwóch godzin był na nogach. Zjadł sute śniadanie i akurat wycierał zatłuszczone wąsy, kiedy rozległo się donośne pukanie do drzwi komnaty.

– Wejść! – zawołał na cały głos.

– Niech waszmość wybaczy, ale mamy problem z Jego Książęcą

Mością. – Młody pokojowiec przydzielony królewiczowi Kazimierzowi skłonił się nisko.

Paweł Chełmski rzucił serwetę na stół i natychmiast ruszył w stronę młodzieńca, kołysząc się zabawnie na boki. Nie miał czasu na zadawanie zbędnych pytań. Serce biło mu niespokojnie. Po głowie kołatały się okropne myśli. W końcu wszystko mogło się zdarzyć. Chciał się przekonać na własne oczy, o jakim problemie mowa. Może nie jest tak źle. Ostatecznie jeśli nie poradzi sobie z nim sam, pośle po kasztelana krakowskiego, przemknęło mu przez myśl. Choć za nim nie przepadał, to tych kilka wspólnych tygodni sprawiło, że nabrał do niego szacunku. Ani się spostrzegł, gdy stanął na progu książęcej izby. Z całych sił pchnął drzwi i wpadł do środka przygotowany na najgorsze. Komnata tonęła w jasnych promieniach słońca. Marszałek rozejrzał się po niej gorączkowo, szukając dowodów świadczących o popełnionej zbrodni. Nie dostrzegł nigdzie krwi, walającej się broni czy innych rzeczy, które mogłyby wskazywać na szamotaninę. Zerknął na łóżko i dostrzegł smacznie śpiącego królewicza.

– Panie, budzimy Jego Książęcą Mość od kilku chwil i nic. – Drugi z łóżnych patrzył na tłuściutkiego wielmożę z przerażeniem w oczach.

– Spróbuj jeszcze raz! – Marszałek Paweł podszedł bliżej. Przyglądał się z zainteresowaniem poczynaniom służącego. – Odsuń się. – Zajął jego miejsce i mocno szarpnął Kazimierza za ramię. – O! – wykrzyknął, kiedy ten natychmiast otworzył oczy. – I po problemie. Wasza Książęca Mość już dawno powinien być na nogach. Dostojnicy kościelni wkrótce zbiorą się w katedrze wileńskiej, a królewicz wciąż w pościeli. – Marszałek Paweł roześmiał się głośno i klasnął w dłonie.

Młodzi łóżni zerwali się z miejsc i zaczęli krzątać się wokół zaspanego Kazimierza.

Dzień przeleciał jak z bicia trzasnął. Królewicz pragnął znowu znaleźć się w swojej komnacie, która stała się w tych dniach jego ostoją

i schronieniem. Wreszcie nadszedł wieczór i Kazimierz został sam. Rozsmakował się w ciszy, która go otuliła niczym ciepły pled w zimowy wieczór. Po gwarным dniu spokój, jaki panował w izbie, był nader przyjemny. Nie cieszył się nim jednak zbyt długo. Znowu opadły go niewesołe myśli, z którymi zmagał się od południa, a które teraz, w samotności, były jeszcze bardziej natrętne. Nie tak miały wyglądać sprawy. Brat Władysław uczynił go tylko namiestnikiem, a tymczasem bojarzy litewscy, wykorzystując fakt, że król Polski ruszył na Węgry, uczynili z niego wielkiego księcia litewskiego.

– Będą kłopoty – szepnął Kazimierz i nasunął ciepłą kołdrę aż po same oczy.

*

Piwnice winne zamku w czeskim Melniku powoli zaczynały pękać w szwach. Tutejszy wyśmienity trunek zapełniał większość chłodnych pomieszczeń. Ledwie wczoraj skończył się festiwal wina, na który gromadnie zjechali goście z najdalszych zakątków kraju, a także z Niemiec, Węgier, a nawet ze słonecznej Italii. Zorganizowano go z okazji udanego winobrania, które przyniósł rok 1441.

Przez wiele dni zabawa trwała od świtu do zmierzchu, a niektórzy z jej uczestników skorzy byli do tańca i wypitki jeszcze w nocy. Gwar, który prawie nigdy nie opuszczał zamkowych murów, w tych dniach stał się jeszcze wyraźniejszy. Rozmowy były głośniejsze, bardziej sprośne, śmiech wybuchał niepohamowanie. Nawet służbie udzieliła się frywolna, radosna atmosfera.

I wreszcie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Goście poszli spać. Zamroczeni winem mieszkańcy wrócili do swoich domów, z których roznosił się odgłos chrapania. Rzecz to była niecodzienna, aby służba, podobnie jak państwo, o tej porze wylegiwała się w łózkach, albowiem zegar na zamkowej wieży wybił południe. Wydawało się, że w pełni

rozbudzona jest tylko dziewięcioletnia, ubrana w białą szatę dziewczynka, która przemykała opustoszałymi korytarzami. W ich zimnych kamiennych murach unosił się zapach wina, potu i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła zidentyfikować. Zmierzała na mury, z których rozciągał się wspaniały widok na płynącą u podnóża zamku rzekę Łabę. Udało jej się wymknąć niepostrzeżenie z komnaty. Pokojowe, których zadaniem była opieka nad nią i czuwanie, aby nie błąkała się po zamkowych izbach i zakamarkach, zamroczone trunkiem zasnęły w kącie izby przytulone do siebie. Dziewczynka, zanim wymknęła się z izby, przyglądała im się przez dłuższy czas. A było na co patrzeć. Włosy pokojowych były w nieładzie, sukienki wymiętoszone, gdzieś tam pokryte czerwonymi plamami przypominającymi krew, a z lekko otwartych ust spływała im po brodzie ciekącą strużką jasna ślina. W końcu jednak obraz ten ją znużył, dlatego wybrała się na spacer. Już miała skierować się w stronę wyjścia prowadzącego na podwórze, kiedy z daleka usłyszała kobiecy śmiech i kilka męskich westchnień, które w ciszy odbijały się od kamiennych murów. Przystanęła. Zrobiła krok w stronę wyjścia i znowu usłyszała śmiech. Nie zastanawiała się dłużej. Podążyła w jego kierunku. Szła powoli, rozglądając się czujnie. Nie chciała natknąć się na nikogo ze służby. Obawiała się, że zawróciliby ją do izby, a to byłby dramat, zwłaszcza teraz, kiedy jej ciekawość wzrastała z każdym kolejnym krokiem i westchnieniem. Zatrzymała się na chwilę na końcu korytarza i zerknęła zza rogu. Bardziej niż służby bała się tylko babki, ale tej na szczęście nigdzie nie było. Zwolniła kroku, bo śmiech i westchnienia stały się wyraźniejsze. Zbliżała się do celu. Szła teraz na paluszkach. Martwił ją szelest szat i słomy wyłożonej na kamiennych posadzkach, ponieważ wydawało jej się, że jest głośniejszy niż zazwyczaj. Uniosła suknię i trzymając ją w dwóch palcach prawej dłoni, posuwała się w kierunku komnaty, do której prowadziły lekko uchylone drzwi. Kiedy stanęła tuż przed

nimi, przykucnęła i przysunęła oko do wąskiej szpary, wyężając wzrok.

Chociaż na dworze było słonecznie i jasno, izba tonęła w mroku, który rozpraszały dziesiątki palących się świec. Powietrze było przesycone dymem. Dziewczyńce wydawało się, że w komnacie unosi się gęsta mgła, jaką widziała kiedyś nad moczarami. W żółtym, migoczącym blasku zauważyła nagie, lśniące ciała. Było ich kilka. Opalone, mokre od potu, muskularne, poprzecinane widocznymi bliznami. Patrzyła na szerokie bary mężczyzn odwróconych do niej tyłem. Jej wzrok zszedł niżej, na wypięte pośladki. Dwóch z nich odwróciło się do niej przodem. Chciała się wycofać, ale po chwili wahania została na miejscu. Nie zauważyli jej. Patrzyła zafascynowana. Widziała już w swoim życiu nagich mężczyzn i chłopców, ale nigdy w stanie podniecenia. Wpatrywała się w nich szeroko otwartymi oczami. Po chwili jej wzrok powędrował w stronę wielkiego łoża, gdzie kotłowało się jeszcze kilku mężczyzn. Do jej uszu dobiegł zachrypnięty kobiecy głos. Nie usłyszała słów, jednak domyśliła się, że były to słowa zadowolenia. Jeden z mężczyzn przykrywał niewiastę swoim muskularnym ciałem. Jego pośladki napinały się pod wpływem wykonywanych ruchów. Podmuch wiatru rozrzedził nieco dym ze świec, dzięki czemu mała podglądaczka mogła przyjrzeć się wyraźniej temu, co działo się w komnacie. Wciąż jeszcze nie widziała twarzy wdychającej z rozkoszy kobiety. Mężczyzna zwisający nad nią unosił się i opadał rytmicznie, jakby ruchy te dyktowało bicie serca. Już miała przenieść wzrok na łóżko, kiedy poczuła na ramieniu czyjąś ciężką dłoń. Była tak skupiona na tym, co działo się w izbie, że nie usłyszała zbliżających się kroków. Zaskoczono ją całkowicie. Krzyknęła na cały głos. Zdażyła jeszcze zauważyć, że rytmicznie poruszający się młodzian zastygł w bezruchu, a leżąca pod nim kobieta dźwignęła lekko głowę.

– Babcia?! – wykrzyknęła księżniczka Anna, córka Elżbiety Luksemburskiej.

Stojący najbliżej drzwi mężczyzna podszedł do nich i zatrzasnął je tuż przed nosem wnuczki Barbary Cylejskiej, która jakby nigdy nic położyła spokojnie głowę na miękkiej poduszce.

– Czy kazałam ci przestać? – Zerknęła zamglonymi z rozkoszy oczami na rycerza, który zwisał nad nią, opierając się na łokciach. – Nuże! – ponagliła go i uniosła wyżej nogi. – Szybciej! Głębiej! Mocniej! – Okrzyki zadowolenia rozlegały się w komnacie jeszcze długo po tym, jak jedna z opiekunek wnuczki cesarzowej zaprowadziła czerwoną ze wstydu i podekscytowania księżniczkę Annę do jej komnaty.

*

17 grudnia 1442 roku zapowiadał się spokojnie. Za oknami panowała iście zimowa aura. Śnieg leżał już od paru tygodni. Kilka dni temu słońce świeciło nieco mocniej, przez co biały puch pokrywający dachy zaczął pomalutku skapywać na ziemię. Wystarczyło jednak, że czerwona tarcza schowała się za chmurami, a kapiąca woda przemieniła się w smukłe sople lodu.

Ogień buzujący wesoło w kominku na zamku w Budzie otulał jego mieszkańców przyjemnym, rozleniwiającym ciepłem. Helena Kottanner, niania króla Władysława i księżniczki Elżbiety, usiadła na wygodnych poduchach ułożonych na ziemi, przyglądając się dokazującym dzieciom. Od końca zeszłego roku miała jeszcze pod opieką najstarszą córkę Elżbiety Luksemburskiej, księżniczkę Annę, która przez długi czas przebywała na dworze swojej babki, Barbary Cylejskiej. Wróciła na łono rodziny, kiedy do uszu królowej dotarły wieści, jak nieprzyzwoicie prowadzi się jej matka.

– Na Boga! – krzyczała Elżbieta Luksemburska, przerażona opowieściami córki. – Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? Czyżby wszyscy przebywający na dworze mojej matki ogłuchli, oślepli i oniemieli?

Przywołano księdza, aby wyspowiadał dziewięcioletnią Annę, która na samo wspomnienie tego, czego była świadkiem, oblewała się rumieńcem. I chociaż czuła, że powinna wstydzić się ciekawości, która przysporzyła jej kłopotów, to chętnie opowiadała o tym, co widziała i usłyszała na zamku w Melniku. Elżbieta Luksemburska załamywała ręce i zasłaniała uszy. Nie chciała słuchać o bezceństwach, których naoglądała się jej mała córeczka.

Słowa Anny potwierdziła dama dworu, będąca jednocześnie przyjaciółką cesarzowej Barbary Cylejskiej i równie chętnie jak ona zapraszająca do swego łóża młodych rycerzy. Początkowo opowieść dziecka zrzucała na karb bujnej wyobraźni. Jednak gdy gniew królowej Elżbiety Luksemburskiej stał się niebezpieczny dla jej wolności, wówczas poczucie lojalności wobec cesarzowej Barbary zniknęło jak ręką odjął. Z ust damy dworu popłynął potok słów, które przyprawiły słuchających o szybsze bicie serca i rumieńce wstydu. Ojciec Joachim, osobisty spowiednik królowej Elżbiety Luksemburskiej, zaczerwienił się od czubka głowy aż po kark. Nikt jeszcze nie uraczył go tak soczystymi opowieściami, jak długo żył, a było to już ponad pół wieku. Czuł się zbrukany i winny, ponieważ pod wpływem słów przyjaciółki cesarzowej przed jego oczami zaczęły pojawiać się niepokojące obrazy, które chociaż grzeszne, nie były mu niemiłe. Takie podniecenie odczuwał wieki temu, jako młodzieniec. Dziękował Bogu, że habit skutecznie ukrywał efekty sprośnej opowieści. Dlatego postanowił, że po zakończeniu całej sprawy sam uda się do spowiedzi.

– Tak, wielebny. Księżniczka Anna mówi prawdę. Jest czysta i niewinna. Nie wie, co to kłamstwo. – Dwórka spuściła głowę i milczała dłuższą chwilę, zanim zaczęła ponownie opowiadać. Mówiła jednak tak cicho, że ksiądz Joachim musiał się nachylić w jej stronę, żeby coś zrozumieć. – Na dworze cesarzowej od dawna mieszkali młodzi mężczyźni, którzy nie należeli ani do służby dworskiej, ani do stanu

rycerskiego, chociaż patrząc na ich ciała, pełne blizn, trudno mi dać wiarę, że nie trzymali oręża w dłoni. – Na wspomnienie ich ciał jej oczy mimowolnie załśniły, a na ustach pojawił się pożądlivy uśmiech. Szybko jednak przywołała się do porządku, przybierając skruszoną minę. – Cesarzowa Barbara przeznaczyła dla ich wygody kilka ozdobnych komnat, ale tylko w jednej spędzała bezsenne noce, a niekiedy i dni, oddając się rozkoszom cielesnym w ogromnym łożu, w którym towarzyszyło jej kilku młodzieńców. Czasami zapraszała także swoje damy dworu, ale nie zdarzało się to zbyt często, bo cesarzowa była niezwykle zazdrosna i pragnęła uwagi tylko dla siebie. – Nagle złożyła dłonie, zerwała się z krzesła i uklękła przed księdzem Joachimem, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. – Niech mi dobrodziej raczy wierzyć, że nie z własnej woli, ale bardziej z obowiązku uczestniczyłam w rozpuszcie. – Joachim powątpiewał w prawdziwość jej słów, dlatego się nie odezwał. Przełknął tylko ślinę i otarł pot z czoła. Dwórka opuściła głowę i schowała twarz w dłoniach. Rozmowa była skończona. Joachim zerwał się ze stołka i szybkim krokiem skierował się do swojej malutkiej komnaty. Musiał ochłonać. Dopiero po jakimś czasie udał się do Elżbiety Luksemburskiej i potwierdził, że Anna mówiła prawdę.

– I pomyśleć, że gdyby nie zaraza, która nawiedziła Melnik, zapewne jako kara boża, moja Anna dalej przebywałaby w miejscu, w którym zamieszkał diabeł. – Elżbieta nie mogła uwierzyć, że jej matka dopuściła się tak obrzydliwego występku. Gdyby opowieść nie wyszła z ust jej rodzonej córki, pomyślałaby, że to zwykłe kalumnie rzucane na niewinną wdowę, od wielu lat opłakującą męża. Najwyraźniej jednak śmierć Zygmunta Luksemburskiego poruszyła matkę bardziej, niżby chciała się do tego przyznać.

Księżniczkę Annę na jakiś czas powierzono opiece ojca Joachima, aby ją bacznie obserwował. Obawiano się bowiem, że złe moce mogły opętać niewinną dziewczynkę. Gdyby tak się stało, duchowny miał

niezwłocznie wezwać księdza egzorcystę. Dusza Anny okazała się jednak czysta niczym źródłana woda. Dlatego po pewnym czasie Helena wzięła księżniczkę ponownie pod swoje skrzydła, a ponieważ Anna była grzeczną dziewczynką, niania miała wrażenie, że nadal zajmuje się tylko czwórką, a nie piątką dzieci. Kochała je wszystkie i żadnego nie faworyzowała. Nawet księżniczki Elżbiety, do której miała wyjątkową słabość, mimo że ta potrafiła być krnąbrna i coraz bardziej wyniosła.

Niania siedziała teraz wygodnie na miękkich poduchach i z uśmiechem przyglądała się swoim podopiecznym.

– Chodźmy do wielkiej sali. – Elżbieta od rana namawiała Helenę na wizytę w tej komnacie. – Chcemy zobaczyć choinkę! – Podskakiwała na jednej nodze, robiąc kółka dookoła swojej siostry siedzącej na drewnianym koniku. Użyła liczby mnogiej, wypowiadając się także w imieniu pozostałych dzieci, chociaż nikt poza nią nie wykazywał szczególnej na to ochoty.

Już jakiś czas temu Elżbieta przyjęła rolę przewodniczki. Miała do tego naturalne predyspozycje. Była pewna siebie, potrafiła bronić własnego zdania, a kiedy jej na czymś naprawdę zależało, umiała być nieustępliwa. Widząc, że Helena jest niezdecydowana, powtarzała swoją prośbę raz po raz. Najpierw spokojnie, robiąc zabawne miny i mrugając pocieszenie oczami, co miało szybciej przekonać nianię. Kiedy jednak ta pozostała niewzruszona, Elżbieta zaczęła się denerwować, ciągnąc ją bezustannie za suknię i domagając się uwagi. Posunęła się nawet do tupania nogami. Jednak Helena uległa jej dopiero wtedy, kiedy Elżbieta przestała histeryzować i spokojnie ponowiła swoją prośbę.

Niania sama miała ochotę zobaczyć, co dzieje się w głównej komnacie, ale obawiała się, że jej zgoda podzieli dzieci. Jedne zechcą iść razem z Elżbietą, inne będą wolały nie przerywać zabawy, która trwała na całego. Na szczęście pozostałym było obojętne, w której sali będą mogły dokazywać.

Już wczoraj na zamku zrobił się prawdziwy harmider, kiedy wieczorem wtaszczo do środka olbrzymią, rozłożystą, ciągle ośnieżoną i intensywnie pachnącą lasem choinkę. A dziś silne męskie ramiona miały ją zawiesić u powały. Nie było to proste. Pracy z pewnością nie ułatwiał gorąc buchający z kominka, w którym wesoło buzował pomarańczowożółty ogień, liżąc zachłannie grubymi językami spore polana. Siedząc w bezpiecznej odległości od miejsca, gdzie kilku barczystych chłopów szarpało się z kłującym drzewem, Helena wraz z piątką dzieci przyglądała się ich pracy.

– Jest piękna. Jest taka piękna! Spójrz, nianiu, czyż nie jest śliczna? – Oczy małej Elżbiety błyszczały jak szlachetne kamienie, a uśmiech nie schodził z twarzy. Helena nie potrafiła dłużej dąsać się na księżniczkę. – Chcę, żeby zawisły na niej kolorowe wstążki! I ciasteczka! – Mówiąc to, zatańczyła i pomachała trzymanymi w dłoni kolorowymi wstęgami, wygniecionymi od ciągłego tarposzenia w malutkiej rączce. – I pierniczki! – dodała po chwili namysłu. – Albo nie... – przerwała w pół słowa i dotknęła palcem wydętych ust, stukając po nich. Podeszła do niani z miną przechery, pociągnęła ją za suknię, zmuszając do ukłknięcia. – Poproszę mamę o klejnoty. Są duże i tak ładnie błyszczą. Jak gwiazdki na niebie. – Nie czekając na odpowiedź, zrobiła szybki odwrót i nie bacząc na nawoływania Heleny, pobiegła korytarzem w stronę komnat swojej matki, królowej Elżbiety Luksemburskiej.

Pozostałe dzieci, w tym dwuletni król Władysław, który chodził jeszcze niepewnie, roześmiały się wesoło, wyczuwając nadchodzącego ducha Bożego Narodzenia. Na wielkim stole, przy którym zasiadano do posiłków, postawiono grube świece. Zapalano je podczas wieczerzy. Od wczoraj paliły się już wszystkie cztery. Nieodzowny znak, że święta zbliżały się wielkimi krokami, o czym przypominała także wzmożona krzątania na zamkowym dziedzińcu. Od kilku dni wyładowane

sprawunkami wozy mijają się na moście zwodzonym, który od ciągłego ruchu trzeszczał miarowo i głośno. W kuchni kucharze i kuchciki uwijali się jak w ukropie, mieszając, dodając, przesiewając i łącząc ze sobą przeróżne ingrediencje. A zapach niósł się stamtąd na cały zamek. Smakowite aromaty zamorskich przypraw, pieczonych mięs, słodkich miodów sprawiały, że jego mieszkańcom wciąż burczało w brzuchach, a do ust ciekła ślinka.

– Wszędzie was szukam. Zaglądam do komnat, to tu, to tam, a moich pociech jak nie widać, tak nie widać. – Elżbieta Luksemburska wróciła właśnie ze spaceru. Na ramionach miała zarzuconą czarną szubę, przetykaną złotą nicią i podbitą sobolami. Prezent od króla Władysława Jagiellończyka, który złożył w zamku wizytę zaledwie kilka dni temu przy okazji odpustu, na który przybył.

– Wasza Wysokość raczy wiedzieć, że księżniczka Elżbieta nie mogła doczekać się choinki, a potem, wbrew mojemu zakazowi, pobiegła szukać was w prywatnych komnatach. – W tym momencie do izby, trzymana za rękę przez jedną z dam należących do fraucymeru królowej, weszła Elżbieta. Na widok matki wyrwała się kobiecie. Królowa pochyliła się nad córką, wysłuchując jej z uwagą. Położyła upierścienioną dłoń na ramieniu dziewczynki, by ją uspokoić, po czym zwróciła wzrok na Helenę, która podjęła przerwany wątek. – Nie mogłam odmówić dzieciom tej przyjemności. Sama jestem rada, że dałam się namówić. – Gestem wskazała na zwisającą z sufitu choinkę. – Muszę przyznać, Wasza Wysokość, że z przejęciem obserwowałam, jak wieszano ją u powały. Radość dzieci, kiedy drzewko wreszcie zawisło, udzieliła się także mnie. – Helena cały czas bacznie obserwowała monarchinię. Zauważyła, że jej policzki są przezroczyście, bez cienia rumieńca, chociaż królowa dopiero co wróciła ze spaceru na mrozie. Dłoń Elżbiety Luksemburskiej, wciąż spoczywająca na ramieniu córki, zacisnęła się na nim zbyt mocno. Dziecko pisnęło i wyrwało się

z matczynego uścisku. Królowa zachwiała się lekko, ale szybko odzyskała równowagę.

Elżbieta Luksemburska słynęła z nieskazitelnie białej skóry, ale dziś ta biel nie wyglądała pięknie, lecz niezdrowo. Pod oczami królowej pojawiły się brązowoszare sińce, w niektórych miejscach przechodzące w fiolet. Policzki nieco się zapadły, jeszcze bardziej uwydatniając szczupłość twarzy. Helena wiedziona troską podeszła do władczyni i zapytała:

– Czy Wasza Wysokość nie powinna odpocząć? Ostatnie dni, wypełnione obowiązkami, musiały być męczące. Racście mi wybaczyć, że to powiem, ale zmęczenie wypisane jest na waszej twarzy.

– Och, droga Heleno. Zawsze taka troskliwa. Jak kwoka dbająca o swoje pisklęta. – Głos Elżbiety Luksemburskiej był słabszy niż zwykle. Kiedy podniosła dłoń, aby położyć ją na ramieniu niani, jej ręka drżała, pomimo wysiłków królowej, żeby nad nią zapanować. – Masz rację, jak zawsze. Właśnie szłam do komnat, żeby poleżeć w ciszy i nabrać sił. Chciałam tylko ucałować dzieci i życzyć im dobrej nocy, gdyby poszły spać wcześniej. – Pochyliła się i po kolei, nie omijając dzieci niani, złożyła soczyste całusy na ich czołach. A potem, jakby nagle przypomniała sobie, o czym rozmawiały przed chwilą, dodała cicho: – Od wczoraj czuję, że ogarnia mnie dziwna niemoc. Nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego. Członki odmawiają mi posłuszeństwa, a wzrok płata figle. I w uszach od czasu do czasu dziwnie dzwoni. Mam nadzieję, że spokojny, błogi sen dobrze mi zrobi. A jutro upiększymy choinkę. Klejnotami. – Po tej złożonej dzieciom obietnicy ruszyła do wyjścia. – Niech nikt mi nie przeszkadza.

– Wasza Wysokość! – Donośny głos ojca Joachima zatrzymał Elżbietę Luksemburską w pół kroku.

– Mówcie, ojcze, byle prędko. Chciałam się udać na spoczynek. Innych odesłałabym niechybnie, ale was, ojcze Joachimie, z przyjemnością

wysłucham. – Ktoś postronny, słuchając królowej, zwróciłby pewnie uwagę, że w obecności Heleny i ojca Joachima była bardziej otwarta. Długie lata przyjaźni sprawiły, że Elżbieta Luksemburska porzucała oficjalny ton.

– Wasza Wysokość jak zwykle okazuje zbyt wiele łaski. Będę się za was modlić każdego wieczoru, prosząc o zdrowie dla was i waszych najbliższych. Ale... – Widać było, że bladość Elżbiety zaniepokoiła także duchownego. – Młody już nie jestem i ze wzrokiem u mnie kiepsko, ale nawet stąd dostrzegam waszą bladość. Zapewniam, że sprawa może poczekać. – Spojrzenie królowej zmusiło go do kontynuowania, dlatego mówił dalej, co jakiś czas pokornie się kłaniając. – Oczywiście, skoro już kłopotczę Waszą Wysokość... – Przerwał, przełknął ślinę i przyciskając do wydatnego brzucha niewielką drewnianą szkatułkę, oznajmił radosnym głosem: – Braciszkwowie z klasztoru cystersów w Zirc właśnie dostarczyli oblatum. – Otworzył szkatułkę, na której spodzie leżał prząsny cienki chleb, wypiekany z białej mąki i wody, bez dodatku soli oraz drożdży.

Elżbieta Luksemburska z grzeczności zerknęła do środka. Ojciec Joachim każdego roku raczył ją tą informacją, co stało się już swoistym rytuałem, dlatego wysłuchała go, chociaż czuła się coraz gorzej. Lekko się uśmiechnęła, dając do zrozumienia, że cieszy się wraz z nim, a potem bez słowa opuściła salę, w której już na dobre zagościła atmosfera Bożego Narodzenia. Ciepło z olbrzymiego kominka rozniosło po izbie świeży zapach lasu. Polana trzaskały wesoło, a ogień rzucał przyjemne światło. Ciszę co jakiś czas przerywały odgłosy bawiących się szczęśliwych dzieci.

*

W tych strasznych godzinach zamek królewski przywdział żałobny kir. Helena próbowała opanować targające nią emocje i opłakiwanie zmarłej

pozostawić innym. Zamglonymi oczami patrzyła na śpiące dzieci. Pod jej powiekami cały czas zbierało się morze łez, którym nie pozwoliła płynąć. Szczególnie martwiła się o księżniczkę Elżbietę, która dopiero co zasnęła w jej ramionach, zmęczona bezustannym płaczem. Nie potrafiła zrozumieć niedawnych wydarzeń.

Niespodziewana śmierć jej matki, królowej Elżbiety Luksemburskiej, była ciosem prosto w serce. Choroba zaatakowała niespodziewanie. Lekarz, którego natychmiast wezwano, rozłożył bezradnie ręce. Tłumaczył, że gdyby królowa nie była tak przemęczona, może jej ciało podjęłoby walkę. Teraz należało się już tylko modlić i czekać na cud.

Wielomiesięczne trudy i troski osłabiły królową. Najpierw tragiczna wiadomość o śmierci męża, potem walka o koronę dla syna, która chociaż uwieńczona sukcesem, wcale nie była zakończona. Kiedy więc choroba zaatakowała, wystarczyło kilka godzin i życie uszło z Elżbiety. Osierociła nie tylko trójkę dzieci, które pogrążyły się w najczarniejszej rozpacz, ale także swój lud. Mała Elżbieta szlochała tak mocno i długo, że zaczynało brakować jej tchu. Łapała powietrze w otwarte usta. Wyglądała jak szamocząca się ryba wyciągnięta z wody. Król Władysław, zaledwie dwulatek, beztroski w dziecięcej niewiedzy, z zaciekawieniem przyglądał się starszej siostrze. Największe opanowanie wykazała księżniczka Anna, która przyjęła wiadomość spokojnie i nad wyraz dojrzałe. Płakała, ale nie tak rzewnie jak młodsza siostra. Na początku takie jej zachowanie drażniło Helenę. Uspokoiła się nieco, kiedy przypomniała sobie, że Anna nie była tak mocno związana z matką. W końcu przez lata mieszkała z babką, Barbarą Cylejską, widując królową Elżbietę tylko od święta. Nie odczuła zatem jej utraty tak boleśnie, jak choćby jej młodsza siostra, wiecznie wypatrująca oczy za matką.

Helena wstała powoli, aby nie zbudzić trzymanej w ramionach dziewczynki. Zamiast zanieść ją do komnaty, w której spały pozostałe

dzieci, ułożyła ją w swoim szerokim łożu. Woląta nie spuszczać z niej oka. Pomocnica, która została w dziecięcej komnacie, była młodą, niedoświadczoną dziewczyną i sama miała trudności z opanowaniem emocji i smutku.

Chwilę przyglądała się śpiącej księżniczce. W końcu usiadła przed skryptorium i wyciągnęła przybory do pisania. Cichy szelest wertowanych kart rozniósł się po komnacie niczym szum liści poruszanych lekkim wietrzykiem.

Helena pisała:

„Grube kamienne mury tłumią szloch, który roznosiłby się nieskrępowanie po komnatach i ciemnych korytarzach, jak jęk cierpiącego człowieka. Zamek ucichł. Ludzie, pogrążeni w głębokiej rozpacz, zapomnieli o radosnych świętach Bożego Narodzenia. Przerwano przygotowania. Na wciąż pachnącej lasem choince zawisły raptem dwie kolorowe wstążki.

Na nic zdały się wysiłki królewskiego lekarza, modlitwy ojca Joachima i całego dworu. Na nic zdała się obietnica chorej Elżbiety Luksemburskiej, że wszystko będzie dobrze, którą złożyła swojej córce imienniczce zaledwie dzień przed śmiercią.

Jak wytłumaczyć cierpiącemu i wciąż pytającemu o matkę dziecku, że ona nigdy już do niego nie przemówi, nie uśmiechnie się czule, nie pogłaszczcze po głowie, nie pochwali, nie zgani, kiedy trzeba. Mówię Elżbiecie, że matka patrzy na nią z nieba, a wtedy ona spogląda do góry i wypatruje jej twarzy. Kiedy zaś jej tam nie znajduje, zaczyna płakać rzewnymi łzami. Jej rozdzierający płacz wdziera się w każdy zakamarek mojego umysłu i serca. W końcu, wyczerpana, zasypia, ale śpi niespokojnie i co rusz się budzi, a wtedy wraca do niej potworność tego, co wydarzyło się zaledwie kilka dni temu. Jej drobnym ciałem znów wstrząsa ogromny, niepoohamowany płacz.

Mały król Władysław przygląda się siostrze z dziecięcą troską,

głaszcząc ją pulchną rączką. Pragnie ją uspokoić, bo sam nie zdaje sobie sprawy z tragedii, która ich dotknęła.

Z troską spoglądam na księżniczkę Annę. Widzę w jej oczach ból i strach. Może to niestosowne, ale dziękuję Bogu, że nie cierpi tak strasznie, jak przywiązana do matki Elżbieta. Lata przebywania z dala od rodzinnego domu przyzwyczyły ją do nieobecności królowej. Jest silna. Wydaje się, że ową moc, która pochodzi z wnętrza jej duszy, chce przekazać młodszemu rodzeństwu. Ja także czerpię z tej siły.

Odeszła nie tylko moja królowa, ale i przyjaciółka. Nie poddaję się żalowi, bo winna jestem Jej Wysokości spełnienie obietnicy. Kiedy królowa wiedziała, że nie ma już dla niej ratunku, wymogła na mnie przyrzeczenie, że będę mieć baczenie na jej dzieci. Nie mogę zawieść pokładanych we mnie nadziei, dlatego żyję tak, jakby wstał kolejny zwykły dzień.

Wczoraj z Czech przybył kardynał Piccolomini, bliski przyjaciel dworu i powiernik królowej Elżbiety Luksemburskiej. Podziela on zdanie dworskiego medyka, że przyczyną śmierci Jej Wysokości była zadawniona choroba kobieca oraz biegunka, która nie opuszczała królowej od kilku dni. W zamku szerzy się jednak plotka, że to skutek noszenia sobolowej szuby, którą Elżbieta otrzymała od króla Władysława Jagiellończyka. Trudno w to uwierzyć, żeby królowa została otruta, ale ziarno wątpliwości zostało zasiane w moim sercu i umyśle”

Ręka Heleny zawisała nad kartką papieru. Przyspieszony oddech śpiącej księżniczki Elżbiety sprawił, że odłożyła pióro i podeszła do dziewczynki, której policzki były wilgotne od łez. Wzięła małą w ramiona i nucąc cicho kołysankę, zaczęła ją uspokajać.

*

– Gdyby nie dług, jaki ten kraj powinien spłacić, nie zaprzętałbym sobie głowy sierotami. – Głos Fryderyka III, króla Niemiec, rozniósł się

po sali reprezentacyjnej.

Fryderyk nie miał w zwyczaju odkładać rzeczy na potem, dlatego od razu przywołał przed swoje oblicze królewskiego regenta z Czech Jerzego z Podiebradów oraz węgierską Radę Siedmiu, sprawującą rządy w imieniu małoletniego króla Władysława zwanego Pogrobowcem. Radzie przewodził Jan Jiskra, na którego obliczu wciąż widać było głęboki smutek. Inni też ukradkiem wycierali nosy i osuszali mokre od łez kąciki oczu. Tylko Fryderyk wydawał się niewzruszony.

Szmer niezadowolenia przebiegł po komnacie. Pogrzeb królowej Elżbiety Luksemburskiej odbył się zaledwie dwa dni temu. Zebranych oburzyła surowość słów, które padły z ust stryja osieroconych królewskich dzieci.

– Rozkazałem spakować dobytek króla Władysława oraz jego sióstr, księżniczek Anny i Elżbiety. Jednak nie spotkaliśmy się tu po to, aby roztrząsać moje sprawy rodzinne. Wezwałem was, panowie szlachta, aby poinformować, że jutro opuszczam Alba Regalis. Rzeczy natury politycznej zostaną rozpatrzone niezwłocznie po przybyciu na zamek w Orth. O podjętych decyzjach poinformujemy was przez posłańców. – Nie czekając na reakcję zebranych, Fryderyk III ruszył do wyjścia.

Rudawe włosy spływały mu na ramiona, falując przy każdym ruchu. Długi, haczykowaty nos upodabniał go do orła, a patrzące przenikliwie oczy budziły respekt wśród rozmówców.

Tymczasem w innej części zamku trwała nerwowa krzątanina.

– Jego Wysokość król Fryderyk pragnie się upewnić, że wiecie, iż wyruszamy jutro skoro świt? – Młody mężczyzna, który przybył na dwór w Budzie wraz z niemieckim monarchą, czekał na odpowiedź niani Kottanner.

Helena nadzorowała pakowanie. Dość już nasłuchiwała się o wybuchowym charakterze stryja królewskich dzieci. Wolała nie narażać się na jego gniew, dlatego zagoniła do pracy wszystkich wolnych

służących, jacy znajdowali się na zamku.

– Możecie poinformować Jego Wysokość, że przygotowania idą zgodnie z planem. Będziemy gotowi do drogi wedle rozkazu.

Na wieść o tym w oczach dzieci pojawił się strach. Chociaż nie miały okazji poznać stryja osobiście, dużo się o nim nasłuchały. Służba plotkowała, nie zwracając często uwagi na to, że niepowołane rzeczy dostaną się do książęcych komnat.

– Wezwałem was przed moje oblicze – powiedział Fryderyk do wylęknionych dzieci zaraz po przyjeździe na zamek. Chowały się za suknią Heleny. – Niebawem wyruszyacie w podróż i zamieszkacie na zamku w Orth. Żeby nie trwonić czasu na najmowanie nowych opiekunek, powierzam wam tę rolę – zwrócił się do Heleny. – Słyszeliśmy, że dobrze się sprawujecie. Więc niech tak pozostanie. Im mniej będziecie zaprzętać wszystkich swoją obecnością, tym dla was lepiej. – Mówiąc to, omiótł zebranych surowym wzrokiem.

Patrząc na niego, Helena sama miała ochotę schować się za czyjąś suknią. Król wiedział, że wzbudza w dzieciach lęk, ale nie dbał o to. W jego głosie, oczach, gestach nie było ani krzty ciepła pozwalającego mieć nadzieję, że z czasem Władysław, Anna i Elżbieta znajdą w nim kochającego opiekuna.

Helena oddychała z ulgą na samo wspomnienie tamtej rozmowy. Zamyślona nie zauważyła, że zbliża się do niej Elżbieta. Dziewczynka szarpnęła ją za suknię. Niania spojrzała w brązowe, szeroko otwarte oczy i wykrzywione w płaczkowym grymasie pełne usta księżniczki.

– Nie jedźmy z nim – szepnęła dziewczynka cienkim głosem. – Nie lubię go. Anna i Władysław też nie. Chcemy zostać z tobą, nianiu. – I przywarła do kolan Heleny. Kobieta schyliła się i wzięła Elżbietę na rękę. Księżniczka otuliła jej szyję ciasnym uściskiem. – Nie jedźmy – szepnęła jeszcze raz, wprost do ucha niani.

Gdybym tylko mogła cofnąć czas, pomyślała Helena, mocno

przytulając Elżbietę. Jutro, czy tego chcieli, czy nie, będą musieli ruszyć w drogę. Do obcego, nieznanego miejsca. I liczyć na wspaniałomyślność zimnego, twardego stryja.

*

Od chwili przybycia na zamek w Orth minęły prawie cztery lata. Był maj 1446 roku. Patrząc jednak za okno, miało się wrażenie, że to zaledwie marzec, początek wiosny. Zamkowe mury wciąż były zimne i wilgotne.

Elżbieta obudziła się z lękiem. Na ustach poczuła czyjąś lodowatą dłoń. W komnacie panował mrok. Z ciemności wyłoniła się ludzka twarz. Gdyby nie ręka ciężko spoczywająca na jej wargach, zaczęłaby krzyczeć z całych sił.

– Cicho. To ja. – Dopiero kiedy tuż przy uchu usłyszała głos starszej siostry, odetchnęła z ulgą. – Wstawaj. Nie uwierzysz własnym oczom. – Anna szarpnęła Elżbietę za ramię. – No, chodźże, nie guzdraj się.

– Nigdy się nie guzdam. – Elżbieta była oburzona. – To ty wszystko robisz zbyt szybko, a przez to niedokładnie i dlatego już nieraz wpadłaś w tarapaty. I coś mi się zdaje, że dziś też ich nie unikniesz. Niepotrzebnie wciągasz mnie w swoje nieczne sprawy. – Mimo to Elżbieta odsunęła ciepły pled i sięgnęła po gruby wełniany szal, który zawsze trzymała w nogach łóżka.

Anna pokiwała z rezygnacją głową, ale już się nie odezwała. Znała swoją siostrę na tyle dobrze, aby nie wdawać się z nią w słowne potyczki. Często zastanawiała się, jak to możliwe, że ta dziesięcioletnia dziewczynka potrafi wygłaszać tak dorosłe mowy. Zresztą Elżbieta nie od dziś zachowywała się w ten sposób. Wszystko zaczęło się w dniu, w którym znalazły się na drewnianym moście prowadzącym do zamku w Orth.

Tamtego mroźnego dnia ich oczom ukazał się baśniowy widok.

Na miejsce dotarli o brzasku. Słońce leniwie wyłaniało się zza gór przykrytych grubymi czapami śniegu. Chmury sunęły nisko po niebie. Elżbieta miała wrażenie, że ich ciężkie od śniegu brzuchy, płynąc ponad górami, zahaczają o ostre wierzchołki. Dziewczynka mocno zaciskała rączkę na dłoni Heleny. Większość ludzi znajdujących się w królewskim orszaku wyszła z wozu, aby podziwiać widoki. Panujący od kilku tygodni trzaskający mróz skuł lodem otaczające zamek wody jeziora Trauna. Drewniany most prowadzący do twierdzy, biały od zamarznętego szronu, wyglądał na kruchy. Deski trzeszczały pod kołami ciężkiego wozu podróznego oraz wozów przewożących dobytek nowych mieszkańców. Woźnice patrzyli na niego z niepokojem. Konstrukcja jednak wytrzymała. Zamkowa służba już wcześniej przygotowała pokoje dla podróżnych. Wyczerpani po wielodniowej przeprawie z wdzięcznością rozlokowali się w przydzielonych im komnatach.

Elżbieta, położywszy się wtedy do tego samego łóża, z którego teraz wyrwała ją siostra, zasnęła, marząc o ciepłym i kochającym domu. Zanim zapadła w sen, pomodliła się gorliwie. Prosiła Boga i Najświętszą Panienkę, aby otworzyli serce stryja i natchnęli je miłością do niej i rodzeństwa.

Od tamtego czasu modliła się o to co wieczór, ale na razie jej prośby nie zostały wysłuchane.

Na odgłos głośnego sapnięcia wyrażającego niezadowolenie zerknęła na siostrę. Wzruszyła ramionami, lekceważąc zirytowaną Annę, ale szybciej wsunęła stopy w skórzane buty sięgające nieco powyżej kostki i ruszyła za nią. Chciało jej się spać. Lubiła spać, bo nie czuła wtedy głodu, a głodna była często, ponieważ jedzenie na zamku w Orth było marne i w małych ilościach. Helena wiele razy słała listy do stryja Fryderyka, ale za każdym razem otrzymywała tę samą odpowiedź, że bezproduktywni dłużnicy, choćby byli jego najbliższą rodziną, muszą

zadowolić się tym, co i tak łaskawie im ofiaruje.

W brzuchu Elżbiety rozległo się teraz burczenie. Dziewczynka miała wrażenie, że jest tak głośne, iż rozbudzi uspiony zamek. Anna szła kilka kroków przed nią, niosąc w dłoni świecę, która migoczącym płomieniem rozświetlała mroczne krużganki. Elżbieta ciasniej owinęła się szalem, chroniąc się przed hulającym wszędzie zimnym wiatrem. Majowe ranki wciąż były chłodne, a nierzadko zdarzały się przymrozki. Ciepło było tylko w kilku komnatach.

– Nawet duchy przodków nie chcą tu straszyć. Zmorzył je wieczny głód i zimowe chłody. Nie mają siły snuć się po komnatach i ciągnąć za sobą łańcuchów. O jęczeniu nie może być mowy – marudziła Elżbieta. Zerknęła na siostrę, która pokręciła głową z dezaprobatą.

Stryj Fryderyk oszczędzał nie tylko na jedzeniu, ale także na opale, świecach, ubraniach, zabawkach i wielu innych rzeczach. Tylko na nauce nie oszczędzał. I chociaż Elżbieta nie darzyła stryja najmniejszą sympatią, za możliwość pogłębiania wiedzy oraz nauki języków obcych była mu dozgonnie wdzięczna. W przeciwieństwie do Anny, która nie cierpiała wielogodzinnych lekcji i unikała ich pod byle pretekstem.

– Nie znoszę, kiedy nauczyciel patrzy na mnie karcąco i czeka, aż powtórzę jakąś łacińską sentencję. Mam kłopot, żeby je wymówić, a co dopiero zapamiętać. Ileż razy mam mu tłumaczyć, że to za trudne. Może bym się w końcu przekonała do łaciny, ale na tym nie koniec. Francuski jest jeszcze gorszy. – Anna narzekała przy każdej okazji, szukając zrozumienia w oczach Elżbiety. – Chciałabym grać na lutni albo gitarze. Spójrz. – Wyciągnęła rękę w stronę siostry, pochylonej nad zapisanym drobnym maczkiem tekstem. – Otrzymałam to w darze od naszej babki, świeć Panie nad jej grzeszną duszą. To słowa, które spłynęły spod pióra Oswalda von Wolkensteina. Och, nie rób takiej miny, jakbyś nigdy o nim nie słyszała. Niegdyś wszyscy o nim rozmawiali i z radością nucili jego pieśni – minnesangi. – Potrząsnęła

tekstem. – Są pełne uczucia. Przepętnione tęsknotą i marzeniami. Mieszkał przez jakiś czas na dworze naszego dziadka Zygmunta Luksemburskiego i pisał je dla naszej babki, Barbary. O niczym innym nie marzę, jak o tym, żeby je zagrać i zaśpiewać. – Anna westchnęła. Nie zauważyła, że Elżbieta wzruszyła tylko ramionami, nie podnosząc głowy znad zapisków.

Dziś Elżbieta znowu dała się namówić siostrze na popełnienie głupstwa. Spacer zimnymi, głuchymi korytarzami strasznie jej się dłużył. Anna przystanęła i poczekała, aż Elżbieta się z nią zrówna. Wzięła ją pod ramię i przyciągnęła do siebie. Była od niej o głowę wyższa, dlatego kiedy zaczęła szeptać, musiała się mocno nachylić.

– Już prawie jesteśmy. Odkryłam to kilka dni temu, kiedy dołączył do nas nasz kuzyn, Zygmunt, hrabia Tyrolu. Wyszeptał wczoraj, że wcale nie jest gościem, lecz więźniem. Robił przy tym śmieszne miny, które miały pewnie wywołać moje współczucie. Ja zaś, zamiast go żałować, miałam ochotę się roześmiać. Stryj Fryderyk powinien wynająć go jako błazna. Na koniec dodał, że jego niedola niebawem się skończy, bo stany Tyrolu szykują się do walki – dodała, uśmiechając się szeroko. – O, tu! – Anna zatrzymała się nagle przed jedną z komnat. W tej części zamku Elżbieta była zaledwie dwa, może trzy razy. – Jesteśmy na miejscu. Wstrzymaj oddech, bo czegoś podobnego nie widziałas. – Pchnęła ciężkie drewniane drzwi, które otworzyły się powoli i z piskiem. Weszła pierwsza i pociągnęła za sobą Elżbietę. Podeszła do najbliższej ściany, żeby zapalić świecę znajdującą się w wiszącej tam meluzynie. Przyścienne świeczniki znajdowały się także w dwóch innych miejscach. Kiedy światło zapłonęło jasnym płomieniem, oczom Elżbiety ukazały się stosy wytwornych ubrań porozkładanych na drewnianych ławach i kilku skrzyniach. Były tam suknie różnego koloru, giezła, ubiory wierzchnie, płaszcze podbijane futrem, damskie kapturki, nogawiczki, kilka par skórzanych trzewików.

– A cóż to takiego? – Elżbieta patrzyła na wszystko szeroko otwartymi oczami.

– Mój posag, głuptasie! – Anna zakręciła się z szeroko rozwartymi ramionami. Siostra nigdy nie widziała jej tak szczęśliwej. Długie, gęste jasne włosy Anny falowały, jakby unosił je niewidoczny wiatr. Nagle zamarła w bezruchu, a potem podbiegła do Elżbiety i pociągnęła ją w stronę ubrań.

– Nie stój jak słupek soli – mówiła podekscytowana. – Spójrz tylko! – Podniosła jedną z sukien i przyłożyła do piersi, aby Elżbieta mogła zobaczyć ją w całej okazałości.

Była to luźna suknia wierzchnia. Miała dopasowane długie rękawy, które sięgały połowy dłoni. Dekolt z przodu wycięto w kształcie litery V, z tyłu zaś lekko go zaokrąglono, odsłaniając skromnie skrawek szyi. Anna sięgnęła po leżący obok sukni pas z ozdobną klamrą.

– Pas jest nieodzowny. Spina się go, o tu, pod biustem. – Sięgnęła ręką w miejscu, gdzie miał się znajdować. – Widzisz, wtedy kibić staje się smukła niczym wrzeciono. – I znowu zatańczyła, trzymając bok sukni tak, że materiał wirował razem z nią.

Wełnę, z której uszyto suknię, zabarwiono na ciemnoniebieski odcień, wspaniale podkreślający kolor oczu Anny. Tren, dekolty i dolna część rękawów obszyte były tkaniną w nieco jaśniejszym odcieniu. Na skrzyniach leżało jeszcze kilka podobnych sukien. Dwie z nich wykonano z bardzo dobrego materiału, a do obszyć użyto futra. Elżbieta podeszła bliżej i zanurzyła rękę w poukładanych jedno na drugim ubraniach. Wyciągnęła ze stosu gieżło. Dzięki klinom biegnącym od talii w dół dopasowywało się ono do sylwetki. Było mocno wydekoltowane, a rękawy ciasno opinały ręce.

Wśród ubrań Elżbieta zauważyła też kilka sukien przeznaczonych do użytku domowego. Ciasno przylegających u góry, a poszerzanych od pasa w dół. Wiązanych z przodu, z krótkimi rękawami.

Anna sięgnęła po fałdowany płaszcz z otwartymi rękawami, który zakładało się przez głowę. Pod szyją przyszyto osiem ozdobnych guzików. Wełniane nakrycie podbito miękkim futrem.

– Oczom własnym nie wierzę. – Anna wskazała ręką na kosztowne ubrania. – I jeszcze to! – Podeszła do małej szkatułki.

W środku leżały srebrne brosze, dwa sznury pereł, jeden dłuższy, drugi nieco krótszy, ale za to z dorodniejszymi perłami.

– Po tych wszystkich latach, kiedy stryj odmawiał rzeczy tak błahych, jak drewno na opał; kiedy twierdził, że nie żywi się darmozjadów, i dlatego wciąż chodziliśmy głodni – lekką ręką wydał majątek na moje wiano. – Jakby na potwierdzenie tych słów siostrom zaburczało w brzuchach. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. A może te piękne rzeczy nie są dla mnie? Może to tylko sen, z którego przyjdzie mi się zbudzić. – Anna wpatrywała się w Elżbietę. – Dlaczego milczysz? Nie cieszysz się moim szczęściem?

– Nie.

Ta krótka odpowiedź tak bardzo zaskoczyła Annę, że aż się cofnęła. Już chciała coś powiedzieć, ale Elżbieta ją uprzedziła.

– Jakże mam się cieszyć, skoro niebawem mnie opuścisz. Kto ze mną zostanie? Helena od dawna nie domaga. Jej dzieci już nas opuściły. Tylko ty mi zostałeś. Zapomniałam o ślubie, bo zrzękowiny odbyły się tak dawno, że nie sposób o nich pamiętać. Gdyby te stroje były tylko zwykłym prezentem, a nie posagiem panny na wydaniu, wtedy cieszyłabym się równie mocno jak ty. Ale, wybacz, nie podzielam twej radości, skoro za kilka tygodni będę żegnać bliską memu sercu osobę. Co ja pocznę? – Elżbieta ukryła twarz w dłoniach i zaczęła cicho płakać.

Patrząc na skuloną postać siostry, Anna zobaczyła w niej małe, osamotnione dziecko. Podeszła do Elżbiety i otoczyła ją ramieniem. Radość, która jeszcze przed chwilą skrzyła się w jej oczach, zgasła. Smutek Elżbiety udzielił się także Annie. Księżniczka zdała sobie

sprawę, że nie pamięta twarzy chłopca, z którym ją zaręczono, gdy miała niespełna siedem lat. Jedyne, co zapamiętała z tamtego spotkania, to ulga, którą odczuła na widok narzeczonego. Patrzyła bowiem nie na starca, ale na młodzieńca, nieco od niej starszego. Była wdzięczna stryjowi, że nie zamierzał oddać jej ręki pierwszemu lepszemu kandydatowi. Widać modlitwy poskutkowały. Gdy dowiedziała się, że zostanie zaręczona, gorliwie prosiła Boga, żeby przyszły mąż był jak najmłodszy. Panicznie bała się, że stryj każe jej poślubić jakiegoś obrzydliwego, ale bogatego i wpływowego starucha.

Wróciła myślami do komnaty i uspokajająco pogładziła Elżbietę po plecach.

– Wierz mi, mnie też nie jest łatwo. Nie pamiętam twarzy mego narzeczonego. Nieraz próbuję go sobie przypomnieć, ale widzę tylko zamazany punkt. Boję się tak samo jak ty. Nie wiem, co lepsze: opuścić zamek, niezbyt przyjazny, ale znany, czy wyruszyć w nieznane i mieć nadzieję, że będzie lepiej. Te stroje były pocieszeniem. – Siostra mówiła szeptem. Chwilę milczały, aż w końcu Anna roześmiała się głośno, żeby rozładować napięcie. – Po prawdzie to i lepiej, bo lubię niespodzianki. A wiesz, że ostatnimi czasy doszły mnie słuchy, że nazywają go Mężnym. Ponoć jest odważny i waleczny. Niania kilka dni temu otrzymała list od stryja, w którym pisał, że Wilhelm toczy wojnę ze swoim bratem Fryderykiem, którego dla odmiany nazywają Łagodnym. Stryj jest oburzony, ponieważ kilka miesięcy wcześniej bracia zwrócili się do niego jako do króla, aby ogłosił podział spadku i go zatwierdził. A tu raptem walka rozgorzała na nowo. Stryj wysłał swoich ludzi do Wilhelma. Najwyraźniej słowa króla musiały być gorzkie, bo ów czym prędzej stawiał się u niego i solennie przyrzekł, że spory z bratem nie przeszkodzą mu w wypełnieniu zobowiązań. Innymi słowy, ślub się odbędzie.

– A zatem w czerwcu będziesz już mężatką, a ja zostanę tu sama... –

Słowa uwięzły jej w gardle. Usta wykrzywiły się w podkówkę i ponownie wybuchnęła płaczem.

– Nie pleć, głuptasie. – Anna odsunęła siostrę na odległość ramion. Lekko uniosła jej głowę i zmusiła, aby na nią spojrzała. – Nie zamartwiaj się na zapas. Niania zawsze będzie stała u twego boku, nawet jeżeli niedomaga. A kiedy będziesz chciała się pobawić, jest tu dzieci bez liku. – Wybuchnęła śmiechem. Nie zauważyła grymasu niezadowolenia, który przemknął po twarzy Elżbiety.

– Wiedziałam, że nie warto z tobą rozmawiać poważnie! Zawsze stroisz sobie żarty. Bawią cię mój żal i niepokój. No, podworuj sobie jeszcze! – Księżniczka przestała płakać. Jej twarz znowu była poważna i surowa. Także głos stał się grubszy i mocniejszy. – Jak w ogóle możesz myśleć, że mogłabym się bawić z dziećmi służby. Ja, księżniczka, córka królowej, wnuczka cesarza, siostra króla, skoligacona z najznamienitszymi wśród znamienitych! Nie wiem, kogo bardziej obrażasz, mnie czy naszych przodków. – Na jej policzki wystąpiły czerwone rumieńce, a ręce zaczęły nerwowo drżeć. Widząc, że Anna chce coś powiedzieć, podniosła dłoń, uciszając ją władczo. – Wracajmy, nim powiesz jeszcze coś głupszego. Tego się po tobie nie spodziewałam, chociaż od dawna wiem, że czasami rozumem nie grzeszysz. – Skierowała się w stronę drzwi, zostawiając zaskoczoną Annę w tyle. – Chodźże. Lada moment cały zamek będzie na nogach i ktoś nas tu jeszcze nakryje! – Ton jej głosu świadczył, że nie zniesie żadnego sprzeciwu.

Anna kiwnęła głową i podeszła do ściennych świeczników, żeby pogasić palące się świece. Była od Elżbiety o cztery lata starsza, ale już dawno rozumiała, że to nie ona, lecz jej młodsza siostra przewodzi rodzinie. Ukradkiem spoglądała na idącą obok Elżbietę. Patrząc na nią, malutką, opatuloną ciasno grubym szalem, trudno było odgadnąć, jaka drzemie w niej siła. Jej niewinność, kruchość były tylko pozorne. Elżbieta była mądra, bystra i świadoma swojego wysokiego urodzenia.

Już jako zaledwie pięcioletnia dziewczynka nie pozwalała na zbyt poufałe zachowanie wobec siebie i rodzeństwa niektórym szlachcom i dostojnikom. Potrafiła wzrokiem przywołać do porządku znacznie starszych od siebie. Ostro napomniała nawet Helenę, dając jej któregoś dnia do zrozumienia, że nie powinna zbyt się spoufać. Dla osłody zapewniła nianię, że kocha ją całym sercem. Zaraz jednak dodała, że chociaż zawsze będzie jej wdzięczna za okazaną troskę oraz matczyną miłość, Helena nie powinna zapominać, że dzieli je urodzenie. Tamten incydent na zawsze zapisał się w pamięci Anny. Mina Heleny sprawiła, że pragnęła utulić ją w ramionach, by zatrzeć przykre wrażenie po ostrych słowach Elżbiety. Niania skłoniła się księżniczkom i prosząc o pozwolenie, opuściła ich komnatę. Kiedy wróciła po kilku minutach, oczy miała zaczerwienione, ale zachowywała się jak zawsze. Była troskliwa i czuła.

*

Liście drzew były nasycone zielenią. Wysoki kamienny most, prowadzący do zamku Osterstein w Gerze, skrywał się pośród starych, wielowiekowych drzew o pniach tak grubych, że aby objąć pień, trzeba było kilku mężczyzn trzymających się za ręce. Wczoraj po wieczery Wilhelm II, landgraf Turyngii, dał służbie wolny dzień. Zebrani w głównej zamkowej komnacie spoglądali na siebie zdziwieni.

– Kiedy zbudzę się rano, w zamku ma panować cisza jak makiem zasiał. Mam nadzieję nie oglądać waszych gąb. Zamek ma być pusty. Jeżeli kogoś zobaczę – pożałujecie wszyscy! – Wilhelm huknął na struchlałą służbę.

Ci, którzy pracowali na zamku od kilku dekad, nigdy nie byli świadkami czegoś podobnego. Nikt jednak nie zamierzał się ociągać z wykonaniem rozkazu, zwłaszcza że 5 czerwca przypadało wspomnienie Świętego Bonifacego. Z tej okazji na głównym rynku organizowano

jarmark, na który ściągali mieszkańcy Gery i okolicznych wiosek. Wieczorem, jeżeli pogoda dopisywała, młodzi ludzie zbierali się nad rzeką Białą Elsterą, gdzie mogli poflirtować.

Następnego dnia zamek Osterstein był pusty. Służba wymknęła się z niego o świcie, zostawiając w kuchni przygotowane potrawy. Kucharze i ich pomocnicy znali wilczy apetyt landgrafa, dlatego woleli dmuchać na zimne i zostawić mu coś na ząb.

Wilhelm przeciągnął się w szerokim łożu. Dobrze, że pogoda znacznie się poprawiła. Od dobrych kilkunastu dni świeciło słońce, którego promienie zdążyły ogrzać zimne kamienne mury. Dzięki temu nie musiał rozniecać ognia w kominku. Poleżał jeszcze chwilę, a potem zerwał się na równe nogi. Nagi podszedł do miski, która stała koło małego okienka, żeby przemyć twarz zimną wodą. Przeciągnął się i ziewnął szeroko, ukazując braki w uzębieniu. Zaburczało mu w brzuchu. Sięgnął po leżącą na łożu krótką koszulę z rozcięciami po bokach i dwiema sznurówkami z przodu przy dekolcie oraz po gacie, które sięgały mu do połowy łydki. Schylił się, żeby zawiązać dyndające troczki. Stopy wsunął w skórzane trzewiki z okrągłymi noskami. Skierował się w stronę kuchni. Zerknął na słońce. Było jeszcze wczesnie. Gościa, którego wyglądał z niecierpliwością, spodziewał się najwcześniej za trzy godziny. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, co go czeka. Gdzieś w oddali odezwał się kogut. Cisza panująca na zamku sprawiła, że wszystkie inne odgłosy wydawały mu się kilka razy donośniejsze: miauczenie kota, rżenie koni i muczenie krów.

Wszedł do kuchni. Na wielkim stole o grubym blacie ustawiono kilka wielkich talerzy. Na jednym z nich zauważył spory kawał pieczonego prosiaka. Ślinka napłynęła mu do ust. Na innym leżało kilka sztukfiszki. Nie przepadał za tak przyrządzonym dorszem, ale że był łakomczuchem, nie wybrzydzał. Zauważył owoce, deskę z serami, na której położono też kilka małych, surowych obranych cebul. Tuż obok mięsa leżał, przykryty

lnianym kawałkiem materiału, bochen świeżego chrupiącego chleba. Po drugiej stronie ustawiono dwa dzbany. W jednym było piwo, w drugim maślanka. Przyjęło się, że dorośli nie pili mleka, ale on lubił je od dziecka i nie zamierzał stosować się do dziwnego zwyczaju zabraniającego mu spożywania ulubionego napoju tylko dlatego, że kilka lat temu stał się mężczyzną. Usiadł na drewnianym niewygodnym zydłu, bo tylko taki znalazł w kuchni, i zaczął jeść. Oderwał spory kawał mięsiwa i chleba i zaczął żuć z uśmiechem na ustach. Przełknął i oblizał zatłuszczone wargi. Mlasnął głośno, delektując się doskonałym smakiem. Popił piwem. Odsapnął. Wciąż czuł głód. Sięgnął po nadzianego na patyk suszonego dorsza. Potem po jabłko i wreszcie po spory kawał żółtego sera. Na koniec popił wszystko łąpczywie gęstą maślanką, tak że spływała mu po brodzie i plamiła koszulę. Beknął głośno. Czuł się syty i śpiący. Ale na sen nie było już czasu. Gość mógł zjawić się lada chwila. Postanowił więc udać się na zamkowy dziedziniec, aby sprawdzić, czy nie zbliża się kamiennym mostem. Wychodząc mu naprzeciw, to bekał, to puszczał bąki.

Stał na moście dłuższą chwilę. Powoli zaczynał tracić cierpliwość. Wreszcie usłyszał tętent kopyt. Co sił w nogach pognął do zamku. Stanął w sieni, ale tak, żeby nie było go widać z zewnątrz. W końcu jego oczom ukazała się amazonka. Rozglądała się dookoła, szukając służby. Odczekała jakiś czas, a kiedy nikt do niej nie podszedł, krzyknęła głośno z niezadowoleniem.

– Długo mam czekać?! Gdzie stajenny?!

Wilhelm uśmiechnął się szeroko. Stał wciąż w sieni. Chciał się z nią nieco podroczyć.

– Pani! – Wyszedł nareszcie, rozkładając w powitalnym geście ramiona. – Nikt nie przyjdzie. Zostaliśmy sami. Pozwól, że wezmę konia i zaprowadzę do stajni. Zechcesz mi towarzyszyć? – spytał, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

Katarzyna von Brandenstein pozwoliła sobie pomóc przy zsiadaniu. Odrzuciła kaptur, który miała głęboko nasunięty na głowę. Niedbale rzuciła Wilhelmowi lejce. Złapał je sprawnie i pociągnął rumaka w stronę stajni. Katarzyna ruszyła za nim bez słowa. Na progu zatrzymała się, żeby przyzwyczać wzrok do ciemności. Wilhelm zdążył już uwiązać jej wierzchowca.

Pociągnął ją gwałtownie do środka, nie bacząc na jej niezbyt przekonujące protesty, i popchnął na przeciwległą ścianę. Uderzyła w nią mocno. Aż syknęła z bólu, ale nie miała czasu, żeby zaprotestować, bo zamknął jej usta brutalnym pocałunkiem. Nie bawił się w romantyczne umizgi. Podciągnął suknię wysoko, sunąc szorstką dłoń po jej udach. Odruchowo zacisnęła nogi, ale wdarł się pomiędzy nie. Zmusił ją, żeby stanęła w rozkroku. Jego dłoń znalazła się nagle na jej kobiecości. Wsunął w nią środkowy palec, przesuwając nim w górę i w dół kilka razy. Katarzyna podniecona zaczęła szukać jego męskości.

– Już – wysapała mu do ucha.

Nie zamierzał spełniać jej prośby. Chciał się zabawić.

Odrzuciła głowę do tyłu, uśmiechając się lubieżnie. Podobało jej się to, co z nią robił.

– Jeszcze. Mocniej! – wykrzyknęła.

Był gotowy. Jednym szybkim ruchem ściągnął gacie w dół, odwrócił Katarzynę plecami do siebie, kazał jej się pochylić i wypiąć pośladki. Oblizwał wargi na ten widok. Wszedł w nią, mocno i głęboko. Posuwał się szybko. W stajni było słychać tylko ich sapanie i rytmiczne plaśnięcia obijających się o siebie ciał. W końcu krzyknął i wyprężył się mocno.

– Jesteś, pani, cudowna – szepnął do ucha dyszącej Katarzyny. – Nie smuć się, to dopiero początek. – Gacie, które opadły mu do łydek, gdzie przytrzymały je troczki, podciągnął niedbale, tak że jego

przyrodzenie dyndało na wierzchu. – Przypatrz się dobrze. – Wskazał na oklapnięty członek. Katarzyna podążyła za jego wzrokiem. – Zaraz będzie znowu gotowy, a ty? – Nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją za rękę w stronę zamkowej wieży, w której znajdowała się jego komnata. Biegli po schodach. W izbie pospiesznie ściągnął z niej przyodziewek. Nagą rzucił na łożo. Szeroko rozwarł jej nogi i schylił się ku niej. Mlasnął językiem, smakując jej wnętrze.

– Wiesz, co lubię, prawda? – odezwał się spomiędzy jej nóg.

O tak, wiedziała doskonale. W końcu spotkali się nie pierwszy raz. Lubił ją spoconą. To wzmagало jego podniecenie, a ona lubiła, kiedy był natarczywy, niecierpliwy, nawet brutalny.

Tymczasem język Wilhelma dokonywał cudów. Żeby wzmocnić doznania, wsunął w nią palec i poruszał dookoła. Jeszcze chwila i doczeka się spełnienia. Katarzyna zaczęła drżeć. Odsunął twarz od jej kobiecości, ale palec wciąż trzymał w jej wnętrzu, obracając dookoła. Robił to tak długo, aż Katarzyna zaczęła krzyczeć. Dyszała ciężko. On też. Spojrzał na swoje wezbrane przyrodzenie. Teraz ona powinna mu się zrewanżować. Nie musiał jej prosić. Przewróciła się na brzuch i złapała jego członek do ręki. Oblizwała wargi i wzięła go do buzi. Nie była pierwszą dziewczyną, która w ten sposób dawała mu rozkosz, ale tylko ona dawała mu rozkosz najpiękniejszą. Wystarczyło kilka ruchów jej malutkiego języczka, żeby eksplodował. Było mu niewiarygodnie dobrze. Trzęsły mu się nogi. Katarzyna odsunęła się na bok, robiąc mu miejsce na łożku.

– Tylko się nie rozleniwiaj – powiedział, kiedy położyła mu głowę na piersi.

– Dlaczego odesłałeś służbę? – Do tej pory spotykali się u niej. Dziś po raz pierwszy przyjechała na zamek Osterstein. Nie przypuszczała jednak, że zastanie tu tylko Wilhelma.

– Służba ma długie uszy i szybkie języki. A jak wiesz, za niecałe trzy

tygodnie mam poślubić Annę, córkę Elżbiety Luksemburskiej. Jej stryj, król Fryderyk, nie byłby zachwycony naszymi spotkaniami. Chociaż sam nie stroni od kobiet, pragnie, aby przyszły mąż jego podopiecznej chociaż do czasu zaślubin zachował pozory. Wolę nie wystawiać się na jego gniew, zwłaszcza że zatarg między mną a bratem nie spodobał się królowi tak bardzo, że wezwał mnie do siebie i jasno dał do zrozumienia, iż nie może być mowy o przesunięciu ślubu. Dlatego pragnę spokojnie doczekać zaślubin. Poza tym król obiecał niezły posag, a wieść niesie, że to sknera. Wybacz więc, moja droga, że nie będę narażał się na utratę złota i wpływów na królewskim dworze dla krótkiej, chociaż niezrównanej rozkoszy.

Katarzyna nie odpowiedziała, ale jej mina mówiła sama za siebie. Poczuła się urażona. Żeby ją udobruchać i namówić na dalsze igraszki, położył ją wygodnie na łóżku, a sam zanurkował pod pled, którym się okryli. Katarzyna jęknęła zadowolona. Wystarczyła chwila, aby zapomniała o szorstkich słowach kochanka.

*

Wielkanoc 1449 roku była radosna, a wszystko z powodu wieści, jakie dotarły do zamku w Orth w Wielki Piątek w południe.

– Wieści! – Helena podeszła do siedzącej w wygodnym głębokim fotelu Elżbiety. Robótka ręczna, nad którą księżniczka pracowała przez ostatnie dni, leżała w koszu tuż obok jej nóg. Zgodnie z tradycją tego dnia trzeba było odłożyć wszystkie rzeczy, które mogły przywodzić na myśl przedmioty użyte podczas Męki Pańskiej. – Właśnie doręczono mi list od księżniczki Anny. Przeczytać?

– Czytaj, Heleno, ależ czytaj! – wykrzyknęła uradowana Elżbieta, czym prędzej odkładając Pismo Święte. Miała zamiar poczytać o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa, ale nowiny od siostry były znacznie ważniejsze.

– „Kochana Elżbieto – zaczęła Helena – mam szczerą nadzieję, że mój list zastanie Cię w zdrowiu. Naszą kochaną nianię także. – Helena uśmiechnęła się, mile połączona, że księżniczka nie zapomniała o niej wspomnieć. Odchrząknęła, aby ukryć wzruszenie, które załamywało jej głos, a potem zaczęła czytać dalej. – Zostałaś ciotką, a mam nadzieję, że także matką chrzestną mojego maleństwa. Tak, moje drogie, niedawno zostałam matką. Poród był długi i ciężki, ale radość, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam moją córeczkę, była najwspanialszym uczuciem, jakie było mi dane przeżyć. Teraz powoli dochodzę do siebie. Dziewczynka, której daliśmy na imię Małgorzata, jest pełna życia, duża i pulchna. Ma grubiotkie paluszki, którymi chce łapać moje palce, ale jest jeszcze zbyt mała, aby je pochwycić. Je łapczywie i chętnie. Nie jest dzieckiem płacziwym. Śpi spokojnie, a kiedy się budzi, leży cichutko w kołysce, zadowolona, że niania buja ją delikatnie, nucąc przy tym kołysanki. Mój mąż jest zawiedziony. Od kiedy powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka, powtarzał, że urodzi się syn. Jest mi smutno, że tak bardzo go rozczarowałam. Chcę jak najszybciej wrócić do pełni sił, aby spróbować obdarzyć go upragnionym dziedzicem. Modlę się, żeby następnym razem się udało. Nie chciałabym ponownie patrzeć na jego zawiedzione, ale i rozeźlone oczy. Od dnia narodzin Małgorzaty wciąż nas unika. Martwi mnie jego obojętność względem naszej malutkiej dziewczynki. Damy z mojego fraucymeru ciągle mnie pocieszają, tłumacząc, że to normalne. Że każdy mężczyzna marzy o chłopcu, a panowie szlachta, tacy jak Wilhelm, wypatrują ich całym sercem. Córka hrabiego von Brandensteina, Katarzyna, z którą się zaprzyjaźniłam, stała się dla mnie w tych ciężkich chwilach największą podporą. Jest do mnie bardzo przywiązana. Sama zaproponowała, że poprosi Wilhelma, aby odwiedził nas któregoś wieczoru. Kiedy musiałam Cię opuścić, myślałam, że nie znajdę bratniej duszy. Że już zawsze będzie mi brakować siostry, ale Katarzyna wypełniła tę pustkę. Chociaż trochę

zastępuje mi Ciebie i naszego brata Władysława. Kończę. Pisanie bardzo mnie zmęczyło. Zrobiłam się senna. Mimo że nie karmię Małgorzaty sama, bo robi to mamka, ale lubię być przy niej podczas posiłków. Zostańcie zatem wszyscy w zdrowiu. Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy. Twoja oddana Anna” – Helena zwinęła list i głośno westchnęła. Na jej twarzy pojawił się grymas zmartwienia. Nie umknął on uwagi Elżbiety.

– Czy coś cię martwi, nianiu? – Księżniczka przesunęła się na fotelu, robiąc miejsce koło siebie. Kiedy Helena wygodnie się usadowiła, dziewczynka położyła głowę na jej ramieniu i zamknęła oczy.

Od dnia, kiedy jako małe dziecko skarciła Helenę Kottanner za zbyt poufale zachowanie, minęło sporo czasu. Od tego momentu Elżbieta zmieniła swoje nastawienie, ale tylko wobec niani, która stała się dla niej najbliższą osobą: opiekunką, przyjaciółką, powiernicą.

– Cóż, doszły mnie wieści, że twoja siostra nie jest szczęśliwa na zamku swego małżonka. Nie da się tego wyczytać z jej listów, ale to pewnie dlatego, że Wilhelm kontroluje korespondencję, zanim pozwoli ją przesłać. Wiem z dobrego źródła, że Katarzyna von Brandenstein, o której księżniczka Anna pisze z takim zachwytem, z pewnością nie jest jej przyjaciółką. To tylko pozory. Już przed ślubem Anny z Wilhelmem ludzie plotkowali, że tych dwoje ma romans. Ponoć często spotykali się na zamku ojca Katarzyny, pod nosem hrabiego. Mówiono nawet, że kilka tygodni przed zaślubinami Wilhelm odprawił ze swojego zamku służbę, żeby cały dzień dokazywać z Katarzyną. To nie plotki. Jeden z pomocników kucharzy wrócił do zamku wcześniej i widział swego pana baraszkującego w stajni z panną von Brandenstein, która szykowałą się już do odjazdu. Widać i po ślubie Wilhelm chce korzystać z jej wdzięków, skoro znalazła się we fraucymerze księżniczki Anny. – Helena pokiwała głową i ponownie westchnęła. Nie mogły nic zrobić.

Zresztą Anna nie była ani pierwszą, ani ostatnią kobietą, którą mąż

narażał na zniewagę, trzymając swoją kochankę przy boku żony. Niania zerknęła z ukosa na Elżbietę, która siedziała cicho, nad czymś rozmyślając. Oby chociaż tobie się udało, moja kruszynko, pomyślała i od razu zmówiła pacierz.

Siedziały w milczeniu, przyglądając się, jak sługa roznieca ogień w kominku. Promienie słońca, które ogrzewały komnatę za dnia, schowały się za horyzontem i w izbie zrobiło się nieprzyjemnie chłodno.

– Michale! – Elżbieta wyprostowała się nagle na fotelu, przywołując sługę do siebie. – Co ci się stało? Jeszcze wczoraj nie utykałeś. – Zwykle nie interesowała się ludźmi pracującymi na zamku, ponieważ traktowała ich jak wyposażenie komnat, ale kiedy któryś chorował lub miał wypadek, chciała wiedzieć, jak do tego doszło.

– Wasza Książęca Mość, proszę się nie martwić. – Michał ukłonił się nisko. – To nic takiego. Moi przodkowie pochodzili z Norwegii i jeszcze jako dziecko nauczono mnie, że w Wielki Piątek należy nie tylko ciężko pracować, lecz także cierpieć jak nasz Pan, Jezus Chrystus. Dlatego zaraz po przebudzeniu wkładam najgorsze ubranie, a do butów – małe kamienie. Chodzę tak cały dzień, pod wieczór od ran nie czuję stóp, ale nie narzekam, bo moje maleńkie rany są niczym w porównaniu z cierpieniem Pana Naszego. – Michał spuścił głowę, czekając na reakcję księżniczki.

Elżbieta zerknęła na Helenę, która wzruszyła tylko ramionami. Słyszała o wielu różnych tradycjach, więc nic jej nie dziwiło.

– Opatrz rany – rozkazała Elżbieta. – Nic nie może przeszkadzać ci w wykonywaniu obowiązków. I mam nadzieję, że w przyszłym roku obejdzie się bez kamieni w butach. Jeszcze tego brakowało, żebyś rozchorował się na dobre i z powodu przesądów zaniedbywał swoją pracę. Nie za leżenie w łózkach was utrzymuję. A teraz odejść. – Skinęła w kierunku drzwi, odprowadzając Michała.

Mężczyzna ukłonił się jeszcze raz i wyszedł, kuśtykając.

*

Czas płynie tak szybko, pomyślała Elżbieta. Dopiero co były święta Bożego Narodzenia, a tu już lato. W lipcu 1450 roku do Orth przyszedł list od stryja Fryderyka, który wzywał wszystkich do twierdzy Kreuzenstein, nieopodal Wiednia, dlatego bez zbędnego ociągania przygotowano wyprawę. Część drogi zamierzano przebyć rzeką, dalej wozami.

Mieszkańcy Orth siedzieli teraz na pokładzie niewielkiego płaskodennego statku, którego dębowo-sosnowy pokład trzeszczał niemiłosiernie. Płynęli mozolnie po ciemnozielonym, spokojnym Dunaju. Powietrze falowało od gorąca. Nawet bliskość wody nie dawała odprężenia. Elżbieta podniosła rękę do zroszonego potem czoła. Wyciągnęła chustkę, zamoczyła ją w wodzie i przetarła lśniąca od potu twarz. Zerknęła za siebie. Helena miała zamknięte oczy. Rozejrzała się po pokładzie. Upał dawał się ludziom we znaki. Służba, którą zabrali z zamku, siedziała na pokładzie, wachlując się czym popadnie. Księżniczka jeszcze raz spojrzała przez ramię i zerknęła na Władysława, który schronił się w postawionym naprędce namiocie. Chłopiec źle znosił upał. Oddychał ciężko i łapczywie chwycił powietrze. Siedząca obok niego dama wachlowała mu twarz. Władysław miał zamknięte oczy. Elżbieta przyjrzała się jego klatce piersiowej. Opadała równomiernie i w miarę spokojnie. Chłopiec spał. Odetchnęła z ulgą.

Przeniosła wzrok na niewielki żółtawy żagiel, który od kilku godzin wisiał smętnie, wcale się nie poruszając. Zerknęła na błękitne niebo. Nie było na nim ani jednej chmury, która mogłaby nieść nadzieję na niewielkie ukojenie. Okrągła tarcza słońca panowała na nieboskłonie niepodzielnie.

Wskoczyć do wody, pomyślała Elżbieta. Zanurzyć się w jej zielonych

odmętach, aby leniwe fale obmyły spocone, umęczone ciało. Poczuć na nagich nogach gładką, zimną wodę, przelewającą się to tu, to tam. Rozpuścić włosy, niech płyną wraz z nurtem, unosząc się na powierzchni jak wodorosty. Albo schować się tam, na brzegu, przemknęło jej przez głowę, kiedy podniosła wzrok znad wody i spojrzała na kłębiącą się zieleń lasu po obu stronach. Liście drzew wciąż były nasyczone kolorem, choć może już nie tak jasną intensywną zielenią jak w pierwszych miesiącach wiosny. Słońce było bezlitosne nie tylko dla ludzi, ale także dla roślin. Trawy rosnące na otwartych polach wyglądały niczym siano składowane w stajniach. Wieśniacy z utęsknieniem wpatrywali się w niebo. Zaklinali Boga, aby wreszcie zesłał deszcz. Słali wota do kościołów i zamawiali modlitwy, ale Pan ciągle był głuchy na ich prośby.

Elżbieta wzruszyła ramionami na wspomnienie klęczących przed kaplicami wieśniaków. Nie rozumiała ich problemów i nie zamierzała się nad nimi zastanawiać. Nie pomogła nawet rozmowa z nianią, którą postawa księżniczki wobec ludzi niższego stanu nieodmiennie zadziwiała. Helena była gotowa ponieść konsekwencje. Ciągle miała w pamięci połajankę ze strony księżniczki, ale uważała, że sprawa jest tego warta. Elżbieta przypomniała sobie pewną rozmowę.

Było to dwa lata temu i równie upalnie. Susza zapanowała nad krajem. Zboża, zamiast rosnać, usychały. Cierpieli ludzie i zwierzęta. Zaczęło brakować wody. Studnie wysychały. Pomniejsze rzeczki też. Pozostało po nich tylko puste, obsypane gładkimi kamieniami koryto. Wszędzie rozprawiano tylko o nadchodzącej wielkimi krokami klęsce.

– Dziś już chłopom głód zagląda w oczy, a co będzie z nimi, biedakami, kiedy przyjdzie zima? – Helena pokiwała głową na słowa duchownego, który odwiedzał zamek w Orth dwa razy na tydzień, przybywając z pobliskiego kościoła. Elżbieta przysłuchiwała się tej wymianie zdań, wychwytyjąc w głosach rozmówców zatroskanie.

Niania i ksiądz jeszcze chwilę rozmawiali. Zanim się pożegnali, wspólnie odmówiono modlitwę, prosząc o deszcz i łaskę dla wszystkich, a szczególnie dla chłopów pracujących na roli. Kiedy zostały same, Elżbieta zwróciła niani uwagę, że nie życzy sobie odmawiać modlitwy za spójność i że czas ten może poświęcić na modły za matkę, święcąc Panie nad jej duszą, oraz rodzeństwo, aby zawsze pozostawało w zdrowiu i szczęściu, którego szczególnie brakowało jej siostrze.

– Wybacz, księżniczko, ale uważam, że nie powinnaś tak myśleć. Od tych ludzi zależy nasz los. Wszak to dzięki ich ciężkiej pracy na nasze stoły trafia chleb. Powinnaś ich zrozumieć, bo sama dobrze znasz uczucie głodu. Ten morzy zarówno latem, jak i zimą. Czyż sami nie cierpimy go na zamku? – Pytanie Heleny pozostało bez odpowiedzi.

Zresztą nawet gdyby padła, i tak nie zadowoliliby niani, ponieważ Elżbieta winą za brak jedzenia obarczała nie zmienną pogodę i katastrofy naturalne, lecz stryja. Chleba, mięsiwa, ciast i innych specjałów, które trafiały na ich stół, w ogóle nie łączyła z ciężką pracą chłopów. Kiedy do jej uszu dochodziły wiadomości, że ludność szepce, iż powinności wobec zamku są za wysokie, była oburzona.

Elżbieta pokręciła głową, jakby odganiała nieprzyjemne wspomnienia. Wróciła myślami do lasów, które rosły po obu stronach rzecznej koryta. Były gęste i zazdrośnie strzegły swego wnętrza, ocienionego rozłożystymi koronami. Musiało tam być mroczno, a przez to chłodno. Tam było ukojenie, o którym wszyscy marzyli.

Nagle ciszę przeszył odgłos grzmotu. Gdzieś daleko, zbyt daleko, aby podróżujący mogli mieć choć nikłą nadzieję, że spadnie deszcz. A jednak Elżbieta nadstawiła uszu. Za sobą usłyszała szelest tkanin. To pewnie niania Helena poruszyła się z nadzieją, że grzmot zwiastuje ochłodzenie. Po kilku minutach huk jeszcze raz przeszył powietrze. A potem jeszcze raz i jeszcze. Na niebie pojawiły się chmury. Żagiel napiął się od wiejącego wiatru. Statek ruszył, prując wzbierające fale Dunaju.

Na twarzy Elżbiety pojawił się uśmiech przemieszany z uczuciem ulgi. Pierwszy raz od wielu dni miała powód do zadowolenia. Nareszcie zrobiło się nieco chłodniej. Krople potu, które jeszcze przed chwilą perliły się na jej wydatnym czole i cienką strużką spływały po nosie, zatrzymując się na górnej wardze, zniknęły zniesione delikatnym dotknięciem wiatru. Uniosła dłonie i rozwarła palce, aby rześki wiaterek, niosący ze sobą odgłosy nawałnicy, chłodził każdą cząstkę jej ciała. Zapomniała o trzymanej w dłoni chustce, która teraz unosiła się na wietrze jak jesienny liść, odlatując coraz dalej i dalej. Kiedy podmuch ustał, biały materiał opadł na wodę, a pomarszczony przez nurt, zwinął się w małą kulkę. Był niczym biała lilia na niewielkim, płytkim stawie. Elżbieta wpatrywała się w nią, dopóki chustka nie zniknęła jej z oczu.

Z niewielkiej budki, w której musiało być gorąco jak w piekle, wyszedł szyper, przysadzisty mężczyzna, czerwony na twarzy. Spojrzał na żagiel i obsługujących wiosła flisaków. Brudną szmatą, którą trzymał w wielkiej dłoni, wytarł twarz i lśniący od potu gruby kark. Odetchnął i kołysząc się na boki, podszedł do stojącego nieopodal młodego mężczyzny i zaczął z nim rozmawiać. Elżbieta przyglądała się temu z zainteresowaniem. Młody człowiek był posłańcem jej stryja i jego komornikiem. Nazywał się Maksymilian Jung. On i kilku zbrojnych towarzyszyło im w drodze do Kreuzenstein. Szyper żywo gestykulował. Coś pokazywał, zakreślał w powietrzu dziwne łuki, młody mężczyzna kiwał głową. Wreszcie odwrócił się i pewnym krokiem skierował w jej stronę. Kiedy stanął przed Elżbietą, skłonił się nisko, zanim przemówił.

– Wasza Książęca Mość! – powiedział donośnie, przy czym wyprostował się jak struna, patrząc nieskrępowany wprost na Elżbietę. – Za kilka chwil będziemy dobijać do brzegu, gdzie będą na nas czekać powozy, którymi dostaniemy się do zamku. Czy coś rozkażesz, pani? – zapytał, skłaniając się jeszcze raz.

– Poinformujcie pozostałych. Niech służba zajmie się skrzyniami

i kuframi. – Elżbieta podniosła się z poduszek, na których siedziała. Gestem dłoni odprawiła komornika. Sama zaś wolno podeszła do wciąż drzemiącego Władysława. Helena stanęła obok niej. Na bladej twarzy niani wyraźnie odcinały się ciemne kręgi pod oczami. Elżbieta często zastanawiała się, czy to oznaka niewysypiania, czy może Helena nie potrafiła poradzić sobie z tęsknotą za własnymi dziećmi, które odesłano na służbę do rodów związanych z domem królewskim.

– Władysławie! – Elżbieta podniosła nieco głos, aby zbudzić brata. Widząc, że chłopiec wciąż ma zamknięte oczy, pochyliła się nad nim i delikatnie przeczesała falujące włosy, burząc misternie ułożoną fryzurę. – Władysław, obudź się, kochanie! – Powieki chłopca uniosły się lekko, ukazując zaspane oczy. Patrzył dookoła nieprzytomnym wzrokiem, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje. Wreszcie lekko się uśmiechnął, patrząc na roześmianą twarz starszej siostry.

– Wasza Królewska Mość pozwoli, że pomogę mu przygotować się do zejścia na brzeg. – Helena podała chłopcu rękę i delikatnie pociągnęła w swoją stronę, pomagając wstać. Władysław przeciągnął się niczym kot wyrwany ze snu, ziewnął szeroko i zerknął na nianię.

– Jestem głodny – oznajmił i z powrotem siadł na poduchy.

*

Gromy już ucichły, kiedy sadowili się w czekających na brzegu wozach. Dzięki Bogu niebo zasnuło się chmurami i nieprzyjemny upał zelżał. Od czasu do czasu kropił ciepły, letni deszcz. Poruszali się powoli i Elżbieta czuła rosnącą irytację. Męczyła ją bezczynność i siedzenie we wnętrzu wozu, w którym brakowało powietrza. Ciężki ciemny materiał skutecznie bronił mu dostępu.

Helena nie wypowiedziała ani słowa od momentu wejścia na wóz, ale jej zaczerwieniona twarz i ciężki oddech mówiły same za siebie.

Władysław chciał jechać konno, a ponieważ potrafił być prawdziwym uparciuchem, Elżbieta musiała ustąpić. Na nic zdały się prośby, cierpliwe tłumaczenia, a nawet groźby, do których w końcu się posunęła. Wszak jej młodszy brat, o którego tak bardzo się martwiła, był królem i to do niego należało ostatnie słowo. Nie wypadało zatem zabraniać monarsze jazdy w siodle. Ciekawe, co by powiedziała niania Helena, gdyby ona także zechciała pojechać konno? A co powiedzieliby zbrojni i komornik stryja? Czy znalazłby się wierzchowiec, na którym mogłaby jechać? Niepotrzebnie się zastanawiam, pomyślała, zamykając oczy. Miała nadzieję, że kiedy zapadnie się w ciemność, nieznośny gorąc zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niestety, duchota była coraz większa. W końcu Elżbieta nie wytrzymała. Zerwała się na nogi, czym przestraszyła drzemiącą Helenę, i dopadła do płachty materiału zasłaniającej wejście do wozu.

– Wasza Książęca Mość! – krzyknęła Helena zdezorientowana nagłym działaniem Elżbiety. – A cóż to za pomysł?!

– Jeżeli za chwilę nie wpadnie tu choć odrobina powietrza, pomrzemy z tego upału, zanim dotrzemy na zamek – powiedziała i zdecydowanym ruchem ręki zarzuciła jedną połę na dach wozu. Do środka od razu wtargnął przyjemny, chłodzący wiaterek. Wraz z nim na twarz Elżbiety kapnęło kilka dużych kropli deszczu. – Od razu lepiej, nieprawdaż, nianiu? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, usiadła jak najbliżej otworu, patrząc z ciekawością na mijany krajobraz.

Helena pokręciła głową z dezaprobatą, ale się nie odezwała. Nie wypadało, aby młoda dziewczyna, a na dodatek księżniczka, jechała na odkrytym wozie. Poza tym było to niebezpieczne. Nie powiedziała jednak nic, bo w duchu dziękowała Elżbiecie za ten krok. Przyjemna bryza dosięgnęła miejsca, w którym siedziała. Niania odetchnęła z ulgą. Jej bijące szaleńczo serce, zmęczone panującymi w wozie warunkami, zaczęło się z wolna uspokajać. Z czoła zniknął pot, a z oczu przestały

płynąć łązy.

– Zatrzymać się! – krzyknęła Elżbieta.

Maksymilian Jung jadący na przedzie ściągnął wodze i zawrócił wierzchowca. Dowódca zbrojnych, którzy zostali przydzieleni do ochrony króla Władysława i jego siostry, podążył za królewskim posłańcem. Władysław jechał na koniu, ramię w ramię z Jungiem, zmierzając w stronę wozu, u którego wyjścia stała Elżbieta.

– Wasza Książęca Mość, czy coś się stało? – Komornik, jak zwykle zwracając się do Elżbiety, skłonił się uprzednio.

– Siostro, źle się czujesz? – Władysław wyglądał nadspodziewanie dobrze. Rumieńce na jego dziecięcych zaokrąglonych policzkach nie były już zbyt intensywne i niezdrowe. Szeroko otwarte oczy patrzyły uważnie. Uprząż trzymał mocno, prowadząc konia zdecydowanie. Elżbieta była dla niego pełna podziwu.

– Źle się czuję już od chwili, kiedy weszliśmy na statek, więc chociaż dziękuję ci za troskę, jest ona zbędna. Poczuję się zapewne nieco lepiej, kiedy w końcu dotrzemy do zamku. A skoro już o nim mowa, to właśnie z jego powodu pragnę się zatrzymać. Czyż można przejechać obojętnie obok takiego widoku? – Wskazała przed siebie.

Wszyscy, nie tylko komornik wraz z królem Władysławem, ale także pozostała kompania, łącznie z Heleną, która stała już jakiś czas u boku Elżbiety, spojrzeli we wskazanym kierunku. Ich oczom ukazał się wspaniały widok. Zza koron drzew kołyszących się w jednostajnym rytmie wyłoniły się czerwone dachy wież, kwadratowych i okrągłych. Nawet z takiej odległości można było zobaczyć kilka niewielkich okienek, charakterystycznych dla tego typu zabudowy. Elżbieta zwróciła jednak uwagę na jedno wielkie półokrągłe okno, przedzielone rzeźbioną kolumienką, nad którą znajdowała się niewielka ozdobna rozeta. Z boku trójkątnego dachu wyrastała kwadratowa mała wieża z kilkoma rzeźbionymi misternie szpicami, strzelającymi wprost do nieba. Chociaż

zamczysko wydawało się ciężkie i przysadziste, te dwa elementy nadawały mu lekkość.

Nagły grzmot i błyskawica, która rozdarła niebo, przywróciły ruch w zastygłych z wrażenia postaciach. Teraz, kiedy cel był na wyciągnięcie ręki, w podróżujących wstąpiły nowe siły. Kiedy dotarli na dziedziniec zamku, z nieba deszcz lał się strugami. Nareszcie zrobiło się chłodniej.

*

Elżbieta z przyjemnością zanurzyła się w świeżej, wykrochmalonej pościeli. Kasztelan Engelbrecht z Wasserburga, mieszkający na zamku Kreuzenstein, ugościł ich isticie po królewsku. Po sutej kolacji oprowadził po włościach, a potem, widząc zmęczenie malujące się na twarzach gości, rozkazał pokojowcom, by zaprowadzili ich do wyznaczonych komnat.

Wreszcie po całym męczącym dniu Elżbieta została sama. Westchnęła z ulgą, żegnając się na dobranoc z nianią, która jak zwykle przysłała upewnić się, że niczego jej nie brakuje. Księżniczka już zapadała w sen, kiedy usłyszała ciche skrzyknięcie drzwi. Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami, nasłuchując uważnie zbliżających się kroków. Ktoś zatrzymał się tuż przy jej łożu. Nadal nie otwierała oczu. Oddychała równomiernie, markując spokojny sen. Intruz stał obok dłuższą chwilę, najwyraźniej wpatrując się w jej sylwetkę.

– Siostró, śpisz? – Usłyszała cichy szept wypowiedziany tuż przy uchu.

Mogła się domyślić, że to Władysław, który często zakradał się do jej komnaty. Aż do dziś chłopiec tylko raz opuszczał zamek w Orth. Było to dwa lata temu. I podobnie jak wtedy, tak i dziś przyszedł do jej izby.

– Nie mogę zasnąć – szepnął znowu. Widząc, że Elżbieta nie odpowiada, szarpnął ją delikatnie za ramię i powtórzył raz jeszcze: – Śpisz, Elżbieto?

– Kochany Władysławie, jak mam spać, kiedy szarpiesz mnie niespokojnie i ciągle pytasz, czy śpię? – Elżbieta odrzuciła kołdrę

i wsparta na łokciach popatrzyła na brata. Spuścił głowę i zrobił dwa kroki w tył, ale kiedy usiadła na łóżku, robiąc koło siebie nieco miejsca, szybko się wgramolił i uśmiechnął delikatnie, prosząc niemo o możliwość pozostania.

– Nie mogę zasnąć. – Usprawiedliwił się na wypadek, gdyby kazała mu wrócić do siebie. – To wszystko przez opowieści kasztelana w czasie wieczery.

– Jakie opowieści, Władysławie? – Elżbieta czuła lekką irytację. Całe jej ciało pragnęło odpoczynku, a tymczasem musiała wysłuchać, co Władysław ma do powiedzenia.

– Nie słuchałaś? Pewnie nie doleciały do ciebie jego słowa, bo siedziałaś po drugiej stronie stołu i byłaś zajęta rozmową z żoną kasztelana, ale zapewniam cię, gdybyś słyszała, co miał do powiedzenia, nie mogłabyś teraz zasnąć tak samo jak ja.

Elżbieta westchnęła głośno. Poprawiła poduchy, ustawiając je pionowo, aby wygodnie oprzeć plecy, posunęła się jeszcze bardziej, robiąc tym samym więcej miejsca dla Władysława i chcąc nie chcąc zachęciła go do podzielenia się nowinami. Wiedziała z doświadczenia, że braciszek nie zrezygnuje z rozmowy nawet w środku nocy, gdyż całe jego jestestwo pragnęło podzielić się niesamowitą historią.

– Kasztelan zasłyszał tę opowieść od pewnego duchownego, który bywał w tutejszym kościele z wizytą u swego brata. – Oczy Władysława otworzyły się szeroko, pomimo zmęczenia i późnej godziny, a na bladych policzkach pojawiły się czerwone rumieńce. Elżbieta starała się słuchać uważnie, chociaż nie było to łatwe. Sen strasznie ją morzył. Władysław tymczasem opowiadał dalej, niczego nie zauważając. – Pewien proboszcz z pobliskiego kościoła odprawiał o brzasku mszę. Tuż obok kościoła znajdował się niewielki cmentarz i pewnego dnia jego oczom ukazał się tłum ludzi, którzy składali wota kapłanowi odprawiającemu nabożeństwo. Zdziwiło go to bardzo, bo nie znał tego

księdza, a gości żadnych nie zapraszał. O tym, że przybędzie nowy duszpasterz, zostałby poinformowany przez biskupa, a ten od miesiący nie przysłał żadnego listu. – Na ustach Władysława pojawił się uśmiech. Najwyraźniej jego opowieść zbliżała się do sedna. – Kapłan zdjęty strachem, trzymając kurczowo krzyż w dłoniach, przeszedł cichaczem do zakrystii. Po drodze przyjrzał się twarzom zebranych i wtedy jego strach jeszcze się wzmógł, bo były to twarze nieżyjących parafian. Kiedy już prawie postawił pierwsze kroki w zakrystii, jedna z nieżyjących kobiet zbliżyła się do niego z pytaniem, co tu robi. Ksiądz zrazu milczał, ale widząc złość wzbierającą w jej oczach, odpowiedział, że pragnie odprawić mszę. Usłyszał śmiech, na którego brzmienie ciarki przeszły mu po plecach, a na czoło wystąpił perlisty pot. W końcu zmarła powiedziała, że msza już dawno skończona, a po księdza niebawem wybierze się kostucha. – Władysław przerwał na chwilę, a widząc, że Elżbieta zaczyna już zasypiać, złapał ją za rękę. – To nie koniec, sostro. Kapłan ruszył na plebanię. Zamknął się w swojej komnacie, aby się pomodlić. Następnego dnia rano nasłuchiwał, czy z kościoła nie dochodzą jakieś odgłosy. I usłyszał ich znowu, jak śpiewali i składali ofiary. Położył się w swojej komnacie, wziął krzyż do rąk i usilnie zaczął się modlić^[3]. Ale wtedy drzwi jego izby gwałtownie się otworzyły i zmarli wtargnęli do środka. Zimnymi, kościstymi rękami unieśli go z łoża i trzymając mocno, aby im się nie wymknął, przebyli długą drogę do zamku, ściskając wyrrywającego się i wrzeszczącego księdza. Weszli do środka, mimo że fosa jest tu głęboka, a most zwodzony na noc był podniesiony, i utopili duchownego w studni, która stoi na dziedzińcu. – Władysław zamilkł i z dziecięcym podnieceniem wpatrywał się w twarz Elżbiety. W końcu zapytał z przestachem w głosie: – A jeżeli przyjdą także po nas?

– Więc pomódlmy się, prosząc o wsparcie i ochronę. – Już złożyła ręce jak do modlitwy i chciała uklęknąć, kiedy Władysław złapał ją za ramię.

– To na nic. Modlitwa nam nie pomoże. Czy słuchałaś, co mówiłem?
Elżbieta wyczuła, że Władysław drży ze strachu.

– Było niemożliwością cię nie słuchać. – I nie czekając na odpowiedź brata, ciągnęła dalej monotonnym głosem, aby go nieco uspokoić i myśli od opowiadania odciągnąć. – Nie znamy powodu zamordowania księdza. Wiem tylko, że sami nie mamy się czym martwić, bo nasze dusze są czyste, a na dodatek gorąca modlitwa na pewno nas ochroni. Uklęknij i powtarzaj za mną, myśląc o Maryi Pannie, a nie o złych duchach, które zasnęły na wieki i ani myślą wyrządzać ci krzywdę. – Odczekała, aż Władysław uklęknał obok niej i złożył ręce do modlitwy. Gdy skończyli, Elżbieta przeżegnała się i spojrzała na czyniącego znak krzyża Władysława. – A teraz chodźmy spać. – Jutro czekał ich ciężki dzień.

Już od jakiegoś czasu do zamku w Orth dochodziły słuchy, że arystokracja coraz bardziej naciska na stryja, aby uwolnił Władysława, zarzucając mu przetrzymywanie siłą dzieci Elżbiety Luksemburskiej jako zakładników. Stryj Fryderyk miał się zjawić z samego rana. Kasztelan zapowiedział, że w najbliższych dniach w zamku zbiorą się także przedstawiciele arystokracji. Jutro ona i Władysław mieli stanąć przed obliczem stryja, a w następnych dniach uczestniczyć w oficjalnych spotkaniach władcy z jego poddanymi.

*

Minęło lato, jesień, zima, wiosna i kolejne lato. Nastąpiła jesień 1451 roku. Drzewa rosnące dookoła zamku w Orth ubrały się w przeróżne barwy – od jasnych żółci, przez lekkie czerwienie, po ciemny brąz.

Niezapowiedziana wizyta króla Fryderyka, stryja księżniczki Elżbiety, i króla Władysława zwanego Pogrobowcem, zaskoczyła wszystkich mieszkańców zamku. Natychmiast po przybyciu Fryderyk rozsiadł się w głównej sali i nakazał wezwać do siebie Elżbietę.

Przyglądała mu się badawczo, próbując coś wyczytać z jego twarzy. Nie spłoszyła się przed jego surowym wzrokiem i zmierzyła się z nim na spojrzenia. Milczał. Elżbieta zastanawiała się, co tak pilnego i ważnego mogło być powodem osobistej wizyty. Wreszcie Fryderyk skinął na stojącego za jego plecami mężczyznę. Elżbieta zerknęła na niego i lekko się uśmiechnęła, kiedy ten skłonił się przed nią. Rozpoznała Maksymiliana Junga, który eskortował ich do zamku Kreuzenstein latem ubiegłego roku. Wtedy, podczas dwudniowej wizyty w Wiedniu, doszło w obecności króla i biskupa do zaręczyn z zaledwie rok od niej starszym Fryderykiem, synem księcia saskiego Fryderyka Łagodnego. Narzeczony nie przypadł Elżbiecie do gustu.

Był późny wieczór. Przez cały dzień biła się z myślami. Wiedząc jednak, że nie zaśnie, dopóki nie załatwi sprawy, stanęła przed komnatą stryja i rozkazała zbrojnemu, który pełnił akurat straż, żeby ją zaanonsował.

– Wejdz. – Fryderyk, wciąż w podróżnym ubraniu, siedział przy skryptorium. Chociaż Elżbieta stanęła obok niego, nie podniósł głowy znad pisanego listu i nie uczynił żadnego gestu, aby zachęcić ją do wyjawienia powodu wizyty.

– Chciałam z wami, stryju, porozmawiać o Fryderyku, moim narzeczonym. – Elżbieta przejęła inicjatywę. Wiedziała, że odzywając się bez pozwolenia, może wywołać gniew króla, ale nie zamierzała czekać w nieskończoność na przypływ jego łaskawości czy dobrego humoru.

– Nie widzę powodu, żeby zaczynać rozmowę, albowiem nic, co powiesz, nie zmieni tego, co się już stało.

– Jestem tego świadoma, ale nawet mając na względzie niezmiennosc decyzji, zamierzam podzielić się z wami, stryju, moimi spostrzeżeniami na temat Fryderyka. Jestem wam niezmiernie wdzięczna, że podobnie jak Annie wybraliście mi na męża młodzieńca nieco tylko ode mnie starszego, ale ma on jeden feler, który nie daje mi spokoju.

Stryj wreszcie odłożył pióro i spojrzał na Elżbietę.

– A cóż to za feler zauważyłaś? – Ten, kto nie znał króla zbyt dobrze, mógłby pomyśleć, że monarcha żartuje, ale Elżbieta wychwyciła w jego głosie nuty świadczące o wielkim zdenerwowaniu. Mimo to kontynuowała.

– Jestem chyba ostatnią osobą, która zamierzałaby oceniać czyjaś urodę, bo fizjonomia ludzka to rzecz względna i nie mamy na nią zbytniego wpływu, ale inteligencja to co innego. I chociaż możliwe, że ona także jest nadana człowiekowi od urodzenia, to jednak można nad nią pracować, by ją doskonalić. Narzeczony mój jednak ani urodą, ani umysłem światłym nie grzeszy. Bardzo mnie to martwi.

– Tu się z tobą zgadzam, bo kto jak kto, ale ty, droga Elżbieto, o urodzie prawić nie powinnaś. – Fryderyk znany był ze swego grubiaństwa. Kiedy zaś wpadał w gniew, jak teraz, lepiej było zgodzić się z nim niezależnie od własnych zapatrywań. – Po dobroci, jako twój stryj, dobrze ci radzę. Ciesz się wyborem narzeczonego, a o urodę i umysł młodzieńca się nie kłopotz. – Nagle uderzył się w udo i roześmiał na głos. – A skoro jesteś taka uczona, to głupim mężem będziesz mogła kierować po swojemu. Nie masz się zatem czym zamartwiać. Im mniej potrafi, tym dla ciebie lepiej. – I nie zaszczyciwszy już Elżbiety spojrzeniem, pochylił się nad pulpitem i zaczął pisać.

Teraz zaś, kilkanaście miesięcy po tamtej rozmowie, Fryderyk sięgnął po zwój podany mu przez Maksymiliana Junga.

– Wiedz, moja panno, że głowa może przestać cię boleć z powodu narzeczonego – rzekł król. – Otóż i jemu widać nie w smak była twoja osoba. Znając jednak jego myśli, śmiem twierdzić, że był daleko bardziej wybredny niż ty, Elżbieto. Otóż nie tylko mądrości od przyszłej żony oczekiwał, lecz także urody. Jesteś inteligentna i czytana, ale urodą nie grzeszysz, niestety. I chociaż wściekłość mnie ogarnia, że plany nasze przekreśliła młodzieńcza głupota, to jako mężczyzna potrafię tego

młokosa zrozumieć. – Elżbieta słuchała z coraz większym zdenerwowaniem. Widząc to, Fryderyk podał jej zwój. – Masz. Tyle pozostało po twoim absztyfikancie w jego komnacie. Zaręczyny zerwane, ale cieszyć się nie powinnaś. Za mąż wyjść musisz i sądząc po ostatnich wydarzeniach, śmiem twierdzić, że jeszcze nie raz w podobny sposób zostaniesz upokorzona. – Skinął głową i wskazał gestem drzwi, dając Elżbiecie do zrozumienia, że zakończył rozmowę.

Drogę z sali głównej do swojej komnaty Elżbieta przebyła prawie biegiem. Jak najprędzej chciała się dowiedzieć, co zawiera zwój, który przed chwilą jej przekazano. Wbiegła do komnaty i już miała zacząć czytać, kiedy jej wzrok padł na łóżko. Siedział tam skulony Władysław.

– Czekam na ciebie, siostrze, i czekam. Już powoli traciłem cierpliwość. – Zeskoczył z łóżka i podszedł do Elżbiety, odciągając ją od drzwi, jakby obawiał się, że ktoś niepowołany może ich podsłuchać. – Doszły mnie słuchy, że w Mailbergu nasz krewny Ulryk, hrabia Celje, zbiera konfederację pod swoim i Ulricha z Eyczing przywództwem, żeby nas od stryja Fryderyka wyrwać i mnie na tronie posadzić. Cóż za wspaniałe wieści, nieprawdaż? Niebawem nasza niedola się skończy. Cieszysz się, Elżbieto?

– Jeżeli jest prawdą, co mówisz, to mamy powód do ogromnej radości. – Elżbieta nie miała teraz głowy, aby kontynuować rozmowę o ewentualnym uwolnieniu. Jej myśli zaprzętały trzymany kurczowo w dłoni zwitek papieru, który czym prędzej chciała przeczytać. Władysław, widząc, że nie wzbudził w siostrze zbytniego zainteresowania, prychnął tylko gniewnie, wzruszył ramionami i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Obraził się, pomyślała Elżbieta. Przejdzie mu, dodała szybko w myślach i czym prędzej usiadła na łóżku w miejscu, które kilka minut wcześniej zajmował Władysław. Drżącymi rękami rozwinęła zwój i wyteżając wzrok, zaczęła czytać, powtarzając szeptem zapisane słowa.

„Najdroższa moja Jolanto,
pozdrawiam Cię, panno wdzięczna i jaśniejąca przed moimi oczami,
z całego serca, które się w Tobie lubuje. Twe niezapomniane oblicze
niczym płatki najdorodniejszych kwiatów, którym słońce i deszcz
sprzyjają.

O moim do Ciebie wielkim uczuciu raz jeszcze zapewnić Cię pragnę,
albowiem sercem całym Cię wielbię od dnia, w którym Cię ujrzałem.
Kiedy o Tobie kto życzliwie prawi, ja skwapliwie chwałę Twoją dobroć,
dobrze życząc tym, którzy Tobie pomyślności życzą, a źle Twoim
wrogom jawnym czy skrytym.

W pamięci swej Twoje płąsy i śmiech perlisty przechowuję i dnia,
w którym na stałe w mym domu zagościsz, doczekać się nie mogę.
Jesteś dla mnie źródłem wszelkiej radości, ale i smutku, bo boleje serce
moje, kiedy nie ma Cię przy mnie. Dnia czekam, kiedy będę mógł Ci
służyć w każdej godzinie, we dnie i w nocy. Przy blasku słońca
i w poświacie księżyca, pod niebem błękitnym i w noc rozgwieżdżoną.

Panny na swej drodze inne dane mi było spotkać, ale żadna nie jest
Ciebie godna, bo Tyś jak róża rozkwitła, a czoło Twoje jak lilia. Pełnaś
łaskawości i słodycz z Twych ust płynie, niczym miód z pasieki. Chory
jestem na sercu, a tylko Tyś moim lekarstwem. Pocieszam się jeno,
że choroba moja już niedługo uleczona zostanie, kiedy Twe serce i ciało
z moim połączone zostaną.

Ciesz się ta niewola, do której mnie wzięłaś. Twe serce niczym
mocarz wielki trzyma moje w niedoli tyleż srogiej, co miłej.

Kiedy suknia Twe ciało materiałem niczym skały woda oblewa,
biodra Twe smukłe w rytm Twego kroku lekkiego się poruszają. Tego
widoku zapomnieć niepodobna.

Cóż zatem rozsądek, kiedy serce płonie. Cóż rodzicielskie układy,
kiedy rozum miłością zdjęty. Owszem, rodzic mój srogiej, ale pełen
miłości i nasz czyn z czasem zrozumie i pobłogosławi, przeto nie martw

się i czekaj na mnie w dniu wskazanym i miejscu ustalonym. Lękam się i rozpacz mnie ogarnia, bo czarne myśli, że spotkanie nasze do skutku nie dojdzie, po głowie mi się plączą.

Nic to, Bóg nam powodzenie zsyła, bo weseli się z miłości ludzi młodych i cnotliwych. A zatem, ukochana, czekaj i bądź zdrowa.

Twój na zawsze sługa uniżony

Fryderyk”

– A bodaj cię pchły zeżarły! Poeta się znalazł! – wykrzyknęła. Zmięta list, rzuciła go na ziemię i w przyptywie bezsilnej złości zaczęła deptać.

– Obyś wyłysiał! Żeby oblubienica twoja zdradzała cię z każdym napotkanym chłopem. Obyś grzeszył świadomie. Obyś Boga w sercu nie miał. Ty, ty... – Usiadła z powrotem na łóżko i ukryła twarz w dłoniach.

Siedziała tak przez chwilę, aż wreszcie uspokoiwszy się nieco, podeszła do zdeptanego zwoju i położyła go na stoliku. Zerknęła w niewielkie srebrne lustro, które wisiało na ścianie tuż obok ciężkiej rzeźbionej skrzyni z wielkimi żelaznymi okuciami.

– I po co się tak unosisz – szepnęła do swego niewyraźnego odbicia. – Zamiast płakać z bezsilności nad czynem głupca, którego nie chciałaś, powinnaś się radować! – powiedziała głośniejszym głosem i uśmiechnęła się do siebie szeroko. – Jestem wolna. Wolna! – Uklękła na ziemi i zaczęła się gorąco modlić do Trójcy Świętej i Marii Panny: – Boże, wysłuchaj mnie. Daj mi męża, który będzie mnie kochać szczerze i z całego serca. Który dochowa mi wierności i na równi ze sobą będzie mnie traktować. Któremu moja uroda będzie obojętna i który moją inteligencję potrafi docenić. Boże, wysłuchaj prośb swojej służebnicy. Amen.

*

1 grudnia 1451 roku spadł pierwszy śnieg. Zrobiło się białe i bajkowo. Na wieczór zaplanowano kulig, który Elżbieta uwielbiała. Niania Helena

wyciągnęła w stronę księżniczki pulchną dłoń, w której trzymała list. Ostatnio bardzo przytyła, chociaż jadła niczym wróbelek. Porcje, które nakładała na talerz, były tak małe, że po zamku krążyły żarty, iż Helena karmi krasnoludki, a sama podjada, kiedy nikt jej nie widzi.

– Przed chwilą go dostarczono. – Droga z zamkowego dziedzińca bardzo ją zmęczyła. Czuła uścisk w gardle, jakby ktoś zaciskał na jej krtani pętlę. Ręce miała spocone, a serce kołatało nierówno, mimo że droga z podwórza do książęcych komnat była krótka i prosta, ledwie kilka schodów. Chodzenie sprawiało jej coraz większe trudności. Umrę niechybnie, pomyślała, ale nie podzieliła się obawami, które spędzały jej sen z powiek. Nie tylko choroba ją zasmucała. Czuła się odrzucona, gdyż Elżbieta odsuwała się od niej coraz bardziej. Ogarnęła ją melancholia, która dokuczała znacznie bardziej niż fizyczne dolegliwości i złośliwe komentarze rzucane za jej plecami.

– Usiądź, nianiu. – Elżbieta wskazała jej wygodny stołek, który wstawiono do komnaty kilka dni wcześniej. – Martwię się o ciebie. – Helena uśmiechnęła się szeroko, a jej oczy zasłyły łzami. Może więc nie jest tak do końca obojętna swojej ulubienicy, pomyślała z czułością i podniosła dłoń, w której trzymała białą chustkę obszytą koronką, aby wytrzeć pot z czoła i osuszyć załzawione kąciki oczu. – To list z królewskiego dworu, ale nie od stryja, chociaż od niego też spodziewam się odpowiedzi. Jest jeszcze zbyt wcześnie, napisałam bowiem do króla jakiś czas temu, informując go, że chorujesz i potrzebujemy lekarza, a nie znachora, który od lat bardziej nas truje, niż leczy. Wiem, że zaraz powiesz, żebym nie zaprzętała sobie głowy starą kobietą, ale sprawa już załatwiona, więc nie zajmujmy się nią niepotrzebnie. A zatem... – Przerwała i rozwinęła zapieczętowany zwój, nie dopuszczając niani do słowa. Chwilę potem kontynuowała swój monolog. – Po ostatniej rozmowie ze stryjem mogłam się tego spodziewać. – Potrząsała listem. – Pamiętasz, jak wspominałam ci o jego

pomyśle namalowania mojego portretu? Owszem, dlaczegóż by nie?, pomyślałam sobie, kiedy mi o tym powiedział. To w końcu normalne, że powinnam go mieć, ale stryj, zamiast czekać na mistrza, zaczął szukać pierwszego lepszego malarza, który ma wolny czas. Kiedy zwróciłam mu na to uwagę, prychnął tylko niezadowolony i grubiańsko stwierdził, że jak będę miała pieniądze, żeby opłacić mistrza, to on nie ma nic przeciwko temu. Ale dopóki on za wszystko płaci z królewskiego skarbcza, mam się cieszyć, że w ogóle o mnie myśli. I oto są efekty owych poszukiwań. Mam kilka przychylnych mi osób na dworze stryja i to dzięki nim mogę poznać, kogo król chce mi podesać. Posłuchaj zatem. – I szeleszcząc listem, zaczęła czytać na głos. – O, tu się zaczyna: „...syn zamożnego nożownika Henry’ego de la Pasteure i Agnies des Vaterlos. Chociaż na świat przyszedł w 1399 roku, to naukę w pracowni miejscowego mistrza Roberta Campina zaczął dopiero, gdy miał ponad trzydzieści lat. W tym samym czasie został przyjęty, na skutek wstawiennictwa ojca i swego nauczyciela, do gildii malarzy miasta Tournai. Przez krótki czas mieszkał i praktykował w Brugii, a potem osiadł w Brukseli, gdzie kazał się mianować Rogierem van der Weydenem. Ożenił się z Elisabeth Goffaert, której ojciec był znanym i cenionym szewcem...” – Przerwała czytanie, rzuciła list na łóżko i zaczęła nerwowo krążyć po komnacie. – Syn nożownika! Wyobrażasz to sobie, nianiu?! – krzyknęła i zaczęła się kręcić w miejscu. Helena nie odpowiedziała, wiedząc doskonale, że pytań, na które księżniczka nie oczekuje odpowiedzi, padnie jeszcze kilka. – Syn rzemieślnika. Prostack wywodzący się z pospólstwa.. – Znowu przerwała. Oddychała ciężko i szybko. – Trudno to przeboleć, chociaż czytam tu, że podczas podróży po Italii terminował u włoskich mistrzów. Najwyraźniej dostrzegli u niego talent. Nie zaprzętałyby sobie przecież głowy beztalenciem. Ale nie dość, że on sam pochodzi z ludu, to jego żona też. Stryj kpi sobie ze mnie, prawda? Chyba nie myśli poważnie, żeby córkę króla, wnuczkę

cesarza, księżnę malował byle mieszczuch? Jak to możliwe, że przystał na coś takiego? Chyba dokładnie nie wie, kim jest człowiek, którego wybrał? – Usiadła na łożu i ukryła twarz w dłoniach.

Helena Kottanner najchętniej utuliłaby swoją podopieczną, ale wolała, aby ta sama poradziła sobie nie tyle z upokorzeniem, ile ze złością. Już dawno temu przekonała się, jak ciężko było Elżbiecie obcować z ludźmi niższego stanu. Patrzyła na zaokrąglone plecy księżniczki poruszające się szybko, jakby przebiegła szmat drogi. Zaczęła się zastanawiać, czy zatrudniając artystę pochodzącego z ludu, zamiast znanego i cenionego na królewskich dworach mistrza, król Fryderyk nie zrobił tego specjalnie. Tymczasem musiała udobruchać księżniczkę i uświadomić jej, że nie ma innego wyjścia, jak spełnić polecenie stryja i stanąć przed sztalugami brukselskiego malarza, który najmował się także u tamtejszej rady miejskiej. Helena miała dziwne przeczucie, że jeżeli Elżbieta nie zrobi tego dobrowolnie, to król Fryderyk zmusi ją siłą.

Księżniczka nie wiedziała bowiem o jednej ważnej rozmowie, którą Helena przypadkowo usłyszała. Było to wieczorem, tamtego dnia, kiedy Fryderyk niespodziewanie pojawił się na zamku w Orth. Zawitał w jego mury, przejeżdżając nieopodal w celu wizytacji włości wasali. Chciał dać odpocząć znużonym koniom i przy okazji oznajmić, że niebawem mieszkańcy Orth będą mieć gościa. Malarza, który wykona portret księżniczki i kilka miniatur.

– Nauczony sromotną porażką w szukaniu narzeczonego dla księżniczki Elżbiety wolę nie igrać z losem. Niech oblubieniec łudzi się, że pojmie za żonę piękną pannę. Kiedy staną przed obliczem księdza i Boga, będzie za późno, aby zerwać zrękowiny. – Fryderyk odesłał urzędnika, którego wtajemniczył w swoje plany.

Helena stojąca tuż za drzwiami komnaty królewskiej pokiwała głową z dezaprobatą i wycofała się cichaczem.

Treść rozmowy postanowiła zachować dla siebie. Tym bardziej teraz nie zamierzała mówić o niej Elżbiecie, gdy jej podopieczna wciąż dochodziła do siebie, uspokajając głowę i serce.

KAWALER



Nadeszła jesień 1444 roku. Niebo nad Bielskiem, rodową siedzibą księcia Iwana Bielskiego i jego żony Wasylisy, jaśniało czystą, rażącą oczy bielą, która złociła się w miejscach, gdzie napotykała promienie październikowego słońca. Pogoda była wyjątkowo piękna. Deszcz nie padał od kilkunastu dni. Drzewa mieniły się soczystymi barwami. Piękne żółcie stykały się z ciemną, nieco już zszarzałą zielenią. Czerwone liście podrygiwały na wietrze, machając do swoich brązowych braci, lekko unoszących się na krzewach, które przycupnęły tuż przy wysokim, kamiennym murze okalającym zamek Iwana Bielskiego.

Królowa Zofia Holszańska przechadzała się po pałacowym ogrodzie, w którym rozkwitły jesienne kwiaty. Na wiotkich gałązkach młodego krzewu przysiadły ptaki, zwabione obfitością czerwonych owoców, które Zofii zawsze kojarzyły się z jarzębiną. Nieopodal obsypany pomarańczowymi kuleczkami rósł rokitnik zwyczajny, który w tych dniach także cieszył się sporym zainteresowaniem miejscowego ptactwa. Na ścieżkę, prowadzącą do niewielkiego przyzamkowego sadu, kładły się ciężkie od owoców gałązki głogu i róży pomarszczonej.

Zofia uśmiechnęła się na widok owocujących jabłoni, grusz i śliw. Już za kilka dni sadownik zbierze plony i zamek wypełni się aromatem przetworów, które kucharze upchną w spiżarni, a kiedy nadejdzie

zimowa pora i śnieg pokryje świat, smak jabłkowego musu przypomni o tej pięknej chwili.

Dolatujący do niej śmiech i radosna paplanina sprawiły, że zawróciła w stronę grządek, gdzie młode kobiety, umorusanymi od ziemi rękami, zbierały dojrzałe plony. W wiklinowych koszach leżały dorodne czerwone rzodkiewki, a tuż pod nimi czarne, niczym węgiel, głowy rzepy.

Kiedy ją zobaczyły, zerwały się na nogi, aby złożyć ukłon. Pomachała do nich ręką, dając znak, żeby się nią nie przejmowały. Nie chciała zakłócać ich pracy, dlatego wolnym krokiem wróciła do głównego ogrodu, który o tej porze był całkiem pusty. Iwan ciągle przebywał w Nowogrodzie, a jej siostra Wasylisa zapewne towarzyszyła dzieciom podczas pobierania przez nie nauki. Dzień płynął spokojnie i leniwie. Tak jak lubiła. Dlatego zamiast zostać w Krakowie czy w Sanoku, który uwielbiała, zdecydowała się przyjąć zaproszenie Wasylisy. Z radością opuściła wawelskie mury, w których po wyjeździe Władysława czuła się samotna i opuszczona. Z niecierpliwością czekała na wieści od syna.

Usiadła na jednej z ozdobnych ław. Szczególnie upodobała sobie tę w różanym zagajniku. Od dziecka uwielbiała róże. Na samo wspomnienie dzieciństwa uśmiech pojawił się na jej twarzy.

– Wspominasz dom wuja Semena, nieprawdaż? – Donośny głos Wasylisy przywrócił Zofię do rzeczywistości. Uśmiechnęła się szeroko do siostry.

– Nie mylisz się – odpowiedziała. – Uwielbiałam ten mały ogródek Ludomiły. Był taki nasz...

– Tak – odparła Wasylisa, sadowiąc się obok Zofii. – Ogrody przy zamku wuja były takie czyste i uporządkowane. Wszystko miało swoje miejsce. Bałam się, że biegając po przyciętej trawie, którą ogrodnicy zawsze kosili w szachownicę, zepsuję staranną kompozycję.

– A pamiętasz te rozłożyste krzewy uformowane na kształt zwierząt?

Najbardziej bałam się ogromnej wiewiórki. Wyglądała jak potwór z najstraszniejszych dziecięcych snów. Stary ogrodnik za wszelką cenę chciał się wykazać, ale nie miał talentu rzeźbiarskiego. – Na to wspomnienie obie wybuchnęły radosnym śmiechem. – Dlatego tak chętnie chodziłam do ogródka Ludomiły. Kochanieńka pozwalała nam biegać, gdzie popadnie. Na oślep. Na przełaj po grządkach, na których co rusz sadiła kwiaty. Nigdy się nie gniewała. Czasami żał mi było tych bujnych kwiatów. Z połamanymi główkami smętnie zwisającymi ku ziemi wyglądały jak więźniowie czekający na kata.

– To prawda. Aż dziw bierze, że Ludomiła znosiła nasze harce z takim spokojem. Ale kiedy byłam całkiem mała, wołałam tę część z warzywami. Mina mamy, kiedy wracałyśmy całe umorusane, zawsze sprawiała, że serce mi się ścisnęło, a dusza podchodziła do gardła. Nigdy nie mogłam jej rozgryźć. Czy będzie nas łajać i zabroni wychodzenia z komnaty, czy załamie ręce i będzie opłakiwać nasze stroje, głaskając po głowie, pełnej grud ziemi, którą miałyśmy też za paznokciami i na buzi. – Wasylisa oparła się wygodnie, szczelniej opatulając ciepłym pledem, który zarzuciła na ramiona, wychodząc na poszukiwania Zofii. – A potem, kiedy wydorostałam, wołałam przesiadywać w części, w której Ludomiła uprawiała róże. Ty zresztą też. Obie zakradałyśmy się tam, uciekając z dusznych komnat przed czujnym okiem ojca i jego wielkopańskich gości.

– Do dziś mam do nich słabość. Do róż, oczywiście, nie do gości. – Zofia skinęła w kierunku krzewów, uśmiechając się promiennie. – Tęsknię za tym beztroskim życiem, kiedy żadne zmartwienie nie zaprzętało naszych dziecięcych główek, a jedynym problemem był wybór miejsca do zabawy. Czasami mam wrażenie, że to wszystko tylko mi się śniło. Że nigdy nie byłam małym, rozkosznym berbeciem. Wierz mi, oddałabym wiele za jeden dzień beztroski. – Westchnęła ciężko i nastrój swobody uleciał niczym przestraszony ptak.

Zapanowało milczenie. Jakiś czas siedziały w ciszy. Promienie słoneczne pełgały po ich twarzach, rysując cieniami dziwne geometryczne wzory.

– Chodź. – Wasylisa sięgnęła po dłoń Zofii. – Czas coś zjeść, nie sądzisz? Kiedy napijesz się ciepłego mleka i zjesz kawałek ciasta, od razu wszystko nabierze jaśniejszych barw. Zobaczysz, Władysław wróci szybciej, niż ci się zdaje – dodała po chwili, pocieszając siostrę. – Ani się obejrzyj, a poselstwo z Krakowa doniesie ci, że król już cały i zdrowy czeka na twój powrót, siostrzyczko – powiedziała i przytuliła Zofię do piersi. Zawsze była wobec niej nadopiekuńcza. Nawet teraz, kiedy Zofia była nie tylko dorosłą kobietą, matką dwóch synów, z których jeden zasiadał na tronie królewskim, a drugi ksiązęciem, lecz także sama była królową matką, Wasylisa nie potrafiła wyzbyć się matczynych odruchów.

– Obyś miała rację. Obyś miała rację. – Zofia podniosła się ciężko. Od kilku dni serce biło jej zbyt szybko, jakby podświadomie czekało na niepomyślnie wieści, a w głowie pojawił się irracjonalny strach. Bała się, że to dziwne uczucie to zapowiedź nieszczęścia, dlatego prawie cały czas odprawiała błagalne modlitwy, śląc prośby do Matki Boskiej o wstawiennictwo dla Władysława.

*

Ogień buzował w wielkim kamiennym palenisku. Ciepło ogrzewało zziębnięte stopy Zofii Holszańskiej. Przed kilkoma minutami wróciła ze spaceru po zamrzniętym ogrodzie.

– Zima zawitała do nas wcześniej tego roku. – Iwan kiwał głową, obserwując podwórze przez okno komnaty, w której zwykł przyjmować gości i przesiadywać wieczorami w towarzystwie najbliższych.

Była dopiero połowa listopada, ale szarobure trawniki już od kilku dni każdego ranka pokrywały się cienką warstwą szronu. Obsługująca

ich niemłoda już służąca podeszła do Zofii i starannie opatuliła nogi królowej ciepłym wełnianym pledem o grubym splocie.

– Napiłabym się ciepłego wina. – Zofia uśmiechnęła się do niej nieznacznie.

– Natychmiast, Wasza Wysokość! – odparła kobieta i kołyszając rozłożystymi biodrami, na które spływały fałdy sukni oraz przepasany ciemny fartuch, skierowała szybkie kroki w stronę kuchni.

Zofia rozejrzała się po izbie, w której panował przyjemny, kojący skołatane nerwy półmrok. Ciemność rozpraszał ogień z kominka oraz ustawione w kilku miejscach łojowe świece. Wasylisa przycupnęła na grubym dywanie, bawiąc się z trójką młodszych dzieci: Fiodorem, Semenem i Wasylisą, nazwaną na cześć swojej rodzicielki. Pozostała trójka przebywała w swoich pokojach. Najstarsza Anna powoli przygotowywała się do zamążpójścia. Z niecierpliwością oczekiwała wizyty swojego przyszłego męża, Bolesława II cieszyńskiego, który wraz z rodziną miał zawitać do zamku w Bielsku w okolicach świąt Bożego Narodzenia. Narzeczonemu miała towarzyszyć matka Eufemia, nazywana Ofka, którą Zofia poznała podczas pogrzebu jej męża, Bolesława I.

Zofia wróciła myślami do minionych dni. Jak żywy stanął jej przed oczami mąż Władysław. Zawsze gdy się nad czymś intensywnie zastanawiał, marszczył brwi. Tak jak wtedy, kiedy rozmowa zesłała na temat jej wyjazdu.

– Pojedziesz na pogrzeb Bolesława, dobrze, kochanieńka? – Jagiełło spoglądał na żonę pytająco, chociaż wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Nie czuł się ostatnio zbyt dobrze, a bardzo chciał zaznaczyć tam swoją obecność. – To ważne, aby jego rodzina miała w nas wsparcie. W końcu Bolesław był nie tylko moim siostrzeńcem, ale ważnym sprzymierzeńcem w walce z zakonem krzyżackim. – Kiedy Władysław zaczynał mówić o polityce, uderzał w podniosły ton. Zofia, nauczona doświadczeniem, wiedziała, że będzie musiała wysłuchać dłuższej

przemowy, dlatego zamiast stać przy oknie, usiadła na wygodnym, rozłożystym fotelu i wtopiła się w jego siedzisko. Głowę wsparła na zagłówku i lekko zmrużyła oczy.

W kącie drzemał, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, królewski błazen, zwany Gąską. On jednak tylko przymrużył oczy, ocienione gęstymi rzęsami, spod których bacznie spoglądał na królową. Och, jakaż to była uczta dla oczu! Uwielbiał tak patrzeć na jej krasne oblicze, kiedy tylko była okazja i nikt nie mógł go na tym przyłapać. Nie był jedyny, który kochał królową szczerze nie tylko jako władczynię, lecz także jako kobietę. Spojrzał raz jeszcze. Wyraz jej twarzy jasno świadczył, że odpłynęła we wspomnienia.

Rzeczywiście, Zofia, nie słuchając przemowy męża na temat zakonu i kłopotów, jakie od lat przysparza, zaczęła myśleć o swoim małżeństwie, którego na samym początku tak bardzo się obawiała.

Dziecięcy śmiech sprawił, że obrazki z przeszłości rozwiały się jak mgła. Przez chwilę przyglądała się zabawie. Jej siostra wyglądała na szczęśliwą. Odwróciła głowę w stronę Iwana, który czytał coś zapamiętane, zapominając o otaczającym go świetle. Ciekawe, czy Wasylisa też na początku małżeństwa miała wątpliwości?, przemknęło jej przez głowę. To pytanie natychmiast zrodziło kolejne wspomnienie.

Właśnie dowiedziała się o planach zamążpójścia, jakie stryj Semen układał wraz z Jagiełłą. Przeplakała cały dzień i całą noc. Wasylisa była dla niej wielkim wsparciem. Chciała nawet przekonać stryja, który od lat sprawował nad nimi opiekę, żeby to jej rękę oddał polskiemu królowi. Ten jednak upatrył sobie Sonkę, która teraz pomstowała i płakała. Płakała i pomstowała. I tak na przemian.

– Toż to stary dziad!! – krzyczała Sonka, mając pewność, że stryj Semen nie może jej usłyszeć. Za takie słowa dostałaby w skórę, chociaż nie była już dzieckiem. – Jak mam położyć się z nim do łóżka? Toż to woła o pomstę do nieba! – Z tymi słowami padła na kolana i złożyła ręce

do modlitwy. – Ocal mnie! – mówiła żarliwie. – Nie pozwól, aby ten ślub doszedł do skutku! – Zrobiła krótką przerwę. Zamyśliła się na chwilę, przeżegnała i dodała: – Zabierz mnie lub jego, jeżeli nie ma innego wyjścia, tylko nie pozwól mi zostać jego żoną. Amen. – Po jej twarzy spływały gęste łzy, które Wasylisa ocierała mokrą chustką.

Na myśl o tamtej chwili, od której minął szmat czasu, zrobiło jej się głupio. Szybko wyzbyła się uprzedzeń, chociaż aż do śmierci Władysława uważała, że mógł być raczej jej dziadkiem niż mężem. Mimo to kochała go na swój sposób i była wdzięczna losowi, że postawił na jej drodze tego mądrego mężczyznę.

Szelest sukni sprawił, że otrząsnęła się z zamyślenia. Przed nią stała służąca z drewnianą, malowaną w kwiaty tacą, na której stał zdobny puchar z ciepłym, pachnącym winem. Znowu była na zamku Iwana i Wasylisy. Z radością czekała na ponowne spotkanie z Eufemią.

Błogi stan rodzinnej sielanki przerwała nagła krzątanina przy drzwiach komnaty. Szybkim krokiem wszedł do niej strażnik pełniący służbę przy bramie wjazdowej. Minę miał poważną, brwi ściągnięte. Zmierzał w stronę księcia Iwana. Pokłonił mu się głęboko, podszedł do niego blisko i ściszone głosem szepnął mu coś do ucha. Iwan odruchowo zerknął w stronę Zofii, która z uwagą obserwowała całe zajście. Uchwyciła zaniepokojone spojrzenie szwagra. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe, a ręce trząść się i pocić. Prawie natychmiast rozboleła ją głowa. Z pewnością wydarzyło się coś strasznego. Była tego pewna. Od dawna towarzyszyło jej to dziwne przecucie.

– Wprowadź! – Iwan zwrócił się do strażnika czekającego na rozkazy, który ruszył szybko w stronę drzwi. Otworzył je szeroko i skinął na stojącego za nimi rycerza. Obaj weszli do komnaty i podeszli do księcia.

– Wasza Książęca Mość, jestem Jan z Kostrzyna. Nie tracąc czasu na postój w Krakowie, przybywam do Jej Królewskiej Mości królowej

Zofii prosto spod Warny.

W komnacie zaległa grobowa cisza. Umilkły nawet bawiące się dzieci. Słyszeć było tylko trzask palących się polan i skwierczenie topiących się świec. Zofia powoli podniosła się z fotela. Rycerz zwrócił się do niej i padł na kolano, chyląc przed nią czoło. Nie zwróciła na ten gest uwagi. Przed oczami pojawiła się czarna zasłona. W uszach zaczęło piszczeć. Wydawało się, że minęły wieki, zanim podeszła do pościąca. Spojrzała w twarz mężczyzny. Szukała w niej jakichś oznak, które dawałyby nadzieję, że przywiózł pomyślne wieści, ale nie znalazła tam nic poza żalem, udręką i umęczeniem. Nie potrzebowała słów. Odpowiedź знаła bez pytania. Syn Władysław stracił życie na polu bitwy. Z jej gardła wydarł się cichy, przejmujący jęk. Upadła na kolana, tuż obok przybysza, który próbował ją schwycić, ale wysunęła mu się z ręce, nie pozwalając się dotknąć. Schowała twarz w dłoniach i zaczęła spazmatycznie szlochać. Wasylisa zerwała się na równe nogi. Podbiegła do siostry i otoczyła ją ramieniem. Pomogła Zofii podnieść się z klęceczek. Podtrzymując jej wiotką postać, która wydawała się przelatywać przez ręce, ruszyła w stronę korytarza prowadzącego do prywatnych komnat siostry. Pokojowe zabrały dzieci. Kiedy wreszcie ucichły odgłosy ich kroków, Iwan zwrócił się do Jana z Kostrzyna.

– Mówcie, dobry człowieku. Od początku do samiutkiego końca. – Wskazał stojącemu rycerzowi ławę, na której ten spoczął z wyraźną ulgą, po czym zaczął opowiadać.

– Czekaliśmy z niecierpliwością. Zwiadowcy donieśli, że armia wroga już zajmuje miejsca. Król wraz z pozostałymi dowódcami zniknął w namiocie. Dało się słyszeć podniesione głosy. Byłem dość daleko od niego, a mimo to słyszałem, że poszło o strategię. – Jan zamknął oczy. Tak było mu łatwiej opowiadać. W wyobraźni pojawiały się znajome obrazy. – Rycerze zamarli. Nadstawialiśmy uszu. W końcu pojawił się król Władysław. Był w zbroi. Giermkowie trzymali jego

miecze. Kiedy do nas przemawiał, każde jego słowo wlewało w nasze serca nadzieję, że wieczorem spokojnie udamy się na spoczynek po wygranej bitwie. – W oczach opowiadającego pojawiły się łzy, kiedy spojrzął na wpatzonego w niego księcia Iwana. Zamilkł. Rozejrzał się po komnacie.

Iwan nagle zerwał się z miejsca, przewracając ciężkie krzesło, na którym siedział, i szybkim krokiem podszedł do drzwi.

– Przynieście mięsa i chleba! – huknął gromkim głosem w stronę korytarza. – Niech podadzą też piwo. A dużo. I żwawo! – Ktoś zaczął krzątać się z werwą po sieni, szeleszcząc słomą pokrywającą kamienne posadzki. Już po kilku minutach w komnacie pojawili się pokojowcy z tacami, na których stały misy z różnymi gatunkami mięsiwa, świeżo upieczony chleb oraz biały, grudkowaty ser. Do tego na stole postawiono wielki dzban piwa doprawionego miodem.

– Jedzcie! – Iwan zwrócił się do gościa, który już sadowił się na ławie i sięgał ręką po pajdę chleba. – Musicie być nie tylko zmęczeni, ale i głodni?

– Po prawdzie jestem, Wasza Książęca Mość – odrzekł Jan, przełykając kęs mięsa. W izbie zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu odgłosem przełykanego jedzenia i wlewanego do kielicha trunku. Wreszcie Jan zaspokoił głód i pragnienie. Otarł usta i ręce w przyniesiony razem z posiłkiem ręcznik, myjąc je uprzednio w małej miseczce wypełnionej wodą, którą służdy postawili na stole z boku. Upił jeszcze łyk piwa i ponownie zaczął snuć swoją opowieść.

– Ustawiliśmy się na polu. Mieliśmy nadzieję, że pogoda dopisze. Zresztą słońce świeciło na niebie pełną krasą. Aż nagle ni stąd, ni zowąd nad naszymi głowami pojawiły się czarne chmury. Ciemne jak dusza samego diabła. Zawisły złowrogo nad polem. Potem usłyszeliśmy grzmot i niebo przesyła jasna błyskawica. Poczułem nieopisany niepokój. Wiem, że inni też to czuli. To dziwne przecucie, że los się

od nas odwrócił. Konie stały się niespokojne. Rżały i kręciły się, chcąc biec przed siebie, byle dalej od tego miejsca. Żeby dodać sobie otuchy, zaczęliśmy śpiewać *Bogurodzicę*. Może to nasza modlitwa, a może przypadek, ale słońce znowu wyjrzało zza chmur, a burza skończyła się tak nagle, jak się zaczęła. – Jan wziął głębszy oddech.

– A bitwa? – dopytywał Iwan.

– Czekaliśmy na ich ruch. Rzucili się do walki jak stado oszalałych diabłów. My nie byliśmy gorsi. Szala zwycięstwa była po naszej stronie. Wygrywaliśmy... – Te słowa zawisły w powietrzu. Jan zaniemówił, jakby nie mógł uwierzyć, że jednak bitwa zakończyła się klęską.

– Cóż więc się stało? Mówże, człowieku! – Iwan podniósł głos. Był zniecierpliwiony.

– Niczym biblijna plaga szarańczy nagle spadli na nas spahowie. Siekli z każdej strony. Broniliśmy się zażarcie, ale ich ciosy były nie do odparcia. Część naszych oddziałów rzuciła się do ucieczki. Słyszałem, że niektórzy potopili się w bagnach. Inni zostali zabici pod murami pobliskiego miasta, które bojąc się Turków, zamknęło bramy. Straciliśmy nadzieję i wtedy nadeszła odsiecz. To wlało w nas otuchę. Ruszyliśmy do ataku. Natarliśmy z całych sił. Wygrana była na wyciągnięcie ręki. Znowu przez pole huknęła *Bogurodzica*. Cięliśmy ich na oślep, ale oni nie oddawali pola. Wycofywali się i wracali. Wycofywali i znowu wracali. I wtedy do naszych uszu doleciał okrzyk, że król nie żyje. Turcy oszaleli z radości. Nabrali sił. Każdy z nich walczył za trzech.

– Uwierzyliście? – Iwan poczuł, jak serce zaczęło mu bić szybciej. Nagle przed oczami stanął mu obraz, kiedy Władysław był dzieckiem. Brał go na kolana i udawał, że jada konno. Chłopczyk śmiał się na całe gardło. Wiadomość, że nie żyje, przepełniła go bólem, jakby stracił własnego syna.

– Jedni dali temu wiarę i zaczęli odrzucać miecze, czekając na śmiertelny cios. Inni zaczęli walczyć jak oszalali, ale to już był koniec.

Bitwa była przegrana. Co było robić? Zaczęliśmy się wycofywać. – Jan ściszył głos. Spuścił głowę. Było mu wstyd, że uciekli z pola walki.

– A król?! – zawołał Iwan, zrywając się nagle na równe nogi. – Na Boga! Jak mogliście zostawić króla?!

Jego pytania pozostały bez odpowiedzi. Dowiedział się jedynie, że niedługo po zakończeniu bitwy po polu rozeszła się wieść, że dowódca janczarów Kodża Khizr chwalił się, że to jego ręka ścięła polskiego króla. Odciętą głowę wbito na spisę i poniesiono do sułtana pośród zwycięskich wrzasków chwalących Allacha. Ponoć sam sułtan zarządził, aby głowa została wsadzona do słoja z miodem, co miało zabezpieczyć ją przed zepsuciem, i odesłana do Brussy, stolicy państwa.

Iwan słuchał tych słów z przerażeniem, chodząc po izbie tam i z powrotem. Co jakiś czas przystawał, spoglądając z ukosa na postać siedzącego w milczeniu.

– Idźcie odpocząć – odezwał się wreszcie. – Dziś i tak nic więcej nie wymyślimy.

Gdy służba zaprowadziła Jana z Kostrzyna do izby na spoczynek, Iwan ruszył w stronę komnat Zofii. Stał pod drzwiami jej sypialni i nadstawił ucha. Cisza. Delikatnie nacisnął klamkę i zajrzał do środka. W pokoju panował mrok. Musiał wyteńczyć wzrok, aby dojrzeć cokolwiek. Wasylisa siedziała przy łóżku siostry. Ręką dała mu znak, aby odszedł. Zofia, najwyraźniej wymęczona płaczem, zasnęła.

Zamknął drzwi. Smutek zagościł w jego sercu. Podniósł dłoń i wierzchem wytarł łzę, która potoczyła się po jego szorstkim, pobrużdżonym policzku.

*

Deszcz padał nieustannie od kilku dni. Ciężkie, nabrzmięte chmury przesuwają się wolno po niebie, nie przepuszczając promieni słonecznych. Na szczęście temperatury przestały spadać poniżej zera,

choć wielkimi krokami zbliżał się grudzień. Po listopadowych przymrozkach nie było ani śladu. Ciągająca kawalkada ludzi i zwierząt była przemoczona i przemęczona. Wozy zapadały się w rozmokłej ziemi. Co rusz musiano przystawać, aby je wyciągać. Dzięki Bogu taborowi towarzyszyli zbrojni, co znacznie usprawniało jazdę.

Kiedy przejeżdżali przez wioski, ludzie, nie bacząc na paskudną pogodę, wylegali przed domy, podziwiając paradny korowód, który składał się z kilkunastu wozów obitych ciężkimi złoconymi sukniami. Na przedzie, zaprzężona w sześć białych koni, jechała kolebka, w której, jak się domyślano, podróżował ktoś znaczny. Dalej ciągnęły wozy ze służbą oraz wóz skarbnicy, na który załadowano trzy tuziny pozłacanych półmisków, kilka tuzinów talerzy ze złotą obwódką, talerze ze wzorem białosrebrnym, a także misy olbrzymich rozmiarów, w których można by wykąpać dziecko. Do tego sztuce z trzonkami ze srebra oraz niezliczona ilość flasz i kubków.

– Czy to konieczne, drogi mężu? – spytała Wasylisa Iwana dwa dni przed wyruszeniem w podróż.

– A jak ty to sobie, moja duszko, wyobrażasz? – Obruszył się nieco, nie przerywając jednak wydawania komend. – Tak z gołymi rękami mam pojechać na dwór twojego siostrzeńca, wielkiego księcia litewskiego? – Mina Wasylisy nic się nie zmieniła. Nie było łatwo ją przekonać, zwłaszcza że Zofia nalegała, aby wyruszyć jak najszybciej. Podszedł do niej i mocno przytulił. Czułością potrafił działać więcej niż słowami. – Możesz ją uspokoić. Pojutrze wyruszamy.

I tak oprócz załadowanego wozu skarbnego, z którego Iwan Bielski, książę na Bielsku i namiestnik Nowogrodu Wielkiego, był wielce rad, ciągnęły w orszaku wozy kuchenne, piwniczne, karety dla dam dworu oraz dworzan i służby. Na czele tej karawany podążał sam Iwan, na którego twarzy wciąż było znać wielki smutek.

Gdyby wieśniacy, którzy tłumnie wylegali przed chaty, potrafili liczyć,

ogrom mijających ich koni i zwierząt o dziwnym wyglądzie, których nigdy jeszcze nie widzieli, wydałby się im jeszcze większy.

– Co myślisz? – Kilka godzin przed wyprawą Iwan ponownie zagadnął żonę. – Czy aby czterysta koni i dziesięć wielbłądów wystarczy?

Tym razem jednak nie doczekał się odpowiedzi. Wasylisa wzruszyła tylko ramionami, ukradkiem otarła kręcącą się w oku łzę i ruszyła do komnaty, w której od kilkunastu dni przebywała jej siostra. Iwan patrzył, jak jego żona oddala się powoli. Czyżby za mało?, przemknęło mu przez myśl.

Tymczasem Wasylisa nie potrafiła cieszyć się wyjazdem. W innych okolicznościach byłaby wniebowzięta, ale czy dziś był czas, aby radować się z rzeczy tak przyziemnych, jak liczba talerzy czy zaprzężonych do powozu koni? Poza tym obawiano się, że poselstwo z Krakowa prędzej stanie przed obliczem Kazimierza. Było to bardzo prawdopodobne, chociaż Jan z Kostrzyna twierdził, że panowie małopolscy najpierw będą chcieli wszystko dokładnie zbadać, aby nabrać pewności. Wasylisa pragnęła także powstrzymać Zofię. Siostra była jednak nieugięta.

– Serce matki wie, kiedy umiera jej dziecko. To jakby umarła jakaś część mnie samej.

Kiedy opuszczali dom, nad ich głowami zebrały się ciężkie, prawie czarne chmury. Deszcz zaczął padać jeszcze tego samego dnia pod wieczór. I tak od kilku dni brodzili w wodzie, pragnąc już tylko jednego. Dotrzeć do Grodna.

Zofia niemal się nie odzywała. Trzymając w ręku różaniec, modliła się przez całą drogę. Prawie nie jadła i gdyby nie troska Wasylisy, pogrążona w głębokiej matczynej rozpaczyci królowa zapomniałaby także o spaniu.

– Nie jestem głodna – mówiła cicho, prawie szeptem, kiedy siostra podsuwała jej pod nos talerz z parującym rosołem.

– Musisz jeść – powiedziała Wasylisa. Była stanowcza. Tak długo trzymała przed Zofią talerz, aż ta w końcu, dziobiąc jak kura w ziemi, spożywała jego zawartość.

W nocy, kiedy Zofii wydawało się, że wszyscy śpią, zmęczeni kiepską pogodą i podróżą, łkała cicho, przyciskając dłoń do ust, aby nie wybuchnąć głośnym szlochem. Wasylisa jednak czuwała. Przytulała Zofię do swojej piersi i gładziła po włosach, starając się ukoić żal nie do ukojenia.

*

– Dlaczego stoimy? – Zofia zerknęła na siostrę. Męczyły ją te ciągłe postoje. Chciała jak najszybciej znaleźć się przy Kazimierzu i powiadomić go o śmierci brata, Władysława.

Od chwili, w której dowiedziała się o śmierci syna, minęło zaledwie kilkanaście dni, ale dla Zofii ten czas równał się wieczności. Kiedy przed wyjazdem spojrzała w lustro, prawie nie poznała kobiety, która na nią spoglądała. Pod oczami miała ciemne sińce, oczy spuchnięte, a źrenice zaczerwienione. Tak samo zresztą jak koniuszek nosa. Przy ustach pojawiły się zmarszczki, które z dnia na dzień wyrzynały się coraz bardziej, tworząc głębokie bruzdy. W zaplecionym warkoczu odcinały się wyraźnie siwe włosy.

Świat mógłby przestać istnieć, a ona i tak by tego nie zauważyła. Zamknęła się w sobie. Potrzebowała odosobnienia. Długo nie dopuszczała do siebie nikogo. Nie zezwoliła nawet na widzenie z osobistym spowiednikiem. Dopiero Wasylisie udało się przemówić siostrze do rozsądku. To dzięki jej trosce zdecydowała się na podróż do Grodna, do księcia Kazimierza, aby osobiście powiadomić go o tragedii, jaka ich dotknęła.

– Moje drogie panie! – Ciężka zasłona zwisająca w oknie kolebki odsunęła się nieznacznie i do środka zajrzał zatroskany Iwan. – Drogi są

zapchane wozami i ludźmi. Wszyscy podążają w tym samym kierunku. Jadą do Grodna.

– A po cóż? Wypytaj czym prędeż. – Wasylisa dotknęła mokrej twarzy męża, strząsając z brody krople skrzęcej się wody.

– Na jarmark, kochanieńka – odparł od razu, całując jej delikatną dłoń.
– Lada dzień zaczyna się jarmark. Każdy upatruje okazji do zarobku. Bogaci chcą się jeszcze bardziej wzbogacić, a biedni chcą przy okazji uszczknąć coś dla siebie. Może i my powinniśmy sprzedać nasze wielbłądy, skoro tak ich nie lubisz? – Mówiąc to, puścił oko do żony i nie czekając na odpowiedź, zniknął za zasłoną. Orszak Iwana Bielskiego musiał więc jeszcze bardziej zwolnić. Ciągnęli powoli za niezliczoną liczbą wozów. Starych, rozklekotanych, które ledwo się trzymały, i nowszych, a nawet wystawnych. Mijali konnych i pieszych, którzy na plecach taszczyli wypchane tobołki, a w nich przedmioty, mniej lub bardziej przydatne, które mieli nadzieję odsprzedać z zyskiem. Szli młodzi i starzy. Chłopcy i dziewczyny. Większość, pomimo niesprzyjającej pogody, roześmiana i pełna życia. Chłopcy flirtowali z dziewczętami, które krygowały się bardziej, niżli było trzeba, bo atmosfera była luźna i nikt nikomu nie patrzył na ręce.

Zofia odchyliła kotarę i zerknęła na rzekę ludzi, jaka płynęła w kierunku miasta, którego zarys zamajaczył wreszcie na horyzoncie. Tacy radośni, tacy beztroscy, pomyślała i serce ścisnął jej żal. Czy jeszcze kiedyś przyjdzie mi się cieszyć z życia? Mówią, że czas leczy rany. A jeśli tak, ile go potrzeba, aby zaleczyć moje? Zamknęła oczy, do których po raz kolejny napłynęły łzy. Poczuła mocny, dodający otuchy uścisk dłoni. To Wasylisa. Niczym anioł stróż czuwała przy siostrze w ten trudny czas za dnia i w nocy. Resztę podróży odbyły w ciszy, każda pogrążona w swoich myślach.

*

Czas naglił. Był już 28 dzień listopada. Na ulicach Grodna panował ruch, na razie tylko nieco większy niż zwykle. Ludzie byli dziwnie odprężeni, czego Piotr Myszczyk nie potrafił zrozumieć. Jako kuchmistrz wielki litewski miał pod opieką kuchnię na zamku w Grodnie, która teraz stanowiła centrum całego świata. Za dwa dni miała się tu odbyć uczta z okazji siedemnastych urodzin księcia Kazimierza. Do kuchni napływała nieprzerwana rzeka dostawców, którzy uginali się pod ciężarem towarów, jakie składano we wszystkich wolnych miejscach, a o te było coraz trudniej. W spiżarni piętrzyły się góry mięsiwa.

– Broń Boże, żeby zabrakło mięsa! – perorował Myszczyk, pan na włościach w Borszczówkach, niegdyś kuchmistrz Świdrygiełły, wielkiego księcia litewskiego, najmłodszego brata Władysława II, teraz oddany sługa księcia Kazimierza. – Pisz no, szybko! – Zwrócił się głośno do sługi, który kręcił się w jego pobliżu, cały czas trzymając w ręku przybory do pisania. – Na jednego mężczyznę dwa kilogramy mięsa, na kobietę około półtora. Do tego jeszcze dzieci. – Sługa zapisał wszystko starannym, równym pismem i z pytaniem w oczach zerknął na swojego pana, czekając na dalsze instrukcje. – No, nie stój tak! – warknął Myszczyk, torując sobie drogę do kuchni. – Sprawdź listę gości i pomnóż, a potem podaj dalej, żeby na czas dostarczono towar.

Wyszła z tego liczba, od której młodzieńcowi zakręciło się w głowie. Od kilku dni na zamku aż wrzało. Przygotowywano przeróżne potrawy: wołowinę duszoną i pieczoną, polędwiczki wieprzowe w sosie grzybowym, dania z drobiu, przeważnie z kurcząt, ale także z bażantów i kaczek, a przede wszystkim malutkie piersi gołębnie, za którymi przepadał książę Kazimierz. Nie mogło oczywiście zabraknąć dziczyzny. W spiżarni od dawna leżały sarny, jelenie, dziki i zające. Ubrane na biało kobiety od rana wyrabiały masło. Na patelniach skwierczał wyborny tłuszcz, rzadziej olej lniany, na którym smażyono świeżo dostarczone ryby. W menu były także śledzie solone, które Kazimierz, podobnie jak

jego ojciec, król Władysław, bardzo lubił.

Piekarze uwijali się z pieczywem. Zgodnie z prośbą Jego Książęcej Mości oprócz chleba miały pojawić się rogalce, precele i obwarzanki. Nie mogło zabraknąć ciast. Mak, zmielony i pulchny, czekał na swoją kolej tuż obok białego, pachnącego sera. A nad tym wszystkim unosił się zapach przypraw: goździków, cynamonu, gałki muszkatołowej, świeżo zmielonego pieprzu, od którego niemiłosiernie kręciło się w nosie i donośnie kichało, aż echo roznosiło się po kuchni i pobliskich pomieszczeniach. Był też szafran, którego zamówiono niewielką ilość, z powodu wysokiej ceny.

Pac Dowksza, cześnik książęcy, był równie zajęty jak Piotr Myszczyca. Panowie, nie chcąc wchodzić sobie w drogę, unikali się jak mogli, chociaż było to nie lada wyzwanie, bo obaj mieli pełne ręce roboty.

Książę Kazimierz, podobnie jak jego ojciec, odznaczał się wielką wstrzemięźliwością w spożywaniu alkoholu. Pac obawiał się, aby w czasie uczyty nie zabrakło trunków, ponieważ książęca piwnica raczej świeciła pustkami. Wina i inne alkohole zamawiano bowiem z rzadka i zawsze zajmowały ostatnie miejsce na liście zakupów. Martwił się więc, że wino za krótko leżakowało w chłodnych podziemiach zamku. Za to piwa było pod dostatkiem, jednak cześnik nie wyobrażał sobie, że mógłby w tak uroczystą chwilę podać trunek tak pospolity. Dlatego polecił zakupić wyborne wina i miody pitne, a teraz patrzył, jak tragarze wnosili do piwnic ciężkie skrzynie, ustawiając jedną obok drugiej. Jego twarz rozjaśnił uśmiech, który stawał się szerszy z każdą kolejną flaszką. Wreszcie piwnica pękła w szwach. Z ust Paca wydobyło się westchnienie ulgi. Jeden kłopot z głowy, pomyślał i szybko zaryglował ciężkie odrzwia.

– Na litość boską i wszystkich świętych! – Do uszu Paca doleciał podniesiony głos Myszczyca. – A gdzie obrusy? Gdzie serwety i ręczniki? Jeszcze niegotowe?!

Po tym wybuchu złości w kuchni i na korytarzach zaległa cisza. Służący zaczęli spoglądać po sobie, szukając winowajcy, odpowiedzialnego za gniew przełożonego. Nie było tajemnicą, że Myszczyk to człowiek porywczy, dlatego ludzie dla niego pracujący z całych sił starali się wyprzedzać jego życzenia. Niestety, zamieszanie, jakie panowało od kilku dni, skutecznie to uniemożliwiło, doprowadzając kuchmistrza do szewskiej pasji.

Chwilę później po podłodze rozszedł się głuchy tupot. To służący ruszyli do pracy z jeszcze większą werwą. Pac uśmiechnął się pod wąsem. W takich chwilach jak ta nie zazdrościł kuchmistrzowi, który musiał doglądać nie tylko kuchni, ale także ludzi dbających o bieliznę stołową i zastawę.

*

Po wielu dniach ciężkiej podróży kawalkada wozów z kolebką, w której znajdowała się matka księcia, wjechała wreszcie na dziedziniec zamku. Zapanowała wielka radość. Nikt nie spodziewał się tak znamienitego gościa. Służba zaczęła krzątać się z większym zapałem. Zamek rozbrzmiał jeszcze większą ilością głosów. Gdzieniegdzie dało się słyszeć nerwowe pokrzykiwania, ale przymykano na to oko, bo i sytuacja była nadzwyczajna.

Kazimierzowi czym prędzej doniesiono o niespodziance, jaką sprawiła mu matka, przybywając wraz z ciotką Wasylisą i jej mężem Iwanem Bielskim na ucztę z okazji jego siedemnastych urodzin.

Księżę postanowił powitać znamienitych gości już na zewnątrz. Ubrał się pospiesznie i szybkim krokiem ruszył na dziedziniec. Gorączkowo szukał matki wzrokiem. Zofia popatrzyła na syna. Przez jej smutne, poszarzałe z bólu oblicze przebiegł grymas, który zapewne miał być uśmiechem. Kazimierz poczuł, jak wzdłuż pleców przechodzą go ciarki. Już wiedział, że nie jest to zwyczajna wizyta urodzinowa. Padł

w otwarte ramiona matki.

– Dobrze was widzieć, matko! – powiedział cicho, nie wypuszczając jej z objęć.

Zamiast odpowiedzi przytuliła go tylko mocniej i długo nie puszczała. Jej dłoń błędziła po plecach syna, jakby w geście otuchy.

Gorączkowa wrzawa wokół nie cichła, a jednak Kazimierz miał wrażenie, że stoją pośrodku placu całkiem sami. Serce waliło mu jak młot. Podobnie jak serce matki. Struchlał. Zaczął domyślać się przyczyny jej przyjazdu, ale nie chciał powiedzieć tego głośno, modląc się, aby jego przecucia okazały się nieprawdziwe. W uszach słyszał szum. Wreszcie matka odsunęła się nieco, lodowatymi dłońmi objęła jego młodą, gładką twarz i ze łzami w oczach pokiwała głową. Fala gorąca uderzyła w Kazimierza. Zachwiał się z lekka. Zofia złapała go za ramiona. Wyprostował się natychmiast. Oczy zasłyły mu łzami. Zamrugał szybko rzęsami. Przełknął ślinę, żeby pozbyć się guli, która nagle pojawiła się w gardle. Podał matce dłoń i ruszyli przez dziedziniec: on, wielki książę, który stracił brata, i ona, królowa matka, która straciła syna.

Kilkadziesiąt minut później w zamku zapadła cisza, przerywana od czasu do czasu cichym pochlipywaniem. Goście zamknęli się w swoich komnatach, łącząc się w bólu z matką i synem.

W klasztorze augustianów, górującym nad placem targowym, do którego zmierzał tłum objuczonych ludzi i zwierząt, uderzono w dzwony umieszczone w wieży niewielkiego kościołka.

Miasto okryło się żałobnym kirem.

*

Nowy Rok 1445 przywitano jak zwykły dzień. Ludzie wciąż czuli unoszący się na zamku w Grodnie smutek, za którym stały tragiczne wieści, jakie pod koniec listopada ubiegłego roku przywiozła matka księcia Kazimierza, królowa Zofia.

Jerzy Strumiłło, pełniący funkcję podkomorzego, pędził zamkowymi korytarzami, zmierzając do prywatnych apartamentów księcia Kazimierza. Słoma, którą wyłożono kamienne posadzki, szeleściła pod jego stopami. Właśnie doniesiono mu o bardzo istotnej sprawie. Nie mógł zwlekać z jej przekazaniem ani chwili dłużej.

Tymczasem Kazimierz, obleczony jedynie w ciepłą narzutę, która zazwyczaj przykrywała jego poślanie, zatopiony w myślach chodził po wielkiej izbie od drzwi do małego okienka, które wpuszczało do środka niewiele światła.

Leżąca w pościeli dziewczyna przyglądała mu się z przyjemnością. Chociaż książę był jeszcze młodzieńcem, odznaczał się wspaniałą budową ciała, godną dorosłego mężczyzny. Lubiła go nie tylko obserwować, ale także dotykać, wyczuwając pod palcami każdy, napinający się pod wpływem jej czułości mięsień. Ciemne, lekko falujące włosy opadały mu teraz niesfornie na czoło, co sprawiało, że wyglądał zadziornie i mniej majestatycznie. Ładnie zarysowana szczęka zacisnęła się mocno, a brwi pod wpływem napływających myśli ściągnęły się, tworząc nad oczami jedną długą, czarną kreskę.

Przyglądała mu się jeszcze chwilę. W końcu spragniona jego ciepłego, gibkiego ciała odchrząknęła, dając mu w ten sposób znać, że nie jest w komnacie sam. Ale Kazimierz odpłynął myślami daleko i nie zwrócił na nią uwagi. Zdażyła się do tego przyzwyczaić.

Na początku strasznie ją to gniewało. Czuła się odtrącana i lekceważona. Kiedy podczas ich pierwszego spotkania zachował się podobnie, ubrała się szybko i wyszłaby bez słowa z jego sypialni, nie bacząc na to, że dopuszcza się obrazy książęcego majestatu, ale pochwycił ją w ramiona tuż przy drzwiach i bez trudu zaniósł do łóżka, nie zważając na jej protesty. Chciała mu w ten sposób pokazać, że nie jest niczyją zabawką. Szybko jednak uległa jego młodzieńczemu urokowi, poddając się czułym pieszczotom zręcznych palców Kazimierza.

– Czyżbyś się gdzieś wybierała, moja pani? – zapytał, obsypując jej szyję i ramiona pocałunkami, które miały ją udobruchać, co zresztą mu się udało. – Czy nikt ci nie powiedział, że nie wolno opuszczać książęcego majestatu bez pozwolenia? Mam wrażenie, że należy ci się solidne lanie. – Odwrócił ją na brzuch, podciągnął spódnicę i klepnął w jędrne, gołe pośladki.

Od ich pierwszego spotkania upłynęło sporo czasu. Judyta, córka prywatnego sekretarza księcia, miała wiele okazji, aby nauczyć się jego zwyczajów i stać się taką kochanką, jakiej pragnął. Cieszyła się ze swojej pozycji, chociaż nie była aż tak naiwna, aby wierzyć, że sytuacja ta będzie trwać wiecznie. Kazimierz ożeni się kiedyś i nawet jeżeli zechce zatrzymać przy boku kochankę, będzie ona tylko odskoczną dla znudzonego małżeńskim życiem mężczyzny.

Powoli zsunęła się z wielkiego łoża. Naga podeszła do Kazimierza, który stał przy oknie, i objęła go rękami, przytulając się do jego pleców. Sięgała mu zaledwie do ramion. Nie poruszył się. Nie dał znaku, że zauważył jej pieszczoty. Nie odsunęła się jednak. Wiedziała, że książę potrzebuje czasu, aby powrócić do rzeczywistości. Ona także zatopiła się we wspomnieniach.

Po długim okresie postu nadszedł świąteczny czas. Z tej okazji przygotowano świąteczną ucztę, podczas której Kazimierz zwrócił na nią uwagę. Było to podczas Wielkiejnocy w ubiegłym roku, kiedy wraz z matką przybyły na dwór, aby dołączyć do ojca i rodzinie spędzić kilka świątecznych dni. Była od Kazimierza starsza o pięć lat, ale to nie stanowiło problemu dla młodego mężczyzny, którego każda cząstka potrzebowała kobiecego ciała. Dla niej zresztą też nie. Kazimierz okazał się pojętym uczniem i wspaniałym kochankiem. Nie przeszkadzało im także to, że od trzech lat była zaręczona z Witoldem Kobylańskim, krewnym Jakuba i Jana Kobylańskich.

– Wracaj do łóżka – powiedział nagle. Mówił cicho. Poruszył się

nieznacznie, pragnąc uwolnić się z jej uścisku.

Wspomnienia pierchły jak stado gołębi wystraszonych niespodziewanym hukiem. Nie oponowała. Kazimierz nadal patrzył przez okno. Od wizyty matki, kiedy zamiast radosnej niespodzianki, jaką byłaby jej obecność na jego urodzinach, przywiozła straszną wieść, upłynęło kilka miesięcy. Chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać, ciężko przeżył śmierć Władysława. Żałował, że obowiązki królewskie, jakie spoczywały na Władysławie, i książęce, które sam musiał dźwigać, rozdzieliły ich w tak młodym wieku. Zawsze miał nadzieję, że kiedyś zdążą się nacieszyć braterską przyjaźnią. Zacieśnił kontakty. Będą mieli czas na poznanie się, bo właściwie w ogóle się nie znali. Często łapał się na tym, że lepiej zna swoich urzędników niż rodzzonego brata. Niestety, los chciał inaczej. Nie potrafił uwierzyć, że Władysław nie żyje. Ciągle miał nadzieję, że to tylko pogłoski. Może dostał się do niewoli? Jest ranny? Chory? Za chwilę pojawi się poselstwo z propozycją wykupienia króla, rozmyślał gorączkowo w wolnych chwilach.

Głośne pukanie do drzwi otrzeźwiło go nieco. Odwrócił się i zaprosił intruza do środka.

– Wasza Książęca Mość! – Jerzy Strumiłło skłonił się nisko. – Mam wieści.

– Czy to nie mogło poczekać? Jestem zajęty. – Kazimierz mówił cicho. Rzadko podnosił głos. Jednak zawsze wzbudzał respekt.

Podkomorzy nie miał zwyczaju lustrowania książęcej komnaty, dlatego także teraz nie rozglądał się po jej wnętrzu, ale był świadom obecności kobiety. Znał ją i modlił się, aby jej ojciec Piotr z Sienna, brat Jakuba, nie dowiedział się o tym romansie. Judyta zapewne odczułaby ojcowski gniew. Oprócz dumy najbardziej ucierpiałaby tylna część jej ciała. Mimo że nie pochwalał tego typu schadzek, rozumiał, że w księciu burzy się młoda krew i są one nieuniknione. Sam kiedyś był młokosem. Na tę myśl uśmiech pojawił się na jego twarzy. Niemniej

nie było czasu na wspominki. Wolałby jednak, żeby zamiast Judyty księżę zapraszał do łoża młode dziewczki usługujące na zamku, bez zobowiązań.

– Nie, Wasza Książęca Mość – powiedział stanowczo, czekając na dalsze rozkazy.

– Poczekaj na mnie w sali tronowej. – Kazimierz miał w zwyczaju zwracać się do swoich urzędników bez zbędnych ceregieli. Nawet jeżeli ktoś czuł się urażony, nie mówił o tym na głos, dostosowując się do jego woli.

– Wedle rozkazu! – Strumiłło wycofał się z komnaty.

*

Kazimierz czekał w napięciu. Kiedy kilka dni temu Jerzy Strumiłło powiadomił go, że w kierunku Grodna zmierza kawalkada wozów, w których zgodnie z informacjami podróżują posłowie z Korony, księżę domyślał się, z jaką sprawą do niego jadą. Wiedział, że ta chwila musi nastąpić. Czy jednak był gotów dać odpowiedź? Dlaczego tak się spieszyli? Dlaczego zaledwie kilka miesięcy od śmierci króla, a jego brata, nie szukając osoby monarchy, tylko dając wiarę opowieściom tych, którzy powrócili z bitwy, ciągnie do niego poselstwo? Od kilku dni źle sypiał. Rozważał wszystkie za i przeciw.

I oto nadszedł dzień spodziewanego spotkania. Tuż za Radziwiłłem Ościkowiczem, herbu Trąby, pełniącym od pięciu lat urząd marszałka nadwornego, podążało czterech posłów.

– Wasza Książęca Mość! – odezwał się Radziwiłł tubalnym głosem. – Poselstwo z Korony w osobach Piotra z Oporowa, Piotra z Chrzastowa, Mikołaja Czarnockiego oraz Piotra Szamotulskiego prosi o posłuchanie.

– Udzielam. – Kazimierz poprawił się na tronie. – Siadajcie, dostojni panowie – powiedział, wskazując na ustawione poniżej tronu stołki. Nie czekając, aż posłowie usadowią się na nich, mówił dalej. – Cóż za pilna

sprawa sprowadza was do nas?

Po mowach kondolencyjnych, które wydawały się nie mieć końca, posłowie wreszcie przeszli do rzeczy. Jako pierwszy odezwał się Piotr z Oporowa.

– Po gorących dyskusjach, które nieodmiennie dotyczyły naszego osieroconego kraju, a które prowadziliśmy na zjeździe w Sieradzu, uzgodniliśmy prawie jednogłośnie, że koronę królewską zaproponować należy wam, Wasza Książęca Mość. Nie godzi się szukać innych kandydatów, skoro żyje brat naszego nieodżałowanego króla Władysława.

Kazimierz przebiegł wzrokiem po twarzach pozostałych gości. Byli spięci, niepewni jego odpowiedzi. Celowo przedłużał milczenie. W końcu westchnął i powiedział powoli, jak to miał w zwyczaju:

– A zatem nie wszyscy byli zgodni co do wyboru nowego monarchy. Wybaczcie, panowie, ale nie zamierzam zasiadać na tronie, godząc tym samym w jednomyślność szlachetnie urodzonych. Polscy panowie koronni powinni bowiem uważać, żeby zbyt ni pośpiech nie doprowadził do konfliktu. – Kiedy skończył mówić, zauważył, że jego odpowiedź zaskoczyła posłów. Nie tego się spodziewali.

– Wasza Książęca Mość! – Do rozmowy włączył się Piotr z Chrzóstowa. – To rzecz jak najbardziej naturalna, że wśród takiej rzeszy znajdą się mężowie mający inne zdanie. Liczy się wszak głos większości.

Kazimierz uśmiechnął się smutno. Mimo młodego wieku poznał już, co to trudy rządzenia. Przez kilka lat zmagął się ze swoimi przeciwnikami na Litwie, wśród których prym wiódł Michał Bolesław Zygmuntowicz, zwany Michajłuszką, popierany nie tylko przez bojarstwo litewskie, ale także ruskie. Czy miał ochotę drugi raz zmagać się z adwersarzami? Życie dało mu naukę, a godni zaufania doradcy dobrą radę – przede wszystkim trzeba być dobrze poinformowanym. Miał swoje źródła i z nich czerpał wiarygodne wiadomości. Jak te,

o których żaden z czwórki posłów teraz nie wspomniał. Kazimierz odczekał jeszcze kilka chwil, dając im sposobność do dalszych wyjaśnień, kiedy jednak żaden z mężczyzn już się nie odezwał, zwrócił się do nich zapytaniem, bacznie ich obserwując. Był dobrym obserwatorem. Potrafił czytać z ludzkich twarzy i gestów. To dawało mu przewagę nad adwersarzami.

– A cóż, panowie posłowie, powiecie o działaniach biskupa Oleśnickiego? – Nie zamierzał ułatwiać im sprawy.

Mężczyźni jak jeden poruszyli się niespokojnie na stołkach i zaczęli spoglądać po sobie. Nie spodziewali się tego pytania. Kręcili się, jakby siedzieli na rozżarzonych węglach. Żaden nie chciał przemówić pierwszy. W końcu usta otworzył Piotr Szamotulski, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrącił się milcząco do tej pory Mikołaj Czarnocki.

– Biskup Oleśnicki pragnie tylko dobra Korony, Wasza Książęca Mość. Pragnie, aby nasze kraje połączyły się silnymi więzami. Zapewniam...

– Trudno uwierzyć w wasze słowa, panowie posłowie, skoro duchowny, mający wielki posłuch wśród szlachty, na kandydata do korony wysuwa człowieka, z którym niedawno stoczył bój o tron wielkoksiążęcy. – Kazimierz wszedł mu w słowo. Jego oczy błyszczały złowrogo. Nie lubił takich gier. – Nie zamierzam przyjmować czegoś, co dawane jest z łaski. Gdyby zaś ktoś chciał zasiąść na tronie polskim, tego będę uważać za swego wroga i wszelkimi siłami postaram się go z niego strącić i wygnać. Niemniej jednak nie przyjmuję waszej propozycji. Z pewnością nie dziś i nie z powodu niechęci kilku ludzi, którzy zamyślili sobie podporządkować Litwę własnym planom. Otóż wierzę, że mój brat król Władysław żyje, o czym donoszą moi wysłannicy na Węgrzech. A ponadto musicie pamiętać, że na tron litewski wstąpiłem nie w zastępstwie i tymczasowo, lecz jako pełnoprawny dziedzic księstwa litewskiego. Słuszne prawa posiadam i władzę zupełną tu sprawuję, niech dostojnicy z Krakowa o tym nie

zapominają. – Po tych słowach wstał, dając tym samym do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. Posłowie zerwali się z krzesel i kłaniając się, wyszli jak niepyszni.

*

Wiść o odmowie przyjęcia tronu przez wielkiego księcia litewskiego Kazimierza rozniosła się po kraju. Omawiano ją szeroko. W domach możnych, w rodowych siedzibach szlachty, na probostwach, wśród dostojników kościelnych. To, co początkowo wydawało się prostym zadaniem, z wolna zaczęło urastać do rozmiarów tragedii. Przedłużające się bezkrólewie, spowodowane słownymi przepychankami z księciem, nie służyło ani Koronie, ani jej unii z Litwą, której z każdym dniem groził rozpad. Dlatego w marcu 1446 roku, kiedy zima ciągle jeszcze trzymała, drogi były zasypane, a mróz ścinał stawy i jeziora, do Piotrkowa zaczęły sunąć zdobne wozy, w których opatuleni futrami i grubymi derkami siedzieli szlachetnie urodzeni i duchowni. Panowie zbierali się na zjazd, na którym mieli zdecydować o dalszych losach kraju.

Wśród przybyłych na zjazd nie było jednomyślności. Poza jednym niespornym punktem obrad, którym było przystąpienie do elekcji, nawet jeżeli książę Kazimierz nadal obstawałby przy swoich postulatach, nie zgadzano się w niczym. Uczestnicy zjazdu szybko podzielili się na dwa obozy. Rozmowy były burzliwe. Nie obyło się bez krzyków i kłótni.

Zwolennicy biskupa Zbigniewa Oleśnickiego popierali kandydaturę elektora brandenburskiego Fryderyka II Hohenzollerna, który przez lata wychowywany na polskim dworze czuł się tu jak u siebie w domu.

– Sięgamy daleko, a przecież swoich książąt mamy. Chcemy powołania księcia mazowieckiego Bolesława! – krzyczeli przeciwnicy biskupa.

Po tych słowach wrzawa nastąpiła niemiłosierna. Przekrzykiwano się wzajemnie, chcąc przekonać drugą stronę do własnych racji. I nagle głosy stopniowo zaczęły cichnąć. Moźni rozglądali się dookoła, szukając przyczyny tej nagłej zmiany. W kierunku biskupa Oleśnickiego, który wysunął się na środek, powoli kroczyła królowa Zofia, matka księcia Kazimierza, a tuż za nią szedł Jan Hińcza z Rogowa. Na jego widok przez tłum zebranych przeszedł szmer niezadowolenia.

Jeszcze przed podróżą Jan Hińcza zwrócił się do królowej Zofii z pytaniem, czy to rozsądne, aby jej towarzyszył. Obydwoje ciągle jeszcze mieli w pamięci oskarżenie o romans, w jaki rzekomo mieli być uwikłani.

– Pani, wiesz dobrze, że ludzie bardzo długo pamiętają o złych rzeczach, a szybko zapominają o dobrych.

Słyszając teraz buczenie, Zofia poczerwieniła ze złości. Przyptyw emocji sprawił, że wspomnienie złych chwil wróciło ze zdwojoną siłą.

Strażnik zaprowadził ją roztrzęsioną do komnaty. Przed chwilą dowiedziała się, że obwiniano ją o potajemne romanse z młodymi rycerzami. Jednym z nich był Hińcza, ponoć już osadzony w lochach, w których spędził najwięcej czasu. Nie zamierzała się kajać. Nie bacząc na konsekwencje, stanęła przed mężem, prosząc o uwolnienie wtrąconych do więzienia. Liczyła na jego zaufanie. Jakże się pomyliła. Dała mu do ręki oręż.

– Tą prośbą, żono, potwierdziłaś plotki – rzekł cicho, nie zaszczycając jej spojrzeniem.

Jednakże ona nie zamierzała patrzeć spokojnie na dziejącą się niesprawiedliwość. W końcu osiągnęła cel. Młodzieńcy zostali uwolnieni. Król przeprosił ją nawet za to, że dał wiarę oszczercom. Niestety, wydarzenie to już na zawsze położyło się cieniem na ich małżeńskich stosunkach.

Kiedy zatem kilka dni temu przygotowywała się do wyjazdu

do Piotrkowa, także nie miała zamiaru wyrzec się przyjaźni z Hińcą i dlatego nakazała mu przygotować się do drogi. Teraz przemknęło jej przez myśl, że być może Hińcza miał rację. Czy jego obecność zniweczy to, po co przyjechała? Miała zamiar prosić zebranych panów o szansę dla swego syna. Kiedy zwróciła się do nich z tą prośbą, podniosła się wrzawa. Plac, na którym zebrali się możni, bardziej przypominał targ z kłócącymi się przekupkami niż miejsce, gdzie obradowali panowie z najznamienitszych rodów. Jedni wołali, że król jest potrzebny natychmiast, inni, że najodpowiedniejszym kandydatem jest Fryderyk. Kiedy jego imię dotarło do uszu przeciwników, ci zaczęli skandować imię Bolesława.

Zofia skonfundowana patrzyła na to, co dzieje się wokół niej. Jak przekrzywić tę wrzawę? Co może zrobić słaba kobieta, aby zauważyli ją będący w stanie politycznego amoku mężczyźni?

Patrzyła na nich ze zdumieniem. Odezwała się kilka razy, prosząc o posłuchanie, ale byli tak zaciętrzewieni, że nie zwracali na nią uwagi. Jeszcze przez chwilę stała bezradna na środku placu, aż w końcu padła na kolana, składając ręce jak do modlitwy, i z niemą prośbą w oczach patrzyła na zebranych. Wreszcie się opamiętali. Zapadła grobowa cisza. Szlachcice pospuszczali głowy. Na twarzach niektórych pojawiły się czerwone rumieńce. Zofia chciała wierzyć, że to wstyd je tam namalował, ale pewnie był to efekt złości lub przegrzania.

*

– Na litość boską i wszystkich świętych! – Stara twarz Bogusławy, osobistej pokojówki Zofii, towarzyszącej królowej od dnia jej przyjazdu do Krakowa, ściągnęła się na widok Jej Wysokości. Powrót z placu, na którym zebrała się szlachta, do miejsca, gdzie zatrzymała się wraz ze swoim fraucymerem, zajął królowej dwie godziny. – Czy wydarzył się jakiś wypadek, Wasza Królewska Mość? – spytała, załamując ręce.

– Kochana Bogusławo! – Zofia podała jej rękawiczki, które miętosiała w dłoniach. – Nic z tych rzeczy – dodała szybko. Niespieszno jej było z tłumaczeniem, dlatego zamilkła, czekając na to, co powie staruszka.

– Wasza Królewska Mość wybaczy moją czelność, ale nie bez przyczyny suknia nadaje się do wyrzucenia. – Bogusława nie ustępowała, lustrując uważnie strój królowej.

Zofia podążyła za jej wzrokiem. Rzeczywiście, okazałe szaty były zniszczone. Od wysokości kolan w dół umazane błotem. Gdzieś widać było szare grudki śniegu, które teraz topiły się pod wpływem ciepła buchającego z kominka. Do wyrzucenia nadawały się także ubłocone skórzane trzewiki i rękawiczki. Bogusława wpatrywała się w Zofię, nie dając za wygraną. Królowa westchnęła. Wiedziała, że jeśli Bogusława jest czegoś ciekawa, będzie drążyć temat tak długo, aż uzyska odpowiedź.

– To dlatego, że klęczałam na ziemi. – Zofia starała się unikać wzroku staruszki, którą traktowała jak matkę. W komnacie zapadła cisza, przerywana tylko trzaskiem palących się polan. – Na Boga! – wykrzyknęła po chwili podenerwowana Zofia. Bogusława tylko uniosła prawą, krzaczastą brew. Jej milczenie było bardziej denerwujące niż ciągłe pytania. – Upadłam przed postłami na kolana, żeby prosić ich o tron dla Kazimierza! – Królowa wypowiedziała te słowa jednym tchem, nieco podniesionym głosem.

– Wasza Wysokość wie, że byliby skończonymi głupcami, gdyby postąpili inaczej. – Podeszła do królowej i zaczęła z niej zdejmować wilgotne ubranie. – Czy mają lepszego kandydata? – Chciała dodać coś jeszcze, ale Zofia weszła jej w słowo.

– Tak im się wydaje. Oleśnicki przeciąga możliwych na swoją stronę. Pragnie powołać na tron Niemca, Fryderyka.

– Jego przeciwnicy, a jest ich sporo, nigdy się na to nie zgodzą. – Bogusława uwijała się przy rozpinaniu guzików. Jej palce wciąż były

zwinne i szybkie. – Proszę tak na mnie nie zerkać. To, że siedzę w zamku, nie znaczy, że o niczym nie wiem. Jestem za stara na takie podchody. Wiem, gdzie należy przyłożyć ucho, aby usłyszeć to, co ważne.

– Masz rację, ale oni także mają swojego kandydata, Bolesława mazowieckiego. To dobra kandydatura. – Królowa była wyraźnie zmartwiona. – Piast – dodała po chwili, jakby to, z jakiej dynastii pochodził przyszły elekt, mogło przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę.

– Wasza Królewska Mość – Bogusława prychnęła, wydymając wargi. Stanęła przed Zofią, patrząc na nią z troską. – Piastowie skończyli się na nieodżałowanym Kazimierzu III, świeć Panie nad jego duszą. To wszystko przedstawienie. Panowie krakowscy dobrze wiedzą, że tylko wybór Kazimierza jest właściwy. Tylko on zasługuje na koronę! – powiedziała z przekonaniem głośniejsz, niż zamierzała, ale emocje wzięły górę. Potem z czułością pogłaskała zmarznięty ciągle policzek Zofii, dodając jej tym małym gestem otuchy.

Bez zbędnych słów Zofia poddała się dalszym zabiegom Bogusławy. W końcu po starannej toalecie, siedząc w łóżku, już nieco spokojniejsza, popijała przyniesione przed chwilą gorące mleko z miodem, które przyjemnie ją rozgrzało. Zamknęła oczy i zatopiła się w niemej modlitwie. Oby dobry Bóg wysłuchał jej błagań. Oby wlał mądrość w głowy wielmożów, a ich serca zwrócił w stronę Kazimierza. Amen.

*

Jasne promienie słońca oświetliły Kraków. Przez miasto przewalały się tłumy ludzi. Był 23 czerwca 1447 roku. Za parę dni miała się odbyć koronacja księcia Kazimierza.

Królewskiego błazna Gąskę obudziła wrzawa. Nie od razu otworzył oczy i chwilę leżał bez ruchu, nadstawiając uszu i wyłapując fragmenty

rozmów ludzi, którzy szybkimi krokami przemierzali pałacowe korytarze. Jego mała izdebka znajdowała się w bardzo dobrym miejscu, tuż obok głównych schodów. Miał zatem oko na każdego, kto wchodził i wychodził. Przeważnie o tej porze – zegar na wieży kościelnej wybił ósmą rano – stał niedaleko królowej Zofii, jednak wczoraj zwolniła go z tego obowiązku.

– Odpocznij – powiedziała poprzedniego wieczoru, kiedy udawała się na spoczynek. – Czekają nas ważne dni. Pełne wzniosłości i powagi.

Uśmiech zszedł z jego ust tylko na chwilę i chociaż zrobiło mu się smutno, nawet on, królewski błazen, wiedział, kiedy należy zejść ze sceny. Teraz wylegiwał się w swojej izbie, nasłuchując wrzawy dobiegającej zza ciężkich drzwi. Co jakiś czas zerkał w okno. Słońce stało już wysoko, zapowiadając piękną letnią pogodę.

Chodnikami przemykali ludzie. Kto tylko mógł, spieszył do katedry, gdzie od rana zapełniały się nawy boczne, nawa główna, a także kaplica Świętej Małgorzaty. Miała się tam niebawem odbyć uroczysta msza w intencji odnalezienia zaginionego trzy lata temu pod Warną króla Władysława. Kazimierz, król elekt, stanowczo odmówił odprawienia uroczystego pogrzebu.

Celebrujący mszę biskup Zbigniew Oleśnicki na wieść o tym postanowieniu, będąc wówczas w gronie swoich popleczników, nie omieszkał tego odpowiednio skomentować. Był jednak ostrożny w opiniach. Chociaż nie przypuszczał, aby wśród zebranych znajdował się zdrajca, to wychodził z zasady, że do wszystkich należy mieć ograniczone zaufanie. Na ostrzejsze komentarze pozwolił sobie, kiedy został całkiem sam.

Starannie zamknął drzwi izby, sprawdził wszystkie zakamarki, zajrzał do szaf, czy aby nie skrył się w nich donosiciel.

– Młokos myśli, że pozjadał wszystkie rozumy – mamrotał. – Będą z nim kłopoty. Przeczucia nigdy mnie nie mylą. – Zrobił kilka szybkich

kroków od ściany do niewielkiego witrażowego okna, a potem, zapominając o ostrożności, krzyknął co sił w płucach: – Na Boga! Toż on narusza zasadę „Osoba Pańska umiera, Korona nie umiera”!

Msza przebiegała zgodnie z ceremoniałem. Biskup sprawiał wrażenie spokojnego i pogodzonego z podjętymi decyzjami. Kazimierz, zajmując poczesne miejsce, zaczął dyskretnie się rozglądać. Zauważył, że niektórzy ukradkiem ocierali cisnące im się do oczu łzy, kiedy Oleśnicki wspominał króla Władysława, prosząc Boga o jego szybkie odnalezienie. Ta część mszy była dla księcia najtrudniejsza. Ciągłe targały nim wątpliwości, czy dobrze zrobił, ale jakże miał odmówić kolejnemu poselstwu, kiedy doniesiono mu o błaganiach jego matki?

Resztę dnia spędził w swoich prywatnych kwaterach na zamku, przygotowując się do sobotniego postu oraz spotkań z mieszkańcami Krakowa.

Tymczasem Gąska, odwrotnie niż Jego Książęca Mość, postanowił wyjść na miasto. Chciał na własne oczy zobaczyć te nieprzebrane tłumy, które falowały niczym złote łany zbóż na polach.

Wzdłuż trasy procesji z zamku wawelskiego do kościoła na Skałce, jaką miał w godzinach porannych odbyć król elekt, zbierały się tłumy. Ubodzy ustawiali się tuż przy trasie, aby otrzymać jałmużnę z rąk księcia. Teren Podzamcza prawie pękał w szwach. Gąska kilka razy musiał użyć łokci, aby zrobić sobie przejście. Pilnujący porządku strażnicy pokrzykiwali, przeganiając dochodzących. Ci, którym nie udało się stanąć na Podzamczu, ciągnęli w stronę kościoła Świętego Idziego. Jednak wkrótce także tam zabrakło miejsca. Z minuty na minutę robił się coraz większy tłok. Najpierw przy Stradomskiej, która prowadziła do Bramy Kazimierskiej, na której swoich przedstawiciele wystawił cech złotników, zapraszając do siebie idących od strony Wieliczki kupców i handlarzy. Przechodząc koło ich stanowiska, błazen pomachał im ręką. Poznali go od razu i odkrzyknęli coś rubasznego. Pewnie nie pozostałby

im dłużny, ale dziś nie miał ochoty na błaznowanie. Ruszył w swoją stronę, rozglądając się we wszystkich kierunkach. Jak okiem sięgnąć, morze ludzi. Chociaż kondukt królewski nie przechodził na drugą stronę Wisły i na Kazimierz, którego widok otwierał się pięknie z Bramy Kazimierskiej, ludzie także tam wylegli na ulice.

Wszędzie przelewał się tłum mieszkańców i przyjezdnych. Wszyscy chcieli uczestniczyć w tym podniosłym wydarzeniu. Najgęściej było na Krakowskiej, którą miał przechodzić książę Kazimierz, i na Świętego Stanisława aż do samych bram kościoła na Skałce.

Gąska przystanął. Naszły go wspomnienia, poczuł się jak wtedy, 5 marca, dwadzieścia trzy lata wcześniej, kiedy zaniemówił na widok idącej Sonki, która miała lada chwila zostać królową Zofią. Potrzęsnał głową. Ach, jak ten czas leci, pomyślał. Ledwie był rok 1424, westchnął na wspomnienie cudownej, przemijającej młodości. Czasu nie da się cofnąć, myślał, idąc dalej. Podziwiał to, co działo się w jego ukochanym mieście.

Cechy, jak zawsze w przypadku podniosłych wydarzeń, wystawiły na bramy swoje delegacje. Na Bramie Floriańskiej stanęli w odświętnych strojach przedstawiciele kuśnierzy. Nie gorsi byli krawcy, którzy od świtu schodzili się do Bramy Krawców. Kotlarze i ślusarze ramię w ramię parli pośród nieprzebranych tłumów do Bramy Wiślanej. Rzeźnicy rozstawili się na Bramie Mikołajskiej, a szewcy na Szewskiej. Na Bramie Nowej wraz z kilkoma przedstawicielami piekarzy stanęli po raz wtóry rzeźnicy, którym w udziale przypadły aż dwie bramy miejskie, z czego byli niezmiernie dumni, wywołując zazdrość innych cechów. W Furcie Przybocznej, która wieńczyła mury obronne, zebrali się przedstawiciele pozostałych cechów.

Nagle tłum ucichł i znieruchomiał. Gąska wraz z nim. Czekał w napięciu na to, co miało nastąpić. Już po chwili z gardeł wydobył się okrzyk skandujący imię księcia Kazimierza, który w otoczeniu

dostojników duchownych i przedstawiciele panów krakowskich pojawił się u wejścia na Podzamcze. Krzyczeli wszyscy. Krzyczał też Gaska. Jutro zapewne nie wyrzeknie ani słowa, ale czy ktoś może mieć o to pretensje do błazna? Na samą myśl wybuchnął głośnym śmiechem.

Wreszcie po wielogodzinnej wędrówce Kazimierz dotarł do kościoła na Skałce, gdzie przy wejściu czekali na niego duchowni, mający tego dnia odprawić uroczystą mszę i wypowiadać przyszłego króla.

Po nieszpórach, kiedy słońce schowało się za horyzont, Kazimierz wyczerpany całym dniem, głodny z powodu postu, udał się do swojej komnaty w części zamku, którą nazywano Wieżą Duńską, gdzie ponad dwie dekady temu mieszkał król duński Eryk Pomorski, kiedy przybył z delegacją na uroczystości koronacyjne królowej Zofii.

Kiedy książę położył się do wielkiego łóża, miał nadzieję na szybki i spokojny sen. Niestety, ten nie nadchodził. Zaczął się coraz bardziej denerwować. Przewracał się z boku na bok. Wstawał kilka razy. Podchodził do okna. Zerkał na bezchmurne niebo. Znowu kładł się do łóżka. Wzdychał zdenerwowany. Liczył niewidoczne owce. Wreszcie zmorzył go sen. Oczy księcia zamknęły się same.

Wydawało mu się, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki, kiedy poczuł na policzku delikatne dotknięcie czyjejś dłoni. Nie otworzył oczu od razu. Śni mi się, przemknęło mu przez głowę. Chciał się odwrócić na drugi bok, ale dotknięcie się powtórzyło. Tym razem towarzyszyło mu stanowcze potrząśnięcie za ramię. Kazimierz otworzył jedno oko, aby sprawdzić, kto śmie zakłócać mu sen. Zamglonym wzrokiem dostrzegł pochylającego się nad nim arcybiskupa gnieźnieńskiego i zarazem prymasa Polski Wincentego Kota.

– Wasza Książęca Mość! – zwrócił się do rozbudzonego już na dobre Kazimierza. – Pora szykować się do ceremoniału. – Odsunął się nieco i oczom księcia ukazał się łożni.

Spoglądał na gotowych na jego rozkazy pokojowców i paziów.

Przyglądał się tym nieznanym twarzom, szukając wśród nich swoich sług, których przywiózł z Grodna. Widząc zdziwienie malujące się na obliczu Kazimierza, prymas pospieszył z wyjaśnieniem.

– Książę pozwoli, że powiem, w czym rzecz. Ci oto młodzieńcy – Wincenty Kot wskazał na zebranych w komnacie młodych mężczyzn – pochodzą z samych znamienitych rodzin. Pozwoliliśmy sobie przydzielić ich do waszej dyspozycji w miejsce sług litewskich, którzy muszą najpierw poznać protokół panujący na dworze królewskim. – Po tych słowach polecił pokojowcom zająć się przygotowaniem księcia do koronacji. Po dokładnej toalecie Kazimierz został odziany w szaty koronacyjne, które przypominały mu strój biskupi. Kiedy był już gotowy, wyszedł do czekających na niego duchownych i świeckich panów i w ich asyście udał się do katedry.

W uroczystym orszaku szli: Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski; Władysław Oporowski, biskup wrocławski; Jan Odrowąż, arcybiskup lwowski; Andrzej Bniński, biskup poznański; Paweł Giżycki, biskup płocki, i Paweł z Bojańczyca, biskup kamieniecki.

Wśród gości była także Zofia, matka przyszłego króla, z dumą spoglądająca na syna.

Dalej szli książęta mazowieccy Bolesław i Władysław, a tuż za nimi, ramię w ramię – książęta cieszyńscy, książę raciborski oraz oświęcimski.

Na uroczystość koronacyjną swoją delegację przysłał także wielki mistrz krzyżacki Konrad von Erlichshausen. W jego imieniu pomyślności nowo obranemu monarsze mieli życzyć Henryk von Plauen oraz Ludwik gniewski.

Nie mogło zabraknąć także księcia Świdrygiełły w towarzystwie książąt: Jerzego Siemianowicza, Wasyla Olelkowicza oraz Wasyla, którego nazywano Krasnym.

Byli też panowie litewscy w osobach Sienka Gedygłtowicza, Andrzeja Sienkowicza oraz wielu innych, których nie sposób wymienić.

Tymczasem zebrany tłum nie przyglądał się znamienitym gościom, lecz skupił uwagę na Janie z Czyżowa, kasztelanie krakowskim, który na złotej tacy niósł koronę. Obok niego kroczył Jan z Tęczyna, wojewoda krakowski, niosąc na ozdobnej poduszce berło, a Łukasz Górka, wojewoda poznański, dzierżył jabłko królewskie. Zaszczyt niesienia miecza zwanego Szczerbcem przypadł Janowi Głowaczowi z Oleśnicy, wojewodzie sandomierskiemu.

Kiedy Kazimierz przekroczył próg katedry, zatrzymał się na chwilę, aby przyzwyczać oczy, które przez całą drogę wystawione były na słońce. W katedrze panował półmrok, którego nie rozproszyły nawet liczne palące się świece. W końcu skierował się do stojącego pośrodku nawy głównej krzesła, patrząc wyczekująco na prymasa. Panowie niosący insygnia władzy królewskiej po kolei podchodzili do ołtarza i, kłaniając się nisko, tam je składali. Kiedy w kościele zapadła cisza, głos zabrał biskup Oleśnicki. Jego kazanie, wygłoszone po polsku, było długie i barwne. Ubolewał nad losem zaginionego króla Władysława, który stanął bohatersko do walki z niewiernymi, zagradzając im drogę do chrześcijańskiej Europy. Nie omieszkał w zawołanych słowach zganić księcia Kazimierza, który tak długo zwlekał z przyjęciem korony, co mogło mieć katastrofalne skutki dla kraju. Wreszcie pochwalił przyszłego króla za wierność bratu i postawę wobec litewskiego tronu książęcego. Skończywszy kazanie, Oleśnicki wycofał się, robiąc miejsce prymasowi Wincentowi Kotowi, który podszedłszy do stopni prowadzących do ołtarza, zwrócił się do klęczącego Kazimierza.

– Czy czyniąc swoje powinności, zamierzacie służyć wierze, otaczać opieką Kościół, rządzić sprawiedliwie, nie słuchając niczyich podszeptów, i bronić swego królestwa przed zakusami nieprzyjaciół? – Wincenty Kot spoglądał na Kazimierza, który już przestał się denerwować i nabrał pewności siebie, jak przystało na wielkiego księcia litewskiego i przyszłego króla Korony Królestwa Polskiego.

– Przysięgam! – odparł Kazimierz głosem pewnym i donośnym.

Na pytanie prymasa, czy zebrani chcą służyć Kazimierzowi, rozległo się gromkie „radzi, radzi, radzi!”

Prymas odczekał, aż głosy ucichną, i w asyście dwóch biskupów dokonał pomazania Kazimierza, namaszczając świętymi olejami jego głowę, pierś, plecy i ramiona. W katedrze zapadła cisza. Wydawało się, że ludzie przestali oddychać. Arcybiskup Kot podszedł do powstającego z klęcek króla i wręczył mu Szczerbiec. Ten zaś przeciął nim dwukrotnie powietrze, czyniąc znak krzyża, przyjmując w ten sposób na swoje barki ciężar złożonej przed chwilą przysięgi.

Nieco później nałożono na głowę Kazimierza koronę i podano mu berło oraz jabłko. Z koroną na głowie i insygniami władzy w dłoniach usiadł na krześle, które zajął zaraz po wejściu do katedry, czekając na rozpoczęcie mszy świętej. Kiedy ta dobiegła końca, Wincenty Kot podszedł ponownie do Kazimierza i prowadząc go w stronę ustawionego na podwyższeniu tronu, zwrócił się do nowego króla i do zgromadzonych.

– Stań i dierz odtąd to miejsce! – Ucałowałszy nowego monarchę, zaintonował hymn dziękczynny *Te Deum laudamus*.

Kiedy ucichły ostatnie słowa pieśni, do siedzącego na tronie króla zaczęli podchodzić kandydaci, których Kazimierz miał jeszcze dziś pasować na rycerzy.

Uroczystość koronacyjna powoli dobiegała końca. Zanim jednak król wyszedł z katedry, poprzedzany przez chorążego, który niósł rozwiniętą chorągiew, dając tym samym poddanym znak, że koronacja jest prawomocna, złożył na ołtarzu Świętego Stanisława ofiarę stu złotych, która zgodnie z obyczajem została przejęta przez zgromadzenie wikariuszy krakowskich.

Mieszkańcy zaczęli wiwatować na cześć nowego monarchy. Zewsząd było słychać radosne nawoływania: „Niech nam żyje!”, „Szczęść Boże

królowi!”, „Niech żyje król Kazimierz!”

Jan Hińcza sięgnął do worka przytroczonego do pasa i rozrzucił wśród poddanych złote i srebrne monety, wybite z okazji koronacji. Jedna dostała się nawet Gąsce. Chuchnął na nią na szczęście i schował do kieszeni. Dostrzegłszy to, królowa Zofia pokiwała głową z dezaprobatą, ale nie powiedziała ani słowa, zapewne dlatego, że gardło miała ściśnięte ze wzruszenia, które odbijało się w jej przepełnionych matczyną radością oczach. Błazen wpatrywał się w oczy królowej zbyt długo, ale za nic miał to, co wypada, a co nie wypada. Przez chwilę mignął mu bowiem w nich ból, który starała się ukryć. Znał ją dobrze i wiedział, że walczy ze sobą od dawna. Powinna się cieszyć radością szczerą i nieskrępowaną, ale ból po stracie syna na to jej nie pozwalał. Wciąż opłakiwała Władysława.

*

W specjalnie przygotowanej sali miała się za kilka chwil odbyć ucztą, którą opłacił Mikołaj Wierzynek.

– Niech stanie się tradycją, że my, Wierzyńkowie, wyprawiamy królom najwspanialsze ucztę – mawiał, chwaląc się zaszczytem, jaki go spotkał.

I chociaż musiał suto sypnąć złotem, cieszył się ogromnie, miał bowiem w pamięci opowiadania ojca o wspaniałej uczcie, jaką jego przodek, też Mikołaj, wydał dla króla Kazimierza III.

Gąska, który nie miał zamiaru rezygnować z przedniego jadła, szukał dla siebie wygodnego miejsca. Chciał wszystkich obserwować. Zapamiętywał, co ludzie mówili i jak się zachowywali, a potem wykorzystywał to w swoich błazenadach.

Tymczasem król oddał koronę, aby schowano ją do skarbcza, a sam zasiadł przy osobnym stole pod specjalnym baldachimem. Goście zajęli miejsca przy stołach ustawionych w sali głównej i komnatach bocznych.

Jedzenia i napitków nie mogło zabraknąć, ponieważ wierzono, że im ucza wystawniejsza, tym panowanie pomyślniejsze. Biesiada przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Król położył się spać jako jeden z ostatnich. Następnego dnia rano w otoczeniu możnych wjechał na rynek, gdzie wcześniej ustawiono specjalne podium dla monarchy. Po przyjęciu hołdu od władz miasta i mieszczan oraz odznaczeniu zasłużonych dla Krakowa osób zaprosił zebranych do dalszej zabawy. Na jego znak rozpoczęły się festyny, jarmarki i turnieje rycerskie. A kiedy nad miastem zawisła noc, niebo rozświetliło morze zapalonych świec i żagwi.

MAŁŻONKOWIE



Elżbieta wraz z nianią Heleną przebywała w Wiedniu już od kilkunastu dni. Kiedy wjeżdżały do miasta, księżniczka zauważyła, że ciemnozielony Dunaj gdzieniegdzie zmienił barwę i przez ciemne odmęty przebija kolor czerwony. Na pytanie, co się stało, odpowiadano jej, że to krew zabitych zwierząt zmieniła barwę rzeki. Król Fryderyk z okazji swoich zaślubin zamówił tak ogromną ilość mięsa, że rzeźnicy, których jatki mieściły się poza murami miasta, na tak zwanym Targu Świńskim, musieli pracować dzień i noc, a krew zabitych zwierząt spływała szeroką strugą prosto do Dunaju. O okropnych odgłosach rzezi mówiono w Wiedniu przez kilka dni. Piski i kwiki były tak donośne, że przebijały się nawet przez harmider panujący zazwyczaj w mieście, będącym ważnym punktem handlowym na rzeczonym trakcie, który biegł od ziem Bawarii aż do miast Imperium Osmańskiego na Bałkanach.

Patrząc na rzeszę ludzi przyjeżdżających do Wiednia, Elżbieta przestała się dziwić rozmachowi, z jakim przypuszczalnie zostanie przygotowana uczta weselna dla podwładnych, ponieważ cesarz wraz ze swoim dworem oraz dwór narzeczonej, infantki portugalskiej Eleonory Aviz, zamierzali udać się lada dzień do Rzymu, gdzie najpierw miał się odbyć ślub, a potem koronacja Fryderyka na cesarza.

Panna młoda, zaledwie dwa lata starsza od Elżbiety, przebywała już w królewskim pałacu w chwili, gdy przybyła księżniczka w towarzystwie Heleny. Była tam także siostra Elżbiety, Anna. Na dwór stryja przyjechała z trzyletnią córką Małgorzatą, którą jej młodsza siostra zobaczyła po raz pierwszy. Mąż Anny, Wilhelm, dochodził do zdrowia poważnie ranny w ostatniej bitwie w wojnie, którą prowadził ze swoim bratem. Rzec miała miejsce na początku grudnia ubiegłego roku i obawiano się, że Anna zostanie młodą wdową.

Księżniczka Anna wysłała do stryja posłańca z wyjaśnieniem powodu nieobecności męża na uroczystości.

– Mógłbym go zmusić, żeby stawił się na moim ślubie, nawet za cenę powrotu do zdrowia! – Fryderyk łypnął złowrogo na posłańca, który przyjechał na jego dwór z polecenia księżniczki Anny. – Przestrzegałem tych głupców przed wojną, na którą mojej zgody nie było. Ale ponieważ będę się żenił, chcę wraz z moją przyszłą małżonką radować się i świętować. Nie potrzeba mi trupa, a znając charakter y młodych kobiet, pewien jestem, że Eleonora zmusiłaby mnie do żałoby. Przekaż zatem swojej pani, księżniczce Annie, że robię to tylko dla siebie i mojej przyszłej żony. Żeby czasem nie pomyślała, że to jej błagania mnie udobruchały. – Posłaniec skłonił się nisko i już miał opuścić izbę audiencyjną, kiedy monarcha dodał: – A księciu przekaż, że jak tylko poczuje się lepiej, ma się stawić przed moim obliczem. – Po tym machnął zniecierpliwiony ręką, odprowadzając wystraszonego sługę.

Annie nie przeszkadzało, że przybyła do Wiednia sama, gdyż od dawna w jej małżeństwie nie działało się dobrze. Jakiś czas temu zorientowała się, że Katarzyna von Brandenstein, której tak ufała i którą uważała za przyjaciółkę, była kochanką jej męża.

– Masz ją natychmiast odprawić! – krzyczała, chodząc nerwowo po komnacie Wilhelma.

Któregoś dnia przyłapała go na zdradzie. Bez skrępowania kopulował

z Katarzyną, która nie okazała bynajmniej skruchy, widząc żonę księcia stojącą w drzwiach mężowskiej komnaty. Anna przepłakała całą noc i większość dnia. Nie wpuszczała do siebie nikogo, chociaż liczyła na to, że Wilhelm przyjdzie prosić ją o wybaczenie. Niestety, mąż się nie pojawił. Postanowiła iść do niego i wymusić na nim odprawienie kochanki. Tymczasem Wilhelm patrzył na Annę z ironicznym, lekceważącym wyrazem twarzy. Nic nie mówił. Kiedy po raz kolejny wykrzyczała, czego się domaga, tylko się roześmiał. Podeszła do niego, złapała go za muskularne ramię i potrząsnęła z całych sił. Wilhelm wymierzył jej siarczysty policzek. Głowa Anny odskoczyła do tyłu. Kość pod okiem pulsowała boleśnie, a z rozciętej wargi zaczęła sączyć się strużka krwi.

– Jeśli jeszcze raz wpadniesz do mojej komnaty niezapowiedziana, wychłosczę cię tak, że zapamiętasz na zawsze. Katarzyna zostanie w zamku i będzie do mnie przychodzić, kiedy tylko zechce. Jeżeli poskarży mi się, że źle ją traktujesz, wówczas zobaczysz, co to jest złe traktowanie. Zajmij się lepiej małym bachorem i siedź cicho. – Złapał ją za łokieć i pociągnął w stronę drzwi. Zatrzymał się tuż przy nich i mocnym szarpnięciem obrócił Annę ku sobie. – I masz być chętna, kiedy do ciebie przyjdę. Chcę dziedzica. Syna! – krzyknął na cały głos, po czym otworzył drzwi komnaty i wypchnął żonę z całych sił, tak że wpadła na przeciwległą ścianę. Rozbiłaby pewnie głowę o twardy mur, gdyby w ostatniej chwili nie zasłoniła twarzy ręką, uszkadzając jednak nadgarstek.

Spojrzała na prawą dłoń, która już wydobrzała. Na twarzy też nie było śladu pobicia, ale jej smutne oczy zdradzały, że jest nieszczęśliwa. Patrząc na zbliżającą się siostrę, Anna przywołała uśmiech na usta. Helena dreptała z tyłu. Muszę unikać jej wzroku, pomyślała księżniczka, bo niania zawsze wszystko wie. Nie miała ochoty na tłumaczenia. Wstydziała się, że mąż ją bije i zdradza. Gdyby była wystarczająco dobrą

żoną, z pewnością by tego nie robił. Dlatego nie powinna narzekać i skarżyć się na Wilhelma, bo jeżeli ktoś ponosił w tym związku winę, to tylko ona.

Elżbieta podeszła do siostry. Przywitały się serdecznie. Od dnia ich spotkania minęło kilka dni. Były nierozłączne. Podróż do Rzymu odbyły w jednym powozie, prosząc Helenę i ochmistrzymię z fraucymeru Anny, aby zajęły inny wóz. Chciały swobodnie porozmawiać. Kto wie, kiedy znowu nadarzy się taka okazja.

Wreszcie nadszedł wielce wyczekiwany przez wszystkich dzień. 16 marca 1452 roku zrobił królowi Fryderykowi i jego oblubienicy Eleonorze Aviz miłą niespodziankę. Deszcz, który jeszcze wczoraj po południu lał się z nieba strumieniami, przestał padać w nocy. Niebo zrobiło się czyste i gwiaździste, zapowiadając słoneczną pogodę.

Marcowe promienie obudziły Elżbietę. Dziś stryj się żeni, przypomniała sobie. Czy Eleonora jest szczęśliwa?, przebiegło księżniczce przez myśl. Czy można cieszyć się, kiedy przyszły mąż mógłby być twoim ojcem? Gdyby chociaż Fryderyk był przystojny i szczodry. Kiedy podzieliła się tymi przemyśleniami z nianią, Helena wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Taki nasz los. Nieszczęście to drugie imię kobiety.

*

Patrząc na bogato zdobioną suknię ślubną Eleonory, Elżbieta zaczęła dawać wiarę krążącym wśród dworzan plotkom, że posag infantki pozwoli królowi uporać się z długami i pustym skarbcom.

– Czy wiesz, nianiu, że infantka przywiozła ze sobą ponoć sześćdziesiąt tysięcy guldenów, a poza tym kilka skrzyń zdobnych strojów, skrzynię klejnotów, srebrnych kielichów wysadzanych szlachetnymi kamieniami i piękną porcelaną z Chin. – Elżbieta już dawno nie była taka podekscytowana.

– Nie można wszystkiego brać dosłownie, księżniczko. Ludzie zawsze lubią dużo gadać.

Elżbieta uśmiechnęła się do Heleny i znowu przeniosła wzrok na pannę młodą, stojącą na stopniach bazyliki, która pamiętała jeszcze czasy cesarza Konstantyna Wielkiego. Młodziutka oblubienica miała piękne włosy. Gęste, długie, lekko falujące o niezwykłym kolorze – ani brązowe, ani rude. Ich kolor zależał od światła, jakie akurat padało na miękkie pukle. Elżbieta westchnęła. Takie włosy to marzenie każdej kobiety. Sama miała bardzo jasne, twarde sploty, które trudno się układało.

Przysadzisty kardynał Eneaszy Sylwiusz Piccolomini udzielał parze sakramentu ślubu. Tymczasem Anna, zamiast podziwiać, tak jak jej siostra, suknię infantki Eleonory, przyglądała się duchownemu, który pochylał się nad stryjem i coś do niego mówił. Miała już okazję poznać kardynała Piccolominiego, kiedy przebywała na dworze swej babki, Barbary Cylejskiej. Nie potrafiła się do niego przekonać, chociaż duchowny wyglądał na sympatycznego człowieka. A jednak było coś takiego w jego twarzy, że zniechęcał Annę do siebie. Zamyśliła się tak bardzo, że nawet nie zwróciła uwagi, iż ceremonia zaślubin dobiegła końca.

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami zaproszeni na weselną ucztę mieli udać się do znajdującego się niedaleko Pałacu Apostolskiego.

– Spodziewałam się większego przepychu – szepnęła Elżbieta do ucha idącej obok Anny.

W przypadku Pałacu Apostolskiego trudno było mówić o przepychu. Budynek bardzo podupadł w czasie papieskiej niewoli awiniońskiej, kiedy następcy Świętego Piotra nie rezydowali w Rzymie. Od tamtej pory minęło sporo czasu, a mimo to pałacu nie przywrócono jeszcze do dawnej świetności.

– Nie dziwi mnie, że stryj zaprosił tu gości. Zawsze szczędził grosza

na przyjemności. Myślisz, że teraz, kiedy wreszcie może podreperować skarbiec, będzie chciał wydawać posag, jaki wniosła mu żona, tylko po to, aby szlachetnie urodzeni najedli się i napili do syta? – Anna spojrzała na siostrę i mrugnęła do niej okiem.

– Ale kiedy wjeżdżałam do Wiednia, Dunaj od krwi zarzynanych świń zmienił barwę – zaproponowała Elżbieta.

– Chyba nie myślisz, że za to mięsiwo stryj płaci z własnej kieszeni. Plotka głosi, że ucztę w Rzymie zorganizowali tutejsi możni, a tę w Wiedniu przygotowali dla siebie mieszczanie. Ponoć stryj obiecał im jakieś ulgi. Ale wątpię, by dotrzymał słowa.

Przerwały rozmowę, bo służba zaczęła usadzać gości. Helenie wskazano miejsce przy stole bardziej odległym. Elżbieta i Anna ze względu na bliskie pokrewieństwo z królem Fryderykiem zasiadły do stołu głównego. Po prawej stronie księżniczki Elżbiety siedziała jej siostra, a po lewej niewiele od niej starsza młoda kobieta w towarzystwie męża i mniej więcej czteroletniej dziewczynki. Dziecko było spokojne. Wyglądało na przestraszone. Kobieta pochwyciła spojrzenie Elżbiety.

– Powiedziano mi, że mam siedzieć obok podopiecznej króla Fryderyka. Niech będzie mi wolno, Wasza Książęca Mość, wyrazić moją i męża radość, że posadzono nas przy tak zacnym gościu. – Przerwę między jednym zdaniem a drugim wykorzystała Elżbieta, która wolała dowiedzieć się, kim jest jej rozmówczyni, niż słuchać nużących komplementów. – Jestem Izolda Sommerlich. Mam być jedną z dam dworu Jej Wysokości królowej Eleonory. Mój mąż Henryk Sommerlich od dawna służy królowi Fryderykowi. A to nasza córeczka, Katarzyna. Mam nadzieję, że i ona, kiedy dorośnie, dostąpi tego zaszczytu i zostanie damą dworu królowej – usłyszała w odpowiedzi.

Elżbieta skinęła tylko głową i już nie podtrzymała rozmowy. Zdecydowanie bardziej wolała coś zjeść. Od rana nie miała nic w ustach

i zaczęło jej burczeć w brzuchu.

Kiedy goście zaspokoili pierwszy głód, zapowiedziano pokazy wędrownych trup teatralnych, które na ten dzień ściągnęły z różnych zakątków Italii, a nawet odległych krajów. Wreszcie nadszedł czas na zabawę.

Ponieważ stoły ustawiono w kształt litery U, reszta komnaty była pusta, stając się naturalną sceną, na którą wkroczyli aktorzy.

– Wasze Wysokości! – wykrzyknął jeden z nich i wysunął się przed pozostałych. – Chcemy przedstawić Wam dziś zmagania Świętego Piotra, bo skoro dostąpiliśmy tego zaszczytu, że wpuszczono nas w progi tego niezwykłego pałacu, stojącego zapewne na ziemi, po której wieki temu stąpali apostołowie, cóż może być bardziej odpowiednie od opowieści o najważniejszym z nich, który stał się opoką chrześcijan i Kościoła.

Elżbieta rozejrzała się po sali. Bardziej niż moralitet o zmaganiach apostoła interesowali ją zaproszeni goście, w szczególności panny i kobiety. Przyglądała się im z zaciekawieniem i taksowała krytycznym wzrokiem. Czasami na jej twarzy pojawiał się delikatny, ledwo widoczny uśmiech, innym razem grymas niezadowolenia. To otwierała szeroko oczy, to je mrużyła.

Tymczasem na scenie pojawili się ogromni aniołowie. Ubrani na biało aktorzy, chodzący na szrudłach, poruszali przyczepionymi do pleców wielkimi skrzydłami, które wykonano z różnego rodzaju piór. Niektóre były już tak podniszczone, że przy każdym ruchu pierze opadało na kamienną podłogę. Wyglądało to tak, jakby z sufitu padał śnieg. Nagle na scenie pojawiła się czarna, zamaskowana postać. Po długim ogonie, czerwonych rogach i racicach można było poznać, że oto do walki o duszę głównego bohatera przystąpił diabeł. Za nim ciągnął się kordon pomniejszych demonów, które atakowały zaciekle anioły, broniące Świętego Piotra. Kotłowanie przerwał donośny huk, niczym grom z jasnego nieba. W komnacie zapanowała kompletna cisza.

Z mgły, jaka powoli opadała, wyłonił się ubrany na biało mężczyzna. Na głowie miał koronę, w ręce trzymał Biblię. Długa, śnieżnobiała broda sięgała mu do pasa. Stał między Szatanem a aniołami. Dobro i zło ustawiło się po obu stronach starca. Zza jego placów wyłoniła się sylwetka Świętego Piotra. Apostoł wyglądał na zmęczonego. Opierał się ciężko na utrzymanym w ręku kosturze. Drugą wolną dłoń trzymał się szaty starca.

Goście weselni wstrzymali oddech. Nawet dzieci ucichły. Ciszę przerwało nagle głośne kichnięcie. Jedno, drugie i trzecie. Ludzie zaczęli szukać winowajcy. Brwi króla Fryderyka ściągnęły się złowieszczo.

– Cicho! – ryknął niczym lew.

Aktorzy odczekali kilka chwil i znowu wrócili do gry. W komnacie zaczęły pojawiać się nowe postaci. Najpierw ukazały się Cnoty. Ubrana na zielono, trzymająca w dłoni zieloną witekę Nadzieja. Potem obleczona w czerwoną, zwiewną suknię weszła Miłość. Tuż za nią kroczyła Wiara, trzymająca kielich eucharystyczny i wielki drewniany krzyż. Następnie, idąc obok siebie, weszły Męstwo, Mądrość i Umiarkowanie. Cnoty stanęły po prawej stronie apostoła. Teraz zaczęły pojawiać się grzechy. Próżność paradowała, wypinając dumnie przyozdobioną klejnotami pierś. W wysoko upiętych włosach kiwały się kolorowe pióra. Za nią szła Niezgoda, która miała na głowie warkocze, wyglądające jak węzowe sploty. W dłoniach trzymała zapalone pochodnie. Doszły jeszcze Lenistwo i Gniew, całe czerwone na twarzy, z pianą na ustach. Grzechy złapały lewą rękę Świętego Piotra.

Na koniec pojawiła się stara, przygarbiona kobieta ubrana w żałobne szaty. To Pokuta, która uosabiała wyrzuty sumienia. Przysiadła z przodu, tuż przy bosych stopach starca.

– Piotrze! – Białobrody mężczyzna zwrócił się do apostoła, który odsunął się od niego na kilka kroków. – Stajesz przed obliczem ojca swego. Przed obliczem Boga Prawdziwego. Niech więc mówią za ciebie

twoje Grzechy i twoje Cnoty.

Po tych słowach aktor, któremu przypadła rola Stwórcy, odsunął się na bok, a Cnoty i Grzechy zaczęły szarpać to w prawo, to w lewo apostołem, próbując przeciągnąć go na swoją stronę. Za każdym razem, kiedy Święty Piotr przesunął się w stronę ciemności, rozległ się mocny grzmot, który rozchodził się po ścianach komnaty. Kiedy zaś stawał po stronie jasności, do uszu zebranych dolatywał ptasi trel. W końcu, po długiej i wyczerpującej walce, wygrały Cnoty. Bóg ujął Świętego Piotra za rękę. W izbie pojawiła się mgła, przesłaniając postaci aktorów. Kiedy się rozwiała, w sali byli już tylko sami goście. Rozległa się burza oklasków.

Nawet mało wylewny Fryderyk klaskał mocno i długo. Elżbieta też przyłączyła się do braw.

Aktorzy wyszli, by pokłonić się przed monarchą i pozostałą widownią.

– Wspaniałe! – Fryderyk wyszedł z za stołu i ruszył w stronę mężczyzny, który jeszcze przed chwilą był przebrany za Boga. Kiedy przed nim stanął, padł na kolana i skłonił się nisko, uprawiając tym wszystkim w konsternację. Mężczyzna nie wiedział, co ma robić. – Boże – rzekł Fryderyk, patrząc na przestraszonego aktora – byłeś stwórcą wszystkiego. – Po tych słowach wstał. – Oto twoja nagroda. – Zdjął z palca wskazującego ogromny pierścień z rubinem i mu go podał.

Nie czekając na słowa podziękowań, wrócił na miejsce. Goście nagrodzili króla gromkimi brawami.

– Bawmy się! – zakrzyknął monarcha, sadowiając się na swoim miejscu. Był w doskonałym humorze.

Elżbieta widziała go takiego po raz pierwszy. Jako człowieka, który potrafi się bawić, cieszyć, śmiać i nie jest skąpy. Tymczasem Fryderyk pochylił się ku milczącej, ale uśmiechniętej Eleonorze Aviz i złożył na jej ustach soczysty, głęboki pocałunek. Tym gestem uprawił gości

w prawdziwy szal radości. Zaczęli bić brawa i prosić o jeszcze.

– Pocałunek! Pocałunek! – krzyczeli, ile sił w gardłach.

Elżbieta poszukała wzrokiem Anny. Siostra patrzyła w jej stronę. Śmiała się serdecznie, tak jak pozostali. I też domagała się kolejnego całusa.

– Pocałunek! – krzyknęła Elżbieta, przyłączając się do pozostałych.

Potem wystąpili jeszcze histrioni, co wywołało u goszczących na ucztach duchownych w niezadowolenie. Kościół od dawna potępiał histrionów, ponieważ większość z nich wykorzystywała swoje ciała, aby zaprezentować się publiczności w pełnych ekspresji tańcach lub przedstawieniach cyrkowych. Następnie pojawili się muzycy, a nawet magicy. W końcu król dał znak, że przyszła pora na tańce.

Elżbieta wracała akurat z krótkiej przechadzki, w której towarzyszyła jej niania Helena. Musiała zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, a także ulżyć pęcherzowi. Zbliżały się akurat do małej grupki młodzieńców, którzy tak byli zajęci rozmową, że nie zauważyli nadchodzących kobiet.

– Mam nadzieję, że król nie każe nam tańczyć ze swoją podopieczną. Chociaż podobno jest księżniczką.

– Nawet gdyby była cesarzową, za nic w świecie nie zatańczyłbym z takim brzydactwem. – Po tych słowach chłopcy wybuchnęli śmiechem i ruszyli do komnaty w poszukiwaniu pięknych panien.

Helena chciała przytulić księżniczkę, ale ta zrobiła unik i z wysoko podniesioną głową poszła do izby w ślad za młodymi prześmiewcami.

*

Od powrotu Elżbiety wraz z nianią z Rzymu na zamek w Orth minęły trzy tygodnie. Wyjechały stamtąd nazajutrz po koronacji stryja na cesarza, która odbyła się 19 marca 1452 roku. Tego dnia zbudził Elżbietę dziwny dźwięk. Miała wrażenie, że ktoś sypie groch na podłogę. Leżała spokojnie w łóżku i nasłuchiwała. Już miała wstać,

kiedy do komnaty wpadła zaczerwieniona od biegu Anna.

– Wstawaj, siostrzyczko! – krzyknęła i nie zatrzymując się przy łożu Elżbiety, podbiegła do okna. – Musisz to zobaczyć.

Elżbieta wygramoliła się z ciepłej pościeli.

– To grad? – zapytała, patrząc na Annę szeroko otwartymi oczami.

– Grad. – Pokiwała głową starsza z sióstr.

Elżbieta już wiele razy widziała grad, ale nigdy nie był tak wielki. Niektóre kule były tak duże, że wyglądały jak kurze jaja. Patrzyła zafascynowana, jak lecący z nieba lód niszczy krzewy, drzewa, a nawet rzeźby i ozdoby budynków.

– Pan Bóg wydaje się niezadowolony z decyzji stryja. – Elżbieta szturchnęła siostrę w bok i obie wybuchnęły śmiechem.

– Ciii. – Anna przyłożyła palec do ust. – Tu ściany mają uszy.

Kiedy jednak zasiadły w ławie znajdującej się w nawie głównej bazyliki, na której schodach zaledwie trzy dni wcześniej kardynał Piccolomini dawał ślub Fryderykowi i Eleonorze, niebo było błękitne, a zza kilku niewielkich chmur wyglądało ciepłe marcowe słońce.

Pięcionawowa bazylika pękała w szwach.

– Przybył tu chyba cały Rzym – szepnęła Helena do siedzącej obok niej kobiety, z którą zaprzyjaźniła się podczas tych kilku dni pobytu w Wiecznym Mieście. Matrona pokiwała głową, obracając się w prawo i w lewo, aby przekonać się o tym na własne oczy.

Kościół wzniesiono setki lat temu. Ponoć jeszcze za czasów cesarza Konstantyna Wielkiego, który chciał zaznaczyć w ten sposób miejsce spoczynku Świętego Piotra. Czas zrobił swoje. Budynek był w złym stanie. Aż dziw, że żaden z papieży nie zdecydował się na budowę nowego gmachu.

Panujący w środku gwar ucichł, kiedy w szatach koronacyjnych pojawił się Fryderyk. Szedł powoli, dumnie. Z wysoko podniesioną głową. Zmierzał wprost do ołtarza, gdzie czekał na niego papież Mikołaj

V w towarzystwie kardynałów i biskupów. Wśród tłumu duchowieństwa Elżbieta dostrzegła też Piccolominiego.

Ponieważ ceremonia strasznie ją nudziła, zatopiła się w modlitwie. Nieświadoma, że na jej twarzy pojawił się grymas zmartwienia, powtarzała kolejne ojczenasze. Helena nie spuszczała oka ze swojej podopiecznej. Martwiła się, że księżniczka nie chce porozmawiać o tym, co usłyszała na swój temat na uczcie weselnej. Na wszystkie próby podjęcia rozmowy machała lekceważąco ręką, ale kiedy nikt nie patrzył, na jej twarzy pojawiał się taki właśnie grymas jak teraz.

Niania obserwowała Elżbietę od dnia wyjazdu ze stolicy Italii. Znała kruchą psychikę młodych dziewcząt, które nawet jeżeli się do tego nie przyznawały, chciały ładnie wyglądać, kusić, flirtować i budzić zachwyt. Żadna kobieta, młoda czy stara, nie powinna usłyszeć o sobie tak przykrych słów. Chociaż Elżbieta grała twardą i obojętną na zewnątrz piękno, którego jej brakowało, Helena była przekonana, że księżniczka pragnęłaby być nieco bardziej urodziwa. Niania zamyśliła się tak bardzo, że nie dostrzegła zbliżającej się podopiecznej.

– Nianiu. Nianiu... – Elżbieta podniosła głos, ale Helena Kottanner nie reagowała. – Nianiu! – krzyknęła. – Wołam cię i wołam. Dostałam list. Z Brukseli.

*

Rogier van der Weyden wszedł na wielki plac w Brukseli, która obok Antwerpii była drugim najważniejszym miastem Brabancji, znajdującej się pod zwierzchnictwem książąt Burgundii. Ostatnio wśród jej mieszkańców krążyły plotki, że na ziemi te zęby ostrzą sobie austriaccy Habsburgowie.

Może być w tym wiele prawdy, pomyślał Rogier van der Weyden, idąc spacerkiem jedną z bocznych ulic prowadzących na rynek. Był w Rzymie podczas koronacji Fryderyka III na cesarza i patrząc na jego

postać i zaciętą twarz, doszedł do wniosku, że monarcha nade wszystko pragnie uznania i władzy. I nowych ziem. A Bruksela i Antwerpia były bardzo łakomym kąskiem. Miasta bogate, przynoszące wysokie dochody z handlu, znajdujące się na znanym szlaku handlowym prowadzącym z Brugii do Kolonii. Śmiech bawiących się dzieci sprawił, że przestał myśleć o tak ponurych rzeczach. Zmierzał do cechu malarzy, który znajdował się na głównym placu, Nedermerckt, w kamienicy Maison du Pigeon, tuż obok domu cechowego krawców, nad którym roztaczało pieczę popiersie patronki, Barbary.

Zatrzymał się, żeby zerknąć na ratusz. Lubił przyglądać się pracom budowlanym. Zaledwie trzy lata wcześniej w 1449 roku Karol Śmiały, syn księcia Burgundii Filipa Dobrego, położył kamień węgielny pod budowę wieży ratuszowej. Miała być wzniesiona na planie kwadratu. Gdy w kwietniu 1452 roku budowniczowie pracujący pod czujnym okiem architekta Jana van Ruysbroeka osiągnęli połowę wysokości wieży, na podstawie pięciu dolnych kondygnacji zaczęły pojawiać się zarysy czterech strzelistych wieżyczek, okalających wysoką konstrukcję, którą miano zwieńczyć połączoną rzeźbą Archanioła Michała zabijającego Szatana. Do ukończenia wieży było jeszcze daleko, ale i tak już cieszyło oczy to, co wyrastało z ziemi.

Rogier nie był jedynym, który przychodził pod ratusz podziwiać postęp prac. Było to także ulubione miejsce mniej lub bardziej utalentowanych malarzy i rysowników. Już miał zawrócić w stronę kamienicy cechowej, kiedy jeden z rysunków przykuł jego wzrok. Młody chłopak, któremu pod nosem zaczął rzucać się pierwszy wąż, a na brodzie pojawiły się kępki delikatnych jasnych włosów, rysował zapamiętale. Był tym tak pochłonięty, że nie zwrócił uwagi na patrzącego na niego z podziwem Rogiera. Malarz wodził wzrokiem za dłoń chłopca. Detale pojawiające się na papierze były nad wyraz szczegółowe i rzeczywiste. Widać było, że młodzieniec ma prawdziwy,

rzadko spotykany talent.

– Masz talent, młodzieńcze – odezwał się w końcu.

Rysownik nie podniósł głowy.

– Masz talent! – powiedział Rogier głośniej.

– Mówisz do mnie, panie? – Dopiero za drugim razem spojrzął na stojącego tuż obok rozmówcę, który skinął twierdząco głową.

– Mam tego więcej. – I sięgnął po teczkę.

Rogier wziął ją, rozejrzał się, a nie widząc nigdzie odpowiedniego miejsca, gdzie mógłby spocząć, usiadł prosto na ziemi. Przeglądał szkice i rysunki. Przy jednych zatrzymywał się dłużej, inne omiatał tylko wzrokiem. W końcu oddał teczkę chłopcu i poklepał go po ramieniu.

– Wstąp za kilka dni do domu należącego do cechu malarzy. Tam właśnie zmierzam. Pytaj o Rogiera van der Weydena.

– Dziękuję, panie. Przyjdę na pewno.

– A, zapomniałbym. – Rogier zatrzymał się w pół kroku. – Jak ci na imię, chłopcze?

– Hans, panie. Hans Memling.

Rogier uśmiechnął się na pożegnanie i ruszył do rzeczonyj kamienicy. Na dole znajdowały się warsztaty, teraz pełne terminujących chłopców. Na kolejnych piętrach swoje biura mieli włodarze cechu. Dom nie należał do najpiękniejszych na rynku, ale van der Weyden miał do niego dziwną słabość. Może to przez te wielkie, szerokie okna, które wyglądały jak rozszerzone strachem lub podziwem oczy dziecka. A może dlatego, że tuż obok swoje kramy zazwyczaj rozstawiały kwiaciarki, które lubiły słuchać jego opowieści z podróży.

– A, pan van der Weyden! – wykrzyknęła jedna z nich, machając do Rogiera czerwoną różą. – Czyżby podróż dobiegła końca?

– Niestety, miasto takie jak Rzym zawsze ciężko opuszczać – odpowiedział, po czym wzruszył z rezygnacją ramionami i wszedł do ciemnej sieni.

Miał do załatwienia ważną sprawę. Chciał otworzyć warsztat, wziąć pod skrzydła uczniów i na dłużej osiąść w Brukseli. Jeszcze tylko wyprawa na zamek w Orth z polecenia cesarza Fryderyka, a potem będzie mógł w spokoju oddać się pasji malowania.

*

– Kiedy to się skończy? – Elżbieta patrzyła zirytowana na przysłonięte sztalugi. Rogier van der Weyden właśnie od nich odszedł i za pozwoleniem księżniczki udał się do zamkowej kuchni, gdzie czekał na niego spóźniony popołudniowy posiłek.

– Cierpliwości. Spójrz, proszę. – Helena skinieniem głowy wskazała na widoczny fragment obrazu. – Będzie piękny. Już widać, jak cudownie na nim wyglądasz.

Mina Elżbiety mówiła coś innego. Od kiedy poinformowała nianię, że otrzymała list z Brukseli, w którym van der Weyden zapowiedział swój przyjazd, była poddenerwowana. Zdenerwowanie osiągnęło apogeum w dniu, w którym brukselski malarz stanął w głównej komnacie i przekazał jej list polecający od cesarza Fryderyka, stryja Elżbiety. Już od kilkudziesięciu dni Elżbieta godzinami pozowała do portretu. Zły nastrój nie mijał, chociaż zdążyła się przekonać, że Rogier van der Weyden to utalentowany portrecista.

– To nie wszystko! – podniosła głos, machając ręką w stronę sztalug. – To tylko główny portret. Potem będzie jeszcze malował miniatury, które, jak wiesz, zamówił stryj. Cesarz drwi sobie ze mnie. Chce przesłać miniatury na dwór, który ponoć zwrócił się do niego z prośbą o moją rękę! – Emocje zaczęły brać górę. – A tam młodzi, piękni mężczyźni, a wraz z nimi równie piękne panny będą się ze mnie śmiać. A jakby tego było mało, będą im wtórowali błażni. Ich śmiech dotrze aż tu. Tu! – Pokazała podłogę, mając na myśli zamek w Orth. – Jeszcze się przekonasz, że miałam rację. Jeszcze go usłyszysz! – Wypowiedziała te

słowa głośno i takim tonem, jakby rzucała klątwę. Nie czekając na odpowiedź zaskoczonej jej wybuchem niani, opuściła główną komnatę i udała się do swoich pokoi.

Helena Kottanner podeszła do obrazu, żeby przyjrzeć mu się krytycznym okiem. Chciała na niego spojrzeć oczami swojej ukochanej podopiecznej i zrozumieć jej nieuzasadniony strach. Tak jak się tego obawiała, słowa głupców zraniły księżniczkę dogłębnie i zostawiły w jej sercu jątrzącą się ranę.

Rogier van der Weyden, najwyraźniej poinstruowany przez cesarza Fryderyka, namalował tylko popiersie Elżbiety, dzięki czemu nie było widać, że jest ona niskiego wzrostu. Lata przymierania głodem, kiedy była dzieckiem, sprawiły, że nie urosła tak jak chociażby jej siostra Anna, a zły stan kości spowodował, że miała lekko zaokrąglone plecy. Ostatnie lata były trochę lepsze, dzięki czemu udało się Elżbiecie nabrać nieco ciała, przez co jej twarz się zaokrągliła. Na obrazie van der Weydena była jednak wysmuklona. Malarz łagodnie zaznaczył kości policzkowe, a oczy namalował lekko przymrużone. Proste, jasne i gęste włosy modelki przysłonił zwiewnym welonem, który trzymał się na głowie dzięki sznurowi pereł. Kwadratowy dekolt czerwonej sukni, której kolor kontrastował z jasnym, śnieżnobiałym obliczem Elżbiety, dodatkowo wyszczuplił szyję. Na wyłaniającym się powoli obrazie księżniczka miała długą łabędzią szyję.

– Pięknie, pięknie – szepnęła Helena i rąbkiem haftowanej chusteczki wytarła łzę w kąciuku oka.

*

Przysadzista, czerwona na twarzy kobieta stała na tyłach niskiej, podupadającej kamienicy. Patrzyła na zamknięte ciężkie metalowe drzwi, do których przymocowano szpetną kołatkę. Od dobrych kilkudziesięciu minut próbowała dostać się do środka, stojąc na wietrze

i deszczu. Październik 1452 roku w Moguncji nie należał do udanych. Słońce schowało się za chmury już pod koniec września i taka pogoda się utrzymywała.

– Wiem, że tam jesteś, Janie Gutenberg! – wrzeszczała na całe gardło, nie martwiąc się obecnością ciekawskich przechodniów, których na plac zwabiły odgłosy kłótni. – Wyłaż natychmiast!

Przysunęła się do drzwi i przytknęła do nich ucho. Miała rację. Jej mąż Jan, złotnik i drukarz, był w środku. A gdzież indziej miałby być?, pomyślała i ponownie zaczęła walić w drzwi. Od kilku lat ogarnięty był ideą druku. Zamykał się w swoim warsztacie na całe dni, a ostatnio nawet na tygodnie. Prawie nie jadł, nie zmieniał odzieży, nie mył się, tylko pracował. Zajmował się czymś, co nazywał czcionką, a co było dla niej nie do pomyślenia. Coś rzeźbił w drewnie, coś odlewał w metalu lub lepił z gliny. Malutkie, nieporęczne, dziwaczne tabliczki. Zapomniał o stałych klientach. Już nie zajmował się złotem i kamieniami szlachetnymi. Nie zarabiał. Zaczęli mówić, że Jan zwariował. A teraz jeszcze to.

– Wyłaż natychmiast! – powtórzyła już nieco ciszej, bo zaczęło ją boleć gardło. – Jan Fusta tu był. Bój się Boga, Janie, coś ty narobił. – Kobieta zalała się łzami, które zmieszały się z padającym deszczem.

Gapie zaczęli się rozchodzić. Nici z przedstawienia. Woleli poszukać innej rozrywki, niż pocieszać załamana kobietę, której przed oczami stanęły obrazy z wczorajszego dnia.

– Droga pani Gutenberg. – Głos Jana Fusty był niski, nieprzyjemny. – Jestem tu, aby rozmówić się z pani mężem, ale wiem, że nie wyjdzie do mnie, bo pracuje. Cała Moguncja mówi tylko o dziwnym wynalazku naszego złotnika. Ufam jednak, że jako jego małżonka wie pani, co robi mąż. Otóż jest mi winien sporą kwotę. Żeby być dokładnym, powiem, że to osiemset guldenów. Ma mi je oddać najpóźniej do końca miesiąca. Później nie będę już taki miły. – Po tych słowach skierował się

do drzwi, w których przystanął jeszcze na chwilę. – Miłego wieczoru życzę. – I już go nie było.

Osiemset guldenów, ta kwota utkwiła głęboko w umyśle zrozpaczonej żony Jana Gutenberga. Akurat podnosiła się zrezygnowana z błotnistej ziemi, kiedy drzwi pracowni otwarły się na oścież i stanął w nich brudny, spocony Gutenberg.

– Jest! Oto ona! – krzyknął i potrząsnął trzymanymi w dłoni wielkimi kartkami papieru, zapisanymi ozdobnym drukiem.

*

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia na zamku w Orth pojawił się posłaniec cesarski. Przywiózł prezent dla księżniczki Elżbiety.

– Wygląda na to, że Eleonora ma na niego bardzo dobry wpływ – skomentowała księżniczka, biorąc do ręki duży, ciężki przedmiot zapakowany w aksamit. – Zacznę od listu. Mimo wszystko trudno mi uwierzyć w dobre intencje stryja – dodała, uśmiechając się porozumiewawczo do Heleny.

Siedziała w pokoju niani. Kiedy rano jej opiekunka nie pojawiła się w głównej komnacie, gdzie miały w zwyczaju spożywać śniadania, bardzo się zaniepokoiła. To nie było podobne do Heleny Kottanner, która hołdowała dewizie, że przede wszystkim obowiązki. Tylko ciężka choroba mogła przeszkodzić jej w ich wykonaniu. Kiedy Elżbieta zapukała do drzwi niani, ta zaprosiła ją do środka cichym umęczonym głosem. Dwie godziny później miejscowy medyk stwierdził, że to zatrucie.

– Zawsze oszczędzamy, nie dojadamy. Szkoda było mi to wyrzucić. – Helena wskazała na garniec zupy, który teraz był prawie pusty. – Nie przypuszczałam, że może się zepsuć na tym zimnie.

– Nic nie jeść do jutra. Pić zioła i leżeć. – Takie było zalecenie medyka,

który podczas całego badania kręcił głową na lekkomyślność niani.

Kiedy w końcu zostały same, Elżbieta pochwaliła się prezentem. Rozsiadła się wygodnie w fotelu ustawionym tuż obok łóżka Heleny i przemknęła wzrokiem po liście.

– Posłuchaj, okazało się, że stryj otrzymał od swojego dłużnika kilka egzemplarzy Pisma Świętego. Jeden przesyła mi w prezencie. Ale to ponoć nie jest zwykła Biblia. Nie została przepisana przez kopistów – Elżbieta przerwała w pół słowa i przeczytała fragment listu po cichu – lecz wydrukowana za pomocą czegoś, co stryj nazywa czcionką. Wydrukował ją niejaki Jan Gutenberg z Moguncji. Niedawno stracił cały majątek wraz z warsztatem, w którym znajdowały się maszyny drukarskie, czcionki wszelkiego rodzaju i rozmiaru oraz kilka egzemplarzy Pisma Świętego. Wszystko zarekwirował jego wierzyciel Jan Fusta, kupiec z Moguncji, który z kolei był dłużnikiem wasala stryja. I tak cztery księgi trafiły do Fryderyka i Eleonory. Jeden egzemplarz stryj posyła mnie, bo jak pisze: „jestem odczytana i przyjemność sprawi mi obcowanie nie tylko ze słowem Bożym, lecz także geniuszem człowieka, którego los zwiódł na manowce”. Dziwnie czytać takie słowa, wiedząc, że wyszły spod ręki stryja, nie sądzisz?

Niania pokiwała głową.

Elżbieta odłożyła list i sięgnęła po księgę, którą z czasem zaczęła nazywać Biblią Gutenberga.

*

Wiosna 1452 roku była w Krakowie ciepła i mokra. Od kilku tygodni bezustannie padał deszcz, ale temperatura była iście letnia, co spowodowało, że nad miastem unosiła się chmara żądnych krwi komarów. Na domiar złego zaczęła szerzyć się także plaga pcheł, dlatego mieszkańcy drapali się bezustannie.

Drapali się zwykli krakowianie i dostojni dworzanie: od kanclerza

wielkiego koronnego począwszy, przez marszałka dworu, prywatnego sekretarza królewskiego, stolnika, cześnika, kucharzy, stajennych, a na piekarzach, kuchcikach i pomniejszych służących skończywszy. Drapał się także król, który wreszcie po wielu miesiącach pobytu na Litwie wrócił do Krakowa na początku lipca w towarzystwie kasztelana krakowskiego Jana z Czyżowa, wojewody krakowskiego Jana z Tęczyna oraz podkanclerza Piotra Wody ze Szczekocin.

Na twarzach zebranych w komnacie na wezwanie króla dostojników malowało się zatroskanie. W izbie obecny był prywatny sekretarz króla Jan Sprowski Odrowąż, marszałek wielki Mikołaj Lanckoroński z Brzezia, marszałek dworu Jan Bejzat z Mokrska, kasztelan krakowski Jan z Czyżowa oraz rajcy krakowscy: Jan Borek, którego zwano też Jan Berg, i Mikołaj Wierzynek z rodu Wierzyńków, którego ojca ścięto kilka lat wcześniej za defraudację funduszy miejskich. Jego syn Mikołaj dwoił się i troił, żeby usunąć tę zadrę na honorze rodu. Przy każdej sposobności dziękował królowi za okazane zaufanie.

– Rajco – powiedział kiedyś Kazimierz – moje zaufanie nie ma nic do rzeczy. Jeżeli pójdiesz w ślady ojca, skończysz tak jak on, pod katowskim mieczem.

Teraz dostojnicy wpatrywali się w króla.

– Dostojni panowie, czy jest aż tak źle? – zapytał Kazimierz, siedząc za stołem, na którym piętrzyły się papiery urzędowe, opatrzone pieczęciami różnej wielkości. Wśród nich był też niedawno przeczytany przez Jagiellończyka list od cesarza Fryderyka.

– Już jest niedobrze, a będzie jeszcze gorzej. Zaczęło się na Kazimierzu. Niedawno doniesiono mi, że zmarło tam już ponad sto osób. – Jan Borek mówił szybko, żywo przy tym gestykulując. – Wysłałem tam medyków. Ludzie się ich boją i nie chcą wpuszczać do domu, ale nie można pozwolić, aby lekarze wchodzili w sam środek zarazy niezabezpieczeni.

Rajca nawiązał do stroju, w jakim po zakażonych częściach miasta poruszali się medycy i ich pomocnicy. Ludzie na widok czarnych, zamaskowanych postaci zamykali drzwi. Lekarze, chroniąc się przed chorobą, nakładali na twarz maskę przypominającą ptasią głowę. Do części wyglądającej jak dziób nalewali eteryczne olejki zapachowe, które chociaż w minimalnym stopniu łagodziły niemożliwy do zniesienia odór zgnilizny, odpadków, chorych spoconych ciał, fekaliiów, rzygowin i rozkładających się trupów.

Zalecono stosowanie octu siedmiu złodziei lub driakwi. Biedacy mieli leczyć się czosnkiem.

Do rozmowy włączył się Jan z Czyżowa.

– Trzeba czekać. Może Bóg oszczędzi nas biednych i zaraza zostanie stłumiona w zarodku. Wysłano na miasto szczurołapów. Zabijają je i palą, a wraz z nimi wszystko, co miało styczność z zakażonym. Pozostaje nam się modlić i czekać.

– Miejmy nadzieję, że mór się cofnie. Mieszkańcy robią się niespokojni i skorzy do wszczynania zamieszek. Zaczynają szeptać między sobą, że to вина Żydów. – Rajca Mikołaj Wierzynek wyglądał na zmartwionego. Znał kilku przedstawicieli żydowskiej społeczności i nie sądził, aby byli winni plagi, jaka nawiedziła Kraków.

Kazimierz pokiwał głową. Przestraszeni ludzie zawsze szukali winnych. Żydzi byli łatwym celem. Mogło dojść do pogromu. Trzeba temu zapobiec, pomyślał. Po chwili sięgnął po jeden z listów leżących na stole i małą miniaturę przedstawiającą, jak zdążyli dostrzec znajdujący się w komnacie panowie, kobietę.

– Mości sekretarzu – zwrócił się król z uśmiechem do Jana Sprowskiego. – Dostałem list od cesarza Fryderyka, w którym zachwala mi swoją podopieczną Elżbietę, córkę Albrechta II i Elżbiety Luksemburskiej, do której ręki ponoć konkurujemy. Przystał nawet jej miniaturę. – Kazimierz podniósł się, kończąc spotkanie bardziej

optymistycznym akcentem.

*

– To niesłychane, że można mieszkać w miejscu, w którym nie jest przeraźliwie zimno. – Elżbieta podeszła do brata, który kilka tygodni wcześniej wysłał po nią aż z Pragi swoich ludzi.

– Kiedy tylko odzyskałem tron, pomyślałem o tobie, kochana siostró. Na samą myśl, że wciąż przebywasz na zamku w Orth, serce mi się ścisnęło. Chociaż jesteś tu gościem, chcę, abyś czuła się jak w domu. Tak jak wtedy, kiedy żyła mama. – Po tych słowach podszedł do Elżbiety i mocno ją przytulił.

Władysław miał dopiero trzynaście lat, ale był o głowę wyższy od starszej o cztery lata Elżbiety, której natura zaokrągliła plecy, a na dodatek sama się garbiła. Jej brat trzymał się prosto, dzięki czemu wydał się jej jeszcze wyższy. Podziwiała jego urodę i to, jak dobrze wyglądał. Pobyt w Pradze bardzo mu służył. Także świadomość, że za dwa tygodnie, 28 października 1453 roku, miał zostać koronowany na króla Czech i Węgier, wpływała na jego pewność i zdecydowanie potrzebne monarsze. Na uroczystościach koronacyjnych spodziewano się delegacji z wielu europejskich dworów. Swój przyjazd zapowiedzieli także wysłannicy króla Kazimierza Jagiellończyka, którzy poprosili o audiencję.

Czas spędzony w Pradze Elżbieta uważała za najlepszy okres w swoim dotychczasowym życiu. Dni upływały jej na czytaniu, haftowaniu, nauce francuskiego, spacerach w dniach, kiedy świat zalewał się słonecznymi promieniami. Ani się spostrzegli, gdy nadszedł dzień koronacji Władysława. Elżbieta była dumna, gdy biskup Jan z Rokycana nakładał na głowę brata królewską koronę. Żałowała, że Anna, ich starsza siostra, nie mogła być tu razem z nimi. Anna spodziewała się drugiego dziecka, które mogło przyjść na świat lada moment. Może nawet rodzi się w tej

chwili, pomyślała Elżbieta. Od narodzin jej myśli pobiegły do śmierci. Do dnia, w którym straciła ukochaną matkę.

– Byłabyś dumna, mamó – szepnęła i zatopiła się w modlitwie.

Przed kościołem Świętego Wita zebrał się tłum prażan skandujących na cześć króla Władysława. Uczta i zabawy przeciągnęły się aż do rana. Elżbieta zmęczona, ale szczęśliwa, zasnęła w chwili, kiedy na niebie pojawił się pierwszy promyk późnopaździernikowego słońca.

Następnego dnia Władysław poprosił Elżbietę o chwilę prywatnej rozmowy.

– Dziś w południe przyjąłem na audiencji trzech dostojników, których przysłał do mnie król Kazimierz Jagiellończyk. Przybyli na nasz dwór w roli dziewosłębów. Proszą o twoją rękę. Słyszałem wiele dobrego o polskim monarsze. Ponoć to człowiek opanowany, spokojny, uczciwy. Dotrzymujący słowa, kochający rodzinę i dbający o swoich poddanych. Pewnie jak każdy ma wady, ale najwyraźniej tak nieliczne, że jeszcze nie dotarły do moich uszu. Mówi się za to, że kobiety uwielbiają go pasjami. Plotka głosi, że to piękny, postawny mężczyzna. I młody. – Ostatnie słowa Władysław podkreślił z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Jestem gotów przyjąć propozycję, ale kazałem dostojnikom polskim poczekać na odpowiedź. Zgodzę się tylko wtedy, kiedy także ty będziesz tego chciała.

Elżbieta wpatrywała się w brata zaskoczona. Raz już jej zaręczyny zakończyły się upokorzeniem. Słów swojego pierwszego narzeczonego, Fryderyka, oraz prześmiewczych uwag strojnisiów na balu w Rzymie z okazji zaślubin stryja z Eleonorą wciąż nie zapomniała. Wiedziała oczywiście, że jeśli nie stryj, to Władysław otrzyma propozycję ożenku dla niej. Ale już dziś?! Tak nagle!?

Zrobiła krok do tyłu, jakby chciała się w ten sposób choć trochę zdystansować od tego, co przed chwilą usłyszała. Czyż nie tego chciała? Mężczyzny uczciwego, spokojnego, który by jej nie zdradzał? Nie

marzyła, żeby był piękny, ale skoro trafił się i taki, czy ma prawo odmówić? Była dziwnie pewna, że Kazimierz przypadnie jej do gustu. Ale czy ona spodoba się jemu? Co zrobi, jeżeli odrzuci ją tak jak Fryderyk?

– Co odpowiesz, siostrze? – Władysław przerwał jej rozmyślenia. Wciąż jeszcze przechodził mutację, dlatego raz mówił cienkim głosikiem, a innym razem, tak jak teraz, głosem dorosłego mężczyzny.

– Odpowiedz, że przyjmuję propozycję. Chciałabym jednak zobaczyć najpierw jakąś miniaturę mego przyszłego męża.

– Myślę, że lepiej będzie wysłać wraz z krakowskimi delegatami naszych dostojników, aby na własne oczy przyjrżeli się nie tylko fizjonomii Kazimierza, ale także poznali jego sposób myślenia. Co powiesz, siostrze?

– Niech będzie. Zaczniij przygotowania. – Elżbieta skinęła głową. Wciąż miała wątpliwości.

– Ty również. – Uśmiechnął się do siostry, kiedy ta spojrzała na niego pytająco. – Niania Helena już ci nie wystarczy. Może jestem młody i na dodatek jestem mężczyzną, ale wiem, że powinnaś mieć fraucymer. Czas zacząć szukać odpowiednich kandydatek, które, gdy nadejdzie czas, wyruszą z tobą do Krakowa.

Od tej chwili przez kilka kolejnych miesięcy między Krakowem a Pragą kursowali królewscy posłańcy, uzgadniając szczegóły małżeńskiego kontraktu. Zgodnie z nim panna młoda miała otrzymać od przyszłego małżonka dobra w ziemi sandomierskiej i łęczyckiej. On zaś miał dostać posag w złocie, który okazał się kwotą nad wyraz skromną, co najwyraźniej nie przeszkadzało polskiemu monarsze.

*

Dzień wyjazdu do Krakowa zbliżał się nieubłaganie. Zgodnie z postanowieniami przyszły mąż miał przywitać ją po drodze,

w Cieszynie. Cztery dni przed wyruszeniem w podróż pojawiła się na zamku na Hradczanach delegacja panów krakowskich.

– Wiedziałam! – krzyknęła Elżbieta, kiedy poinformowano ją, w jakiej sprawie przybyli goście z Polski.

Helena, która poruszała się z trudem z powodu pokaźnej tuszy, podeszła do księżniczki i nie zważając na jej protesty, przytuliła ją do piersi.

– Ciii – szeptała, kołysząc się lekko.

– Zima! – Elżbieta wyswobodziła się z jej objęć. – Władysław powiedział, że proszą o trzy dni zwłoki. Ponoć zima w Polsce jest tak sroga, że trudno poruszać się po drodze i zwierzynę na ucztę weselną upolować. Ale jak mam dać temu wiarę, skoro u nas za oknem świeci słońce, a śniegu tyle co brudu za kocim pazurem. – Podeszła energicznie do okna, odsunęła ciężkie kotary i spojrzała na podwórze. – Widzisz. – Skinieniem głowy pokazała na lekko tylko przyprószone dachy, plac i wąskie uliczki.

Niania milczała. Wiedziała, że żadne słowa nie uspokoją Elżbiety. Uspokoi się dopiero wtedy, kiedy powie wszystko, co leży jej na sercu, które pewnie teraz drżało ze zdenerwowania. Zresztą Helena Kottanner też czuła niepokój. Modliła się w duchu, żeby słowa delegatów były prawdziwe. To byłaby tragedia, gdyby powtórzyła się sytuacja sprzed wielu lat, kiedy narzeczony księżniczki uciekł z inną panną, nie prosząc jej nawet o wybaczenie.

– Dowiedział się, jak wyglądam. – Elżbieta podeszła do małego lusterka z polerowanego srebra i zerknęła na niewyraźne odbicie. – Jego dziewczęstęby przekazały mu wiadomości o moim wyglądzie. Skoro to piękny mężczyzna, postawny, do którego wzdychają kobiety, pewnie może w nich przebierać. Niejedna uroczą księżniczka bez słowa sprzeciwu wyszłaby za niego. Czy mając wybór wśród tylu urodziwych panien, spojrzysz na mnie, brzydką? – I wybuchnęła płaczem.

I tak przez kolejne dni albo się złościła, albo płakała nad swoją brzydota, przeklinając Boga i stryja, którego skąpstwo spowodowało zniszczenie jej kości i zdeformowanie postawy. Uspokoiała się w końcu dzień przed wyjazdem, kiedy potwierdzono wymarsz orszaku.

*

Słowa krakowskich delegatów całkowicie się potwierdziły. W miarę zbliżania się do polskiej granicy odczuwali coraz dotkliwsze zimno. Śnieg padał coraz obficie. Potem przeszedł w rześisty deszcz, lejący się ciężkimi strugami z nieba. Orszak Elżbiety, składający się z kilkunastu wozów, ciągnął się powoli, ponieważ konie ślizgały się na zaśnieżonych i oblodzonych drogach. Ze względu na dotkliwe zimno, któremu z trudem można było zaradzić mimo ciepłej odzieży, grubych pledów i futrzanych narzut, księżniczka Elżbieta wraz z nianią postanowiła jechać wozem razem z damami należącymi do jej fraucymeru.

Zdecydowała się na razie na cztery młode panny, nieco tylko od niej starsze. Ich wybór konsultowała z Heleną. Podpytywała także brata Władysława, chcąc poznać jak najdokładniej historię ich rodzin, zwłaszcza że listy polecające pochodziły od stryja Fryderyka. Obawiała się, że będzie jej chciał podesłać kogoś z nizin społecznych, tak jak uczynił to w przypadku malarza Rogiera van der Weydena. O ile jego obecność mogła znieść, ponieważ wiedziała, że jest tylko tymczasowa, o tyle nie zniosłaby obecności damy dworu, z którą przyszyłoby jej obcować każdego dnia przez kilka kolejnych lat. Dlatego wolała się upewnić, że stryj nie podrzuca jej zgniłego jabłka do kosza pełnego świeżych owoców.

Po jej lewej stronie siedziała opatulona i skulona Anna Schwarzenberger, córka barona Erkingera I Schwarzenbergera z Seinsheim, pana na zamku Schwarzenburg. Ojciec Anny przez długi czas był kapitanem wojsk królewskich i walczył z husytami. Swoją

żołnierską karierę zwieńczył w 1429 roku, kiedy otrzymał tytuł barona. Trzy lata po tym wydarzeniu nabył od biskupa Johanna II von Brunną majątek Marienberg, położony nieopodal Würzburga. Ojciec Anny zmarł, kiedy ta miała zaledwie trzy latka, dlatego Elżbieta od razu poczuła do tej wysokiej i szczupłej, wręcz chudej, panny sympatię.

Koło Anny rozsiadła się Maria Mattencloit. Jej ojciec Tillman Mattencloit sprawował funkcję burmistrza w miasteczku Geseke i zyskał uznanie cesarza Fryderyka jako zdolny zarządca podlegających mu ziem, z których spływały do cesarskiego skarbcza pokaźne kwoty. Maria miała zamknięte oczy. Wyglądało, że śpi, ale nierówny oddech świadczył o tym, że czuwa. Mało się odzywała, a kiedy już musiała coś powiedzieć, spuszczała głowę i wpatrywała się w noski swoich trzewików. Poza tym mówiła tak cicho, że trzeba było wyteńczyć słuch, aby ją usłyszeć. Dlatego też Elżbieta zamieniła z nią zaledwie kilka słów od dnia, w którym Maria wraz z trzema służącymi przybyła na zamek w Pradze.

Po prawej stronie księżniczki siedziała Eleonora Saint Genois. Dziewczyna słusznej postury. Nie dość, że wysoka, znacznie wyższa od większości mężczyzn, to jeszcze tęga. Kiedy Elżbieta zobaczyła ją po raz pierwszy, pomyślała, że gdyby oblec Eleonorę w skórę niedźwiedzia, wyglądałaby jak stojące na dwóch łapach i szykujące się do ataku zwierzę. Od razu podzieliła się tą myślą z Heleną, wywołując szczerzy uśmiech na twarzy niani.

Tego samego wieczoru, już po wieczerzy, udała się do Władysława, aby dowiedzieć się czegoś o kolejnej damie swego fraucymeru.

– To szlachcice pochodzący z Flandrii. Stryj wspomniał w liście, że przodkowie ojca Eleonory brali udział w wyprawach krzyżowych. Przez jakiś czas byli wasalami królów francuskich, jednak dziad Eleonory osiadł w Austrii, stając się naszym poddanym – wyjaśnił.

Tę rozmowę odbyła z bratem ponad trzy tygodnie temu. Eleonora

chętnie odpowiadała na pytania, a czasami nawet niepytana mówiła ze swadą o rodzinnych stronach i swoich najbliższych. Przy okazji jednej z takich pogaduszek okazało się, że portret Eleonory, który zamówiła matka dziewczyny przed rozstaniem z córką, namalował nie kto inny jak Rogier van der Weyden.

– Dziwne, ale wzmianka o Rogierze sprawiła, że poczułam do tej dziewczyny jeszcze większą sympatię niż w dniu, kiedy stanęła w progu komnaty reprezentacyjnej na zamku na Hradczanach – powiedziała Elżbieta, nachylając się nad uchem niani, która uśmiechem potwierdziła, że też lubi Eleonorę.

Zresztą nie dało się jej nie lubić. Była szczerą i otwartą, w przeciwieństwie do Augusty von Briesen, córki pana na zamku w Ziebelle koło Triebel. Augusta była jedynym dzieckiem pana na Ziebelle. Wychowywana w otoczeniu licznych niań, rozpieszczona, chwalona i kochana przez rodziców, wysoko nosiła głowę, podkreślając na każdym kroku, że wywodzi się z rodu o bardzo długiej historii, ponieważ pierwsze wzmianki o von Briesenach pochodziły ponoć z 1170 roku. Była niska i szczupła. Twarz miała pociągłą, oczy duże, chociaż wiecznie przymrużone, jakby cały czas lustrowała otoczenie, nie chcąc, żeby obserwowani wiedzieli, że na nich patrzy. Jeżeli nie mówiła akurat o swoich rodzicach lub rodzie von Briesenów, milczała, sznurując usta w wąską kreskę, co nadawało jej twarzy wyjątkowo nieprzyjemny wyraz.

– Nie jest brzydka, ale kiedy tak zaciska wargi, robi się szpetna. – Elżbieta zerknęła w stronę szepczącej Eleonory, która właśnie pochylała się nad Marią. Widząc wzrok księżniczki, obie panny nieco speszone spuściły oczy. Po chwili roześmiały się cicho.

Po kilku dniach ciężkiej podróży orszak księżniczki Elżbiety stanął w ośnieżonym Cieszynie, gdzie zgodnie z ustaleniami miał czekać na nią narzeczony, król Kazimierz IV Jagiellończyk.

Zamiast niego powitał ich pan cieszyńskiego zamku. Szeroki uśmiech, który pojawił się na jego twarzy na widok książęcego wozu, zamarł prawie natychmiast, kiedy mężczyzna ogarnął wzrokiem rycerzy towarzyszących Elżbiecie i jej damom. Było ich prawie dwa tysiące. Czesi i Polacy, patrzący na zebranych ludzi z wysokości końskiego grzbietu, których należało ugościć i rozlokować.

– Czekamy już trzy dni. – Elżbieta patrzyła na szczupłą twarz dowódcy rycerzy polskich. Czarna, gęsta broda zasłaniała mu usta, przez co nie było wiadomo, czy jego twarz jest poważna, czy uśmiechnięta. – Najwyraźniej coś się wydarzyło.

*

Orszak Kazimierza zatrzymał się w Skawinie. Postój był tak niespodziewany, że wzbudził niemałe poruszenie wśród jadących.

Noc w Skawinie upłynęła królowi na zmaganiu się z bezsennością. Ale najwyraźniej nie tylko on nie zmrużył oka. Bładym świtem doniesiono mu, że królowa Zofia pragnie się z nim natychmiast zobaczyć. Nie miał ochoty na pogawędki z matką, której przenikliwość czasami go przerażała. Miał wrażenie, że czyta z niego jak z otwartej książki. Niemniej chciał się komuś zwierzyć ze swoich wątpliwości. Gdyby miał jakiegoś innego powiernika, pewnie z nim rozmawiałby o sprawach, do których nie chciał wciągać rodzicielki, ale nie miał nikogo takiego, więc chcąc nie chcąc, musiał ją przyjąć.

Zofia Holszańska pojawiła się w komnacie syna i już od progu, posyłając mu groźne spojrzenie, powiedziała:

– Zanim spróbujesz mi przerwać, pozwól, że powiem, co leży mi na sercu. Nie przypuszczałam, że wychowam cię na mężczyznę, który mógłby obrazić swoim zachowaniem kobietę tylko dlatego, że ta nie może poszczycić się pięknym obliczem. Jeszcze niedawno miewałeś kochanki. Och, nie przewracaj oczami. Nawet znam je z imienia, więc

doskonale wiem, jak wyglądają. To normalne, że wybierałeś ładne i pięknie zaokrąglone, tam, gdzie natura nakazuje, aby kobieta była zaokrąglona, ale Elżbieta ma być twoją żoną, a nie kochanką. Bierz sobie inne powabne panny do łóżka, jeżeli musisz nacieszyć oko ładnym obliczem, ale, na Boga, nie próbuj ośmieszyć dziewczyny przy swoich urzędnikach i jej fraucymerze, zrywając zaręczyny. Doniesiono mi, że to skromna osoba, więc mam nadzieję, że będzie taką żoną, jakiej byś sobie życzył.

Kazimierz nie zamierzał odpowiadać na słowa matki, która zresztą dobrze wiedziała, że jeżeli syn uprze się przy swoim, żadne prośby i groźby nie przekonają go do zmiany zdania. Trzeba było postępować z nim ostrożnie, bo chociaż kochał matkę całym sercem, nie należał do synów, którzy byli swoim rodzicielkom ślepo posłuszni. Zawsze miał swoje zdanie i przy nim obstawał, zwłaszcza gdy sprawa dotyczyła jego osoby. Dlatego Zofia nie nalegała.

– Zostawiam cię samego – powiedziała na koniec. – Mam nadzieję, że podejmiesz słuszną decyzję.

Lubił kobiety, ale nie do przesady. Jeżeli miał kochankę, to jedną i bywał jej wierny, dopóki zapraszał ją do swego łóżka. Od kilku tygodni nie spotykał się z żadną. Podświadomie przygotowywał się na przyjęcie narzeczonej. Cieszył się na jej przyjazd. Kiedy zobaczył jej portrecik, spodobała mu się. Jednak dla pewności wysłał posłów, aby na własne oczy zobaczyli, jak wygląda księżniczka. Po powrocie z Pragi, gdzie przebywała, zapewnili go, że jest młoda i ładna. Nie miał powodów, żeby nie wierzyć swoim ludziom. A jednak okłamali go. Dlaczego?

Czy zdoła się przemóc i stanąć z nią na ślubnym kobiercu? Uśmiechnął się krzywo na myśl, że ślub to najmniejszy problem. Po uczcie przyjdzie mu spędzić z nią noc poślubną. Czy stanie na wysokości zadania? Czy spełni się jako mężczyzna, nie czując do żony pociągu?

Już chciał przywołać sekretarza, aby załatwił wszystkie formalności i zawrócił pannę do domu, ale zatrzymał się w pół kroku i podszedł do okna. Nad Skawiną zawisła już noc. Elżbieta pewnie śpi zmęczona podróżą i czekaniem na niego. Nie, nie może postąpić jak ostatni szubrawiec i odesłać księżniczki tylko dlatego, że Bóg nie dał jej urody. Może ma inne zalety?, pomyślał i nieco uspokojony położył się spać.

Następnego dnia rano przywołał łożnego i kilku pokojowców, żeby pomogli mu dobrać ubranie. Uznał, że powaga sytuacji wymaga odświętnego stroju. Zamiast zwykłego prostego dubletu włożył dopiero co przyniesiony od krawca, nieco krótszy, z baskinką wokół bioder i niewielkimi bufkami przy rękawach, które od połowy ramienia ciasno opinały rękę. Podano mu spodnie, których głęboka lśniąca czerń doskonale pasowała do intensywnej czerwieni dubletu. Na to narzucił krótki płaszcz bez rękawów, zapinany na sześć ozdobnych guzików. Zerknął na swoje odbicie, obrócił się to w jedną, to w drugą stronę, żeby ocenić, czy strój dobrze leży też z tyłu. Wyprostował się, ściągnął łopatki, a kręcone pukle ciemnych włosów, które dotykały ramion, odrzucił do tyłu. Był gotów na spotkanie z narzeczoną.

*

Wreszcie w sobotę, w dniu Świętej Apolonii, Elżbieta otrzymała wiadomość, na którą z takim niepokojem czekała.

– Jada! – krzyknęła Helena, równie mocno podekscytowana jak jej podopieczna. – Cały orszak. Ponoć tak wspaniały, że oczu nie można oderwać.

Na jego czele jechał sam Kazimierz wraz z matką, która lekko się uśmiechała. Świadomość, że jej syn jest człowiekiem odpowiedzialnym i honorowym, sprawiła, że była w wyśmienitym nastroju, którego nie mogła zepsuć nawet fatalna pogoda. W toczącej się po drodze strojnej królewskiej kawalkadzie znaleźli się także: Jan, arcybiskup gnieźnieński;

Grzegorz, arcybiskup lwowski; Jan, biskup wrocławski; Andrzej, biskup poznański; Mikołaj, biskup przemyski; Waław, książę raciborski; książęta oświęcimscy Jan i Waław oraz niezliczona liczba panów i dostojników.

Ludzie zbierający się na drodze orszaku, patrząc na uśmiechniętą, przystojną twarz Kazimierza, nie domyśliliby się, że zaledwie kilkanaście godzin temu w jego głowie rozgrywał się swoisty dramat.

Król wyglądał wspaniale. Jego ubiór i przybranie konia, na którym jechał, były pełne przepychu. Wieść niosła, że siodło, wędzidło, strzemiona i nakrycia z aksamitu oraz złotogłowi kosztowały czterdzieści tysięcy czerwonych złotych. Większość podziwiała ten przepych, widoczny także na idących w orszaku panach polskich, ale byli też tacy, którzy uważali, że ci ostatni nieco przesadzili, błyszcząc niepotrzebnie złotem i purpurą.

I pewnie blask byłby jeszcze większy, gdyby przejazdowi zamiast ciężkich, ciemnych chmur, z których nieprzerwanie lała się strumieniami woda, towarzyszyły promienie słońca. Bogate stroje zrobiły się od deszczu ciężkie i niewygodne, a mimo to z twarzy ludzi jadących w królewskim orszaku nie schodził uśmiech.

Z mijanych po drodze kościołów powychodziły procesje, które z powodu okropnej pogody, zamiast towarzyszyć królowi, jego matce, królowej Zofii, oraz pozostałym dostojnikom w drodze na spotkanie królewskiej narzeczonej, czym prędzej uciekały do domów, aby schronić się przed lodowatym deszczem.

I wreszcie na horyzoncie oczom Kazimierza ukazał się orszak Elżbiety. Powozy stały w miejscu, czekając na niego.

Powitanie dalece odbiegało od wyobrażeń księżniczki. Było krótkie i skończyło się na chłodnym podaniu rąk. Królowa Zofia, aby nieco złagodzić jego oschłość, wzięła wyraźnie zasmuconą Elżbietę pod rękę i zaprosiła do swojego powozu. Odgłos trąb oznajmił odjazd orszaków.

Do Krakowa dotarły one rankiem 9 lutego 1454 roku. Na dworze wciąż jeszcze było szaro. Ostra zima sprawiła, że zwykle ruchliwe o tej porze miasto wyglądało, jakby wciąż spało. Pod zamkowymi murami kręciło się tylko kilku żebraków wypatrujących okazji do zdobycia jakiegoś grosza.

Wóz, w którym siedziała księżniczka, zatrzymał się na chwilę przed Bramą Floriańską.

Elżbieta wychyliła głowę. Była ciekawa miasta, które na resztę życia miało stać się jej domem. Brama nie była zbyt szeroka, ale wznosiła się nad nią wysoka baszta z jasnego kamienia. Mniej więcej w połowie wysokości zwieszało się z niej godło przedstawiające orła. Brama otoczona była głęboką fosą, nad którą zawisł most zwodzony. Tuż obok niej stały w ogródkach kramy prochowe, co nie było zbyt rozropne ze względu na groźbę wybuchu.

Do uszu siedzących w wozie kobiet dotarł przejmujący dźwięk szczękającego żelastwa. To strażnicy podnosili w górę brony – żelazne kraty strzegące przejścia przez bramę. W końcu orszak ruszył. Elżbieta nie zamierzała chować się na wozie. Zżerała ją ciekawość. Przed oczami rozpościerała się dość szeroka ulica. Po obu jej stronach stały jedna przy drugiej murowane, wyglądające wręcz na warowne, kamienice. Wystarczył rzut oka, aby przekonać się, że mieszkali tu ludzie zamożni. Zapewne bogaci mieszczanie albo szlachta. Do domów prowadziły furty. Były ciężkie, mocne i z zaporami, broniącymi nieproszonym gościom, którzy po nocach wałęsali się po mieście, dostępu do domu. Małe okna zapewne wpuszczały do środka niewiele światła dziennego, ale za to, podobnie jak wejście, strzegły mieszkańców przed rabusiami. Dodatkowo miały zamontowane okiennice, a niektóre nawet ozdobne kute kraty. Elżbieta zauważyła, że jedna z bram jest otwarta na oścież. Wychyliła się jeszcze bardziej, żeby zobaczyć wewnątrz kamienicy. Dostrzegła obszerną sień i rzeźbione odrzwia, prowadzące zapewne

do równie obszernych izb.

Zadarła głowę, żeby zerknąć, jak wysoko sięgają domy. Ile mają pięter. Była zaskoczona kamienicami, które do tej pory zobaczyła. Wszystkie wyglądały na bogatsze, większe i obszerniejsze niż te w Pradze. Jej wzrok przykuły rynny, upiększone rzeźbami przedstawiającymi w większości smocze pyski. Każda kamienica miała na fasadzie godło lub charakterystyczną rzeźbę: anioły, baranki, smoki. Gdzieś po drodze mignął jej napis, którego nie zrozumiała, a który był nazwą domu – „Pod Konikiem”. Zauważyła też pięknie wygiętą jaszczurkę.

Nagle pojawiły się przed nimi wielkie toczące się powoli wozy. Konie, chociaż mocne, były wyczerpane.

– Są wypełnione solą – wyjaśniła królowa Zofia. Niania zerknęła na ładunek, a potem na monarchinię, wdzięczna, że pozwoliła jej zająć miejsce tuż obok księżniczki Elżbiety w swoim powozie.

Przed nimi posuwały się powoli kolejne ładunki. Wozy z kamieniem łamanym z Krzemionek; wozy napełnione wodą, która chlupała przy każdym ruchu stękających z wysiłku koni i kół, które wyglądały, jakby za chwilę miały pęknąć. W wodzie tej pluskały się żywe, świeżo złowione ryby. Były też wozy pełne beczek węgierskiego wina. I takie, na których kołysało się drewno spławione Wisłą. Gdzieś w oddali mignęło kilka wozów wypełnionych zbożem, ale ruch wciąż był niewielki. Ci, którzy musieli wyjść z ciepłych domów, przemykali pospiesznie ulicami okutani grubymi, futrzanymi okryciami.

W końcu ulica przeszła w szeroki plac. Oczom księżniczki Elżbiety i Heleny ukazał się wielki czworokątny rynek, do którego zbiegały się chyba wszystkie ulice w mieście i na którym panowały tłok i gwar. Cisnęli się tu mężczyźni i kobiety ciągnące dzieci za ręce i co rusz na nie pokrzykujące, aby nie zawieruszyły się gdzieś w tej ludzkiej kotłownianinie. Nad wszystkimi tymi głosami górowało gdakanie kur

i pianie kogutów. Większość z przebywających tu spieszyła w stronę Sukiennic, gdzie znajdowały się wagi miejskie, na których ważono przywieziony towar. Oprócz sprzedawców i kupujących tłoczyli się tu złodziejaszki i żebracy.

Nagle zerwał się przeraźliwie zimny wiatr przenikający do szpiku kości. Elżbieta wzięła głęboki wdech. Do jej nozdrzy doleciał zapach miasta – dymu z pieców, nieczystości, ludzkich ciał, produktów wystawionych na sprzedaż na rynku i w Sukiennicach oraz charakterystyczny metaliczny zapach krwi, który dotarł tu aż z Małego Rynku, na którym ustawiono jatki rzeźnicze.

– Daleko jeszcze? – Elżbieta zagadnęła siedzącą obok Zofii damę, która tłumaczyła z polskiego na niemiecki i odwrotnie.

– Nie, Wasza Księżęca Mość. Jesteśmy na ulicy zwanej Grodzką, a stąd już prosto na zamek królewski, gdzie pewnie już na Waszą Księżęcą Mość czekają.

Elżbieta skinieniem głowy podziękowała za wyjaśnienie. Nareszcie. Była śmiertelnie zmęczona i zmarznięta, skostniały jej ręce i nogi, chociaż miała je przykryte grubym futrem. Chciało jej się spać i jeść. Albo może jeść, a potem spać?

Tymczasem na zamku krakowskim, u drzwi kościoła, czekał na nią Zbigniew Oleśnicki, kardynał i biskup krakowski, któremu towarzyszyli prałaci i kanonicy. Chcieli powitać przyszlą żonę króla, ale także towarzyszyć jej podczas składania stosownej ofiary na ołtarzu. Dopiero po zakończeniu ceremonii odprowadzono śmiertelnie zmęczoną Elżbietę do przygotowanej dla niej komnaty.

*

10 lutego 1454 roku Elżbieta Habsburg została zaślubiona królowi Kazimierzowi IV Jagiellończykowi i tego samego dnia koronowana na królową Polski.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że ślub jednak doszedł do skutku. Po tym jak Kazimierz ją przywitał, była pewna, że będzie musiała wrócić do brata, do Pragi, a stamtąd trafi do klasztoru. Nie miała bowiem ochoty po raz kolejny wystawiać się na pośmiewisko. Pogodziłaby się z faktem, że z braku urody pozostanie sama. Poświęciłaby się służbie Bogu. Zajęciu odpowiedniemu dla panien takich jak ona. A jednak następnego dnia po przybyciu do Krakowa ubrano ją w kosztowne szaty i przygotowano do zaślubin, a zaraz potem do koronacji.

– Jestem królową – szepnęła i przeciągnęła się uśmiechnięta.

Przydzielono jej komnatę tuż obok izby Kazimierza. Zastanawiała się, czy po uczcie, nie tak sutej, jak się spodziewała, mąż zawita do jej łóżka, ale on tylko cmoknął ją w czoło, niczym troskliwy ojciec. Coś do niej powiedział, zapewne życzył dobrej nocy, i odszedł.

– Żartowniś z niego, nieprawdaż? – usłyszała za plecami słowa wypowiedziane niezgrabną niemczyzną, gdy wciąż stała w drzwiach swojej komnaty, patrząc, jak Kazimierz odchodzi w głąb korytarza, gdzie znajdowały się jego pokoje: sypialnia i gabinet, w którym pracował i przyjmował na audiencji.

Odwróciła się i zobaczyła tego samego mężczyznę, który zadzwił z niej w dniu przyjazdu, zaraz po tym jak Kazimierz wybiegł z sali, zostawiając ją samą i niepewną.

– To przecież tortura życzyć żonie dobrej nocy, a samemu odejść w siną dal. – Po tych słowach, podskakując wesoło, oddalił się w ślad za królem.

Chociaż wiedziała, że rola błaznów polega na drwieniu i kpieniu, poczuła do niego silną niechęć już od pierwszego wejrzenia. Ale Gąska, który pobiegł szukać swojej królowej, Zofii Holszańskiej, od dawna nie przejmował się nienawiścią, jaką żywili do niego ludzie.

Pukanie do drzwi sprawiło, że wspomnienie uleciało tak szybko, jak się pojawiło. Do komnaty weszła Helena, a wraz z nią kilka łóżnych, aby

pomóc królowej w porannej toalecie i ubiorze.

– Królowa matka prosi, Wasza Królewska Mość. – Helena skłoniła się lekko. Nie była pewna, czy sposób, w jaki zwracała się do Elżbiety do tej pory, będzie jej odpowiadał.

– Dziękuję, nianiu. A, i proszę cię, postaraj się nie zmieniać. – Nie mówiąc nic więcej, pozwoliła łożnym, by zajęły się jej osobą.

Wreszcie była gotowa. Zofia Holszańska czekała na nią w swojej komnacie. Była sama.

– Usiądź, proszę. – Wskazała stojący obok niej fotel. – Kiedy tylko dowiedziałam się, że Kazimierz zamierza się ożenić, pomyślałam, żeby ułatwić jego żonie zadomowienie się. Wiem, jak trudno odnaleźć się w nowym, nieznanym miejscu. Dlatego wraz z moim ochmistrem przez ostatnich kilka miesięcy szukałam odpowiednich ludzi do objęcia stanowisk na twoim królewskim dworze. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona i rozumiesz, że takie rozwiązanie jest w tej chwili najlepsze. Kiedy już poznasz ludzi tych najbliższych Kazimierzowi, a także innych urzędników i poddanych, wtedy sama zdecydujesz, czy pozostawisz na służbie wybranych przeze mnie, czy zechcesz powołać nowych urzędników. – Zofia przerwała i zerknęła na Elżbietę, która wyglądała, jakby nieco obawiała się teściowej. Ta uśmiechnęła się lekko. Sama nie wiedziała, czy uśmiechnęła się, bo spodobało jej się to, co zaobserwowała, czy żeby dodać Elżbiecie otuchy.

Tymczasem Elżbieta wciąż milczała. Przez tych kilka dni zdążyła zauważyć, że królowa matka lubi mieć swoje zdanie. Nie chciała zrazić jej do siebie. Postanowiła więc, że będzie słuchała jej rad, o ile nie będą kłócić się z jej własnymi przekonaniem i pragnieniami.

– Dziękuję, matko, że pomyślałaś o mnie. To doskonałe rozwiązanie. Nie znam jeszcze nikogo, więc jak słusznie zauważyłaś, nie mogłabym dokonać właściwego wyboru. A nie chcemy przecież, żeby w naszym bliskim otoczeniu byli ludzie, którym nie można ufać.

Mówiąc to, wciąż obserwowała Zofię. Poważna twarz królowej matki rozjaśniła się nareszcie w szerokim, szczerym uśmiechu. Takiej synowej oczekiwała. Pokornej i mądrej. Nic nie szkodzi, że niegrzeszącej urodą. Te braki nadrobi intelektem i spokojnym charakterem, przemknęło Zofii przez myśl. Miała ochotę wstać i pobiec do Kazimierza, aby powiedzieć synowi, jaki skarb mu się trafił.

– Zanim przejdziemy do części zamku, gdzie zebrali się kandydaci na urzędników twojego dworu oraz damy, które dobrze byłoby włączyć do królewskiego fraucymeru, muszę zapytać, jak układają się stosunki między wami, tobą i Kazimierzem. – Zofia lekko przekrzywiła głowę, czekając w napięciu na to, co powie synowa.

– Trudno rozwozić się nad naszymi stosunkami, skoro nie umiemy się porozumieć. Milczymy, kiedy jesteśmy we własnym towarzystwie. Ubolewam, że nie poznałam języka Kazimierza i moich nowych poddanych. Nie wszyscy władają językiem niemieckim tak dobrze jak ty, matko. – Zofia doskonale wiedziała, że nie mówi najlepiej, ale potrafiła docenić kurtuazyjną wypowiedź Elżbiety. Dziewczyna coraz bardziej ujmowała ją za serce.

– Myślę, że coś na to zaradzimy i ani się obejrzysz, będziesz władać polskim, jakbyś się tu urodziła. – Po tych słowach wstała, dając do zrozumienia, że czas spędzony w jej komnacie dobiegł końca.

Do części zamku, w której znajdowały się pokoje urzędników, dworzan, familiantów, pokojowców i innych mieszkańców Wawelu, doszły w milczeniu. Na widok królowej matki oraz królowej Elżbiety zebrani w dużej komnacie zerwali się na bacność, kłaniając się po kolei.

Zofia podeszła najpierw do wysokiego, szczupłego mężczyzny. Elżbieta zlustrowała go uważnie wzrokiem. Zapewne nie przekroczył jeszcze trzydziestego roku życia.

– Oto Mikołaj Róża z Borzyszowic, który, jeżeli wyrazisz zgodę, zajmie stanowisko ochmistrza. Jest człowiekiem od dziecka obeznanym

z protokołem, jakim rządzi się życie na dworze królewskim, ponieważ przybył tu jako zaledwie ośmioletni chłopiec. Przyjechał do nas wraz ze starszym bratem Zawiszą, który od lat jest moim zaufanym podkomorzym. Trzeci brat jest lojalnym sługą Kazimierza i pełni funkcję kuchmistrza.

Mikołaj skłonił się nisko, czekając na słowa aprobaty.

– Polegam na słowach królowej matki i cieszę się, że ktoś z tak zacnego domu będzie trwał przy moim boku.

– A to Mikołaj Korytko herbu Jelita, którego polecam na kuchmistrza dworu królowej. – Zofia zatrzymała się przed młodym, może dwudziestoletnim mężczyzną, nieco tylko wyższym od Elżbiety, która skinęła aprobująco głową.

Potem przysłała pora na zapoznanie się z kandydatami na urzędy: kanderza, podskarbiego, podczaszego, podstolnika, kucharza, pokojowego. Elżbieta poznała także kilku dodatkowych łożnych oraz krawca, który wyglądał, jakby zaraz miał się przewrócić z przejęcia, że został przedstawiony nowej królowej.

Na koniec Zofia podeszła do grupki młodych kobiet, które z niecierpliwością oczekiwały na prezentację.

– A oto damy do twojego fraucymeru. Zapewne przyzwyczyłaś się do swoich dwórek, zwłaszcza że nie ma między wami bariery językowej, jednakże powinnaś przebywać wśród ludzi znających nie tylko język polski, lecz także tradycje, obyczaje i wszystko, co wiąże się z miejscem, które od dnia ślubu jest twoim domem. Źle by to wyglądało, gdybyś otaczała się jedynie damami pochodzącymi z twoich okolic. – Ostatnie słowa Zofia powiedziała z naciskiem, dając Elżbiecie do zrozumienia, że w tej sprawie nie zniesie żadnego sprzeciwu.

Skinieniem głowy wezwała do siebie pierwszą z dwórek. Wydawała się ona najstarsza, na jej twarzy pojawiły się już pierwsze zmarszczki. Elżbieta pomyślała, że kobieta przekroczyła trzeci krzyżyk. Słowa

królowej matki tylko potwierdziły jej przypuszczenia.

– Dorota z Sienna Koniecpolska może obok Heleny Kottanner pełnić funkcję przełożonej fraucymeru. Jej męża Jana Taszkę Koniecpolskiego spotkasz tu zapewne nieraz, jest bowiem kanclerzem wielkim koronnym twego męża. – Dorota Koniecpolska dygnęła z wdziękiem przy słowach prezentacji. – Proponuję, żeby została ona także twoją nauczycielką. Sprawdza się w tej roli doskonale. Opiekowała się już niejednym dzieckiem na tym dworze.

Zofia uśmiechnęła się serdecznie do Doroty Koniecpolskiej, czego nie zrobiła w przypadku innych przedstawianych osób. Elżbietę to zdziwiło, ale przecież nie mogła zapytać, co się za tym kryje. Pomyślała, że być może kiedyś rozwiąże tę zagadkę, zwłaszcza że nie tylko ona to dostrzegła. Stojące w rogu łóżne wymieniły między sobą znaczące spojrzenia, co nie umknęło uwagi Elżbiety. Kilka miesięcy później do jej uszu dotarły plotki, jakoby mąż Doroty miał utrzymywać w młodości z królową matką intymne stosunki, za co został skazany na kilka miesięcy lochów. Wyszedł z nich za wstawiennictwem Zofii.

Tymczasem podeszły do następnej, dużo młodszej dwórki, którą Zofia przedstawiła jako Konstancję Humnicką herbu Gozdawa.

– Ziemie rodowi Humnickich nadał jeszcze król Kazimierz III, z czego, jak dobrze wiem, są niezmiernie dumni. – Jakby na potwierdzenie tych słów Konstancja wyżej uniosła głowę, co Elżbiecie się spodobało. Ona także była dumna ze swojego pochodzenia i lubiła to podkreślać.

Tego dnia poznała jeszcze Hannę Miskowicz, która pochodziła z ziemi kijowskiej, oraz Celestynę Sokolnicką herbu Nowina z Sokolnik, i Ilonę Mniszech herbu Kończyc.

Po długich i żmudnych prezentacjach Elżbieta udała się do swoich komnat. Chciała nieco odpocząć, a potem poprosić Dorotę Koniecpolską o pierwszą lekcję polskiego. Zamierzała poznać go jak najprędzej, aby móc wreszcie porozmawiać z mężem, który wciąż jej unikał.

Kazimierz nie robił tego jednak specjalnie. Zaraz po uczcie weselnej przybył do Krakowa Jan Bażyński, z którym musiał się teraz spotkać. Król słuchał żarliwej przemowy posła.

– Wasza Królewska Mość, proszę o posłuchanie. Zwracam się do was w imieniu nas wszystkich, mieszkańców Prus, abyś zechciał wziąć nas pod swoją opiekę i włączyć na nowo do Królestwa Polskiego, od którego zostaliśmy przemocą oderwani. Dobrowolnie poddamy się twojej woli i przysięgamy ci wierność oraz posłuszeństwo.

Kazimierz kiwał cały czas głową, ale kiedy Jan Bażyński skończył, nie odezwał się ani słowem. Milczał dłuższą chwilę, aż w końcu w swoim stylu spokojnie i powoli powiedział:

– Przemysłem waszą propozycję i jak najszybciej dam odpowiedź.

Audiencja dobiegła końca. Kazimierz siedział jeszcze przez chwilę w sali reprezentacyjnej, po czym wstał i szybkim krokiem skierował się do komnat żony.

Zastał ją w towarzystwie Doroty Konięcpolskiej, która na jego widok dygnęła i już zmierzała do drzwi, kiedy odezwała się Elżbieta:

– Proszę zostać. Skoro nie rozumiem, co mąż do mnie mówi, a i on mnie nie rozumie, będziesz, pani, tłumaczyć. Pamiętaj tylko, że wszystko, co usłyszysz, nie może opuścić tego pokoju.

– Wasza Wysokość, królowa poprosiła mnie, abym pełniła rolę tłumacza. Czy wyrażasz na to zgodę, panie? – Dorota czekała na odpowiedź, gotowa do opuszczenia izby.

Król skinął jednak twierdząco głową. Usiadł obok Elżbiety i wziął jej małą dłoń w swoją. Miała zimne koniuszki palców, dlatego zaczął je rozcierać, żeby się nieco rozgrzały. Zima wciąż mocno trzymała, a ostry mróz sprawiał, że trudno było ogrzać zamkowe komnaty.

Kiedy Kazimierz wziął ją za rękę, Elżbieta poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Przyjemne mrowienie rozpląnęło się po jej brzuchu. Mogłaby tak siedzieć godzinami.

– Właśnie skończyłem rozmawiać z posłem, który przyjechał prosić, żeby ziemie na północy kraju włączyć do Królestwa Polskiego. Toczy się tam powstanie przeciwko zakonowi krzyżackiemu, z którym od wieków toczymy zacięte walki. – Westchnął. Zaczekał, aż Dorota przetłumaczy jego słowa.

Zaczął opowiadać o sytuacji, w jakiej się znalazł. O tym, że powinien niebawem odpowiedzieć i zapewne wyruszyć tam, gdzie czekają na niego z niecierpliwością i nadzieją.

– Jest tylko jedna dobra odpowiedź – odezwała się Elżbieta. – Musisz posłuchać tego, co podpowiada ci serce.

– Wówczas wybuchnie wojna.

– A czy bez tego zapanowałby pokój? – Kazimierz uśmiechnął się do żony. Miała bystry umysł i potrafiła z niego korzystać.

– Będę musiał opuścić Kraków. Bóg jeden wie na jak długo.

– Ten czas pozwoli nam okrzepnąć. Przyzwyczaić się do myśli, że mamy siebie. Mam nadzieję, że kiedy wrócisz, będziemy mogli porozmawiać już bez przeszkód.

Ścisnął jej dłoń, a potem pochylił się nad Elżbietą i cmoknął ją szybko w usta.

Kiedy opuścił komnatę żony, pomyślał, że miło spędził czas. Odwrócił się, jakby zamierzał zawrócić, ale zamiast tego klepnął się w udo i poszedł w stronę swoich pokoi, aby pisemnie powiadomić Jana Bażyńskiego o powziętej decyzji.

Wojna i tak była nieuchronna.

*

Był luty 1454 roku. Kraków, podobnie jak inne miasta, miasteczka i wsie, pokryty był śniegiem. Z kamienic zwisały długie i stwarzające niebezpieczeństwo sople lodu. Wisła, wijąca się u podnóża królewskiego zamku, całkowicie zamarzła, dostarczając dzieciom nowego

ekscytującego miejsca do zabawy.

Kazimierz nerwowo chodził po komnacie. Z samego rana król przywołał do siebie kasztelana krakowskiego Jana z Czyżowa, wojewodę krakowskiego Jana z Tęczyna, kancelarza Jana Taszkę Konięcpolskiego oraz podkanclerza Piotra Wodę ze Szczekocin. Stan zdrowia tego ostatniego bardzo się pogorszył, co króla niezmiernie martwiło. Zaliczał dostojnika do swoich najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników. Patrząc jednak na wymizerowaną twarz szlachcica, na której wyraźnie odcinały się sine kręgi pod oczami, miał złe przeczucie. Po ostatnim spotkaniu zaczął się poważnie zastanawiać, kto mógłby zastąpić Piotra ze Szczekocin. Obecne okoliczności odsunęły jednak na bok rozważania o nowym podkanclerzu.

– Rankiem przybył do nas poseł miast pruskich. Jan Bażyński, reprezentujący rycerstwo pruskie, oraz przedstawiciele Torunia donoszą, że ledwie przed czterema dniami wysłano poselstwo z listem Tajnej Rady z Torunia do Malborka, do wielkiego mistrza Ludwiga von Erlichshausena. W liście przekazanym wielkiemu mistrzowi 6 lutego zostało wypowiedziane posłuszeństwo zakonowi, który jeszcze tego samego dnia został zaatakowany w Toruniu. Mości panowie, doniesiono mi właśnie, że dwa dni temu rozpoczęło się powstanie przeciwko Krzyżakom. – Kazimierz zatrzymał się pośrodku komnaty i smutnym wzrokiem spojrzał na milczących dostojników.

– Wasza Wysokość, czy wiadomo coś jeszcze? – odezwał się Piotr Woda. Oddychał ciężko, jakby samo mówienie sprawiało mu kłopot lub ból.

– Siadajcie, Piotrze. – Kazimierz podsunął schorowanemu dostojnikowi krzesło, na którym wcześniej sam siedział. – Na razie nic więcej nie wiadomo. Jan Bażyński zapowiada się z wizytą w Krakowie. Ja sam zresztą pewnie niebawem ruszę do Torunia.

Nikt nie mówił tego głośno, ale ciąg ostatnich wydarzeń, które

bezpośrednio spowodowały wybuch powstania przeciwko zakonowi, doprowadził do tego, że Królestwo Polskie znowu stanęło na skraju wojny z Krzyżakami.

*

Ludwig von Erlichshausen trzymał w dłoni list, który przed chwilą mu dostarczono. Było wczesnie rano. Na dworze wciąż panował mrok, rozjaśniony jasno świecącymi gwiazdami i białym śniegiem. Czuł, że to nie koniec złych wiadomości. Gdy wczoraj doniesiono mu, że mieszkańcy Prus wypowiedzieli zakonowi posłuszeństwo, skwitował tę informację uśmiechem. Ale dziś sprawa zaczęła wyglądać znacznie poważniej, już nie można było lekceważyć buntu.

– Złe wieści? – spytał wielki marszałek, spoglądając na list.

– Mieszkańcy Gdańska zaatakowali i zdobyli Wielki Młyn. Idą na zamek.

W sali zapadła cisza. Nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, zwłaszcza że za zakonem stała potęga cesarza Fryderyka, który 5 grudnia poprzedniego roku wydał wyrok nakazujący rozwiązanie naprzykrzającego się Krzyżakom Związku Pruskiego. Ponadto nałożył na mieszkańców Prus wysokie kary pieniężne, które rycerze zakonni zbierali z wielką skrupulatnością, oraz skazał na śmierć trzystu członków Związku Pruskiego. Ponieważ nie padły w liście Fryderyka żadne konkretne nazwiska, rycerze zakonni mieli wolną rękę w wyborze ludzi, których postawiono przed obliczem wielkiego mistrza.

Ludwig von Erlichshausen zamknął oczy. Wspomnienia wróciły same.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 1453 roku. Obudził się wypoczęty. Wstał z łóżka, przeciągnął się i pogładził długą, siwą już brodę, która nadawała mu dostojny wygląd. Na dziś przygotował coś specjalnego. W zamkowych lochach od kilkunastu dni przetrzymywano ponad trzystu więźniów. Mieli to być członkowie Związku Pruskiego.

Zgodnie z wyrokiem cesarza Fryderyka miał skazać na śmierć trzy setki ludzi. Kto by liczył?, pomyślał i postanowił wykorzystać sytuację, aby pozbyć się także tych, którzy naprzykrzali mu się z innych powodów. Okazało się, że lista wydłużyła się aż o czterdzieści nazwisk.

Wraz z pierwszym więźniem, za którym zamknęła się krata lochu, zaczęto przygotowywać miejsce kaźni. Przytaszczono wielki pień drzewa, na którym więźniowie mieli kłaść głowy.

– Postawić dwa – rozkazał wielki mistrz i zatarł ręce na myśl, jak sprawnie zostanie przeprowadzona egzekucja.

Jego komnata znajdowała się w zachodniej części Zamku Wysokiego, tuż obok izby komtura domowego. Dalej ciągnęły się sale należące do wielkiego komtura, wielkiego skarbnika, wielkiego marszałka, a także wielkiego szpitalnika. Na samym końcu mieszkał wielki szatny. Oprócz komnaty w tej części zamku miał jeszcze jedną izbę, nazywaną po prostu sypialnią wielkiego mistrza, wygospodarowaną w części zwanej Pałacem Wielkich Mistrzów. Chociaż była wygodniejsza, to za nią nie przepadał, a przecież to właśnie tam, a nie tu, zamontowano system ogrzewania ciepłym powietrzem, dlatego nawet kiedy za oknem było zimno i nieprzyjemnie, tam panowała ciepła, uspokajająca atmosfera, którą potęgowały jeszcze bogato zdobione ściany. Po stronie północnej namalowano postaci czterech świętych zakonu: Świętej Doroty, Świętej Barbary, Świętej Katarzyny i Świętej Małgorzaty.

Tuż obok sypialni znajdowała się niewielka izba mieszkalna, równie pięknie udekorowana. Najbardziej lubił jej sklepienie ozdobione misternymi roślinnymi wiciami. W północnej części izby postawiono w niszach masywne drewniane szafy. Wszystko było najlepszej jakości. A jednak zdecydowanie wolał małą sypialnię z jeszcze mniejszą izbą dzienną. Rozejrzał się po pomieszczeniu i uśmiechnął do siebie.

– Nie dziwota, że mawiają na to komnatki. – Po czym podszedł do jednego z dwóch okien znajdujących się w sypialni i spojrzął

na dziedziniec. Tuż obok stojącej tam studni, przykrytej drewnianym, szpiczastym daszkiem, stały dwa wielkie pieńki. Z powodu panującego zmroku widział tylko ich niewyraźny zarys. Ale nawet to wystarczyło, żeby jeszcze bardziej poprawił mu się humor. Po śniadaniu rozpocznie się przedstawienie, pomyślał i przystąpił do porannej toalety.

Zanim zaszedł do refektarza, gdzie niebawem miano podać śniadanie, skierował swoje kroki do kaplicy Świętej Anny. Wszedł do niej wejściem północnym, zatrzymując się przy scenach maryjnych. Z lubością spojrzął na Pokłon Trzech Króli, potem na Zaśnięcie i Wniebowzięcie, a na koniec uklęknął przed Koronacją Najświętszej Marii Panny. Przeżegnał się i zatopił w żarliwej modlitwie.

Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany czas. Bracia zebrali się na dziedzińcu, czekając, aż wartownicy wyprowadzą więźniów. Przetrzymano ich ściśniętych w jednej dusznej i mrocznej celi, której ceglane mury wyłożono grubymi żelaznymi płytami, aby uniemożliwić skazanym ucieczkę. Do pomieszczenia przez okienko w zachodniej ścianie wpadała wąska strużka światła. Mała powierzchnia celi została dodatkowo ograniczona przez stojący w lewym rogu dwukomorowy piec, który ogrzewał znajdującą się piętro wyżej Salę Kapitulną.

– Wychodzić! – krzyknął jeden z wartowników. Podeszedł do pierwszego więźnia i szarpnął go za ramię tak mocno, że mężczyzna przeleciał na drugą stronę ciemnego korytarza, zatrzymując się na zimnej, kamiennej ścianie. – Wychodzić! Żwawo!

Po krótkim wahaniu skazańcy zaczęli wychodzić jeden za drugim, poganiani w kierunku dziedzińca, gdzie czekali na nich bracia zakonni i dwóch katów.

Kiedy już wszyscy zostali zagonieni na miejsce kaźni, na rozkaz Ludwiga von Erlichshausena rozpoczęto egzekucję. Niebawem kamienie dziedzińca zabarwiły się na czerwono, a kilkanaście wiklinowych koszy zapełniło odciętymi głowami. Bezgłowe ciała rzucano na bok, tak

że tworzył się z nich coraz większy stos. Charakterystyczny dźwięk spadającego topora i głuchy odgłos obijającej się o spód kosza głowy towarzyszyły zebrany na placu przez kilka godzin. W końcu wszyscy więźniowie zostali ścięci.

– Zrobić porządek z tym ścierwem! – Wielki mistrz wskazał na kosze pełne odciętych głów i ogromny stos krwawiących ciał. – Niech i psy mają ucztę! – Po tych słowach wybuchnął gromkim śmiechem, któremu zawtórowali inni.

– Mistrzu! Mistrzu! – Ostry głos komtura domowego wyrwał Erlichshausena z zamyślenia.

Mistrz odwrócił się w jego stronę. Wciąż myślał o tamtym, tak nieodległym dniu. Czy gdyby postąpił inaczej, nie doszłoby do buntu? To pytanie nie dawało mu spokoju.

W sali zebrali się już najważniejsi bracia zakonni. Musiał zamyślić się tak głęboko, że nie usłyszał, jak wchodzili.

– Powinniśmy zacząć radzić, co zrobić, aby jak najszybciej stłumić powstanie. – Wielki komtur był wyraźnie zatroskany.

*

Od wyjazdu Kazimierza minęło kilka tygodni. Elżbieta pilnie uczyła się języka polskiego. Dorota Koniempolska okazała się cierpliwą i zdolną nauczycielką. Pozostałe polskie damy dworu także wspomagały królową w nauce. Chociaż prawie wszystkie lepiej lub gorzej mówiły po niemiecku, Elżbieta zażądała, aby rozmawiały z nią tylko po polsku.

Pewnego dnia, kiedy siedziały wszystkie razem w jednej z komnat królewskich, gdzie królowa matka oddawała się czytaniu, Elżbieta zwróciła się do swoich niemieckich towarzyszek, które wciąż czuły się na zamku obco.

– To nie jest prosty język. Jego nauka jest trudna i męcząca. Żądam jednak, żebyście wspólnie ze mną od dziś pobierały nauki. Nie

do pomyślenia jest, abyście przez resztę swoich dni, mieszkając tutaj, siadywały osobno i szeptały między sobą po niemiecku.

I tak panny dobrały się w pary i z rozkazu królowej Elżbiety pobierały naukę języka polskiego. Lekcje nie ominęły także Heleny, która trochę marudziła, ale ostatecznie poddała się królewskiej perswazji.

Tymczasem na Wawel przychodziły listy dyktowane przez Kazimierza. Elżbieta obawiała się, że mąż, który przecież nie zdążył związać się z nią w szczególnie emocjonalny sposób, zwłaszcza że noc poślubna ciągle była przed nimi, nie napisze do niej, lecz do swojej matki. Ucieszyła się niezmiernie, kiedy ochmistrz Mikołaj Róża przyniósł jej list od Jego Wysokości.

Kazimierz donosił, że akt inkorporacyjny Prus został przez miasta pruskie i ich mieszkańców przyjęty z wielkim entuzjazmem. W kwietniu 1454 roku po wjeździe do Torunia przyjął hołd przedstawiciele stanów pruskich, którzy przysięgali mu wierność i posłuszeństwo oraz gratulowali ożenku, życząc wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia i śląc szczerze pozdrowienia dla królowej.

– To takie miłe. – W kącikach oczu Elżbiety zebrały się łzy radości i ulgi. Dorota Konięcpolska, która czytała list i tłumaczyła na niemiecki, ponieważ większość wciąż była dla królowej niezrozumiała, uśmiechnęła się szeroko, widząc zadowolenie na jej obliczu. Westchnienia pozostałych dam dworu tylko potwierdziły zachwyty Elżbiety.

W kolejnych listach Kazimierz donosił, że wojska starają się zdobyć główne twierdze zakonu krzyżackiego. Niestety, do tej pory udało się opanować tylko Sztum. Malbork, stolica państwa zakonnego, wciąż skutecznie odpierał ataki. Zaciekle broniła się też twierdza w Chojnicach, gdzie na dodatek ściągnięto posiłki z Czech pod wodzą Bernarda Szumborskiego.

Odpisując na listy męża, Elżbieta nie pominęła milczeniem udziału czeskiego poddanego.

„Bardzo zasmuciła mnie wieść, że z pomocą naszemu zaciekłemu wrogowi, zakonowi krzyżackiemu, przybył poddany mego brata Władysława, Bernard Szumborski. W pierwszym odruchu, chcąc lojalnie wspierać cię, drogi mężu, w walce, zamierzałam napisać list do króla Czech, mego brata, aby przywołał swego poddanego do porządku. Kiedy jednak emocje nieco opadły, zrozumiałam, że polityka i walka nie są rzeczą niewieścią. Moją powinnością jest wspieranie cię na duchu i gorliwa modlitwa o powodzenie naszej sprawy”

Elżbieta skończyła dyktowanie, po czym wezwała posłańca.

List od Elżbiety zastał Kazimierza w drodze pod Chojnice, gdzie wojska miały stoczyć bitwę. Król obawiał się jej wyniku. U jego boku w przeważającej większości szło pospolite ruszenie. Chętne i rwące się do walki, ale niewyszkolone. Po drugiej stronie miała stanąć potęga rycerska zakonu krzyżackiego. List Elżbiety sprawił, że na kilka chwil mars zmartwienia zniknął z jego twarzy. Kobieta, która została jego żoną, coraz bardziej przekonywała go do siebie. Dziwne, choć nie udało mi się jej poznać, zaczynam tęsknić za jej towarzystwem i rozmową, pomyślał, odkładając list na bok.

*

Ludwig von Erlichshausen szybkimi krokami zmierzał do zachodniej części zamku w Malborku. W przyziemiu, do którego prowadziło osobne wejście z dziedzińca, znajdowało się archiwum i kancelaria zakonu. Ostatnie wieści były nad wyraz niepokojące. Powstanie, które na początku wywołało na ustach wielkiego mistrza uśmiech politowania, mogło niebawem stać się przyczyną jego kapitulacji. Nie mógł do tego dopuścić. Wpadł do wielkiej komnaty, w której pod okiem kapelana wielkich mistrzów pracowało kilku braci, przyjmując

i wysyłając korespondencję oraz prowadząc na bieżąco jej archiwizację.

Siedzący przy małych skryptoriach zapracowani zakonnicy podnieśli głowy. Przez chwilę wpatrywali się w wielkiego mistrza, po czym znów pochylili się nad pulpitami. Kapelan podszedł do Ludwiga von Erlichshausena. Jego twarz jak zawsze nie wyrażała żadnych uczuć, co drażniło wielkiego mistrza. Kapelan był dla niego zagadką. Nigdy nie wiedział, czy przynosi dobre, czy złe wieści, ani czy zgadza się z podjętymi przez niego decyzjami. A Erlichshausen lubił otaczać się ludźmi, którzy przyklaskiwali wszystkim jego pomysłom. Nie znosił, kiedy ktoś miał inne zdanie.

– Czy nadeszły jakieś odpowiedzi? – zapytał szybko, nie czekając, aż kapelan do niego podejdzie.

Kiedy Ludwig von Erlichshausen zrozumiał, że sprawa Związku Pruskiego jest poważna, zaczął szukać pomocy na zewnątrz. Wysłał listy do baliwatów w Rzeszy. Napisał błagalny list do cesarza Fryderyka, licząc na jego pomoc. Prosił też o wsparcie w Inflantach.

– Na razie wiadomo tylko, że pod Chojnice, gdzie zebrała się nasza armia, podąża wojsko dowodzone przez Bernarda Szumborskiego z Czech.

– A czy są jakieś wieści od cesarza? – Wielki mistrz zaczął chodzić od ściany do ściany, szarpiąc długą brodę.

– Na razie żadna odpowiedź nie nadeszła. Doszły nas za to słuchy, że jego podopieczna, córka Elżbiety Luksemburskiej, została poślubiona królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi.

Ludwig von Erlichshausen przystanął w pół kroku i zaklął siarczyście, co sprawiło, że piszący znowu podnieśli na chwilę głowy.

– A co z ochotnikami?

– Rozesłaliśmy wici, ale czasy, kiedy mogliśmy liczyć na masowy napływ młodych rycerzy, dawno już minęły. – Zapadła cisza, przerywana tylko skrobaniem piór o papier. Ludwig von Erlichshausen stał

w miejscu jeszcze kilka minut, aż w końcu odwrócił się na pięcie i wyszedł.

*

Obudził ją szum wody i wesołe ćwierkanie ptaków. Do pokoju przez zaciągnięte ciężkie zasłony próbowały przedostać się promienie słońca. Zapowiadał się słoneczny, ciepły wrześnieowy dzień 1454 roku. Kolejny dzień wyczekiwania na powrót Kazimierza.

Elżbieta przeciągnęła się na wygodnym łożu. Przez krótką chwilę zastanawiała się, gdzie się znajduje. Trzy dni temu wraz z królową Zofią Holszańską i jej fraucymerem opuściła Kraków, by udać się do Nowego Miasta Korczyna. Znalazła się tu przez zwykły zbieg okoliczności.

Dzień na Wawelu zapowiadał się zwyczajnie. Najpierw nauka języka polskiego. Potem czytanie lub haftowanie. Miała ochotę pozwiedzać miasto. Westchnęła głośno, czym zwróciła uwagę Zofii, która zamierzała właśnie udać się do swojej komnaty, żeby napisać list do siostry Wasylisy.

– Czy źle się czujesz? – zapytała zatroskanym głosem. Bardzo polubiła Elżbietę, a od kiedy w jednym z listów syn przyznał się, że pragnie jak najszybciej wrócić do domu, żeby lepiej poznać żonę, ponieważ zdaje się, iż jest ona nader ciekawą osobą, jej sympatia jeszcze wzrosła.

– Nie, czuję się doskonale. – Elżbieta pospieszyła z odpowiedzią. Ona też lubiła teściową, chociaż nieco się jej obawiała.

– Ale... – Zofia zawróciła i przysiadła obok synowej. – Wyczuwam w twojej odpowiedzi jakieś „ale”

– Nudzę się. Chciałabym wyjść poza zamkowe mury. – Elżbieta coraz lepiej mówiła po polsku. Zarówno Dorota Konięcpolska, jak i pozostali byli dla królowej pełni podziwu. Robiła niebywałe postępy. Dwie godziny później w otoczeniu kilku zbrojnych wyruszyły na miasto. Najpierw zwiedziły Sukiennice. Potem poszły do kościoła Najświętszej

Marii Panny, który zwano po prostu kościołem Mariackim. Musiał to być swego czasu imponujący budynek.

– Jedenaście lat temu Kraków nawiedziło trzęsienie ziemi. Runęło wiele budynków. Zginęli mieszkańcy miasta, a i kilkoro służących na zamku odniosło poważne rany. Tragedia nie oszczędziła też tego miejsca. – Zofia miała łzy w oczach, patrząc na wciąż piętrzące się we wnętrzu kościoła gruzy, pod którymi zginęło wielu modlących się.

Wokół gmachu uwijali się budowniczości, ale wciąż jeszcze pozostało wiele do zrobienia.

– Zachodziłam tu często, kiedy tylko przebywałam w Krakowie. Siadałam zawsze tam, gdzie znajdowały się sceny z życia Marii i Jezusa. Bardzo bliskie memu sercu. To zawsze do Matki Boskiej modłę się, prosząc Najświętszą Panią o opiekę nad moim synem. – Głos jej się załamał. Zamilkła. Po krótkiej przerwie dodała, kładąc rękę na ramieniu milczącej Elżbiety. – Kiedyś to zrozumiesz. Gdy sama zostaniesz matką, będziesz w chwilach zwątpienia lub niepewności szukać pocieszenia u innej matki. Najważniejszej z matek.

Po wieczerzy Elżbieta pokazała teściowej Biblię otrzymaną swego czasu w prezencie od stryja. Pismo Święte, które nazywała Biblią Gutenberga, zachwyciło królową matkę. Przeglądała dzieło w milczeniu, a potem klasnęła w dłonie i powiedziała:

– Jutro z samego rana wyruszamy w podróż.

I tak Elżbieta znalazła się w Nowym Mieście Korczynie, gdzie obudził ją szum rzeki okalającej zamkowe mury. Do zamku wjechali od zachodniej strony po zwodzonym moście, który rozpinał się nad głęboką fosą wypełnioną po brzegi ciemną wodą, na której widok Elżbieta się wzdygnęła. Miała wrażenie, że jeżeli zaraz nie zjadą z mostu, zimne, zielone palce, oplecione śliskimi wodorostami wciągną ją w otchłań. Zamknęła oczy i otworzyła je dopiero, kiedy byli na zamkowym dziedzińcu. Gmach wzniesiono z wypalanej cegły. Był

niewielki, składał się z dwóch przylegających do siebie budynków, w których jak się okazało, mieściły się dwie sypialnie królewskie, kilka innych pomniejszych pokoiów oraz zabudowania gospodarcze. Od zachodu wznosiła się wieża z małymi okieneczkami biegnącymi dookoła tuż pod dachem. Na dziedzińcu, nieco z boku, stał jeszcze jeden niewielki budynek. Była to kaplica poświęcona Świętej Trójcy i Świętemu Stanisławowi.

– O, tam – Elżbieta podążyła wzrokiem za ręką Zofii – jest sala górna i skarbiec. – Ściszyła głos, jakby to była najpilniej strzeżona tajemnica.

Dochodziło południe, kiedy poproszono Elżbietę na dziedziniec, gdzie w powozie czekała na nią Zofia. Była sama. Najwyraźniej przejażdżkę zaplanowała tylko dla siebie i synowej. Drogę odbyły w milczeniu. Po niedługim czasie powóz zatrzymał się przed murami kościoła. Tuż obok wyrastał okolony niewysokim białym murem zespół klasztorny. Bracia franciszkanie zostali zapewne wcześniej powiadomieni o przybyciu znamienitych gości, bo furta otwarła się prawie natychmiast.

– Szczęść Boże Waszym Wysokościom! – Stary, zgarbiony, okrągłutki na twarzy i ciele franciszkanin skłonił się nisko, kiedy Zofia i Elżbieta podeszły do niego. – Niech Was Bóg błogosławi. To zaszczyt dla naszych skromnych progów witać tak szacownych gości.

– Prowadź, ojcze, do skryptorium – poleciła królowa matka.

Franciszkanin prowadził je kamienną ścieżką wijącą się pośrodku wypielegnowanego, równo przyciętego trawnika. Czuło się w tym miejscu spokój i ukojenie. Ich powolne, miarowe kroki odbijały się echem od kamiennych ścian klasztoru, w którym panowała tak wielka cisza, aż w uszach dzwoniło. Elżbieta zaczęła się zastanawiać, gdzie podzieli się mnisi. Na razie widziała tylko jednego, pieczołowicie pielęgnującego warzywne rabaty. W końcu dotarli do średniej wielkości izby, oświetlonej łojowymi świecami. Ich niezbyt przyjemny zapach

mieszał się z zapachem starych murów, atramentu, ziół i wilgoci. Mieszanka powinna być przykra dla nozdrzy, a jednak wywołała w Elżbiecie uczucie dziwnego błogostanu.

Przy ścianach stały wysokie regały wypełnione ciężkimi tomami oraz zwojami, z których smętnie zwisały woskowe pieczęcie. Pośrodku ustawiono w trzech równoległych szeregach wysokie ławy, przy których zatopieni w pracy siedzieli mnisi. Na widok przybyłych wstali z niewygodnych krzesłek.

– Szczęść Boże Waszym Wysokościom. – Słowa wypowiedziane gremialnie zabrzmiały jak chorał gregoriański. Ich głębokie, dostojne głosy odbiły się od ścian skryptorium.

Jeden z braci odłożył pióro i zbliżył się do królowej Zofii. Skłonił się nisko, bez słowa czekając na to, co powie matka króla Kazimierza.

– Witajcie, bracie Andrzeju. Chciałabym zobaczyć, jak postępują prace, a także pokazać królowej Elżbiecie, jakie cudo na moje polecenie przygotowujecie.

Duchowny Andrzej z Jaszowic skinął głową i poprosił, aby podążyły za nim. Elżbieta przyglądała mu się z ciekawością. Kiedyś musiał być znacznie wyższy. Pewnie w młodości trzymał się prosto, ale lata pracy przy pisaniu i kopiowaniu sprawiły, że plecy mocno mu się zaokrągliły. Twarz miał chudą i pomarszczoną, jak zmięta kartka papieru. Wyglądał na człowieka wiekowego. Brązowy habit zwisał na nim smętnie, kryjąc kościste ciało. Krok miał wciąż jednak pewny i sprężysty. Kiedy podszedł do swojej ławy, podniósł stojącą z boku świecę i przysunął bliżej księgi rozłożonej na pulpicie. Elżbieta zerknęła na palce duchownego. Były długie, kościste i umazane atramentem, który pewnie już na dobre wżarł się w skórę. Potem podążyła za wzrokiem królowej matki. Po przeczytaniu kilku pierwszych słów zorientowała się, że Andrzej z Jaszowic pracuje nad tekstem Starego Testamentu. Przeniosła wzrok na drugą księgę, leżącą na ławie nieco wyżej. Od razu

poznała, że napisano ją po czesku. Domyśliła się, że teściowa zleciła tłumaczenie Biblii z czeskiego na polski. Pomyślała z uznaniem o pracy kopisty i pomyśle matki swego męża.

*

Jan Długosz odetchnął z ulgą. Jego brat, zresztą imiennik, zawtórował mu chwilę później. Przebudowa domu przy Kanoniczej 1, który otrzymał od kapituły kanoników po śmierci Jana z Radochońcy, trwała zdecydowanie zbyt długo. Była jednak koniecznością. Dopóki mieszkał tu sam, jedno piętro było dla niego wystarczające. Ciasno zrobiło się dopiero po przyjeździe młodszego brata. Zlecieli dobudowę piętra.

– Niesamowita to ulga, kiedy jedynym dźwiękiem jest odgłos miasta.
– Jan Długosz zerknął z ukosa na brata, który rozciągnął usta w szczerym uśmiechu.

– Stukanie, klepanie i pokrzykiwania są może i do zniesienia, ale nie kiedy trwają niemal w nieskończoność – podsumował drugi z Długoszków.

Od dnia, kiedy pożegnali robotników, upłynęło kilka tygodni. To tam, na Kanoniczej, otrzymał Jan Długosz 2 kwietnia 1455 roku smutną wiadomość.

– Co się stało? – Młodszy brat przyglądał się Janowi, który czytał trzymany w dłoni list. Im dłużej czytał, tym jego twarz coraz bardziej poważniała.

– Doniesiono mi właśnie, że kardynał Zbigniew Oleśnicki zmarł wczoraj wieczorem. Miałem się z nim zobaczyć pojutrze. – Westchnął i odłożył pismo.

Wydawało się, że na pogrzeb przybył cały Kraków. Ludzie tłoczyli się na ulicach. Każdy chciał być jak najbliżej królewskiej katedry, gdzie odbywała się msza pożegnalna i gdzie miano złożyć zwłoki kardynała. Uroczystość uświetnili swoją obecnością król Kazimierz, który powrócił

do miasta w ubiegłym roku tuż przed Bożym Narodzeniem, oraz jego żona królowa Elżbieta. Z tyłu królewskiej pary trzymała się matka Kazimierza, królowa Zofia.

Dwa dni później Jan Długosz stawił się na zamku na wezwanie króla. Kazimierz przyjął kanonika krakowskiego w komnacie, w której przebywała również Elżbieta czytająca Pismo Święte. Kiedy duchowny wszedł do izby, oderwała wzrok od księgi tylko po to, aby przyjąć jego pozdrowienie, po czym wróciła do lektury. Jednak pomimo starań, żeby skupić uwagę na słowach Świętego Pawła, piszącego do Koryntian piękne i wzruszające słowa o miłości, zaczęła przysłuchiwać się rozmowie mężczyzn.

– Bywały między nami nieporozumienia – odezwał się Kazimierz. Jak zwykle mówił spokojnie, cicho, bez zbędnych emocji. – Kładę je jednak na karb stosunków, jakie panowały między mną a kardynałem Oleśnickim. Ubolewam, że nie udało nam się, pomimo starań, dojść do porozumienia. Ufam jednak, że my obaj nie powtórzymy tego błędu. Byłoby niepożądane, aby taki umysł i zdolności jak wasze nie zostały przeze mnie wykorzystane.

Spokojny głos męża przynosił ukojenie i mimowolnie naprowadził myśli Elżbiety na nieodległe wspomnienia. Nagle znowu znalazła się w swojej komnacie, kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

Zbliżał się 24 grudnia 1454 roku. Ostatnie wieści od Kazimierza nadeszły na początku miesiąca. Odpowiedziała na list i teraz z rosnącym niepokojem, że, nie daj Boże, wydarzyło się coś złego, oczekiwała wieści od męża.

Kraków otulił się białym puchem. Dachy domów wyglądały jakby przykryte grubymi kołdrami. Szare smugi dymu uciekające przez komin sprawiały wrażenie oddechu, który wydobywał się z półprzymkniętych ust śpiącego olbrzyma. Zbliżające się święta sprawiły, że na twarzach ludzi pojawił się uśmiech. Byli wobec siebie bardziej wyrozumiali

i uprzejmi. Głośne rozmowy kończyły się śmiechem oraz życzeniami dobrego zdrowia i pomyślności. Kłótnie, jeżeli już wybuchały, szybko cichły i zamieniały się w spokojne pogaduszki.

Elżbieta pragnęła cieszyć się tak samo nieskrępowanie jak inni. Jednak obawa o życie męża nie dawała jej spokoju. Jakież było jej zaskoczenie, kiedy wieczorem, zaledwie dwa dni przed Wigilią, Kazimierz pojawił się na zamku. Szybkim krokiem przemierzyła ciemne i zimne korytarze, aby stanąć na dziedzińcu i przywitać go wraz z teściową.

– To niesłychane – powiedział Kazimierz, kiedy wreszcie, po sutej wieczerzy, zostali sami. Od dłuższego czasu zachwycał się, że Elżbieta podczas jego nieobecności nauczyła się po polsku.

– To zasługa mojej damy dworu, Doroty Koniecpolskiej. Jest znakomitą nauczycielką. Cierpliwą i wyrozumiałą. Zresztą i pozostałe dwórki pomagały, jak mogły. Zarządziłam naukę dla wszystkich dam, które przyjechały ze mną. Skoro mają tu mieszkać, nie mogą nie mówić po polsku.

– Gdyby tylko czas mi pozwolił, pewnie poleciłbym, aby nauczono mnie po niemiecku. Prawdę powiedziawszy, zmartwienie, jak będziemy się ze sobą porozumiewać, nie dawało mi spokoju. Jestem ci niezmiernie wdzięczny za ten trud. – Ujął jedną z jej małych dłoni i patrząc Elżbiecie prosto w oczy, złożył na niej pocałunek.

Żaden mężczyzna tak jeszcze na nią nie patrzył. Poczowała, że jej policzki płoną. Przez chwilę odwzajemniała spojrzenie, a potem skromnie opuściła oczy. Kiedy pół godziny później Kazimierz odprowadzał ją do sypialni, spodziewała się pocałunku w czoło. Jakież było jej zdziwienie, kiedy mąż zapytał:

– Czy miałabyś coś przeciwko, gdybym wszedł do środka?

Zaskoczył ją. Przełknęła ślinę i zamiast mu odpowiedzieć, odsunęła się od wejścia, zapraszając go gestem do zaciemnionej komnaty, która

w pomarańczowym świetle kilku świec wyglądała przytulnie i tajemniczo.

Kazimierz ujął jej twarz w dłonie. Przyglądał się jej dokładnie. Nie była piękna ani nawet ładna, ale było w niej coś, co zaczynało go ujmować. Jej listy sprawiły, że zatęsknił. Że zapragnął poznać ją lepiej. Chciał z nią przebywać, rozmawiać i w pełni uczynić swoją żoną.

Elżbieta znowu spłonęła rumieńcem. Dłonie Kazimierza przesunęły się w stronę jej gęstych włosów. Niecierpliwe palce zaczęły szukać ozdobnych spinek przytrzymujących fryzurę. Wyciągał je jedna po drugiej, włosy kaskadą opadły na plecy Elżbiety, która stała bezwolna, nie wiedząc, co robić. Najwyraźniej nie przeszkadzało to Kazimierzowi, który tymczasem zajął się suknią żony. Żeby jej całkiem nie zawstydzić, zaczął się też rozbierać.

– Nie bój się – szepnął do ucha Elżbiety, kiedy zobaczył strach w jej oczach. – Zaufaj mi.

Kiedy wreszcie pozbawił ją ostatniego skrawka odzienia, chciała zasłonić nagość rękami, ale Kazimierz przytrzymał jej dłonie.

– Nie wstydz się.

– Jestem brzydka – szepnęła, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Moje ciało jest niezgrabne – dodała po chwili.

– Ciii – odpowiedział uspokajająco.

Wziął ją na ręce. Podniósł bez wysiłku. Była lekka jak mała dziewczynka. Widział, jak walczy ze sobą, żeby nie zasłaniać piersi i łona. Nie patrzyła na niego, wstydząc się zerkać na jego nagie ciało gotowe do zbliżenia. Położył ją na łóżku. Delikatnie ułożył się obok niej. Chciała zamknąć oczy, ale zwrócił się do niej, zmysłowo modulując głos:

– Spójrz na mnie.

Powoli odwróciła głowę. Najpierw zerknęła na twarz męża. Oczy miała zwężone, na ustach błąkał się lekki uśmiech. Wyglądał przystojnie

i uwodzicielsko. Potem popatrzyła na jego tors. Pięknie wyrzeźbione mięśnie poruszały się pod gładką skórą. Kiedy powoli przesuwała spojrzenie coraz niżej i niżej, Kazimierz ujął ją za rękę i położył delikatnie na swoim członku. Chciała ją cofnąć, ale jej na to nie pozwolił.

– Dotknij mnie. Porusz ręką – szeptał jej do ucha, całując jego płatek.

Przeszedł ją przyjemny dreszcz. Posłuchała jego prośby. Zaciśnęła palce na jego męskości. Trwała tak bez ruchu przez kilka minut, aż wreszcie zaczęła przesuwać je w górę i w dół. Zerknęła zafascynowana, kiedy zdała sobie sprawę, że jego członek nabrzmiał i urósł. Kazimierz jęknął. Uśmiechnęła się na myśl, że sprawia mu przyjemność. Tymczasem on zaciśnął dłonie na jej pełnych, kształtnych piersiach. Sutki Elżbiety stwardniały. Mążonek schylił głowę i wziął jeden z nich do ust. Ssał go i drażnił tak długo, aż Elżbieta wygięła się w łuk, przybliżając ciało do jego warg. Ręka Kazimierza powędrowała w stronę jej wilgotnej z podniecenia kobiecości. Rozchylił jej płatki i wsunął do ciepłego wnętrza palec, szukając małego guziczka. Kiedy go znalazł, zaczął poruszać opuszką, tworząc nim coraz mniejsze kółka. Tarł palcem tak długo, aż poczuł, że guziczek nabrzmiał i zaczął pulsować, tak samo jak reszta jej kobiecości. Elżbieta poczuła dziwną falę przyjemności, która zaczęła się w dole jej brzucha i powoli przesuwała w górę. Targnął nią spazm rozkoszy. Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze. Zaczęła jęczeć i sapać. Zerknęła na Kazimierza, który opierając się na rękach, zawisł nad nią. Wziął członek do ręki i umieścił między jej nogami. Obawiała się tego aktu, chociaż widując parzące się psy i koty, miała jako takie pojęcie, czego może się spodziewać. Kazimierz pchnął. Krzyknęła i chciała zrobić unik, ale nie pozwolił jej na to. Odczekał chwilę, aż minie pierwszy szok, a potem zaczął się w niej powoli poruszać. Kiedy zobaczył, że napięcie zniknęło z jej twarzy, przyspieszył. Elżbieta poczuła, że w dole znowu zaczyna pulsować, ale nie z bólu,

o którym zdążyła już zapomnieć, lecz z rozkoszy. Wypięta biodra, aby wyjść mężowi na spotkanie. Kazimierz przyspieszył. Kiedy poczuł, że spełnienie jest blisko, pchnął mocno i zeszywniał. Jego wybuch spotkał się z pulsowaniem Elżbiety. Osiągnęli pełnię rozkoszy. Zmęczeni opadli na posłanie. Kazimierz objął żonę ramieniem, nakrył kołdrą i spokojnie zamknął oczy.

– To wielki zaszczyt. – Słowa Jana Długosza wyrwały Elżbietę z zamyślenia.

Zerknęła na męża i mimowolnie się uśmiechnęła. Na samą myśl, że dziś znowu pojawi się w jej sypialni, zrobiło się jej gorąco.

*

Lipiec roku 1455 był gorący i wilgotny. W komnacie, w której zebrało się szacowne gremium, panował upał. Na czołach mężczyzn perliły się kropelki potu, które wąskimi strużkami spływały im po twarzach. Stawili się tu na wezwanie króla. Oprócz urzędników rady koronnej na zamek przyjechali także prymas i arcybiskup gnieźnieński w jednej osobie Jan Sprowski herbu Odrowąż, który kilkanaście miesięcy wcześniej koronował Elżbietę Habsburg, oraz arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka herbu Strzemię. Oprócz duchownych w komnacie siedzieli: podkanclerzy Jan Lutek z Brzezia, który objął to stanowisko po śmierci Jana Taszki Koniecpolskiego, męża Doroty Koniecpolskiej; podkanclerzy koronny Tomasz Strzępiński, od maja zasiadający w fotelu biskupa krakowskiego; marszałek wielki koronny Mikołaj Lanckoroński z Brzezia, któremu w karierze nie zaszkodziła nawet przynależność do konfederacji Spytka z Melsztyna; podskarbi koronny Jan Hińcza z Rogowa oraz kilkoro urzędników reprezentujących ziemie królestwa.

– Skarbiec jest pusty. – Głos Kazimierza uciszył rozmowy. – Wojna z zakonem wyczerpała także poddanych i Kościół.

Zebrani pokiwali głowami. Doskonale wiedzieli, o czym król mówi.

Aby uzupełnić królewską szkatułę, Kazimierz musiał sięgać po klejnoty, które ludność ofiarowała religijnym przybytkom. Aby zadośćuczynić kościołom, Elżbieta dokonywała licznych fundacji, głównie na rzecz Najświętszej Panienki, do której modliła się nie tylko jako do matki, prosząc o wstawiennictwo w sprawie zdrowego potomstwa, lecz także kobiety, dziękując jej za Kazimierza.

Zaczęto debatować o podatkach. Należało je zwiększyć, nie zważając na protesty.

– Jedyne pocieszenie w tym, że szkatuła wielkiego mistrza też świeci pustkami. – Jan Hińcza chciał jeszcze coś dodać, ale drzwi komnaty otworzyły się na oścież i ukazała się w nich przerażona Konstancja Humnicka, dama należąca do fraucymeru Elżbiety.

– Niech Jego Królewska Mość wybaczy to nagłe najście, ale coś złego przydarzyło się Jej Wysokości. – Usta Konstancji drżały, jakby miała się rozpłakać.

Kazimierz zerwał się na równe nogi i wybiegł z izby, zostawiając dostojników samych. Konstancja zerknęła na nich, po czym podwinęła suknię i biegiem ruszyła za królem, który zdążył już dopaść drzwi sypialni żony.

– Zostawcie nas samych – rozkazał obecnym w komnacie damom dworu. – Ty zaś – zwrócił się do Celestyny Sokolnickiej, która zatrzymała się w pół kroku – powiedz mojej matce, żeby do nas dołączyła. A ty biegnij po medyka. – Wskazał na Hannę Miskowicz.

Elżbieta była blada. Leżała na łóżku i z lekkim uśmiechem przyglądała się zatroskanemu Kazimierzowi. Jego troska łapała ją za serce. Zmówiła krótką modlitwę dziękczynną.

– Powiedzieli mi, że stało się coś złego. Dobrze się czujesz? – Usiadł na brzegu łóżka i wziął ją za rękę. Miała zimne, lekko drżące palce.

– Już dobrze. Zasłabłam i gdyby nie Helena, która akurat była ze mną, upadłabym na podłogę. Biedactwo, tak się przeraziła, że sama musiała

się położyć.

– Nie czas teraz, żebyś martwiła się nianią. Czy czujesz się już lepiej?

– Tak, chociaż wciąż kręci mi się w głowie i mdli mnie od czasu do czasu. To pewnie jakieś niegroźne zatrucie.

Rozmawiali o tym, jak czuje się Elżbieta i co mogło być przyczyną jej załabnięcia, gdy w komnacie zjawili się Zofia i królewski medyk. Lekarz chciał zostać z królową sam na sam. Kazimierz z ociąganiem wyszedł, ale nie miał zamiaru odchodzić spod sypialni żony. Zofia uściśnęła mu rękę. Spojrzał na matkę i zobaczył, że ta dziwnie się uśmiecha. Pokręcił karcąco głową, dając jej do zrozumienia, że to nie czas na radość.

– Przeciwnie, kochany, przeciwnie – skwitowała Zofia.

Jakby na potwierdzenie jej słów drzwi komnaty się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty medyk.

– Wasza Wysokość, małżonka chciałaby z wami porozmawiać.

– Usiądź, kochanie. – Elżbieta poklepała miejsce tuż obok siebie. Poczekala, aż Kazimierz wygodnie się ułoży, po czym przycisnęła jego rękę do brzucha. – Zostaniesz ojcem – powiedziała, potwierdzając tym samym przypuszczenia królowej matki.

Przez kilka kolejnych tygodni Elżbieta czuła się nieco rozdrażniona, czasami osłabiona, innym razem pełna sił i werwy. Nudności ustąpiły bardzo szybko i pozostałe miesiące ciąży przebiegły spokojnie.

Poród zaczął się rankiem 1 marca 1456 roku. Kazimierz jakiś czas temu wrócił do Krakowa. Walka z zakonem toczyła się ospale. Obie strony były wyczerpane zarówno fizycznie, jak i materialnie. Ludwigo von Erlichshausen szukał pieniędzy i wsparcia. Tak samo jak polski monarcha. Kazimierz postanowił wrócić na Wawel, aby być obecnym przy narodzinach pierwszego potomka. Chodził więc teraz nerwowo po zamku, wywołując uśmiech na ustach urzędników, dam dworu, familiantów, pokojowców i służby. O zdenerwowaniu króla rozprawiano nawet w stajni.

– Ja też wydeptałem podłogę w komnacie, kiedy moja szanowna małżonka rodziła pierwszego syna. Przy piątym zaledwie raz podskoczyło mi serce ze zdenerwowania. – Koniuszy wielki koronny przyłączył się do pogawędki stajennych. Był tam akurat, aby sprawdzić, jak czują się konie i czy który nie choruje.

Tymczasem Zofia Holszańska dotrzymywała synowi towarzystwa.

– Usiądź – powiedziała dość oschle.

Spacer Kazimierza od ściany do ściany zaczął ją denerwować. Czułaby się dużo bardziej komfortowo, gdyby siedział spokojnie i czekał na wieści z komnaty Elżbiety. Posłuchał, ale tylko na chwilę. Denerwowała go niemoc i przedłużające się oczekiwanie. Nagle zerwał się z krzesła, na którym ledwo przysiadł, i nie zważając na wołania matki, pognął w stronę sypialni żony. Był już blisko, kiedy korytarz wypełnił się donośnym płaczem dziecka, które w ten sposób dawało światu znać, że jest całe i zdrowe.

Kazimierz przystanął na ten dźwięk. Zaszumiło mu w głowie. Serce podskoczyło radośnie. Oparł rękę o zimny kamienny mur. Żeby nieco ochłonać, wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze z płuc. Kiedy zbliżył się do komnaty małżonki, prawie zderzył się z wybiegającą z niej nianią Heleną.

– Syn! – wykrzyknęła radośnie. – Syn, Wasza Królewska Mość.

Akuszerka zdążyła już zawinąć dziecko w biały kaftanik, dzięki czemu uspokoilo się i przestało płakać. Podała je zmęczonej, spoconej Elżbiecie i wraz z pozostałymi wyszła z sypialni.

– Mamy syna, Kazimierzu – powiedziała Elżbieta jeszcze słabym głosem. Była zmęczona, ale na twarzy miała uśmiech szczęścia.

W tej chwili wydała się królowi najpiękniejszą kobietą na świecie. Podszedł do łóżka i przysiadł obok niej, przyglądając się pomarszczonej, różowej twarzyczce. Maluch miał mocno zaciśnięte oczy i lekko rozchylone usteczka, układające się w kształt serca. Wydawał cichutkie

odgłosy, które skojarzyły się Kazimierzowi z popiskiwaniami malutkich szczeniactków. Pogładził palcem aksamitny policzek.

– Jest taki malutki – szepnął. – I kruchy.

Po tych słowach pochylił się i złożył na ustach Elżbiety gorący dziękczynny pocałunek.

– Zobaczysz, będzie mocny i piękny ja ty.

– I mądry jak matka – dodał Kazimierz, obejmując żonę jedną ręką, a drugą kładąc delikatnie na małym, ciepłym zawiniątku, które leżało spokojnie na jej piersi.

Wieść o narodzinach królewicza Władysława rozniosła się po Krakowie lotem błyskawicy. Ludzie przekazywali ją sobie z ust do ust i niebawem wszyscy mieszkańcy miasta wiedzieli, że król i królowa zostali rodzicami, i cieszyli się wraz z nimi.

Błazen Gąska zajrzał do sypialni Elżbiety. Przyszedł wraz z Zofią Holszańską, która kazała mu trzymać gębę na kłódkę i nie pleść farmazonów. Nie czekając na zaproszenie, wszedł jak do siebie. Królowa leżała w łóżku, a maleństwo spało w ozdobnej kołysce. Podeszedł do niej i zerknął zaciekawiony. Patrzył przez chwilę. To na niemowlę, to na odpoczywającą położnicę.

– Niech Bogu będą dzięki. – Wzniósł oczy do nieba. – Toż to cały król Kazimierz. – I nie czekając na połajankę królowej matki, czmychnął z komnaty w podskokach.

Dziś Elżbieta nie gniewała się na nikogo. Zdążyła się już przyzwyczaić do uszczypliwości Gąski, zwłaszcza że nie była jedynym obiektem jego docinków i dowcipów. Dostawało się wszystkim. Nawet Zofii Holszańskiej, którą Gąska uwielbiał, co było widać na pierwszy rzut oka. Dziś Elżbieta była w cudownym, radosnym nastroju.

Z okazji narodzin pierworodnego syna Kazimierz zarządził jarmark, ucztę dla mieszkańców Krakowa i turniej rycerski.

*

W drugim, ostatnim dniu turnieju, w którym miano wyłonić zwycięzcę, na krakowskim rynku zebrało się chyba całe miasto. Na specjalnie wybudowanej wysokiej trybunie zasiedli król z królową matką u boku, ponieważ Elżbieta wciąż odpoczywała po porodzie. Oprócz monarchy i Zofii Holszańskiej byli tam królewscy urzędnicy oraz kasztelan krakowski Jan z Czyżowa. Towarzyszyły mu żona i córka, Agnieszka Ligęza Czyżowska, która miała wręczyć zwycięzcy nagrodę.

Na niższej trybunie usadowili się pozostali dworzanie, a wśród nich niektóre damy z fraucymeru królowej Elżbiety. Przyszły prawie wszystkie oprócz niani Heleny doglądającej królowej, Doroty Koniecpolskiej, opiekującej się malutkim księciem Władysławem, oraz Anny Schwarzenberger, która od kilku dni leżała w łóżku zmożona wysoką gorączką, katarem i kaszlem.

– Gdzie Ilona? – Konstancja Humnicka szukała wzrokiem panny Mniszech. Z zamku wyszły wszystkie razem i spacerkiem dotarły na rynek, gdzie od razu usiadły na trybunie.

– Nie wiem – odparła Hanna Miskowicz, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu wspomnianej damy.

Nigdzie jej jednak nie było. Pozostałe panny wzruszyły ramionami. Żadna nie zauważyła, kiedy Ilona Mniszech oddaliła się od ich grupy. Tymczasem panna, o której mówiono, stała w miejscu, gdzie do pierwszej gonitwy na kopie o grotach zakończonych żelazną koronką przygotowywali się uczestnicy. Jeden z nich, młody ciemnowłosy mężczyzna, podszedł do niej, co spowodowało, że na alabastrowych policzkach Ilony wykwitł jasny rumieniec zawstydzenia.

– Nie przypuszczałem, że przyjdiesz także dziś. – Młody człowiek miał miękki, głęboki głos, od którego na plecach dziewczyny robiła się gęsia skórka.

– Chcę ci to podarować. – Jego wzrok padł na kolorową wstążkę,

którą trzymała w drobnych palcach. – Na szczęście – dodała, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Teraz nie mogę przegrać. – Lenard z Lanckorony wziął wstążkę i zawiązał ją na kopii, a potem szybkim ruchem złapał dłoń Ilony i złożył na jej wewnętrznej stronie pocałunek. – Mam nadzieję, że zasiądziesz na trybunach. – Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową, po czym speszona, ale szczęśliwa, dołączyła do swoich towarzyszek.

Serce biło jej jak szalone, kiedy siadała obok Celestyny wpatrującej się w nią pytająco. Ilona uśmiechnęła się do pozostałych dziewcząt, ale nie odezwała się ani słowem, chociaż wiedziała, że umierają z ciekawości.

Lenard czekał na swoją kolej. On też czuł przyspieszone bicie serca. Ilonę Mniszech spotkał zaledwie dwa dni wcześniej.

Wychodził właśnie z Domu Rycerskiego przy Kanoniczej 9, kiedy zauważył wóz, ciągniony przez dwa konie. Coś musiało je spłoszyć, a woźnica nie potrafił ich poskromić. Idące z przodu damy nie spodziewały się nadciągającego niebezpieczeństwa. Krzyknął ostrzegawczo. Usłyszały go, odwróciły się i z piskiem rozpierzchły. Jedna z nich, sparaliżowana strachem, stała jednak w miejscu. Ilona Mniszech patrzyła to na zbliżające się rozszalałe konie, to na swoje towarzyszki, które przywarły do ścian krakowskich kamienic, to na ludzi, którzy krzyczeli, żeby uciekała. Chciała, na Boga, bardzo chciała, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zamknęła oczy i przygotowała się na straszliwą śmierć. Nagle poczuła mocne szarpnięcie. Coś poderwało ją w górę. Otworzyła oczy i jej wzrok spoczął na przystojnej twarzy młodzieńca, który je ostrzegł. Oczy, czarne jak węgiel, przypatrywały się jej z zainteresowaniem.

– W ostatniej chwili – powiedział, stawiając ją na ziemi.

Chciała coś odpowiedzieć, ale panny z królewskiego fraucymeru rzuciły się ku Ilonie, pytając, czy nic jej nie jest. Młodzieniec, widząc,

że rozmowa jest niemożliwa, uśmiechnął się do niej, skinął głową, po czym ruszył w stronę Sukiennic. Odwrócił się jeszcze dwa razy i zobaczył, że dziewczyna patrzy za nim smutnym wzrokiem.

Ujrzał ją później na trybunach. Ona także go zauważyła. Kiedy skończył się turniej, podeszła do niego, żeby podziękować.

– Najlepszym podziękowaniem będzie, jeżeli jutro też cię zobaczę – szepnął, ale nie robił sobie wielkich nadziei.

A jednak przyszła, pomyślał, gotując się do walki. Jej obecność dodawała mu otuchy. Bił się za dwóch. Każde celne uderzenie nagradzano gromkimi brawami. A miał nie uczestniczyć w turnieju.

– Wiesz, że nie powinienem cię dopuścić. Nie jesteś rycerzem, nie masz herbu. Jesteś synem zwykłego chłopca – powiedział Wawrzyniec Młodszy, który przejął po ojcu Wawrzyńcu funkcję herolda. Stanowisko to powołał król Władysław Jagiełło. Wawrzyniec Młodszy i jego poprzednicy nosili tytuł Polanland, dzięki czemu wszyscy wiedzieli, że mają do czynienia z heroldem. – Ale jako że dobrze walczącego potrafię docenić, dopuszczam cię do turnieju. – Na pytające spojrzenie Lenarda uśmiechnął się tylko, a potem dodał od niechcienia: – Cóż byłby ze mnie za herold, gdybym nie wiedział, kto dobrze walczy i kto sięgnie po nagrodę?

Jeszcze jeden cios i usłyszał brawa, a potem widzów skandujących jego imię. Położył rękę na sercu, zdjął wstążkę i pocałował ją, patrząc na Ilonę. Siedzące obok niej panny zwróciły głowę w jej stronę. Ta, która była najbliżej, nachyliła się do niej i coś szepnęła, a potem powtórzyła to pozostałym. Wszystkie pisnęły z radości i zaczęły bić brawo.

Podszedł do wysokiej trybuny, aby z rąk córki kasztelana krakowskiego Agnieszki Ligęzy Czyżowskiej odebrać nagrodę w postaci srebrnej strzały. Dziewczyna wstała z miejsca, ale zamiast dać mu nagrodę, uniosła wysoko podbródek i powiedziała głośno:

– Niech Wasza Królewska Mość wybaczy, ale za żadne skarby nie wręcę nagrody synowi chłopa. To poniżej mojej godności^[4].

Na placu zrobiło się cicho. Ludzie z tyłu zaczęli buczeć, okazując niezadowolenie. Jan z Czyżowa, jej ojciec, poczerwieniał cały, a matka prawie się rozpłakała. Lenard z Lanckorony czekał na to, co będzie dalej. Co jakiś czas zerkał na Ilonę Mniszech, która kręciła z niedowierzaniem głową. Król wstał ze swojego miejsca, podszedł do kasztelana i wziął srebrną strzałę.

– Podejź – powiedział głośno i wyraźnie. Lenard zbliżył się do trybuny, a król mówił dalej: – Nieważne, czy urodziłeś się na sianie w chłopskiej chacie, czy w ciepłym łóżku wielmoży. Ważne, że pokazałeś nam dziś, iż masz wielkie, waleczne serce i odwagę, której wielu może ci pozazdrościć. Niech żyje Lenard z Lanckorony! – wykrzyknął, podając mu strzałę.

– Niech żyje! Niech żyje! – huknęło po całym rynku.

*

Czerwiec 1457 roku był ciepły i słoneczny. Zieleń miała cudownie soczysty jasny kolor.

Elżbieta wzięła głęboki oddech i położyła dłoń na lekko wypukłym brzuchu. Przechadzała się po zamkowym ogrodzie, zażywając rześkiego, porannego powietrza, które dobrze jej robiło. Dzięki temu nudności prawie ustąpiły. Nie miała zawrotów głowy i dopisywał jej prawdziwie wilczy apetyt. Towarzyszyły jej tylko Maria Mattencloit i Ilona Mniszech, która promieniała szczęściem zakochanej kobiety.

– Posłuchaj – zwróciła się Elżbieta do malutkiego ziarenka, które od marca zaczęło w niej rosnać. Po raz drugi była w ciąży, niezmiernie uszczęśliwiając tym Kazimierza. – Dostaliśmy list aż z Malborka. Twój ojciec dokonuje prawdziwych cudów. Udało mu się zebrać aż sto dziewięćdziesiąt tysięcy florenów i wykupić zamki w Malborku,

Tczewie i Ławie. – Elżbieta już od dawna swobodnie mówiła po polsku. Wciąż jeszcze służyć było niemiecki akcent i niekiedy miała problem z wymówieniem niektórych słów, jak chociażby „Tczew”, ale nie poddawała się łatwo i próbowała do skutku. – Tczew, kochanie. Tczew – powtórzyła kilka razy, aż wreszcie wyglądała na zadowoloną. Czytała dalej po cichu, a na głos składała relację rosnącemu w niej dziecku. – Na początku czerwca król, twój ojciec, wjechał na zamek malborski, zmuszając wielkiego mistrza krzyżackiego do przeprowadzki do Królewca. Och – sapnęła z niezadowolenia. – Tego można się było po nim spodziewać. Posłuchaj, kruszynko. Ludwig von Erlichshausen, mistrz zakonu, urągał twojemu ojcu, twierdząc, że nie zdołamy zebrać tylu misek, z których będą jeść nasi rycerze, ile on sprowadzi wojska. Marzyciel, prawda?

– Głupiec, chociaż marzyciel. – Elżbieta zwróciła głowę w stronę dochodzącego głosu i zobaczyła idącego za nią Gąskę. – Wasza Królewska Mość jest wyjątkiem. – Podszedł bliżej, kiedy zorientował się, że Elżbieta nie zamierza go przegonić. – Jest mądra jak na kobietę i na Niemkę z urodzenia. Inni Niemcy nie wiedzą, jak korzystać z rozumu, czego już nieraz dowiedli. Coś mi się widzi, że oni, stojąc w kolejce do Pana Boga, prosili o urodę. – Parsknął śmiechem i nie czekając na słowa Elżbiety, pobiegł niezgrabnie w stronę zamkowego dziedzińca.

– Uchowaj mnie, Najświętsza Panienko, od grzechu, ale kiedyś każę go oćwiczyć – szepnęła Elżbieta.

Mijały dni i tygodnie. Lato powoli miało się ku końcowi. W połowie września zaczął padać deszcz. Zrobiło się zimno. Elżbieta z powodu nieprzyjemnej pogody oraz zbliżającego się rozwiązania większość czasu spędzała na zamku, grzejąc się w ciepłe ognia buzującego na kominku. Zofia Holszańska otoczyła ją opieką, czasami nadmierną. Widząc zaangażowanie teściowej, Elżbieta nie miała serca, żeby poprosić

o chwilę wytchnienia. Były dni, kiedy nadopiekuńczość teściowej bardzo ją irytowała. I niespodziewanie Gaska przyszedł jej z pomocą.

– Wasza Królewskość! – Krążył koło Zofii, tak jak ona krążyła wokół Elżbiety. – Wasza troska o synową sprawia, że łzy cisną mi się do oczu. – Królowa matka uśmiechnęła się do niego. – Płakać mi się chce nad niedolą Jej Wysokości królowej Elżbiety, która potrzebuje nie waszej opieki, lecz powietrza. Czy nie zauważyliście, że łapie je jak ryba wyjęta z wody? – Po tym pytaniu odsunął się poza zasięg ramion Zofii Holszańskiej, zdając sobie sprawę, że królowa trzepnie go w głowę za złośliwości.

I pomogło, chociaż to wciąż nie była samotność, jakiej Elżbieta czasami potrzebowała. W komnacie, w której akurat siedziała, zawsze przebywała niania Helena lub damy z fraucymeru, cicho szepcząc między sobą, żeby nie przeszkadzać królowej.

Poród rozpoczął się wczesnym rankiem 21 września 1457 roku. Elżbieta przygotowała się na wielogodzinne męczarnie, podobnie jak przy narodzinach Władysława. Tymczasem dziewczynka przysła na świat bardzo szybko i prawie bezboleśnie.

– Moja malutka królewna – szepnęła Elżbieta, wpatrując się w ziewającą twarzączkę niemowlęcia. – Jaka szkoda, że twój ojciec nie może cię teraz zobaczyć. Byłby zachwycony.

Kazimierz pojawił się na zamku kilka dni po narodzinach córeczki i natychmiast pierwsze kroki skierował do komnaty żony. Dziecko było akurat u mamki. Czekał z niecierpliwością, chcąc utulić pierworodną. Zachwyтом nie było końca. Kiedy wreszcie zostali sami, Kazimierz czule przywitał się z żoną.

– Damy jej na imię Jadwiga – szepnął tuż przy ustach żony, składając na nich dziękczynny pocałunek.

– Pięknie tu. – Elżbieta stała na murach zamku w Sandomierzu, dokąd niedawno przyjechali z Kazimierzem.

Oprócz Zofii Holszańskiej, która opuściła swoje dobra w Sanoku, Doroty Konięcpolskiej, od dnia narodzin Władysława piastunki królewskich dzieci, oraz niani Heleny Kottanner i trzech dam dworu Elżbiety towarzyszył im kanonik krakowski Jan Długosz.

Elżbieta trzymała Kazimierza pod rękę, podziwiając roztaczający się przed nią krajobraz. Była nad wyraz szczęśliwa. Wszak toczyła się wojna z zakonem, więc niespodzianka, jaką sprawił jej Kazimierz swoim przyjazdem, była ogromna.

Zamek królewski stał na wzgórzu, z którego rozpościerał się piękny widok na ciągnące się z jednej strony gęste lasy, a z drugiej na przycupnięte poniżej miasto.

Listopad miał się ku końcowi. Drzewa w większości pozbawione już były liściastej korony. Tylko gdzieniegdzie można było jeszcze zobaczyć smętnie zwisające liście w kolorze ciemnego brązu, głębokiej czerwieni lub przybrudzonej, spalonej na brzegach żółci. Igły choinek wyglądały, jakby ktoś wyciągnął z nich całą esencję, zostawiając tylko śladowe ilości zielonej barwy. A mimo to świat wydawał się Elżbiecie kolorowy. Może to przez nisko stojące listopadowe słońce. Może przez białe, kłębiaste obłoczki wolno posuwające się na niebie tak błękitnym, że aż zapierało dech w piersiach. A może to po prostu obecność Kazimierza działała na nią tak kojąco. Była nastawiona do świata pozytywnie, wyciągała do niego otwarte ramiona i chciała mu ofiarować coś od siebie.

– Jak to dobrze mieć cię u swego boku. Tęsknota i strach, kiedy jesteś daleko, są czasami nie do zniesienia. Chociaż teraz, kiedy mamy Władysława i małą Jadwigę, uczucia te są nieco przytłumione.

– Niestety, sprawy z zakonem wciąż mają się źle. Wielki mistrz Ludwig von Erlichshausen zrobi wszystko, aby odzyskać utracone

twierdze i ziemie. Coś mi się zdaje, że przed nami jeszcze długa droga do zakończenia sporu.

– Nie myślmy teraz o tym. Niebawem znowu wyruszysz na północ. Cieszymy się tym, że jesteśmy razem.

Chwilę później w towarzystwie Jana Długosza wybrali się na spacer. Elżbieta chciała udać się do kościoła.

– Chcę podziękować Paniencie za twoje powroty. I za nasze zdrowe i silne dzieci.

Towarzyszący im w przechadzce Jan Długosz, zanim udał się do znajdującego się po przeciwnej stronie zamku kościoła Świętego Jakuba, uczynił zadość prośbie królowej i zaczął snuć opowieść o ciekawych miejscach Sandomierza.

– Jest tu wzgórze, które miejscowi nazywają Salve Regina. Legenda głosi, że mieszkający nieopodal dominikanie zostali wymordowani przez Mongołów. W klasztorze hodowano bydło. Był tam także ogromny byk, który widząc zabitych braci dominikanów, puścił się w pogoń za najeźdźcami, aby pomścić śmierć zakonników. Niestety, nie udało mu się to. Z wściekłości tak długo rył kopytami, aż usypał ten kopiec. – Elżbieta spojrzała wraz z Kazimierzem w stronę pokazywaną przez kronikarza. – A potem, zanim zmęczony padł na zrytą ziemię, rogami wyrył napis „Salve Regina”

– Witaj Królowo – przetłumaczyła Elżbieta ostatnie słowa. – Czy znasz jeszcze jakieś opowieści? Czy wiedziałeś o tym, Kazimierzu? – Zerknęła na męża, który kręcąc przecząco głową, uśmiechnął się do żony, a następnie dał znać duchownemu, żeby mówił dalej.

– Na zamku mieszkał też książę Henryk Sandomierski, syn księcia Bolesława zwanego Krzywoustym. Z wyprawy do Ziemi Świętej przywiózł piękną kobietę, w której się zakochał w chwili, kiedy spotkały się ich spojrzenia. – Elżbieta westchnęła i położyła prawą rękę na sercu. Kazimierz, który zamknął jej lewą dłoń w swojej, ścisnął ją

mocniej, jakby chciał zapewnić żonę o swoim uczuciu. – Miała na imię Judyta. Pochodziła z prostej żydowskiej rodziny. – Tym razem Elżbieta westchnęła, ale z oburzenia. Widząc jednak, że Kazimierz słucha z zainteresowaniem, nie odezwała się ani słowem. – Miłość księcia była tak wielka, że co rusz obdarowywał ją klejnotami, a komnaty na zamku opływały dostatkiem. Jego zachowanie nie podobało się rycerstwu i duchowieństwu.

– Nie dziwi mnie jej zachłanność. Czegóż innego można spodziewać się po kobiecie z ludu. – Królowa przerwała Długoszowi, wyraźnie zirytowana. Kiedy milczenie się przedłużało, dodała: – Opowiadajcie dalej. Warto posłuchać czasem powiastki jako przestrogi na przyszłość.

– Bunt wisiał na włosku. Rycerze wymogli na księciu wygnanie niewiasty. Ten jednak wcześniej kazał w podziemiach, nieopodal wzgórza Salve Regina, wybudować pałac. Judyta zapakowała kilka najcenniejszych rzeczy na wóz i żegnana okrzykami zadowolonych mieszkańców udała, że wyjeżdża z Sandomierza. Kiedy zapadł zmierzch, zawróciła i zamieszkała w przygotowanym dla niej pałacu. Czekając na ukochanego, zajęła się czarami. Pewnego dnia, podczas wyprawy do Prus, książę Henryk opuścił rycerzy i co koń wyskoczy popędził do ukochanej. Judyta, używając swojej magicznej mocy, rzuciła na niego czar, obdarowując Henryka nie tylko miłością, lecz także wieczną młodością. Ponoć żyją w podziemnym pałacu po dziś dzień. – Długosz zerknął na króla.

– Czy wiadomo, gdzie znajduje się pałac? – zapytał Kazimierz z ciekawości.

– Wielu już przekopało wzgórze, szukając ukrytego wejścia, ale legenda mówi, że czary Judyty bronią skutecznie dostępu.

– Lubię słuchać opowieści o miłości, ale mariaż książąt z kobietami z ludu nigdy nie powinien się zdarzyć. Każdy musi znać swoje miejsce. Gdybyśmy wedle własnej woli mogli mieszkać tam, gdzie chcemy,

i żenić się z tym, z kim chcemy, nie byłoby królów i książąt. Widać, taka jest wola Boża, że jedni rodzą się królami, a inni chłopami. Grzechem jest mieszać to, co Pan Bóg rozdziela przez urodzenie – odezwała się Elżbieta. Przez chwilę szli w milczeniu. Kazimierz już jakiś czas temu zorientował się, jaką wagę żona przywiązuje do swego urodzenia. Jan Długosz zaś wolał milczeć, niż narazić się na kolejną królewską reprimendę. – Czy znacie jeszcze jakieś opowiadki?

– Jeżeli Wasza Wysokość chce posłuchać, to chętnie opowiem o królowej Jadwidze, imienniczce królowy. – Królewska para uśmiechnęła się szeroko na tę propozycję. – Jadwiga była córką Ludwika Węgierskiego. Od samego początku, jak tylko zasiadła na tronie, zyskała sobie sympatię i uwielbienie poddanych. Lubiła przyjeżdżać do Sandomierza. Kochała to miejsce. Dużo czasu spędzała w kościele Świętego Jakuba, do którego właśnie miałem zamiar się wybrać. Nie bacząc na protesty dworu, często spacerowała po mieście. To wydarzyło się pewnego zimowego mroźnego wieczoru, kiedy królowa wracała do Krakowa. Sanie ugrzęzły w wielkiej śnieżnej zaspie. Choć służba robiła co w jej mocy, nie mogła ich stamtąd wydobyć. W końcu pospieszono do miasta, aby prosić o pomoc. Kiedy ludzie się zwiędzieli, że ich ukochana Jadwiga jest w potrzebie, natychmiast przybiegli z pomocą. Ponieważ nie mogła wracać po nocy, zatrzymała się w jednej z chałup pod miastem, a w podziękę za gościnę zostawiła swoje białe rękawiczki. Może je Wasza Królewska Mość zobaczyć, ponieważ duchowni z kolegiaty przechowują je w skarbcu. A teraz, jeśli Wasza Wysokość pozwoli, odwiedzę starego przyjaciela, z którym przez trzy lata studiowałem w Akademii Krakowskiej. – Spokojnym krokiem dotarli do drzwi kolegiaty, katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

Do środka, pustego o tej porze dnia, królewska para weszła już sama. Przywitała ich niezmacona niczym cisza i ten charakterystyczny dla

kościółów nastrój wielowiekowego skupienia. Usiedli w ławie i zatopili się w modlitwie. Po krótkiej rozmowie z duchownym, który akurat pojawił się w katedrze, przystąpili do spowiedzi.

Wracali niespiesznie w milczeniu. Zmrok dawno już zapadł. Zrobiło się chłodniej i Elżbieta bardziej wtuliła się w męża, który objął ją ramieniem i zamknął w ciasnym, mocnym uścisku.

– Spójrz. – Elżbieta uniosła głowę. – Rozgwieżdzone niebo jest takie piękne i tajemnicze. Kiedy w nie patrzę, nasuwa mi się tyle myśli, że nie jestem w stanie ich wypowiedzieć. Ten widok zapiera dech w piersiach.

– W obliczu tego ogromu człowiek wydaje się zaledwie ziarenkiem piasku w klepsydrze – dodał Kazimierz.

Kolejne dni mijały powoli, leniwie. Było jeszcze słonecznie, ale coraz mroźniej. Pod koniec listopada spadł pierwszy śnieg. Kazimierz jak zwykle spacerował z Elżbietą, która uwielbiała ich wspólne wyprawy, bez towarzystwa dam dworu i sekretarzy króla. Byli sam na sam z otaczającym ich spokojnym światem.

Płatki śniegu zaczęły spadać z nieba najpierw niemrawo, powolutku. Jeden za drugim. Potem było ich coraz więcej i więcej, jakby aniołowie wytrząsali je z wielkich worków. Ziemia, drzewa i dachy zaczęły robić się białe. Gdzieś w oddali dzieci piszczwały z radości. Elżbieta wysunęła rękę, żeby kilka płatków śniegu spadło na jej dłoń schowaną w czerwonej rękawiczce.

– Są takie misterne. Małe dzieła sztuki. Każdy płatek inny. Już jako dziecko lubiłam łapać je na rękę i sprawdzać, czy jakiś wzór się powtarza. Nigdy nie udało mi się znaleźć dwóch jednakowych.

– Chyba wszystkie dzieci to robią. – Kazimierz schylił się i zgarnął niewielką ilość białego, lepkiego puchu, zbijając go w małą kulkę. A potem, z ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu, rzucił śnieżką w zdumioną, ale rozweseloną Elżbietę.

Zabawę przerwał sługa, który biegł ku nim co sił w nogach.

– Wasza Królewska Mość – zwrócił się do króla. – Przed chwilą przyjechał poseł z Czech. Ma pilną wiadomość dla Jej Królewskiej Mości. – Spojrzał na Elżbietę, która wciąż trzymała w dłoniach małą śnieżkę.

Ruszyli do zamku, aby czym prędzej spotkać się z przybyłym i wysłuchać tego, co miał do przekazania.

– Usiądź – zwrócił się Kazimierz do żony, widząc, jak krew odpływa z jej zaczerwienionych przez mroźne powietrze policzków, usta wyginają się w podkówkę i zaczynają lekko drżeć. Widomy znak, że Elżbieta powstrzymuje łzy.

– Władysław. Mój kochany braciszek. – Ręka jej opadła i list wysunął się na podłogę. – Król Władysław nie żyje – dodała po chwili i ruszyła do swojej komnaty. Chciała zostać chociaż na kilka chwil sama ze swoim smutkiem.

Praska kancelaria królewska donosiła, że król zmarł nieoczekiwanie. Śmierć była ciosem nie tylko dla dworu, jego najbliższych i poddanych, ale także dla Magdaleny, córki Karola VII, króla Francji, która niedawno została narzeczoną Władysława. Kanclerz królewski pisał, że monarcha od kilku tygodni czuł się źle, jednak medyk zrzucił to na karb pogody i wcześniejszego przeziębienia. O tym, że na praskim dworze na Hradczanach szeptano po kątach, że Władysława Pogrobowca otruli Jerzy z Podiebradów, który od dawna czynił zakusy na tron czeski – kanclerz nie napisał.

Kazimierz zjawił się w komnacie Elżbiety późnym popołudniem.

– Tak mi przykro. – Usiadł obok żony, a ona wtuliła się w jego ramiona i zaczęła cichutko płakać.

Byli małżeństwem od kilku lat, ale dopiero dziś zobaczył żonę prawdziwie smutną i płaczącą rzewnymi łzami.

– Kiedy mieszkaliśmy na zamku w Orth, był ze mną mocno związany.

Anna nie czuła z nami tak wielkiej więzi. Pewnie dlatego, że przez wiele lat przebywała na dworze naszej babki, Barbary Cylejskiej. Władysław często przychodził do mnie do komnaty. Lubił słuchać opowieści o duchach, a potem bał się zasnąć sam. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Kazimierz kołysał ją lekko w ramionach.

– Taki nasz los. Przez swoje urodzenie nie mamy szansy, żeby zbliżyć się z rodzeństwem, tak jak ja z moim bratem, także Władysławem. Rozstaliśmy się jako dzieci. Zawsze wydawało mi się, że na wszystko przyjdzie czas. A tymczasem śmierć to żniwiarz, który nie patrzy, czy na głowie spoczywa korona, czy nie. Nie pyta o pozwolenie. Ciężko przyszło mi pogodzić się z jego odejściem. Chociaż to już ponad dekada, wciąż noszę w sercu nadzieję, że może jednak Władysław żyje.

– Nie wiem, co lepsze. Mieć pewność, że odszedł na zawsze, czy płonne nadzieje, że może kiedyś wróci?

Długo siedzieli w milczeniu oświetleni słabym światłem świecy. Migocząca poświata kładła na ich twarzach długie cienie, uwydatniając smutek.

– Już czas – odezwał się w końcu Kazimierz.

Elżbieta wstała, nie pytając, co mąż ma na myśli.

Wezwano służbę, która narzuciła na ramiona Elżbiety ciepłe okrycie, a włosy skryła pod kapturem obszytym grubym futrem. Potem w towarzystwie dam dworu, osobistego sekretarza Kazimierza i Jana Długosza para królewska udała się do katedry Najświętszej Marii Panny, w której byli zaledwie kilka dni wcześniej. Msza przyniosła królowej ukojenie, a cicha żarliwa modlitwa do Najświętszej Paniienki pewność, że dusza brata trafi do nieba.

Kiedy została sama, pomyślała o swoim synku, Władysławie, imienniku zmarłego brata. Wiedziała, że królewicz jest jeszcze za mały, ale w jej głowie zrodziła się myśl, że tron czeski powinien jemu przypaść w udziale.

*

Klemens Młodszy, na którego wołano Klimek, syn płatnerza Klemensa, siedział przed warsztatem ojca, to zerkając na bawiące się na podwórzu młodsze rodzeństwo, to spoglądając na pracujących czeladników, którzy pocili się obficie. Lato roku 1461 było gorące i suche.

– Jak nic diabeł przeniósł się na ziemię, zamiast siedzieć w jej wnętrzu, bo gorąco tu jak w piekle. – Słowa ojca spotkały się z twierdzącymi pomrukami.

16 dzień lipca nie różnił się pod tym względem od pozostałych. Upał sprawiał, że ludzie chodzili rozdrażnieni, nadwrażliwi, zdenerwowani. Niektórzy mówili, że tragedia wisi w powietrzu. Z niepokojem wyczekiwano iskry, która rozpali ogień.

– Klimek! Klimek! – Wołanie matki przedarło się przez harmider, jaki dobiegał z warsztatu. – Proś ojca na obiad. Reszta niech też się szykuje. Alinka zaraz przyniesie jedzenie.

Już zabierali się do posiłku, kiedy do izby wszedł starosta rabsztyński Andrzej Tęczyński w towarzystwie syna. Klemens zerwał się zaraz z miejsca, żeby przywitać gości. Dzieci siedziały spokojnie, a Klimek, chociaż udawał, że przygląda się jedzeniu, nadstawiał ucho, ciekaw, o czym rozmawiają trzej mężczyźni. Nagle ojciec podniósł nieco głos. Klimek poznał od razu, że jest zdenerwowany, bo Klemens Starszy prawie nigdy się nie złościł. Matka też musiała coś zauważyć, bo odwróciła głowę w stronę rozmawiających. Na jej twarzy pojawił się niepokój. A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Andrzej Tęczyński rzucił ojcu kilka monet, na co ten się oburzył. W odpowiedzi usłyszał pod swoim adresem obelgę, a kiedy zaprotestował, domagając się przeprosin, starosta rabsztyński wymierzył mu siarczysty policzek. Cios był tak mocny, że głowa płatnerza odskoczyła do tyłu. Matka Klimka krzyknęła ze zgrozą, a młodsze dzieci zaczęły płakać

przestraszone. Tymczasem dostojni panowie ruszyli do otwartych drzwi i opuścili izbę.

Ojciec stał w miejscu jeszcze przez chwilę, dochodząc do siebie. Obejrzał się w stronę stołu, przy którym kuliły się wystraszone dzieci. Jego zdumiony wzrok spotkał się z przerażonym spojrzeniem żony, potem padł na Klimka. W końcu bez słowa wybiegł z domu. Klimek, nie bacząc na sprzeciw matki, pobiegł co sił w nogach za ojcem. Końmi by go nie zatrzymali. Czuł, że w powietrzu wisi jakaś przygoda. Nie wiedział tylko, jaki może być jej finał.

Tymczasem płatnerz chodził od jednego warsztatu do drugiego. Poszedł też na targ mięsny, gdzie stały jatki rzeźników, oraz do domów cechowych i wszędzie z oburzeniem opowiadał, w jaki sposób potraktował go Andrzej Tęczyński. W pewnym momencie Klimek obejrzał się przez ramię. Za nim i ojcem szedł spory tłum, głośno wymieniający uwagi. Emocje zaczęły brać górę.

– Na Tęczyńskiego! – krzyknął ktoś z tyłu. – Na Bracką! – dodał głos po chwili.

– Na Bracką! – podchwycili inni.

Do rzemieślników zaczęli przyłączać się także zwykli mieszkańcy. Tłum rozwścieczonych ludzi rósł z minuty na minutę. Opowieść Klemensa zaczęła żyć własnym życiem. Ludzie, którzy szli na końcu, z przerażeniem powtarzali, że szlachcic zabił płatnerza.

Andrzej Tęczyński zabarykadował się w swojej kamienicy.

– Leć, a prędko, do zamku. Proś o posłuchanie u królowej. Powiedz, że jesteśmy w niebezpieczeństwie – polecił jednemu ze swoich sług. Chłopak skinął energicznie głową i wybiegł z bramy. Na jego twarzy malowała się ulga, że nie musi siedzieć w domu, ku któremu zmierza zgraja rozjuszonych ludzi.

Elżbieta odpoczywała w swojej komnacie. Za niespełna miesiąc miało się urodzić piąte dziecko królewskiej pary. Poprzednie ciąży zносиła

dobrze. Tym razem jednak przez długie tygodnie męczyły ją nudności i zawroty głowy. A teraz, przed samym rozwiązaniem, niemiłosiernie bolał ją kręgosłup, puchły jej nogi i często odczuwała ból brzucha. Lekarz zalecił jak najwięcej odpoczywać. Leżeć i się nie denerwować, dlatego dzieci przez większość czasu przebywały z dala od komnat matki.

Pięcioletni Władysław, trzyletni Kazimierz i dwuletni Jan Olbracht znajdowali się pod opieką Stanisława Szydłowieckiego, a czteroletnia Jadwiga bawiła się pod okiem Doroty Koniecpolskiej. W sypialni panował półmrok. Zastłonięto ciężkie story, chroniące przed ostrym lipcowym słońcem. Dzięki temu w izbie nie było tak duszno jak w innych zamkowych pomieszczeniach. Elżbietę zaczął morzyć sen. Już prawie zasypiała, kiedy ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na pozwolenie, wszedł do środka.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość. – Mikołaj Róża z Borzyszowic, ochmistrz, skłonił się nisko. – Nie ośmieliłbym się przeszkadzać, gdyby sprawa nie wymagała waszej interwencji.

– Mów. Czyżby przyszły jakieś wieści od króla Kazimierza? – Elżbieta niespokojnie uniosła się na łokciach i oparła o poduszki, żeby lepiej widzieć.

– Nie, proszę się nie martwić, to nie o króla chodzi. Do zamku przybiegł właśnie sługa starosty rabsztyńskiego Andrzeja Tęczyńskiego z wieścią od swojego pana, że ten wraz z rodziną może za chwilę znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Jak to?

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale rozjuszeni rzemieślnicy, mistrzowie, czeladnicy, a nawet zwykli mieszkańcy miasta maszerują na dom Tęczyńskiego. Sługa wyglądał na bardzo przestraszonego, kiedy błagał o pomoc dla swego pana i możliwość schronienia na zamku.

– Poślijcie zatem straż do starosty i niech pod jej osłoną wraz

z rodziną przyjdzie na zamek. Udzielam mu schronienia do czasu wyjaśnienia sprawy.

Kiedy jednak straż dotarła na Bracką, w kamienicy znalazła tylko przerażoną służbę, która powiedziała, że pan, nie chcąc biernie czekać, udał się wraz z synem i kilkoma rajcami miejskimi do kościoła Świętego Franciszka z Asyżu. Tam też pobiegł rozwścieczony tłum. Ci, którzy biegli ostatni, właśnie mijali kamienicę, stojącą na rogu Brackiej i rynku, którą powszechnie zwano Szarą.

– Ludzie! Ludzie! Opamiętajcie się! – Dwaj franciszkanie stali przed drzwiami kościoła, broniąc do niego dostępu. – Nie wolno wam wejść na ziemię świętą, która daje schronienie wszystkim i zawsze. Na Boga, zlitujcie się!

– Odsuńcie się, braciszku! Odsuńcie, bo odsuniemy was siłą! – wrzeszczeli, wygrażając rękami.

Odczekali chwilę, a kiedy duchowni nie ustąpili, podeszli do nich i łapiąc w kleszczowy uścisk, przenieśli z dala od kościoła, gdzie przytrzymywani mogli tylko biernie przyglądać się temu, co działo się z zamkniętymi drzwiami bożego przybytku. Tłum zaczął na nie napierać. Odsuwał się i rozpędzał. Raz, dwa, trzy. Wejście zaczęło cicho pojękiwać. Cztery. Drzwi stękały głośniej. Pięć. Coś strzeliło i zrobiła się w nich malutka szparka. Sześć. Szpara zaczęła się powiększać. Można już było wsadzić przez nią ramię. Siedem. Osiem. Drzwi ustąpiły i ludzka lawa wlała się do świątyni.

Starosta rabsztyński Andrzej Tęczyński, jego syn Jan Tęczyński oraz dwaj rajcowie miejscy: Mikołaj Kridlar i Walter Kesling, ukryli się za ołtarzem.

– Tam są! – krzyknął ktoś i tłuszcza przewaliła się z dzikim rykiem przez kościół.

– Litości! Na Boga! – krzyczał Mikołaj Kridlar, zasłaniając głowę przed razami, jakie na niego spadały.

– Nie tego! – wrzasnął ktoś inny. – Tam jest starosta! Brać go!

I większość skierowała się w stronę Andrzeja Tęczyńskiego, którego starał się obronić syn, zasłaniając ojca własnym ciałem. Na nic się to zdało. Odciągnęli młodzieńca, tak samo jak szarpiących się i wrzeszczących rajców. Tęczyński zaś został okrążony. Bito go czym popadnie: pięściami, drewnianymi sztchetami, nawet srebrnym kielichem, który stał w kościele. Starosta wnet się przewrócił. Już nie krzyczał. Już nie prosił o litość. Kopali go tak długo, aż całe ciało zsiniało. Potem wzięli go za ręce i ciągnęli po ziemi. Jego głowa obijała się o kamienną posadzkę. Wywlekli go na ulice Krakowa i szli z nim aż do rynku, znacząc ślad przemarszu strużką sączącej się krwi. Tam na tłum czekała już uzbrojona straż. Widząc, że sprawa robi się coraz poważniejsza, porzucili zmaltretowane zwłoki szlachcica i się rozpierzchli. Nagle na ulicach znowu zrobiło się cicho i spokojnie. O tym, że właśnie doszło do buntu mieszczan przeciwko szlachcie, świadczył zbezczeszczony trup Tęczyńskiego, przy którym stał niemy, blady, wciąż przerażony syn i klęczała, zanosząc się szlochem, żona.

*

Kazimierz Jagiellończyk przeklinał los, że postawił na jego drodze ludzi, którzy najpierw chcieli się mienić jego sojusznikami, a potem nie dość, że nie wywiązywali się ze swoich przyrzeczeń, to jeszcze zwracali się przeciwko niemu. Rzecz dotyczyła księcia wołogoskiego, słupeckiego i szczecińskiego Eryka II, zwanego Lienzerem. Gdyby nie on, Kazimierz mógł już dawno być w Krakowie, skąd dochodziły do niego różne wieści. Radosne, jak ta o narodzinach syna, któremu Elżbieta pragnęła nadać imię Aleksander, oraz smutne i niepokojące, jak ta o linczu na Andrzeju Tęczyńskim, staroście rabsztyńskim.

Tymczasem o powrocie nie było mowy. Wraz z wojskiem w liczbie sześciuset zbrojnych, wśród których znajdowali się Tatarzy, zmierzał

w stronę Szczecina, aby przykładowo ukarać Eryka, księcia szczecińskiego, który napadł na króla. Wojska polskiego władcy pobiły jego oddziały. Eryk wraz z niedobitkami wycofał się do swojego księstwa.

– Jeszcze tylko dwa dni drogi i staniemy u bram Szczecina. – Kazimierz skinął głową i westchnął ciężko. Spieszno mu było do domu.

Poza tym czuł dziwne podekscytowanie. Kiedy zostawał sam, nachodziły go myśli, których wolałby uniknąć. Im bliżej było do Szczecina, tym wspomnienia o Zofii, żonie Eryka, stawały się coraz bardziej natrętne. Pamiętał jak przez mgłę słowa swojego ówczesnego sekretarza, który trzymał w dłoni pismo wysłane z kancelarii książęcej Eryka I. Pisano w nim, że księżna Zofia to kobieta o niezwykłej urodzie i wdzięku, a przy tym roztropna i mądra. Czasami, kiedy przyglądał się Elżbiecie skoncentrowanej na pisaniu lub innych niewieścich sprawach, zastanawiał się, czy Zofia była faktycznie taką kobietą, jaką opisano w liście. Czy też zostałby zaskoczony, tak jak w przypadku Elżbiety? Nie żeby żałował podjętej decyzji. Wprawdzie Elżbieta nie należała do kobiet urodziwych, jednak było w niej coś, co urzekło go znacznie bardziej niż przemijająca uroda.

– Piękno przeminie. Zestarzeje się. Uleci z czasem. – Wspominał słowa matki, która przekonywała go do poślubienia księżniczki z Habsburgów, kiedy zaskoczony zamknął się w swoich komnatach zaraz po pierwszym spotkaniu z Elżbietą. – Jak długo będziesz cieszył oczy urodą panny, kiedy okaże się, że nie ma ona nic innego do zaoferowania poza wdzięcznym licem i wąską kibicią? Znużysz się prędzej, niż ci się zdaje. Elżbieta zaś wygląda na kobietę, z którą nie sposób się nudzić. Czy zachowasz się jak król? – Słowa Zofii Holszańskiej zawisły w komnacie jej syna.

A jednak czasami zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie z inną kobietą. Teraz, kiedy zbliżał się do Szczecina, do księstwa Eryka II, którego żoną została Zofia, pytanie to pojawiało się coraz częściej. Kiedy

oferowano mu rękę księżniczki Zofii, odrzucił starania. Był wtedy zbyt młody i nie myślał o ożenku. Dziwił się, bo w jego sercu pojawił się nieznany dotąd strach, którego nie czuł na polu walki w obliczu realnego, śmiertelnego zagrożenia.

W czasie, kiedy Kazimierz rozmyślał o słuszności czy niesłuszności podjętych decyzji, Eryk II chodził nerwowo po komnacie, która znajdowała się na pierwszym piętrze ogromnej wieży. Z małego okienka wpuszczającego do izby wąską strużkę słonecznego światła roztaczał się widok na czarne, spokojne dziś wody rzeki Odry, które opływały mury szczecińskiego zamku. Eryk przychodził tu tylko wtedy, kiedy chciał porozmawiać w całkowitej ciszy. Zofia, jego żona, przyglądała się zatroskanej twarzy męża. Dopiero co przybyła, miała jeszcze na sobie strój podróży. Dwaj synowie, Bogusław i Kazimierz, byli pod opieką swojego nauczyciela, którego zawsze zabierali ze sobą. Do wczorajszego wieczoru mieszkała na zamku wolińskim. Lubiła go, podobnie jak jej mąż. Siedziba nie była może tak okazała jak ta tutaj, ale nad liczbę komnat oraz służby oboje przedkładali sąsiedztwo natury. Szum lasu otaczającego zamek na Wolinie działał na nich kojąco. Nie mogła jednak zlekceważyć naglącego wezwania męża, chociaż ostatnimi czasy nie układało się między nimi najlepiej.

Eryk odetchnął z ulgą na jej widok. Nie podszedł jednak, aby przywitać ją i podziękować za pośpiech, lecz od razu przeszedł do rzeczy. Mówił głosem niepewnym i lekko zdyszonym, jakby biegł od dłuższego czasu. Nie przypominał Eryka, którego znała. Pewnego siebie i niebojącego się stawić czoło kłopotom. Słuchała go uważnie, ale im dłużej go słuchała, tym częściej potrząsała przecząco głową.

– Wojska królewskie zagrażają nie tylko mnie, ale nam wszystkim. – Przyglądał się żonie uważnie. Wciąż miała sceptyczny wyraz twarzy. – Jeżeli nie chcesz tego zrobić dla mnie, zrób to dla siebie i naszych dzieci. – Czuł się podle, używając tego argumentu, ale najwyraźniej wizja

Bogusława i Kazimierza w niewoli przemówiła do niej bardziej niż jego błagania.

– Nie dajesz mi żadnego wyboru – powiedziała cicho, spuszczać wzrok.

– Nie bój się. Tylko ty możesz nas uratować. Który mężczyzna oparłby się tak pięknej kobiecie? – Na dźwięk tych słów Zofia skrzywiła się jeszcze bardziej. Eryk pożałował, że to powiedział. Czekał na decyzję żony. Po dłuższym namyśle skinęła głową.

– Zrobię to raz, ale nigdy mnie już o to nie proś. – Uniosła wysoko głowę i szybkim krokiem skierowała się w stronę wąskich, kręconych schodów. Chciała jak najszybciej uciec z wieży i schować się w swojej komnacie.

Miała przed sobą ciężki dzień i jeszcze cięższą noc. Jutro z rana zamierzała wyruszyć do Chojnic, gdzie stał król Kazimierz Jagiellończyk ze swoim wojskiem.

Był piękny słoneczny dzień 22 września 1461 roku. Już mieli ruszać spod Chojnic w dalszą drogę, kiedy do namiotu Kazimierza wpadł marszałek wielki koronny, Mikołaj Lanckoroński z Brzezia, informując króla, że Zofia, żona księcia Eryka II, prosi o posłuchanie.

Serce Kazimierza podskoczyło na dźwięk tego imienia. Nagle poczuł ten dziwny strach, który towarzyszył mu od jakiegoś czasu. Milczał przez chwilę, aż w końcu odezwał się spokojnie, jak to miał w zwyczaju:

– Proś.

Najpierw zobaczył dwóch wystraszonych chłopców. Ten wyższy, a zapewne i starszy, chociaż różnica wieku nie mogła być duża, szedł sztywno, ale z podniesioną głową. Mniejszy i pulchniejszy wbił wzrok w ziemię i najwyraźniej chciał schować się za matkę, popychając synów do przodu. Kazimierz podniósł oczy z dzieci na kobietę, która stanęła przed nim, dygając w głębokim, unizonym pokłonie. Włosy miała długie, splecione w gruby, ciężki warkocz przerzucony przez

ramię. Kilka loków wysunęło się z upięcia, zwijając się wokół owalnej, idealnie symetrycznej twarzy. Oczy miała duże, w kształcie migdała, szeroko rozstawione. Rzęsy długie i powabnie wywinięte. Na policzkach kładł się jasnorożowy rumieniec. Kazimierz zastanawiał się, czy to ze wstydu, czy ze zmęczenia. Była szczupła i jak na kobietę wysoka. Kiedy szła w jego kierunku, podziwiał sposób, w jaki poruszała biodrami. Zerknął na jej dłoń spoczywającą na ramieniu starszego syna. Palce Zofii były szczupłe, długie, z ładnie ukształtowanymi płaskimi paznokciami. Skinął głową, dając jej znak, że może mówić.

– Wasza Królewska Mość raczy mnie wysłuchać – zaczęła niepewnie. Głos miała lekko chropowaty, co dodawało mu jeszcze większego uroku. Kazimierz przeklął się w duchu za sprośne myśli, które napłynęły zniechęca, nieproszone i niepokojące. Będę się musiał wypowiadać, przemknęło mu przez głowę. Tymczasem Zofia mówiła dalej. Już głośniej i pewniej. – Staję przed Waszą Wysokością w imieniu swoim oraz moich synów, Bogusława i Kazimierza, chociaż wiem, iż wiarołomstwo, jakiego dopuścił się mój mąż, jest jedną z najcięższych zbrodni. Błagam cię, panie, abys zechciał mnie, kobiecie, uwierzyć, że brzydzę się jego czynem tak dalece, iż od dnia, w którym doniesiono mi o tym, nie dzielę z nim łoża. Za jego wstyd będą musiały odpowiadać nasze dzieci. Aby je ustrzec przed ludzką nienawiścią w przyszłości, prosiłam męża, żeby je pozabijał i im tego oszczędził. Ale jako matka nie śmiałam prosić go o to jeszcze raz, kiedy odmówił, bo chociaż jest kłamcą działającym na niekorzyść swego króla, to ojcem jest kochającym i czułym. Dlatego myśląc o synach, przybyłam tu, żeby cię błagać o łaskę i dobroć. Dla nich, dla moich dzieci. – Popchnęła zawstydzonych chłopców przed siebie. – Klękniście – syknęła, kiedy spojrzeli przez ramię, nie wiedząc, co robić.

Kazimierz westchnął głośno, a potem się uśmiechnął i podszedł do klęczących synów Eryka, księcia szczecińskiego.

– Umiem docenić odwagę, dlatego wysłuchałem prośby. Przekaż jednak, pani, swemu małżonkowi, że moją łaskę zawdzięcza nie sobie i sprytowi, jakim się wykazał, wysyłając cię tu, ale twojej przemowie i miłości, jaką darzysz synów.

Patrzył, jak Zofia kłania się nisko, oddychając z ulgą. Czekał, aż odjedzie, a potem zarządził powrót do domu, do Krakowa, żeby jak najszybciej przywitać się z żoną i dziećmi. Chciał z jednej strony zapomnieć o tym, co stracił, patrząc za odjeżdżającą księżną, a z drugiej przypomnieć sobie, co zyskał, poślubiając Elżbietę.

*

Elżbieta od kilku dni chodziła naburmuszona. Gniewała się na Kazimierza, który nie chcąc słuchać jej argumentów, rozeźlił się na nią za śmierć starosty rabsztyńskiego Andrzeja Tęczyńskiego.

– Przepytałem świadków i jak jeden mąż wszyscy zgodnie opowiadają, że wina leży po stronie starosty. Okazuje się jednak, że zamiast wysłuchać skargi płatnerza, który został najpierw znieważony i obrażony, a potem pobity przez Andrzeja Tęczyńskiego, wysłałaś pomoc staroście, co tylko wzburzyło mieszkańców Krakowa. Znana jest twoja niechęć do ludzi niższego stanu, ale jest ona dla mnie do przyjęcia tylko wówczas, jeśli nie wpływa na spokój w mieście – mówił Kazimierz, patrząc na kamienną twarz żony, która ciasno zasznurowała usta.

A potem poinformował ją, że pod koniec listopada wyrusza do Nowego Miasta Korczyna, gdzie winni zostaną osądzeni.

– Kiedy więc mam spakować kufry? – zapytała, ciesząc się na wspólny wyjazd.

– To zbędne. Jadę sam. Czas, którym będziesz dysponować podczas mojej nieobecności, powinnaś wykorzystać na przemyślenie sytuacji, aby nigdy więcej się nie powtórzyła.

Została więc w Krakowie, chodząc po zamku jak gradowa chmura i prychając na wszystkich, nawet na nianię Helenę, która ostatnimi czasy czuła się nie za dobrze i większość dni spędzała w swojej komnacie, a Kazimierz wyjechał do Nowego Miasta Korczyna wraz z całą radą koronną.

Damy z królewskiego fraucymeru szeptały po kątach, schodziły królowej z drogi i starały się uprzedzić jej zachcianki, zanim jeszcze wypowiedziała je na głos, ani nie przysparzać jej jakichkolwiek trosk. A mimo to pewnego grudniowego dnia stało się coś, czego nikt by się nie spodziewał.

*

Ilona Mniszech przeciągnęła się niespiesznie, ziewając niczym rozleniwiona kotka wygrzewająca się na gorącym krakowskim dachu wyłożonym gontem. W powietrzu unosił się zapach dymu. Grudzień, jak zresztą zawsze, był śnieżny i mroźny. Ona jednak nie czuła zimna, otulona nie tylko ciepłą kołdrą, na którą narzucono futrzaną derkę, lecz także osłonięta sprężystym, jędrnym ciałem Lenarda z Lanckorony.

Czasami miewała wyrzuty sumienia, że wymyka się z komnaty, w której zbierał się królewski fraucymer towarzyszący Elżbiecie. Robiła tak w każdej wolnej chwili, ale tylko wtedy, kiedy miała pewność, że królowa nie będzie wymagała obecności wszystkich dam dworu. Wówczas posyłała swoją służkę z wiadomością do Lenarda. Czekwała na niego niecierpliwie w swojej komnacie, w której od kilku lat spotykali się regularnie. Zaczęło się niewinnie. Od kilkuminutowych przypadkowych rozmów, które z czasem zaczęły się przedłużać i z formalnych stały się bardziej intymne. Potem był pocałunek w rękę, policzek, wreszcie pewnego letniego wieczoru, kiedy w głowie szumiało jej cierpkie wino, którego wypijała zbyt dużo do kolacji, przywarła do Lenarda całym ciałem i pozwoliła się całować aż do utraty tchu. Czas

mijał. Pewnego dnia spotkali się w jej komnacie. Po pierwszym miłosnym akcie, który ją zawstydził, ale jednocześnie uszczęśliwił, czuła wyrzuty sumienia, że popełniła grzech cudzołóstwa. Jednak pociąg do Lenarda i pożądanie, z którym walczyła, ilekroć widziała go na zamkowym dziedzińcu, zepchnęły na bok wszelkie wątpliwości. Już nie rozpaczała, że grzeszy. Żal jej było tylko tego, że prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła zostać jego żoną. A myślała o tym ostatnio coraz częściej. W zasadzie myśl ta nie dawała jej spokoju i przez to stała się drażliwa, nieuważna i nieobecna. Jej roztargnienie zauważyły damy dworu i królowa, która nie wypytywała i nie komentowała. Na razie.

Ilona zerknęła na śpiącego obok niej mężczyznę. Była taka szczęśliwa. Lenard otworzył oczy. Przez sen intuicyjnie wyczuł, że go obserwuje. Uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę, aby przyciągnąć jej głowę do siebie i złożyć na jej ustach o smaku słodkiego wina gorący pocałunek.

– Nie powinnaś być teraz wraz z innymi dwórkami? – zapytał, jak zawsze martwiąc się o nią.

– Pewnie powinnam, ale jestem pewna, że królowa nawet jeżeli zauważy moją nieobecność, nie będzie dociekać, gdzie jestem. – Pocałowała go raz jeszcze. A potem jeszcze raz i jeszcze.

Lenard zaczął błądzić dużymi, ciepłymi dłońmi po jej jasnym, aksamitnym ciele. Wziął do ręki pełną pierś i masował tak długo, aż Ilona zaczęła szybciej oddychać, jęcząc przy tym cichutko i prosząc o jeszcze. I właśnie miał skłonić głowę do czerwonego jak płatek róży sutka, kiedy drzwi komnaty otworzyły się na oścież i stanął w nich jeden ze strażników, a za nim ukazała się twarz ochmistrza Jej Wysokości.

Kilkanaście minut później Ilona stała przed królową i jej dworem. Nie ośmieliła się spojrzeć nikomu w oczy. Głowę miała spuszczoną. Na policzkach wykwitły dwa ogromne czerwone rumieńce, które paliły ją żywym ogniem. W głowie, od wstydu i strachu, szumiało i robiło jej

się tak niedobrze, że z trudem powstrzymywała się, aby nie zwymiotować przed siedzącą naprzeciw niej monarchinią.

– Niech podejdzie – odezwała się Elżbieta.

Ilona chciała zrobić krok do przodu, ale ktoś, kto cały czas stał za nią, położył jej dłoń na ramieniu i powstrzymał. Uniosła lekko powieki i kątem oka zobaczyła swoją służkę.

– Możesz być dumna. – Tym razem królowa zwróciła się do Ilony. – Nie chciała nic powiedzieć, dopiero widmo tortury lub chłosty sprawiło, że zdradziła, gdzie przebywasz. Nie odsłoniła jednak rąbka tego, co zastaniemy w twojej komnacie. Od dawna byłaś jakaś inna. Nieobecna, rozmarzona. Uśmiechnięta, nawet wtedy, kiedy nie było ku temu powodu. Szeptano, że jesteś zakochana. Miłość to piękna rzecz. Uskrzydla, dodaje odwagi, ale i odbiera szlachciankom rozum. Może przymknęłabym oko na ten ohydny grzech i zamiast kary cielesnej odesłałabym cię do domu, gdzie ojciec zdecydowałby, co zrobić z grzeszną córką, ale ty nie tylko cudzołożyłaś, ty zhańbiłaś swój stan, kładąc się do łóża z człowiekiem ciębie niegodnym. A na to spokojnie patrzeć nie będę. Nie pozwolę, aby damy, które szczycą się służbą dla mnie, przynosiły mojemu majestatowi ujmę, spoufalając się z prostym ludem. Z chłopem. Na Boga, córka kasztelana krakowskiego nie chciała zniżyć się nawet do tego, żeby wręczyć mu nagrodę, a ty zaprosiłaś go do swego serca i łóża.

– Wasza Wysokość! – Ilona podbiegła do krzesła, na którym siedziała Elżbieta, i padła przed nią na kolana. – Wybacz mi. Straciłam głowę. Bóg mi świadkiem, że walczyłam z pragnieniem, które zrodziło się nie tylko w moim sercu, lecz także ciele. Na jego widok budziły się w moim brzuchu nieistniejące motyle, które zrywały się jakby do lotu. Pewnie jakiś zły duch nakłaniał mnie do lekceważenia tego, co ważne i święte nie tylko dla mnie, lecz także dla Waszej Wysokości. Nie jestem godna, aby dalej ci służyć, ale miej dla nas łaskę. – Chciała jeszcze coś

powiedzieć, ale Elżbieta przerwała jej kategoriycznym ruchem ręki, zmuszając do zamknięcia ust.

– Zamilcz! – Królowa zerwała się z krzesła i spiorunowała dziewczynę wzrokiem. – Błagasz mnie o litość, a jednocześnie wiedząc, co mnie tak rozeźliło, wspominasz o mężczyźnie, czekającym już w lochu na powrót króla, który zdecyduje o jego losie. Twoja skruca nie jest szczerą i prawdziwą, dlatego nie okazujemy żadnej łaski. Zostaniesz nago przepędzona przez dziedziniec zamkowy aż do pręgierza na rynku i tam wychłostana, a potem udasz się w kierunku Bramy Krawców przez trakt sławkowski. Zostajesz wypędzona z miasta, do którego nie masz już prawa powrotu. – Po tych słowach, nie słuchając szlochającej i błagającej o litość Ilony, Elżbieta opuściła komnatę.

*

Nie ucichły jeszcze na krakowskich uliczkach echa sprawy Ilony Mniszech, kiedy do Krakowa wrócili Kazimierz i skazani w sprawie zabójstwa Andrzeja Tęczyńskiego. Zamknięto ich w lochu zwanym dorotką. Więzienie znajdowało się w podziemiach ratusza. Tuż obok cel wygospodarowano męczarnię, gdzie w dzień i noc porządku pilnowali ceklarze – pomocnicy kata. Przyglądali się skazańcom z krzywymi, parszywymi uśmiechami, które jeszcze bardziej szpeciły ich i tak szpetne dziobate i brudne twarze. Co jakiś czas pobrzękiwali narzędziami tortur, chcąc nastraszyć pojmanyh.

– Niedawno mieliśmy do czynienia z piękną niewiastą. – Jeden z ceklarzy, najwidoczniej wiodący prym wśród pozostałych, podszedł do celi, w której zamknięto oskarżonych o śmierć Andrzeja Tęczyńskiego i zamieszki w Krakowie. – Z wami też zabawa będzie przednia. – Ryknął głośnym śmiechem, ukazując zgniłe zęby i chuchając na wystraszonych więźniów cuchnącym oddechem. Pozostali ceklarze mu zawtórowali.

Budowa podestu, na którym miano ustawić gruby pień drzewa,

rozpoczęła się w pierwszej dekadzie stycznia 1462 roku. Wreszcie 15 dnia miesiąca na dziedziniec zostali przyprowadzeni: burmistrz miasta Stanisław Leimiter, który jeszcze niedawno zatrudniał tych samych ceklarzy jako osobistą ochronę, a teraz widział, jak ci zacierają ręce na myśl, że za chwilę jego głowa spadnie do ustawionego pod pnem kosza; rajcy Konrad Lang i Jarosław Scharley, który padł przed monarchą na kolana i jeszcze raz płaczącym głosem zaczął błagać o łaskę; malarz Wojtek, który jako pierwszy zadał cios staroście rabsztyńskiemu; majster Jan Scherlang, który wraz z Mikołajem, przełożonym pachotków grodzkich, ciągnął ciało Andrzeja Tęczyńskiego przez miasto, bezczeszcząc jego zwłoki.

– Błagam cię, Kazimierzu, przemyśl jeszcze swoją decyzję. Przecież ani burmistrz, ani rajcy nie brali udziału w rozruchach. To niewinni ludzie. Nie godzi się posyłać na śmierć niewinnego szlachcica. – Elżbieta od rana starała się wpłynąć na decyzję męża.

Kazimierz miał w pamięci prośbę żony, jednak w tej sprawie pozostał nieugięty. Pokiwał smutno głową i dał znak katu, że może zacząć.

Za murami zamku zebrał się spory tłum. Ludzie krzyczeli, prosząc to o sprawiedliwość, to o łaskę. Wśród krzyków było słyhać piosenkę, którą od kilku dni śpiewano na krakowskich uliczkach:

*W kościele zabili, Boga nie znali,
Świętości w ogóle nie mieli, kapłanów poranili,
W kościele zabili,
Boga nie mieli,
Świętości za grosz,
Kapłanów poranili^[5].*

Świst ostrza przecinającego powietrze i głuchy odgłos odpadającej od ciała głowy zagłuszył na chwilę pieśń i okrzyki zebranych. Kat podniósł kosz, w którym spoczywała głowa burmistrza krakowskiego.

Wciąż miał oczy szeroko otwarte, jakby do końca nie dowierzał, że spotka go śmierć. Katowski topór spłynął krwią, której kilka kropel zrosiło drewniany podest. Jeszcze parę razy ostrze topora stykało się z ludzką skórą i twardymi kręgami, tnąc je gładko niczym papier. Za murami zamku ludzie znowu zaczęli śpiewać. I śpiewali tak aż do momentu, kiedy spadła ostatnia głowa. W końcu nad Krakowem zapanowała cisza, przerywana jedynie szlochem owdowiałych kobiet i osieroconych dzieci.

*

Elżbietę zbudziło ujadanie psów. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, głaszcząc czule duży brzuch. Znowu była w ciąży. Jeszcze trzy, może trzy i pół miesiąca i dziecko przyjdzie na świat. Czuła się wyśmienicie, dlatego na początku września 1466 roku zdecydowała się towarzyszyć Kazimierzowi w wyprawie do Grodna.

– Czy aby na pewno dobrze się czujesz? – zapytał ją jeszcze dzień przed wyruszeniem z Krakowa. Troszczył się o nią niczym kwoka o pisklęta, co z jednej strony bardzo jej się podobało i nieodmiennie rozczulało, a z drugiej trochę denerwowało.

– Doskonale, kochanie. Dziękuję, że tak się o mnie martwisz, ale to już ósma ciąża i czuję się, jakbym w ogóle nie nosiła dziecka pod sercem. Chcę jechać z tobą. Kto wie, kiedy znowu będziemy mieli okazję pobycć trochę razem?

Kazimierz przytaknął i przytulił czule żonę. Jak zwykle miała rację. Chociaż ostatnio zrobiło się nieco spokojniej, to wojna z zakonem wciąż była nierozstrzygnięta.

Mocny kuksaniec dzieciątka sprawił, że aż się wzdrygnęła. Szczekanie psów wciąż nie cichło. Na dziś Kazimierz zarządził polowanie na grubego zwierza, czyli wielkie łowy, do których prawo mieli jedynie królowie i książęta.

– Panowie – zwrócił się król do zebranych na zamku w Grodnie szlachciców i dworzan, którzy mu towarzyszyli – przygotujcie się na polowanie. Poszukamy w leśnych ostępach niedźwiedzi i turów, a przy okazji nie pogardzimy jeleniami, sarnami i innym drobiazgiem.

Zapowiedź spotkała się z wielkim entuzjazmem.

– Czy my też pojedziemy, ojciec? – Najstarszy syn Władysław jak zwykle występował w imieniu młodszego rodzeństwa.

Tuż za nim ustawili się ośmioletni Kazimierz, siedmioletni Jan Olbracht i pięcioletni Aleksander. Wszyscy w niemym oczekiwaniu patrzyli na ojca.

– Jeśli tylko matka zezwoli – odparł Kazimierz, popatrując prosząco na Elżbietę.

– Wy możecie wziąć udział w polowaniu. – Wskazała na trójkę starszych chłopców. – Ty, Aleksandrze, zostaniesz na zamku. Jesteś jeszcze za mały na takie wyprawy. – Widząc, że usta chłopca wyginają się w podkówkę, znak, że za chwilę zacznie płakać, dodała zniecierpliwiona: – Nie waż się mazać. Poprosimy naszego sokolnika, żeby oswoił cię z ptakami. – Po tych słowach Aleksander wysoko uniósł głowę i wypiął pierś. Wszyscy byli zadowoleni.

A teraz dzieci zapewne wraz z innymi przygotowywały się do wyjazdu. Na dworze było ciemno, ale uczestnicy polowania już od dawna byli na nogach. Elżbieta z niedowierzaniem pokiwała głową. Ona wciąż była śpiąca. Na moment przymknęła powieki. Kiedy podniosła je znowu, po komnacie krzatali się łożni i służące, a za oknem świeciło wrześnie słońce. Tętent jeźdźców i ujadanie psów było słychać w całym lesie. Zwierzęta uciekały w popłochu. Strach wyganiał je z ciemnych, bezpiecznych gęstw wprost na leśne polany, gdzie zaczajeni za drzewami łowcy czekali w milczeniu, aż zwierzyna się uspokoi, i dopiero wtedy wypuścili pierwsze strzały. Kazimierz wziął na cel wielkiego żubra. Stojący obok niego dziesięcioletni Władysław

powtarzał zachowanie ojca. Przerazający ryk rannego zwierzęcia rozniósł się po okolicy. Zawtórowały mu inne. Niektóre ze strzałami wbitymi w ciało rzuciły się do ostatniej ucieczki. Inne, od razu ranione śmiertelnie, padły tam, gdzie stały, barwiąc zielen czerwienią ciepłej krwi. Ruszyły konie łowczych. Niczym w powabnym tańcu zaczęły kreślić koła. Coraz mniejsze i mniejsze, zacieśniając niewidzialną pętlę na rannej i wycieńczonej zwierzynie, która nie miała dokąd uciec. Pojedyncze sztuki zaczęły zbijać się w większe stado, aż w końcu wszystkie zepchnięto w jedno miejsce. Wtedy zza drzew wyszli mężczyźni dzierżący w dłoniach gotowe do strzału łuki. Król puścił synów przodem, upewniwszy się najpierw, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Pozwolił chłopcom wypuścić po kilka strzał. Po lesie rozchodził się już tylko odgłos psów szczekających i rwących się do dalszych łowów. Kazimierz spojrzał na swoje psy trzymane przez służącego. Ujadały tak samo głośno, prosząc całym ciałem o spuszczenie ze smyczy. Król uśmiechnął się na ten widok. Kochał swoje czworonogi całym sercem. Gdy dowiedział się, że dary, które wysłał mu król czeski, zostały skradzione przez księcia rybnickiego Władysława, zwanego Głupawym, napisał do tego ostatniego, żeby przynajmniej oddał psy. O resztę darów nie dbał.

– Spróbujemy jeszcze niedźwiedzia – krzyknął król w stronę sług trzymających specjalne sieci.

Gdyby im się powiodło, sieci posłużyłyby do schwytania drapieżcy żywcem. Potem, nie bacząc na niebezpieczeństwo, Kazimierz, wraz z innymi myśliwymi, chwyciłby za rozwidloną żerdź, żeby obezwładnić zwierzę. Żywego, ze związanymi łapami i pyskiem, powieźliby do zamku. Spojrzał w kierunku synów. Na ich twarzach powoli zaczęło się malować zmęczenie, ale szeroko otwarte oczy mówiły, że chętnie zapolują na niedźwiedzia wraz z ojcem.

Polowanie zakończyło się późnym popołudniem. Kiedy wracali

do zamku, łowczy wielki koronny zaintonował pieśń poświęconą żubrom. Po chwili zawtórowali mu pozostali myśliwi z królem na czele.

– Zasnęli niemal natychmiast – poinformowała Kazimierza Elżbieta, która zaraz po wieczery poszła ucałować chłopców, życząc im kolorowych snów.

– A jak Aleksander? – zapytał Kazimierz.

– Zmęczony tak samo jak pozostali. Nie mówi o niczym innym tylko o ptakach. Już zapowiedział, że jutro znowu chce spotkać się z sokolnikiem.

– A Władysław całą drogę z lasu do zamku prosił mnie o kolejne łowy, bo nie udało się wytropić niedźwiedzia. – Kazimierz uśmiechnął się na wspomnienie roześmianej i podekscytowanej twarzy syna.

– Zanim pozwolili się ucałować, uraczyli mnie opowieścią o dzisiejszym dniu. Przekrzykiwali jeden drugiego. Każdy chciał mnie zapewnić, że to właśnie jego strzała przyniosła żubrowi śmierć.

– Jaki ojciec, tacy synowie. – I po tych słowach złożył na ustach Elżbiety płomienny pocałunek. – Myślisz, że malec będzie miał nam za złe? – zapytał z figlarnym błyskiem w oku.

Zamiast odpowiedzi Elżbieta zaczęła rozbierać męża. Nie kochali się od dawna. Stęskniła się za jego pięknym umięśnionym ciałem. Jej dłonie szybko, zachłannie zaczęły błędzić po piersiach Kazimierza, który z wielką wprawą pozbył się szat żony. Ujął w dłonie ciężkie piersi Elżbiety. Delikatnie je masował, potem zaczął całować. Schodził coraz niżej i niżej. Na chwilę zatrzymał się na wypiętym brzuchu, przykładając do niego ucho. Pocałował go kilka razy, potem położył żonę na łóżku. Rozsunęła przed nim nogi, zapraszając do swego wnętrza.

Niecałą godzinę później leżeli obok siebie, dysząc ciężko, szczęśliwi i spełnieni.

Czas płynął leniwie aż do dnia, gdy musieli wyruszyć do Torunia, gdzie od wielu tygodni prowadzono mozolne pertraktacje

z podrygującym jeszcze w ostatnich wojennych konwulsjach zakonem. Rozmowy były utrudnione, gdyż Polskę po raz kolejny nawiedziła epidemia dżumy, dziesiątkując największe miasta królestwa. Tu i ówdzie odzywały się głosy, że to kara boska.

– Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – szeptano po kątach. – Kto podnosi rękę na jego sługi, musi spodziewać się kary.

Mówiono, że Stwórcę rozeźliły dodatkowo królewskie ponaglenia, które słał za pośrednictwem Jana Długosza do legata papieskiego Rudolfa z Rüdesheim, rezydującego we Wrocławiu. Długosz jeździł tam kilka razy w celu przekonania duchownego, aby wzorem swego poprzednika nie zechciał popierać działań zakonu, jednocześnie wykluczając z Kościoła ludzi związanych z królem i nazywając mieszkańców Prus wyklętymi. W końcu jednak udało się dokończyć rozmowy. Głównie dzięki staraniom legata papieskiego. Układ zawarto 19 października 1466 roku.

– Czy nie lepiej wstrzymać się z podpisywaniem i przystawianiem królewskiej pieczęci? – pytali ci, którzy wciąż snuli marzenia o zdobyciu Królewca, co wiązałoby się z całkowitym unicestwieniem Krzyżaków.

Jednakże nie mogło być mowy o prowadzeniu dalszych działań wojennych. Kraj był wyniszczony wojną i zarazą. Szlachta już od dawna narzekała, zniechęcając się coraz bardziej, a poza tym skarbiec świecił pustkami. Ponadto co rusz nadchodziły ze stolicy papieskiej listy, nawołujące do zakończenia trwającego już ponad dekadę konfliktu.

– Bawmy się, tańczmy i ucztujujmy! – zawołał Kazimierz następnego dnia po podpisaniu rozejmu.

Z okazji pomyślnego zakończenia wojny wydano ucztę, aby uczcić postanowienia pokoju, zgodnie z którymi do Polski wróciły Pomorze Gdańskie, ziemie chełmińska i michałowska, Malbork i Elbląg, a także biskupstwo warmińskie z główną siedzibą w Heilsbergu^[6]. Reszta państwa krzyżackiego stawała się lennem Królestwa Polskiego. Wielcy

mistrzowie zostali zmuszeni do przeniesienia głównej siedziby do Królewca i składania hołdu królowi najpóźniej pół roku po wyborze.

– Chyba najbardziej zmartwiło wielkiego mistrza Ludwiga von Erlichshausena przyrzeczenie, że zakon już nigdy więcej nie podniesie oręża przeciwko katolikom – szepnął Kazimierz Elżbiecie na ucho, a potem porwał ją do tańca.

*

Katarzyna Sommerlich od kilku dni siedziała w swojej komnacie, odmawiając wyjścia. Prawie nie jadła. Jedyne, co zniknęło z tacy, którą ustawiano pod drzwiami jej izby, to kielich z winem.

– Ten list nadszedł w samą porę. Pan Bóg wysłuchał moich prośb. – Przysadzista niewiasta spoglądała na męża, wielkiego, barczystego mężczyznę, który gładził swoją długą, gęstą brodę, przytakując słowom małżonki. – Musimy natychmiast porozmawiać z Katarzyną.

Wieczorem, po tym jak ojciec zagroził córce, że wyważy drzwi, jeżeli nie opuści ona komnaty z własnej woli, a następnie na oczach całej służby i wieśniaków wymierzy jej dziesięć srogich batów, Katarzyna stawiała się przed obliczem rodziców.

– Twoje zachowanie zasługuje na srogie lanie, ale że jako matka i kobieta potrafię zrozumieć twoją rozpacz, wyprosiłam u ojca, żeby ci darował.

Matka przyjrzała się córce. Jej oczy wciąż były mocno zaczerwienione. Płakała prawie cały czas, od dnia, w którym dowiedziała się, że Konrad Reuss von Plauen postanowił złożyć śluby i wstąpić, podobnie jak jego wuj Henryk Reuss von Plauen, do zakonu krzyżackiego. Jego decyzja była nieodwołalna. Może gdyby wuj nie został w 1467 roku, po śmierci Erlichshausena, namiestnikiem zakonu, Konrad byłby skłonny do zmiany swego postanowienia, zwłaszcza że darzył Katarzynę uczuciem.

– Myślałam, że kocha mnie tak mocno, jak ja jego. – Płakała dziewczyna, chowając głowę w ramionach matki i mocząc jej suknię. – Na nic zdały się moje błagania. Na nic tłumaczenie, że reguła jest surowa. Czy wiesz, co mi wtedy odpowiedział? – zapytała, patrząc wyczekująco na matkę.

– Co, droga córciu?

– Że od dawna walczy z diabelskimi pokusami. Ja, czy ja jestem szatańską pokusą? – I po tych słowach rozplakała się na dobre.

Matka Katarzyny jeszcze tego samego dnia z ciekawości zapytała męża o regułę zakonną, o którą tak bardzo martwiła się córka.

– Moja duszko, kiedy mnie ojciec namawiał, abym zgodnie z tradycją wstąpił do zakonu, od razu wiedziałem, że to nie dla mnie, młodego człowieka pasjami kochającego niewiasty. I Bogu dzięki, że mnie przed tym ustrzegł, bo wtedy nigdy bym cię nie spotkał. – Pocałował małżonkę w czoło, po czym mówił dalej. – A co do reguły, skoro już musisz wiedzieć, ci biedni młodzieńcy mają surowy zakaz zadawania się z kobietami. Muszą unikać białołów niczym diabeł święconej wody. Nawet matek i sióstr nie wolno im obejmować na powitanie czy pożegnanie. Rozmowy z kobietami to rzadka dla nich przyjemność, zwłaszcza z młódkami. Nie mogą ucztować na weselach i tańcować na zabawach. A jak który nie ma silnej woli, to może na rok trafić do komnaty, gdzie śpi służba. Niektórych nie ominęły łańcuchy i lochy, gdzie siedzieli o chlebie i wodzie.

– Serce matki się kraje, jak patrzę na naszą nieszczęśliwą z miłości córkę. Ona już wie, że na zawsze straciła kawalera. – Zamyśliła się. – Niech będzie przeklęty ten Konrad, że lekką ręką odrzucił uczucia takiej dziewczyny! – krzyknęła po chwili, czym wystraszyła zaspanego psa, który leżał przy buzującym wesoło kominku.

Kiedy Katarzyna płakała, siedząc zamknięta na własne życzenie w komnacie, jej matka klęczała przed figurą Najświętszej Pani, której

błagając o wybawienie z kłopotu. Nadeszło niespodziewanie szybko.

– Napisał do nas namiestnik zakonu, Henryk Reuss von Plauen. Nie, nie rób sobie, dziecko, płonnych nadziei – dodała, widząc uśmiech na ustach córki i rumieniec na jej policzkach. – Nie ma w liście mowy o Konradzie, który pewnie już dawno dotarł do Królewca. Piszą za to, że zgłoszono twoją kandydaturę na damę dworu polskiej królowej Elżbiety. Ponoć Jej Wysokość z chęcią przyjmie do swego fraucymeru nową pannę. Nie widzę żadnych przeciwwskazań. Ojciec też nie. W zaistniałej sytuacji to najlepsze wyjście.

– Nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać! – krzyknęła Katarzyna i już miała zerwać się do ucieczki, aby zamknąć się w swojej sypialni, kiedy otrzeźwił ją surowy głos ojca, przysłuchującego się do tej pory w milczeniu.

– To nie podlega dyskusji. Matka już dziś wysłała odpowiedź do Królewca. Jak tylko przyjdzie zaproszenie z Krakowa, pojedziesz na dwór królewski Jagiellonów.

Tym samym przyszłość Katarzyny Sommerlich została przypieczętowana.

*

Tymczasem setki kilometrów od Erfurtu, w którym mieszkała przyszła dwórka królowej Elżbiety, po obszernej komnacie przechadzał się od ściany do ściany, z rękami założonymi z tyłu, Jan Długosz.

Siedzący przed nim królewicze milczeli. W izbie wyczuwało się napięcie. Młodzieńcy czekali na pierwsze słowa nowego nauczyciela. Od lewej siedział najstarszy, jedenastoletni Władysław, potem dwa lata młodszy Kazimierz, ośmioletni Jan Olbracht i na końcu sześciolatek, wiercący się niecierpliwie Aleksander.

– Przyzwyczailiście się do swego nauczyciela, opiekuna i zapewne przyjaciela Stanisława Szydłowieckiego, ale zgodnie z wolą waszego

ojca, króla Kazimierza, nadszedł najwyższy czas, aby zabawa zamieniła się w prawdziwą naukę. Od jutra przystąpimy do poważnych zadań. – Jego słowom towarzyszył jęk zawodu. – Dziś daję wam jeszcze wolne, abyście oswoili się z tą myślą, a jutro przystąpili do nauki z zapałem, jakiego można oczekiwać od królewiczów, czyli przyszłych monarchów.

Kiedy chłopcy zorientowali się, że mogą się oddalić i oddać nieskrępowanej zabawie, wybiegli z sali, śmiejąc się i dokazując. Dopiero po chwili Jan Długosz zorientował się, że nie jest sam. Na krześle wciąż siedział dziewięcioletni Kazimierz, patrząc na niego wyczekująco.

– Czy możemy zacząć już dziś? – zapytał i od razu zjednął sobie serce nauczyciela.

*

Niania Helena już od dawna nie wstawiała z łóżka. Cieszyła się za każdym razem, kiedy Elżbieta przychodziła, by zapytać ją o zdrowie. Jeszcze do niedawna rozmawiały o błahostkach. Spragniona dworskich plotek niania chłonęła każde słowo na temat dam dworu, rycerzy czy urzędników. Jednak od dnia, kiedy Kazimierz podpisał ugodę z królem Czech, Jerzym z Podiebradów, dotyczącą dziedziczenia tronu po śmierci tego ostatniego, Elżbieta martwiła się tylko jednym: czy jej liczne potomstwo zasiądzie na tronach, które będą ich godne?

– To oburzające – mówiła na początku 1470 roku, trzymając list, który Kazimierz wysłał do niej z Grodna, pisząc o spotkaniu polskich posłów z jej stryjcem, cesarzem Fryderykiem III. – Prosiłam go, żeby tam nie jechali. Po co prosić cesarza o zgodę, kiedy tron czeski od dawna należy się naszym synom? – Niania słuchała w milczeniu.

Elżbieta nie pierwszy raz poruszała sprawę tronu w Pradze. Gdy otrząsnęła się ze smutku po śmierci brata, zasugerowała, że to ich najstarszy syn Władysław powinien zasiąść na tronie czeskim. Była

jednak świadoma, że w tamtym czasie było to niemożliwe, gdyż Władysław był niemowlakiem. Chociaż nie pogodziła się z faktem, że tron objął kto inny, nie drążyła tematu. Jednak nigdy o nim nie zapomniała.

Czekała tylko na sposobność, aby zrealizować swój plan, który skrycie wdrażała w życie. Nigdy nie wtrącała się w prowadzoną przez Kazimierza politykę, ale przedłużająca się wojna z zakonem odsuwała go od tego, co jej zdaniem było najważniejsze. Od zabezpieczenia przyszłości dzieci. Dlatego spowiadając się ze swojej niełojalności wobec męża i mając nadzieję, że kiedy sprawa wyjdzie na jaw, ten zdoła jej przebaczyć grzech podyktowany matczyną troską, zaczęła pisać do papieskiej kancelarii, gdzie znalazła oparcie. Kazimierz, jeżeli nawet przypuszczał, że za gniewnymi listami papieża, domagającego się zakończenia utarczek z Krzyżakami i skierowania się w stronę Czech, gdzie rządził husyta, stała jego żona, nie dawał tego po sobie poznać. Dalej realizował swoją politykę, która ostatecznie zakończyła się podpisaniem pokoju między Królestwem Polskim a zakonem krzyżackim w Toruniu w 1466 roku. Od tego czasu minęło jednak kolejnych pięć lat, a sprawa osadzenia któregoś z synów na tronie czeskim utknęła w martwym punkcie, jeśli nie liczyć owej oburzającej Elżbietę umowy, jaką jej mąż, król polski Kazimierz Jagiellończyk, podpisał z Jerzym z Podiebradów.

– Uzurpator – mawiała królowa za każdym razem, kiedy padały słowa dotyczące króla Czech.

Aż wreszcie nadeszły dobre wiadomości. 9 czerwca 1471 roku na placu zamkowym w Krakowie pojawili się czescy posłowie.

– Na to czekałam od lat – rzekła Elżbieta z głośnym westchnieniem ulgi, kiedy posłowie z Pragi stawili się przed nią i Kazimierzem.

Nie kryła swojej radości, uprawiając w zakłopotanie czeskie poselstwo, które przybyło z wieścią, że ich król Jerzy z Podiebradów

zmarł zaledwie kilkanaście tygodni wcześniej, 22 marca.

– Władysław będzie doskonałym królem – mówiła Elżbieta z entuzjazmem kochającej i szczęśliwej matki, chodząc nerwowo po komnacie niani.

– Więc skąd to zdenerwowanie? – spytała słabym głosem starsza kobieta.

Elżbieta zatrzymała się w pół kroku. Stała tak przez dłuższą chwilę w milczeniu, a potem przysiadła na łóżku Heleny, ujęła jej pomarszczoną, zimną dłoń, zamykając ją w mocnym, ciepłym uścisku upierścienionych palców.

– Radość rozrywa mi serce, ale zaraz za nią czai się jeszcze większy smutek, że już za kilka dni przyjdzie mi pożegnać syna. Kazimierz zbywa mnie uśmiechem. On nie rozumie serca matki, nianiu. Wiesz o tym, prawda? – W kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Wytarła je szybko rąbkiem białej chusteczki z koronkową wstawką. Helena Kottanner tylko potaknęła. Swoich dzieci i wnuków nie widziała już od wielu lat. Cóż znaczyły listy, kiedy serce usychało z tęsknoty za najbliższymi?

Tydzień minął zbyt szybko. Każda upływająca godzina przybliżała Elżbietę do pożegnania z synem. Wreszcie nadszedł ten smutny dla niej dzień. Piętnastoletni Władysław pięknie prezentował się w siodle. Był podobny do ojca i już teraz widać było, że z czasem wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Na królewskim dziedzińcu zebrali się najważniejsi dostojnicy państwowi. Byli królewscy dworzanie, biskupi i rycerstwo. Władysław wystąpił naprzód i zaczął przemawiać. Mówił pięknie, cyzelując każde wypowiedziane słowo. Jego przemowa poruszyła zebranych. Niektórzy zaczęli płakać. Elżbieta opuściła głowę, żeby ukryć łzy wzruszenia i smutku. Kazimierz spojrzął na żonę. Jego też wzruszenie ścisnęło za gardło. Był jednak w tej szczęśliwej sytuacji, że jeszcze przez kilka dni będzie miał syna u swego boku.

– Gdyby nie to, że ostatnio nie czuję się zbyt dobrze, pojechałabym

z wami – powiedziała Elżbieta jeszcze tego samego ranka, tuż przed przemową Władysława.

– Zostań. Odpocznij. Będzie ze mną.

Ojciec i rycerstwo w liczbie dziesięciu tysięcy odprowadzili przyszłego króla Czech aż do samej granicy. Humory dopisywały im aż do chwili, kiedy na ich drodze stanęło poselstwo z Węgier.

Jego Wysokość Maciej Korwin, król Węgier i Chorwacji, w liście skierowanym do króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka oraz jego syna, przyszłego króla Czech, wypowiadał wojnę o tron w Pradze. Kiedy Kazimierz skończył czytać pismo, mocne czerwcowe słońce schowało się za chmury, przykrywając ziemię smugą nieprzyjemnego cienia. Mars wystąpił na twarz monarchy. Pojawiły się poważne kłopoty, które – o czym jeszcze wówczas nikt nie miał pojęcia – na kilka kolejnych lat zburzyły spokój rodziców Władysława.

– Jego buta nie zna granic! – wykrzykiwała rozeźlona Elżbieta na wieść o matrymonialnych planach Macieja Korwina, który nie bacząc na zatarg o koronę czeską z Władysławem Jagiellończykiem, upatrzył sobie na żonę jego siostrę, królową Jadwigę.

– Sprawa czeskiego tronu od kilku lat jest nierozstrzygnięta. Może powinniśmy rozważyć jego propozycję? – Kazimierz wiedział z góry, jaka będzie odpowiedź Elżbiety. Uważał, że mariaż ich córki z Korwinem z pewnością przysłużyłyby się Władysławowi.

– Na miły Bóg! Nigdy! Kazimierzu, nigdy! – Wyrzuciła ręce w górę, a potem złapała się za głowę na samą myśl, że jej mąż mógł zasugerować coś tak obrzydliwego. – Maciej to chłop! Pies, Wołoch! Nie jest godny stąpać po tej samej ziemi, po której chodzi nasza Jadwiga, a ty rozważasz jej zamążpójście za niego?! – I nie czekając na odpowiedź, wybiegła wzburzona z komnaty.

Kazimierz westchnął.

– Warto było spróbować – szepnął do śpiących przy kominku psów,

które nawet nie podniosły łbów na krzyki, jakie jeszcze przed chwilą rozlegały się w izbie.

Kilka miesięcy później sytuacja znowu się powtórzyła.

– Przed chwilą pożegnałem poselstwo z dworu córki Jerzego z Podiebradów. – Kazimierz przyglądał się twarzy żony, która z każdym wypowiedzianym przez niego słowem przybierała coraz surowszy wygląd.

– Jeżeli zamysłili sobie ożenić córkę tego husyty z naszym Władysławem, to od razu powinni spalić wszelkie listy, w których nas o to proszą. Ta dziewczyna była wychowywana na kacerskich błędach. Nigdy! Nigdy! Jak długo żyję, zgody na to nie wyrażę. – I podobnie jak w przypadku propozycji zaślubin z królewną Jadwigą, tak i tym razem wybiegła z komnaty wzburzona, że ktoś mógł w ogóle pomyśleć o połączeniu jej ukochanego syna z niegodną go niewiastą.

Nie widząc na razie możliwości zeswatacia Władysława z panną, którą uznałaby za godną dostąpienia tego zaszczytu, Elżbieta wysłała list do stryja, cesarza Fryderyka, prosząc o pomoc. W efekcie jej starań Władysław został wezwany na spotkanie z cesarzem do Norymbergi i w 1474 roku zawarł przymierze przeciwko Węgrom.

*

Na dzień 30 kwietnia 1477 roku przypadały czterdzieste urodziny Jana Turzona, zamożnego kupca, przedsiębiorcy i patrycjusza. Po swoim ojcu, który ożenił się z Martą, córką olkuskiego żupnika Jana Tesznara, zajmującego się wydobywaniem rudy ołowiu, miał smykałkę do interesów.

Ojciec Jana nie szczędził grosza na naukę. Wysłał syna na studia do Wenecji i Padwy, gdzie ten zgłębiał wiedzę na temat hutnictwa, którą później zmyślnie spożytkował. Dzięki tej wiedzy i szczęściu rozwijał rodzinny interes, wydobywając już nie tylko ołów, ale także

srebro, złoto czy miedź. W interesach jeździł do Olkusza, bywał także w Kutnej Horze w Czechach i na Węgrzech. Aby jeszcze bardziej zwiększyć zasobność swego skarbcza, Jan zastosował metodę odciągania srebra z rud miedzi przy użyciu ołowiu wydobywanego w jego własnych kopalniach. Kiedy osiadł w Krakowie, gdzie zakupił okazałą kamienicę, jedną z większych i bogatszych w mieście, założył hutę miedzi i srebra w podkrakowskiej Mogile. Wydawać by się mogło, że wiódł życie nad wyraz szczęśliwe i beztrudne. Niestety, o ile w interesach szczęście mu dopisywało, o tyle zabrakło go w życiu prywatnym. Jego żona Urszula, córka krakowskiego patrycjusza Jana Bema, którą kochał miłością pierwszą i szczerą, zachorowała niedługo po ślubie i po ciężkiej chorobie zmarła, zostawiając Jana w głębokiej żałobie.

Długo zwlekał z ponownym ożenkiem. Zdecydował się po namowach rodziny, która przekonywała go do tego nie tylko dlatego, żeby wydobyć go z marazmu, w który popadł, ale także żeby na świecie pojawił się dziedzic rodzinnej fortuny. Jego wybranką została Barbara, córka Jana Becka, człowieka majątnego i niezmiernie wpływowego. Dzięki temu mariażowi pozycja Jana Turzona wzmocniła się bardzo wśród krakowskich bogaczy. Był personą tak znaczącą, że w końcu doczekał się uznania samego króla Kazimierza Jagiellończyka. Ów, chwając go to tu, to tam, wpłynął na decyzję rady miejskiej, która z czystym sumieniem i zadowoleniem powierzyła mu funkcję burmistrza Krakowa. Postanowił wywiązać się z niej jak najlepiej.

– Chociaż nie urodziłem się w tym mieście, kocham je jak własne – powiedział do żony, kiedy ostatni goście zaproszeni na wykwinną ucztę urodzinową opuścili jego dom.

Barbara siedziała w wygodnym fotelu, gładząc się po wydatnym brzuchu. Lada dzień miało nastąpić rozwiązanie.

– Chciałbym zrobić dla niego coś, co na długo pozostanie w ludzkiej

pamięci i ściągnie do Krakowa tłumy ludzi. Ci zaś zostawią tu swój grosz, który zapracuje na jego potęgę i majestat.

– Któż lepiej niż artyści uświetnią miasto? – zapytała retorycznie żona, ziewając szeroko. Dzień strasznie ją zmęczył, a poza tym dziecko w jej brzuchu było nad wyraz ruchliwe i nie przestawało kopać. Czuła się wycieńczona i obolała.

– Jesteś aniołem! – wykrzyknął Jan Turzon i pognął do swojej komnaty. Postanowił napisać do Norymbergi. Mieszkał tam człowiek, którego dzieła podziwiał, kiedy podróżował trochę po Niemczech, szukając dalszych możliwości dla swoich rozległych interesów. Urzekły go rzeźby tego artysty. Jutro zamierzał udać się na zamek, aby prosić o audiencję u królowej i przedstawić jej swój plan. Pewnie Barbara złążałaby go za ten nieroztropny krok i najpierw kazała iść do królowej, a potem wysłać pisma, ale on często w euforii, że udało mu się wymyślić coś genialnego, najpierw działał, a potem myślał. Tak jak teraz.

Dzięki Bogu, królowa Elżbieta, która przyjęła go tego samego dnia, przystała na jego pomysł.

– Jak tylko wasz człowiek dotrze do Krakowa, chciałabym poznać go osobiście – dodała na koniec, żegnając się z Janem Turzonem.

Burmistrz Krakowa sunął ulicami miasta uskrzydłony powodzeniem. Nie przeszkadzał mu fetor rozkładającego się mięsa, dolatujący z targu mięsnego, ani gwar panujący o tej porze w mieście, kiedy na głównym rynku odbywał się jarmark, ściągający do Krakowa wszelakiej maści przekupniów, sprzedawców, złodziei i innych podejrzanych typów. Radość rozsadzała mu płuca. Oddychał głęboko, jakby obawiał się, że za chwilę udusi się ze szczęścia. W ogóle nie brał pod uwagę tego, że rzeźbiarz może odmownie odpowiedzieć na zaproszenie.

*

Wit Stwosz przechadzał się wolno uliczkami zatłoczonego Krakowa.

Do miasta przyjechał kilkanaście tygodni wcześniej na zaproszenie burmistrza Jana Turzona. Zaproszenie to bardzo go ucieszyło, ale i zaskoczyło.

W dniu, w którym przybył posłaniec z listem, siedział na dworze przed swoim domem w sennej Norymberdze, która wciąż nie mogła otrząsnąć się po zarazie, jaka przeszła przez miasto cztery dekady wcześniej. Jego żona Barbara z domu Herz siedziała spokojnie, pozując mężowi. Była w pierwszych miesiącach ciąży i na przemian to czuła się doskonale, to nie mogła wstać z łóżka. Wtedy był jeden z tych dni, kiedy humor jej dopisywał, nie męczyły jej nudności i jak sama twierdziła, mogła przenosić góry.

Spacerujący Stwosz przystanął. Zadarł głowę i patrzył na strzeliste wieże kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, który wreszcie odzyskał swoją dawną świetność. Koło głównego wejścia zauważył postawnego mężczyznę, chodzącego tam i z powrotem i spoglądającego do góry. Oczy osłaniał dłonią, mrużył je i co jakiś czas z powątpiewaniem kiwał głową. Potem wyciągnął rękę w stronę stojącego z boku młodzieńca, który wpatrywał się w niego niczym modlący się w święty obraz i czekał, aż ten poda mu kilka kart papieru, na którym coś szybko i zręcznie szkicował.

– Wybacz, panie, moją ciekawość – zagadnął Stwosz, odrywając mężczyznę od pracy – ale ciekawi mnie bardzo, co tam z takim zapałem szkicujesz. Pytam, bo sam niebawem zasiądę do podobnych planów.

– O, panie, nie jesteś pierwszy, który dziś mnie o to pyta – odrzekł tamten, nie odrywając wzroku od kartki. Przez chwilę milczał, szkicował coś jeszcze, w końcu oddał wszystko młodzieńcowi i wyciągnął rękę do Wita Stwosza. – Cieśla Matias Heringkan do usług. Burmistrz miasta pokazał mi swego czasu te dwie wieże. Cekał w ciszy, co powiem, i chyba odpowiedź nad wyraz mu się spodobała, bo zatrudnił mnie do ich upiększenia. To, co tu widzisz, to projekt tego, co za jakiś czas

zawiśnie wysoko nad głowami mieszkańców tego zacnego miasta. Jestem umówiony na jutro z burmistrzem, który pragnie zapoznać się z postępowaniem prac, dlatego, wybaczyć, ale każda minuta jest dla mnie na wagę złota. – Zaśmiało się głośno, dając rzeźbiarzowi do zrozumienia, że złoty kruszec posypie się szczerze, jeżeli projekt spodoba się Janowi Turzonowi i rajcom miejskim.

Cieśla Matias tak był zaaferowany swoją pracą, że dopiero po dłuższej chwili dotarły do niego słowa ciekawskiego przechodnia. Podniósł głowę, żeby zapytać go o zakres prac i miejsce, gdzie będzie je wykonywał, ale sylwetka jego niedawnego rozmówcy zniknęła już w tłumie przewalającym się ulicą Floriańską. Popatrzył jeszcze przez chwilę w tamtym kierunku, potem wzruszył ramionami i znowu oddał się bez reszty swojej pracy.

Tymczasem Wit Stwosz spacerował nieśpiesznie dalej. Przyglądał się kamienicom. Podziwiał ich sylwetki, rzeźby, charakterystyczne elementy, które wyróżniały je od innych, i grę światła. Załamania promieni słonecznych, które malowały na ścianach tajemnicze wzory, zmieniające się co chwila. Co rusz przystawał, kontemplował widok i ruszał dalej. Obiektami jego zainteresowania były nie tylko gmachy, lecz także przeciskający się jeden przez drugiego ludzie. Przypatrywał się ich ubiorowi, sposobowi poruszania. Spoglądał na twarze. Jedne były roześmiane, szczęśliwe, zadbane, inne zaś zmęczone, schorowane, sterane życiem, pomarszczone. Bawiące się dzieci biegały wśród dorosłych, którzy pokrzykiwali na nie, wygrażając, że przetrzepią im skórę. One zaś za nic miały sobie ich groźby.

– Beee! – Przystawały w niewielkiej odległości, przytykały dłoni do nosa i machały palcami, jakby grały na niewidzialnym instrumencie, po czym zrywały się do biegu, wpadając pod nogi innych, obładowanych przekupniów. Ich głośny, bez troski śmiech niósł się po całym mieście.

Rzeźbiarz układał w głowie kompozycję ołtarza, na który otrzymał zlecenie. Przypomniawszy sobie zapewnienie burmistrza, że pieniądze nie mają znaczenia. „Ołtarz ma być okazały i inny niż wszystkie ołtarze świata – podkreślił Jan Turzon. – Jedyne w swoim rodzaju. Piękny, majestatyczny. Taki jak Kraków”

Za kilka dni miał się spotkać w kamienicy zwanej Domem Panów Radców Krakowskich, położonej przy ulicy Świętego Jana, z rajcami, burmistrzem oraz królową Elżbietą, która żywo interesowała się tematem, zwłaszcza że zaoferowała datki na ołtarz. Czas wracać do domu, pomyślał. Przekuć myśli w obraz, który niebawem przedstawi wielmożom.

– Retabulum będzie okazałe, majestatyczne, przyciągające wzrok i skłaniające do refleksji, chociaż będzie łączyło w sobie *sacrum* i *profanum* – tłumaczył Wit Stwosz słuchającym go uważnie zebranych, z królową na czele, która na razie zachowywała kamienną twarz. Rzeźbiarz czuł, że z każdym kolejnym słowem robi mu się cieplej. – Na figury potrzebne będą kłocze lipowe. Reszta powstanie z drewna dębowego i modrzewiowego. W predelli znajdzie się drzewo Jessego – wskazał palcem. Zebrani pochylili się w stronę szkicu. Rozejrzał się po twarzach rajców, a widząc na niektórych niezrozumienie, zaczął tłumaczyć. – Czyli że podstawa nastawy ołtarza będzie przedstawiała drzewo, z którego gałęzi narodziły się kolejne pokolenia, aż do chwili przyjścia Chrystusa na świat. – Jego słowom zaczęło nareszcie towarzyszyć zrozumienie, poparte uśmiechami i kiwaniem głową. Rzeźbiarz ciągnął dalej. – Szafa nastawy będzie miała cztery skrzydła. Umyśliłem sobie, że dwa będą ruchome. Na koniec dodam zwieńczenie. – Wit Stwosz zamilkł.

W komnacie przez chwilę panowała cisza, po czym odezwała się królowa, domagając się szczegółów.

– Ołtarz zostanie poświęcony Najświętszej Pani. – Na ustach

Elżbiety pojawił się uśmiech. Stwosz odetchnął z ulgą, pierwszy raz od chwili, kiedy stanął przed jej majestatem i rajcami z burmistrzem Turzonem na czele. – Panienska będzie znajdowała się w punkcie centralnym. Tu – kreślił palcem po szkicach – mamy Zaśnięcie Marii Panny. Jak Wasza Wysokość widzi, otaczają ją apostołowie. Samą Panienskę podtrzymuje Święty Jakub. Tu zaś – wzrok zebranych przeniósł się na inny rysunek – Wasza Wysokość i wielmożni panowie widzicie scenę Wniebowstąpienia. To postać Chrystusa, a tuż obok jego matki i dwóch towarzyszących im aniołów. Szaty figur będą złote, dzięki czemu wpadające do kościoła światło odbije się od nich, tworząc atmosferę tajemniczości i mistycyzmu. Aby zachować dla potomności zwyczaje naszego dnia codziennego, chciałbym – jeżeli wyrazicie zgodę – dodać do scen przedmioty codziennego użytku, a twarze świętych, także Marii Panny i Jezusa Chrystusa wyrzeźbić na podobieństwo mieszkańców Krakowa.

Po komnacie przeszedł szmer aprobaty. Przez kilka chwil jeszcze dyskutowali, po czym królowa Elżbieta wyraziła zgodę na przedstawiony projekt i zarządziła rozpoczęcie prac.

– Będę je co jakiś czas osobiście nadzorować, więc weźcie sobie do serca to, co i jak czynicie, mistrzu Stwoszu.

Wreszcie mógł opuścić kamienicę. Wyszedł na zewnątrz na miękkich nogach. Wiał lekki wiaterek, który go nieco otrzeźwił. Chociaż nie miał tego w zwyczaju, dziś czuł, że musi udać się do Piwnicy Świdnickiej, która znajdowała się w podziemiach głównego korpusu ratusza. Sprzedawano tam różne rodzaje piwa: białe, lekkie, schayte, langwelle, czarne z jęczmienia, marcowe oraz ulubione piwo krakowian, czyli pszeniczne. On wolał piwo śląskie, które rada miasta ściągала ze Świdnicy. Pił je już dwa razy. Za pierwszym razem uraczył go nim sam burmistrz podczas kolacji z okazji jego przyjazdu do Krakowa.

– Sprzedaż piwa to doskonały interes. Skoro może on przysłużyć się

miastu i naszym kieszeniom, dlaczego z niego nie skorzystać. Niech mistrz sobie wyobrazi, że obrót czasami wynosi aż sześćset grzywien – mówił ze swadą Jan Turzon, wznosząc toast na cześć gościa.

Wit Stwosz uznał, że dziś jest dzień, w którym pokrzepienie się piwem było wskazane, ponieważ to ostatni dzień swobody. Przez kolejne miesiące, a może i lata będzie zajęty od świtu do zmierzchu. Od tego, czy zadowolili swoich zleceniodawców, zależało przyszłe życie jego rodziny. Chciał, żeby było dostatnie.

*

W zimnym, wilgotnym lochu, dorotce, panowała względna cisza, jeśli nie liczyć tupotu szcurzych łapek, popiskiwania gryzoni walczących o kawałki spleśniałego jedzenia oraz wybuchów śmiechu i pijackiego bełkotu dolatującego zza ściany, za którą znajdowała się Piwnica Świdnicka. Odgłosom tym towarzyszył przyspieszony oddech osadzonej w więzieniu młodej dziewczyny. Karczmę, w której od rana do wieczora strumieniami lało się piwo, od dawna nawiedzały miejskie szumowiny i łachudry, które po kilku kuflach wszczynały rozróby i czasami trafiały na kilka dni do dorotki. Dziś w lochu oprócz bladej ze strachu dziewczyny nie było nikogo. Wtrącono ją tu na początku września 1478 roku. Przez kilka tygodni nikt się nie pojawił, aby powiedzieć, o co ją oskarżono. Jeżeli dobrze policzyła, zbliżał się grudzień. Poczula, że znowu ogarniają ją panika i wściekłość. Ceklarze siedzieli od kilku godzin w karczmie. Po tylu miesiącach spędzonych w ich obecności potrafiła rozpoznać ich głosy i śmiechy. Po bełkoczącej mowie zorientowała się, nawet przez ścianę, że są już pijani. Uniosła głowę i zawyła niczym ranne zwierzę. Raz, drugi i kolejny. Nikt jednak nie przyszedł z pomocą. Jej przerażające wycie zagłuszały pijackie odgłosy i szum życia toczącego się na krakowskich ulicach. Zamilkła i nadstawiła uszu. Teraz słyszała już tylko rozmowy dochodzące zza ściany. Gryzonie,

wystraszone jej wyciem, pochowały się na chwilę. Dobrze i to, pomyślała. Nienawidziła ich tupania i tego, że włąziły na nią, jeżeli dłużej siedziała w bezruchu; ich wiecznie poruszających się nosków i tego, że co jakiś czas próbowały obgryzać jej nogi. Pewnie czekały tylko na jej śmierć. Była dla nich łakomym kąskiem. Zrezygnowana zamknęła oczy. Od dawna już się nie modliła, ale dziś postanowiła spróbować jeszcze raz.

Kiedy Katarzyna Sommerlich modliła się, prosząc o pomoc Najświętszą Panią i wszystkich świętych, Antoni z Biecza szykował się do drogi. Kilka dni temu otrzymał list z Krakowa, w którym domagano się jego natychmiastowej obecności. Wezwała go sama królowa Elżbieta. Nie mógł zlekceważyć tego rozkazu, chociaż nie miał najmniejszej ochoty opuszczać miasta.

Mały pokój w szkole, którą mieszkańcy nazywali akademią katowską, dzielił z dwoma adeptami sztuki katowskiej, którzy zgłosili się na naukę tego jakże elitarnego, ale niedocenianego zawodu. Zanim przystąpili do nauki, mistrz katowski ostrzegł ich przed infamią, jaka z czasem spadnie na nich i ich przyszłe rodziny.

– Pamiętajcie, wszyscy potrzebują naszych usług, ale chociaż doskonale wiedzą, że nie mogą bez nas funkcjonować, spychają nas na margines społeczeństwa, lżąc nas i wymyślając nam i naszym bliskim. Czy jesteście na to gotowi?

Niektórzy nie byli i odchodzili, ale większość zostawała, łaknąc wiedzy, jaką oferowała akademia. Uczono ich czytać i pisać. Poznawali tajemnice ludzkiej anatomii i to, jak sprawić, aby przesłuchanie było jak najbardziej bolesne, ale nie doprowadziło do przedwczesnej śmierci torturowanego. Co zdolniejsi z chwilą ukończenia nauki otrzymywali w nagrodę katowski miecz. Ten różnił się od zwykłej broni. Był cięższy, miał szeroką głownię i ścięty sztych. Był robiony na zamówienie, pod katowską rękę. I był dla kata jak relikwia dla wierzącego. Traktowano go

z nabożną czcią, pilnując jak oka w głowie. Antoni z Biecza, tak jak jego ojciec, ukończył naukę z wyróżnieniem. Miecz mógł odziedziczyć po ojcu, ale wolał mieć swój. Nie rozstawał się z nim na krok. Ściął nim już wiele głów i wyrył na nim kilka sentencji, takich jak ta, żeby ludzie nie osądzali go zbyt surowo, ponieważ jest on tylko narzędziem w rękach sprawiedliwości.

Zanim wyruszył, zerknął na wieżę basztową, w której mieściła się tortornia. W okresie świąt Bożego Narodzenia lochy zawsze się zapełniały. Na trakcie biegnącym z Węgier do Krakowa grasowały bandy zbójników. Tych, pochodzących z rodzin, które mogły poszczycić się szlacheckimi koneksjami, nazywano tołhojami, pozostałych po prostu zbójnikami. Specjalna grupa strażników, zwanych harnikami, przemieszczała się po trakcie i wyłapywała bandytów, dostarczając sędziom pracy, a katom materiału do ćwiczeń. Żałował, że musi opuścić Biecz.

*

Katarzyna Sommerlich spała wycieńczona. Od kilku tygodni nie jadła nic innego poza suchym, czasami spleśniałym chlebem, który popijała nieświeżą wodą. Już dawno straciła nadzieję, że stąd wyjdzie lub dowie się, dlaczego została wtrącona do lochu. Obudził ją szelest. Nie, szcęk przekręcane w zamku klucza.

– Wstawaj, dzierlatko! – Głos ceklarza Piotrka, chudego i wiecznie śmierdzącego, którego twarz pokrywały obrzydliwe krosty, poznałaby wszędzie. – Ktoś do ciebie. Nie lada gość zaszczycił cię swoją obecnością. – Po tych słowach ryknął śmiechem na całe gardło, a kiedy się nie poruszyła, kopnął ją z całej siły, nabijając na wątlých nogach wielkiego sińca.

W wejściu do celi stanął wysoki, barczysty mężczyzna. Od razu go poznała. Czarny ubiór i przytroczony do pasa szeroki miecz nie

pozostawiał wątpliwości. Stał przed nią kat. Czyżby miała pożegnać się z życiem bez sądu, bez wiedzy, o co ją oskarżono?

– Wstawaj! – powiedział spokojnie, ale dobitnie.

Nie miała odwagi dłużej się ociągać. Stanęła na nogi, które się pod nią ugięły. Może z wycieńczenia, może z przerażenia?

– Nic się nie martw – dworował z niej Piotrek. – Przynieśli my ci powóz. – Znowu ryknął śmiechem, ale tym razem zawtórowali mu też inni ceklarze z katem na czele.

Antoni z Biecza trzymał w ręku kawał krowiej skóry. Miała kilka dni. Wciąż była czerwona od krwi i pełna malutkich strzępów mięsa. Dziewczyna spojrzała na skórę i zrobiła się jeszcze bledsza. Nigdy nie była świadkiem takiego spektaklu, ale słyszała od matki, że niekiedy, chcąc jeszcze bardziej upokorzyć więźnia, sadowili go na krowiej skórze i ciągnęli tak przez miasto na miejsce kaźni.

Na zewnątrz lochów już zebrał się spory tłum. W karczmie za ścianą zrobiło się prawie zupełnie cicho. Pewnie wszyscy wylegli na zewnątrz, chcąc uczestniczyć w niecodziennym wydarzeniu.

– Nie ociągaj się. Jak sama nie usiądziesz, to wsadzimy cię na nią siłą, a i sposób się znajdzie, żebyś już na niej została. – Twarz kata, która nie wyrażała żadnych emocji, nie pozostawiała wątpliwości, że zrobi wszystko, aby zaciągnąć ją we wskazane miejsce.

Podeszła do skóry na chwiejnych nogach. Usiadła z obrzydzeniem, starając się nie wdychać ohydneho smrodu, który przedzierał się nawet przez fetor panujący w lochu. Antoni z Biecza bez większego wysiłku szarpnął ochłapem. Ludzie zebrani na zewnątrz zawyli z radości. Już dawno nie było w mieście porządnej rozrywki. Kat ciągnął ją, a ludzie lżyli, opluwali, rzucali w nią odpadkami jedzenia. Ktoś nawet rzucił końskim łajnem. Jeszcze świeżym, bo ciepłym. Zwymiotowała, ale smród wymiocin już jej nie przeszkadzał. Wreszcie zrobiło się ciszej. Powoli otworzyła oczy. Kat zaciągnął ją na wzgórze zamkowe.

Zatrzymał się przed wieżą, którą potocznie nazywano nową. Mówiono tak na nią od dnia, w którym na placu w jej pobliżu ścięto rajców po zamordowaniu Andrzeja Tęczyńskiego, starosty rabsztyńskiego, w 1462 roku. Czyjeś silne ręce podniosły ją do góry. Ktoś inny zniemacka chlusnął jej w twarz zimną wodą, a potem zaczął szturchać w stronę wieży. Pamiętała, że kiedy przybyła na Wawel, w pierwszym roku służby damy z fraucymeru królowej oprowadziły ją po zamku. Nie zapomniały zabrać jej też do lochów, które od jakiegoś czasu stały puste. Uciekły z nich nawet szczury i pająki, bo nie miały tam co jeść. A jednak w tych wilgotnych ścianach poczuła wtedy zapach śmierci, bólu i cierpienia. Wydawało jej się, że słyszy krzyki skazanych i ich gorące modlitwy, aby każń już się skończyła. Wspomnienie tamtych nieprzyjemnych emocji powróciło teraz ze zdwojoną siłą.

Najwidoczniej specjalnie dla niej zdecydowano się wznowić ich funkcję. Podniosła głowę i zerknęła w stronę głównego budynku. Nie zauważyła jednak ani królowej, ani jej dam, ani nawet służących. Była dla nich nikim. Powietrzem. Strzępem ludzkim, z którym miał rozprawić się kat.

Tymczasem Elżbieta siedziała w towarzystwie czytającego listy Kazimierza. 15 lipca ubiegłego 1478 roku powiła kolejne dziecko. Córkę, której dali na imię Barbara.

– Chciałabym, żeby miała na imię Elżbieta. – Położnica spojrzała czule na męża.

– Kochanie, wolałbym, aby tym razem dziewczynka dostała inne imię. Barbara. Czyż nie jest piękne? – Kazimierz przyglądał się żonie. Obawiał się, że nad imieniem Elżbieta ciąży jakaś klątwa. Dwie córki, które urodziły się wcześniej, jedna w 1465 roku, a druga siedem lat później, otrzymały imię Elżbieta i zmarły jako małe dzieci. Nie chciał, aby to samo spotkało maleństwo, które królowa trzymała na rękach i do którego uśmiechała się tak promiennie. Chciał zaoszczędzić jej bólu

związanego z utratą dziecka. Sobie zresztą też.

– Niech będzie Barbara.

Chociaż od porodu minęło prawie pół roku, Elżbieta jeszcze wracała do pełni sił. Martwił się o nią, ponieważ nigdy nie narzekała na zdrowie. Dlatego tak bardzo rozgniewały go doniesienia na temat jednej z dam dworu żony. Katarzyna Sommerlich była najmłodsza z całego fraucymeru i z królową najkrócej. Od samego początku miał zastrzeżenia, ale Elżbieta przekonała go, iż nie ma nic złego w tym, aby panna z dobrego domu, polecona przez wielkiego mistrza, została przyjęta na jej dwór. Wydawało się, że Elżbieta nie pomyliła się co do panny Sommerlich, a jednak musieli coś przeoczyć. Konsekwencje tego były ogromne. Niemniej jednak wina Katarzyny musiała zostać potwierdzona. Dziś sprowadzono ją do lochów w baszcie. Kazimierz zerknął na żonę. Wydawała się spokojna, ale wspólnie spędzone lata sprawiły, że nie dał się oszukać. Była zagniewana, a złość i negatywne emocje nie robiły dobrze jej zdrowiu. – Kochanie, nie powinnaś się denerwować. Martwi mnie to, że nie wracasz do pełni sił tak szybko jak zwykle. Silne emocje nie służą twojemu ciału. – Wstał z fotela i podszedł do żony, aby ją objąć ramieniem i złożyć na jej czole czuły pocałunek.

– Nie powinnam nawet o niej myśleć, ale wydawała się taka prawdziwa, taka wierna i przyjacielsko nastawiona do innych panien. Gdyby żyła niania Helena, od razu poznałaby fałsz w oczach Katarzyny. Jej zdrada nie bolałaby tak bardzo, gdyby nie dotknęła także ciebie. – Wyciągnęła rękę i położyła na szorstkim policzku Kazimierza.

Przez chwilę siedziała spokojnie, a potem nagle wstała, i ruszyła w stronę drzwi. Na pytanie męża, dokąd zmierza, odparła, że do lochów.

Lekkie kroki sugerowały, że do celi zbliża się kobieta. Katarzyna nie podniosła głowy. To pewnie służąca z chlebem i wodą. Jednak szcęk kluczy w zamku zaciekał ją. Spojrzała przed siebie i w zamazanym

obrazie rozpoznała królową. Nie miała ani ochoty, ani siły, żeby wstawać i dygać. Już jej nie zależało.

– Jutro kat, Antoni z Biecza, dowie się, czy to, co mówią, to prawda czy kłamstwo, które miało nas zmylić. Jeżeli chcesz uniknąć z nim spotkania, powiedz prawdę tu i teraz, a ocalisz nie tylko życie, lecz także zdrowie. – Elżbieta czekała. Nigdy nie współczuła ludziom niższego stanu, ale czas, który spędziła ze swoimi damami dworu, sprawił, że czuła do nich sympatię. Była za nie w jakiś sposób odpowiedzialna, dlatego chciała oszczędzić dziewczynie cierpień, ale ta najwyraźniej uparła się milczeć. Odczekała jeszcze chwilę, po czym z czystym sumieniem, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, wyszła z celi i opuściła lochy, przez kolejne dni nie zaszczycając Katarzyny Sommerlich ani jedną myślą.

Tymczasem Antoni z Biecza przygotowywał się do spektaklu, którego widzami mieli być tylko jego pomocnicy. Lubił celebrować chwilę, zanim zacznie przekonywać więźnia do odpowiedzi lub przyznania się do winy. Uważał się za artystę. I pewnie wielu jego uczniów także za takiego go uważało.

Katarzyna zamknęła oczy. Nie chciała patrzeć na to, co robił kat. Nigdy nie była świadkiem tortur, ale nasłuchiwała się o tym dość, aby wiedzieć, że żywa nie wyjdzie z lochu. Trzęsła się jak osika na myśl o bólu, który ją czeka. Nie była odporna na cierpienie. Mdląła na widok krwi i płakała jak małe dziecko, kiedy się skaleczyła. Wróciła pamięcią do pewnego nieoczekiwanego spotkania, aby nie myśleć o tym, co za chwilę się stanie.

Był koniec listopada 1469 roku. Od dwóch lat była na służbie u królowej Elżbiety. Początkowo nie mogła się tu odnaleźć, ale cierpliwość pozostałych dam dworu sprawiła, że zaczęła się zadomawiać. Sama królowa nie była wymagająca. Gdyby nie tęsknota za ukochanym Konradem, o którym wciąż nie potrafiła zapomnieć,

czułaby się w Krakowie jak w domu.

Siedziała wtedy w komnacie i czytała, kiedy ktoś cicho zapukał. W drzwiach stała Anna Schwarzenberger, córka barona Erkingera. Pewnego dnia, w pierwszych tygodniach służby Katarzyny, zwierzyła się jej, że kiedyś marzyła o własnych dzieciach i rodzinnym cieple, którego nie potrafiła znaleźć na królewskim dworze. Możliwe, że pragnienie macierzyństwa pchnęło ją ku młodej dziewczynie, jaką była Katarzyna. Od tamtej pory Anna Schwarzenberger roztaczała nad nią swoistą opiekę.

– Przyszłam ci powiedzieć, że za dwa dni będziemy mieli na zamku gości – szepnęła Anna, robiąc tajemniczą minę.

Od prawie dwóch miesięcy cały dwór przebywał nieopodal Piotrkowa, do którego zjechała szlachta, żeby wziąć udział w sejmie.

– Któż to taki? – zapytała Katarzyna z grzeczności. Nie miała dziś ochoty na pogaduszki.

– Ptaszki ćwierkają, że nadciąga wielki mistrz Henryk Reuss von Plauen w towarzystwie kilku braci zakonnych. – Uniosła brew, widząc, że przyciągnęła uwagę młodej dwórki.

Rozmawiały jeszcze jakiś czas. Wreszcie Katarzyna została sama. Podeszła do okna. Serce od dawna nie biło jej tak szybko.

– Boże – szepnęła – proszę, wysłuchaj mnie.

Zamknęła oczy i zaczęła się bezgłośnie modlić. Jej modlitwa musiała być żarliwa, ponieważ dwa dni po rozmowie z Anną serce Katarzyny omal nie wyskoczyło z piersi, kiedy wśród orszaku wielkiego mistrza ujrzała Konrada. On najwyraźniej też czekał na to spotkanie, ponieważ rozglądał się po dziedzińcu, z niecierpliwością przemykając wzrokiem po zgromadzonych. W końcu ich spojrzenia się spotkały. Jego twarz ani na chwilę nie zmieniła wyrazu, ale ona znała go dobrze i nawet z daleka dostrzegła w jego oczach ten charakterystyczny błysk. Niestety, godziny mijały, a oni nie mieli okazji, aby choć na chwilę zbliżyć się do siebie.

Kiedy skończyła się wieczerza, w czasie której towarzyszący Henrykowi Reussowi von Plauen bracia zakonni siedzieli z dala od kobiet, straciła nadzieję. Wróciła do swojej komnaty i głośno westchnęła. Nic to, pomyślała, przynajmniej go widziałam.

– Przystałem już wierzyć, że się spotkamy. Pomyślałem, że twoja przyjaciółka Anna wskazała mi niewłaściwą komnatę. – Głos Konrada odbił się od ścian jej izby.

Zaskoczenie trwało tylko kilka sekund, a potem z uśmiechem na twarzy ruszyła w jego stronę, rzucając mu się w ramiona. Trwali tak bardzo długo. Potem na jej pytania, czy nie będzie miał kłopotów, zbywał ją wymówkami. Cały czas przekonywał ją o swojej tęsknocie i uczuciu, którego się poznał dopiero tam, w zakonie, kiedy zrozumiał, że już nigdy jej nie zobaczy. Spijała te cudowne słowa z jego ust. Mogłaby tego słuchać całą wieczność. Dla tej chwili żyła. Dla niego zrobiłaby wszystko.

Wszystko...

Wspomnienie rozplynęło się niczym bańka mydlana, kiedy poczuła na nogach coś szorstkiego i wilgotnego. Otrząsnęła się z letargu i zerknęła w dół. Aż podskoczyła zaskoczona. Tuż przy jej prawej nodze stała niewielka koza, która z lubością lizała jej mokrą łydkę.

– To sól. – Antoni wyłonił się z cienia. – Posmarowałem twoją nogę solą. Na razie jej język sprawia ci przyjemność, łaskocze, ale to się zmieni. Koza to głupie bydle, będzie lizała tak długo, jak długo będzie przy tobie stała. Nie zniechęci jej odrywająca się skóra, którą z czasem naruszy jej język. Ale zabiorę ją już teraz, jeśli powiesz mi to, co ukrywasz. Wtedy zostanie ci tylko miłe wspomnienie ślicznej kózki, która łaskotała twoje ciało. – Antoni przerwał, bacznie obserwując dziewczynę. Wydawało mu się, że w pewnej chwili się zawahała. Szybko jednak przybrała obojętną pozę. – Jak sobie życzysz – powiedział i wyszedł.

Kozi język ani na chwilę nie przestawał lizać jej nogi. Kat miał rację – to, co jeszcze przed chwilą było przyjemnością, teraz zmieniało się w powolną torturę. Czuła, że skóra zaczyna ją niebezpiecznie piec. Jeszcze kilka pociągnięć ozorem i skóra zmiękczona śliną kozy zacznie odchodzić od mięsa. Katarzyna zaczęła krzyżeć. Antoni pojawił się prawie natychmiast.

– Zabierz ją ode mnie. Proszę – wyszeptała ze łzami w oczach.

– A czy masz mi coś do powiedzenia?

W lochach zapadła cisza. A więc jeszcze nie była gotowa się złamać. Mimo to zabrał zwierzę. Czas wypróbować inne sposoby, pomyślał i podszedł do drewnianego stołu, na którym trzymał narzędzia o wymyślnych kształtach. Katarzyna odwróciła wzrok. Kat wodził ręką od jednego narzędzia do drugiego, nie mogąc się zdecydować. Najchętniej wypróbowałby na dziewczynie wszystkie, ale był mistrzem w swoim fachu i wiedział, że nie wytrzymałaby samego ich widoku, a co dopiero zadawanych nimi tortur.

– Nic to – powiedział i wziął do ręki kolczaste sznurówki. – Łaskocze trochę bardziej niż kozi język, to może szybciej przyjdzie ci mówienie prawdy, co?

Katarzyna nie odpowiedziała. Nadal miała zamknięte oczy. Otworzyła je dopiero, kiedy Antoni z Biecza sięgnął po jej rękę. W dłoni trzymał coś, co wyglądało na zwykły kaftan, z tą różnicą, że od środka ponabijany był niezliczoną ilością ostrych kolców. Zapała się na krześle, na którym ją posadzono. Z całych sił trzymała się drewnianego oparcia, aż zbieleły jej knykcie. Antoni skinął głową na czekającego w ukryciu pomocnika. Musieli użyć wszystkich sił, żeby szamoczącej się i wydzierającej wniebogłosy dziewczynie naciągnąć kolczasty kaftan. Kiedy już im się to udało, zmęczony i spocony ceklarz z całych sił pchnął Katarzynę na oparcie krzesła. Wrzasnęła i zaczęła płakać, ponieważ ostre kolce wbiły jej się w plecy, raniąc skórę. Poczowała coś

ciepłego. To krew ściekała jej po plecach małymi strużkami, wijąc się jak spokojne wody spływającego z gór potoku. Zostawili ją samą. Zastygła w bezruchu. Każde, nawet najmniejsze poruszenie powodowało potworny ból. Jęczała cichutko, modląc się i prosząc, aby rzeź, której była głównym aktorem, dobiegła już końca.

– Przyznaj się. Wyznaj swoje winy i opowiedz o tym, co robiłaś, a wszystko skończy się w okamgnieniu. – Głos Antoniego z Biecza dolatywał do niej z oddali. Miała wrażenie, że kat czyta w jej myślach.

Znowu zapanowała cisza. Katarzyna siedziała nieruchomo. Ręce i nogi zaczęły jej cierpnąć, ale nie miała odwagi, aby zmienić pozycję. Teraz przynajmniej nie czuła bólu. Mijały minuty i godziny. Straciła rachubę czasu. Chyba zemdląca. Była głodna. Chciało jej się pić. Wargi miała spierzchnięte, popękane i bolące. Nie wiedziała, czy wciąż był dzień, czy może już noc. W końcu doleciały do niej odgłosy zbliżających się kroków.

– Czas zmienić ubranko. – Szept tuż przy uchu podziałał na nią jak kubeł lodowatej wody.

Otworzyła oczy. Antoni i jego pomocnik stali nad nią i wyciągali ręce, aby zdjąć z niej kolczaste sznurówki. Nie byli delikatni. Nie zważali, że niektóre kolce pod wpływem wielu godzin i ciężaru jej ciała wbiły się głęboko w miękką skórę. Kiedy ściągali z niej kaftan, ranili ją okrutnie, wyszarpując kawałeczki mięsa.

– Chyba poszukamy cierniowej korony – ryknął śmiechem ceklarz, ale ten żart nie spodobał się katu, który dał mu porządnego kuksańca w bok. Pachołek jęknął, ale nie odezwał się ani słowem skargi.

Przez chwilę jej ciało było wolne od bólu. Nie na długo. Poczwała, że ktoś sięga po jej prawą stopę.

– Dla pięknej panny cudowne buciki. – Ceklarz napawał się strachem, który widział w jej oczach.

W rękach trzymał kolejne narzędzie tortur – hiszpańskie buty.

Próbowwała wyrwać nogę, ale uścisk pomocnika był zadziwiająco silny. Sadystyczny uśmiech rozkoszy pojawił się na jego ustach, kiedy jej stopa znalazła się w środku. Zakręcił śrubę. Najpierw powoli, napawając się tym, że wstrzymała oddech, ponieważ przygotowywała się na chwilę, kiedy znajdujące się w środku naostrzone szpikulce zaczną wbijać się w ciało. Potem but zacznie łamać palce i kości stopy.

– Powoli – zarządził Antoni z Biecza. – Powoli, bo jak mi Bóg miły, siądziesz obok niej – dodał, kiedy dostrzegł błysk zawodu w małych, nabiegłych krwią oczach pachołka. – Mam dla niej jeszcze inne rozrywki.

Na samą myśl, że ten koszmar nie skończy się szybko, zrobiło jej się słabo. Musiała stracić już dużo krwi, poza tym od dawna nic nie jadła. Świat zaczął się zamazywać, w uszach szumiało tak mocno, że z ledwością rozróżniała wypowiedane przez kata słowa. Nagle nastąpiła absolutna ciemność.

Antoni z Biecza męczył ją jeszcze przez kilka kolejnych dni. Zrobił dwie przerwy, w czasie których nakarmiono ją na siłę, ponieważ odmówiła jedzenia. Nie pozwolono jej zbyt szybko rozstać się ze światem. Jeszcze nie powiedziała tego, czego chcieli się dowiedzieć. Już kilka razy miała im wszystko wykrzyzczyć, ponieważ ból był nie do zniesienia, ale wtedy przychodziło otrzeźwienie. Jeżeli się złamie, kara nie ominie także ukochanego Konrada. Nie mogła tego zrobić. Dla niego musiała być silna. Nie wiedziała, że on również trafił do lochu, i to na długo przed nią, bo w lutym 1477 roku. Zanim to nastąpiło, świadczył zakonowi usługi, które nie były zgodne z regułą. Na pytania, czy nie spotka go za to kara, zwierzchnicy zapewniali, że czasami należy popełnić grzech w imię większego dobra, jakim jest przyszłość zakonu. Dobro wspólnoty stało ponad wszystkim, dlatego następca jego krewnego, Henryk Reffle von Richtenberg, podtrzymał decyzję poprzednika. Konrad nadal miał się skrycie spotykać z Katarzyną Sommerlich, dwórką królowej Elżbiety, i zbierać wszelkie informacje

na temat posunięć polskiego władcy. Podczas tych kilku lat widział się z Katarzyną parę razy. Zawsze wracał z wiadomościami, które przekazywał swemu zwierzchnikowi. Z czasem można je było wykorzystać, krzyżując plany polskiego monarchy. Wszystko skończyło się w dniu śmierci wielkiego mistrza. Konrad został wtrącony do lochu, gdzie miał czekać na wybór następcy zmarłego i decyzję co do swych dalszych losów. Mijały tygodnie i miesiące. Żył o chlebie i wodzie, ale nie tracił nadziei. W sierpniu zatwierdzono wybór. Wielkim mistrzem został Martin Truchsess von Wetzhausen. Zapadła także decyzja w sprawie Konrada. Został skazany na powolną śmierć głodową. 4 sierpnia 1477 roku przestał otrzymywać jedzenie i wodę. Kiedy Katarzyna walczyła z bólem, aby nie zdradzić ukochanego, jego truchło od ponad roku spoczywało w lochach zamku w Królewcu.

*

Tymczasem w komnatach ponad lochami Elżbieta z gniewem w oczach spoglądała na męża.

– To już kolejna delegacja panów litewskich, którzy błagają cię, abyś jednego z naszych synów przeznaczył na tron litewski. Nie pojmuję, dlaczego tak się przed tym wzdragasz? – Chociaż mówiła cicho i powoli, Kazimierz wychwycił pierwsze nuty rosnącego zdenerwowania.

– Kruszyńko moja. – Zawsze kiedy byli sami lub tylko w towarzystwie najbardziej zaufanych, zwracał się do niej w ten sposób. Zwłaszcza kiedy chciał uniknąć nadciągającej burzy, a ta zawsze wisiała w powietrzu, jeżeli sprawy dotyczące dzieci nie toczyły się po myśli Elżbiety. – Trudno mianować któregoś z synów na tron litewski, skoro dotychczasowy książę ma się dobrze i na zdrowie nie narzeka. Nie zamierzam zrzekać się tronu wielkoksiążęcego. – Mówiąc to, poza jawną ironią, położył nacisk na ostatnie zdanie, dając żonie do zrozumienia, że temat uważa za zakończony. Jednak Elżbieta nie byłaby sobą, gdyby

nie zaczęła drażnić dalej. Odetchnął więc głęboko, aby nieco się uspokoić, i dodał: – Ufam twoim posunięciom, jeżeli chodzi o nasze dzieci. Dzięki twoim zabiegom i koneksjom Jadwiga miała nawet szansę zostać żoną cesarskiego syna Maksymiliana. Wiemy jednak, że twój stryj z czasem zmienił zdanie, co nie przeszkodziło ci w znalezieniu do jej ręki odpowiedniego kandydata. Już niebawem stanie na ślubnym kobiercu u boku księcia bawarskiego Jerzego Bogatego. Z kolei niewinna wyprawa do Brandenburgii, którą swego czasu bez mojej wiedzy, za to za twoim przyzwoleniem, odbyli posłowie Dzierśław z Rytwian i Stanisław Ostroróg, przyniosła kolejny doskonały mariaż. Druga nasza córka, Zofia, od lat jest zaręczona z Fryderykiem Hohenzollernem, a jak donosił ostatnio biskup warmiński Andrzej Oporowski, niebawem będzie się szykował do wyruszenia wraz z nią do Frankfurtu. Dodał, że czynisz przygotowania od dnia, w którym dowiedziałaś się, że ślub ma się odbyć nie w Poznaniu, lecz właśnie we Frankfurcie. A wszystko to twoja zasługa. – Elżbieta przewróciła oczami. Wiedziała, do czego mąż zmierza. Chciał ją udobruchać i skołować, aby przestała myśleć o tronie dla Kazimierza lub Jana, którzy niedawno na jego rozkaz wrócili do Polski. Jednak jeszcze nic, co powiedział, nie wpłynęło na zmianę jej zdania. Tymczasem Kazimierz nie rezygnował. – Myślisz dalekosiężnie, więc przypuszczam, że chociaż królowna Anna jest jeszcze mała, już zaczęłaś rozglądać się za odpowiednim dla niej mężem, prawda? – Zadając to pytanie, nie liczył na odpowiedź.

– To wszystko pochlebstwa – skwitowała Elżbieta, kiedy Kazimierz przestał perorować. – Powiedz coś, co każe mi zmienić pogląd. – Stała przed nim, wyzywając go na słowny pojedynek.

– Dobrze więc. – Ugiął się wreszcie. Elżbieta szykowała się do triumfu. Jednak nie takich słów się spodziewała. Z każdym kolejnym zdaniem robiła się bledsza i w końcu musiała usiąść, bo zrobiło jej się

słabo. – Nie chciałem cię martwić, ale skoro nalegasz, dla dobra nas wszystkich i mojego świętego spokoju, abyś nie myślała, że tron litewski za wszelką cenę chcę dla siebie zawłaszczyć, pozbawiając swoich synów możliwości rządzenia, odpowiem na pytanie. Niedawno doszły mnie słuchy – i są to informacje sprawdzone, a ci, którzy zamierzali czyn swój wprowadzić w życie, poszli już pod katowski topór – że planowano zamach na życie naszych synów. Chyba nie chciałabyś, aby dla spokoju panów litewskich jeden z nich został pozbawiony żywota? I powiem jeszcze, że za planami tymi, tak obrzydliwymi, że na samą myśl serce mi truchleje, stał wielki mistrz zakonu. Nie tylko więc doprowadził do wojny z nami, wykorzystując w tym celu biskupa warmińskiego Mikołaja Tungena, ale chciał jeszcze usunąć ze swojej drogi następców polskiego tronu.

W komnacie zapadła cisza, przerywana tylko szybkim i głośnym oddechem przerażonej Elżbiety. Przywarła do męża, który objął ją w geście pocieszenia. Często oszczędzał jej podobnych wieści, ale były dni, takie jak ten, że musiał jej powiedzieć prawdę.

*

Rozmowy na temat przejęcia tronu litewskiego przez któregoś z synów skończyły się tamtego dnia, kiedy Elżbieta dowiedziała się o planowanym na nich zamachu. Jednak Kazimierz widział, że coś dręczy żonę. Dlatego rok później zdecydował się na krok, którego wcześniej zapewne nie brał pod uwagę. Mianował syna Kazimierza swoim namiestnikiem w królestwie, nadając mu tytuł *secundogentis Regis Poloniae*. Książę rezydował w Radomiu, do którego często jeździła królowa Elżbieta. Cieszyła się z sukcesów syna, który w czasie swych rządów doprowadził do ukrócenia rozbojów, dzięki czemu bardzo poprawiło się bezpieczeństwo na drogach. Książę Kazimierz angażował się w sprawy sądownictwa, co pozwoliło na nadrobienie kilkuletnich

zaległości w rozstrzyganiu spraw przez sąd królewski. Lubili go poddani, a także mieszkańcy stanów pruskich, z którymi utrzymywał bliski kontakt, przekonując ich przedstawicieli, że jeżeli tylko będzie miał sposobność, nakłoni ojca, aby nadał prowincjom większą samodzielność.

Elżbieta przebywała w Grodnie, kiedy zimą 1482 roku otrzymała wiadomość, że syn niedomaga. Natychmiast wysłała do Radomia swego osobistego lekarza, czekając z niecierpliwością na wieści. Te dotarły w połowie lutego. Medycy zdiagnozowali u księcia Kazimierza gruźlicę. Jego stan określono jako poważny. Elżbieta nakazała synowi przyjazd do Wilna. Przybył do miasta na wiosnę 1483 roku. Pod troskliwym okiem matki jego zdrowie poprawiło się na tyle, że pod koniec roku postanowił dotrzymać towarzystwa ojcu i wraz z nim udać się do Lublina na zjazd szlachty. Niestety, podczas podróży jego stan bardzo się pogorszył, dlatego na polecenie ojca zatrzymał się z matką w Grodnie. Dalszą drogę król kontynuował w towarzystwie swego dworu, ale już bez najbliższych.

– Pchnijcie, a szybko, gońca do króla. Niech przekaże, że księciu Kazimierzowi znacznie się pogarsza – powiedziała Elżbieta ze łzami w oczach. Stojący za jej plecami ochmistrz skinął bez słowa głową. Szybkimi krokami skierował się do swojej izby, aby skreślić list do Jego Wysokości.

Posłaniec dotarł do Lublina w połowie lutego 1484 roku. Kazimierz nie zastanawiał się długo. Przerwał obrady i ruszył do syna oraz żony. Przyjechał w samą porę. Księżę zmarł niedługo potem w ramionach szlochającej matki. Był 4 marca tegoż roku. Nie była to pierwsza śmierć dziecka, której Elżbieta musiała stawić czoło. Zaledwie trzy lata wcześniej pożegnali kilkuletnią Elżbietę, która zmarła także w Grodnie. Jeszcze wcześniej, w roku 1466, podczas pobytu w Sandomierzu, który miał być radosny i spędzony w gronie rodziny, rozstali się z roczną córeczką, także Elżbietą. A jednak ta strata była dla królowej jako matki

najbardziej bolesna. Przez długie miesiące nie mogła dość do siebie. Zamykała się w swojej komnacie, gdzie oddawała się modlitwie lub czytaniu Pisma Świętego. Przekazywała większe niż zazwyczaj datki na kościoły i zakony. Odsunęła się od dzieci. Dopiero pewnego dnia ocknęła się z letargu, kiedy zaledwie trzyletnia córeczka zaczęła rozdzierająco płakać, domagając się jej uwagi.

I chociaż Elżbieta znowu zajmowała się sprawami swojego dworu, Kazimierz wiedział, że nosi w sercu ogromny żal i smutek. Rozpogodziła się nieco dopiero w maju 1488 roku, kiedy otrzymała wiadomość, że wybór syna Fryderyka na biskupa krakowskiego został potwierdzony przez papieża Innocentego VIII.

*

Wśród zgromadzonych w kościele Mariackim ludzi stał Wawrzek Skowronek ze wsi Poręba. Miał już prawie dwadzieścia jeden lat i był zdolnym rzeźbiarzem, który rozwinął swój talent pod czujnym okiem mistrza Wita Stwosza. Kiedy przybył do Krakowa, był wystraszonym dzieckiem. Uśmiechnął się na myśl o ostatnich latach.

Gdyby nie zbieg okoliczności, pewnie dalej mieszkałby w swojej wsi. Dziś z dumą wypinał pierś, patrząc na ukończony ołtarz, na którym stały figury wykonane także jego ręką.

Wawrzek zamknął oczy. Szmer w kościele zaczął cichnąć, a do jego uszu doleciało krowie buczenie. Znowu miał kilka lat.

Łąki roztaczały się przed oczami chudego, jasnowłosego chłopca aż po horyzont. Gdzieś w oddali majaczył zarys lasu, do którego od czasu do czasu zabierał go ojciec na polowanie na zające czy lisy. Podczas którejś wyprawy zapytał go, dlaczego nie zapolują na jelenia, żubra albo niedźwiedzia.

– Bo to królewski przywilej. Pamiętaj o tym i nigdy nie zapomnij, jeśli ci życie miłe, synku – odpowiedział poważnie, mając nadzieję,

że Wawrzuś weźmie sobie jego słowa do serca.

On i jego małżonka byli rodzicami sporej gromadki i chociaż kochali wszystkie dzieci tak samo, to o Wawrzusia martwili się najbardziej, ponieważ był delikatny nie tylko na ciele, lecz także na duszy. Możliwe, że to właśnie owa delikatność powodowała, że potrafił wyczarować z kawałków drewna malutkie cuda.

Teraz też, pilnując pasących się krów, strugał niewielką figurkę, która miała przedstawiać miejscowego proboszcza. Nawet gdyby drewniana twarz okazała się niepodobna do fizjonomii duchownego, ludzie i tak od razu wiedzieliby, kogo wyrzeźbił, gdyż tak wydatnego brzucha nie miał nikt w okolicy.

– Bydlę jedno! A idźże ty z mojego pola! Wawrzek, czekaj no, jak ja cię dopadnę! – Krzyki dochodzące z sąsiedniej łąki dotarły do uszu chłopca. Wawrzek podniósł głowę i oniemiał z wrażenia. Podkasawszy sutannę, biegł w jego stronę proboszcz. Twarz wykrzywił mu grymas złości. W dłoni trzymał trzcinkę, którą zawsze miał przy sobie, a wielkie brzuszysko kołysało się w rytm kroków. Chłopak zerwał się z miejsca, porzucił strugany kawałek drewna i wziął nogi za pas. Biegł najszybciej, jak mógł. Nie patrzył za siebie. Gdyby to zrobił, zanim dobiegł do lasu, zauważyłby, że zdyszany i zlany potem ksiądz dawno dał za wygraną. Ale się nie obejrzał i wpadł pomiędzy drzewa. Kluczył po lesie, skręcał to w prawo, to w lewo, aż zdał sobie sprawę, że zrobiło się szaro, nie słychać już odgłosu pasących się zwierząt ani kroków biegnącego proboszcza. Przystanął. Rozejrzał się dookoła i krzyknął przerażony. Zgubił się. Nie wiedział, dokąd zawrócić. Na dodatek zaczęło się ściemniać. Las ożył. Szeleścił. Trzeszczał. Coś pohukiwało. Usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Coś dyszało za wysokimi, gęstymi krzakami. Wawrzek zerknął na najbliższe drzewa. Wdrapał się na jedno z nich i postanowił przeczekać na nim do rana. Pomimo głodu, pragnienia i zmęczenia nie zmrużył oczu ani na chwilę. Nad ranem

zrobiło się zimno. Dygotał tak bardzo, że omal nie spadł na ziemię. W końcu wstało słońce. Zszedł z gałęzi, pocierając ręką obolały tyłek. Tułał się i tułał. Kiedy nadchodziła noc, zawsze wdrapywał się na drzewo. Jadł owoce leśnego runa, pijał wodę z niewielkich kałuży, które zostały jeszcze po niedawnych ulewnych deszczach. Wreszcie dotarł na skraj lasu. Stał na drodze. Spojrzał w prawo, potem w lewo. Którędy iść?, myślał. Gdzie jest dom? Co robią matka i ojciec? Pewnie odchodzą od zmysłów, szukając go od rana do nocy. Musiał zdecydować. Poszedł w prawo i po pewnym czasie dotarł do niewielkiego miasteczka, w którym akurat odbywał się jarmark. Spotkał dobrych ludzi, którzy go nakarmili i напоili. Noc spędził zwinięty w kłębek na schodach kościoła i był świadkiem kradzieży.

– Ludzie! Ludzie! Złodziej! – zaczął wrzeszczeć, budząc śpiących mieszkańców.

Złoczyńca został pojmany, a Wawrzek pochwalony i przygarnięty na plebanię. Został w mieście kolejne dwa dni, nie mogąc się zdecydować, co robić, żeby trafić do domu. I wtedy przez miasteczko przejeżdżał wóz wędrownych kuglarzy, którzy w zamian za pomoc obiecali mu, że odstawią go do Poręby, w której mieszkał. Kuglarze wyprowadzili go w pole. Nie zamierzali zawozić chłopca, który okazał się pojętym uczniem, do domu. Zamiast tego kazali mu się uczyć żonglowania, chodzenia na rękach czy spacerowania po linie. Minął rok, gdy pewnej nocy zdecydował się na uciezkę. Skoro nikt nie chciał mu pomóc, musiał sam odszukać drogę do domu. Zamiast do Poręby trafił do Krakowa. Miasta hałaśliwego, ludnego i jak mu się wówczas wydawało, czarodziejskiego. Rzeczywiście musiała być tam jakaś magia, bo trafił pod skrzydła dobrotliwego bernardyna Szymona z Lipnicy. Ten polecił go na służbę do Jana Długosza, na którego Wawrzek mówił zawsze Mistrz Jan. Po jakimś czasie Długosz zorientował się, że jego nowy podopieczny to utalentowany młody rzeźbiarz, który może

rozwinąć swój kunszt pod czujnym okiem biegłego w sztuce rzeźbiarskiej nauczyciela. Nie zastanawiając się długo, udał się, zabierając ze sobą Wawrzka, do Wita Stwosza pracującego nad ołtarzem do kościoła Mariackiego.

Praca u mistrza Stwosza była ciężka, ale satysfakcjonująca. Po kilku latach Wawrzek otrzymał samodzielne zlecenie. Miał wyrzeźbić kilka pomniejszych postaci, które ustawiono na skrzydłach nadstawy. Dzięki mistrzowi Stwoszowi poznał księcia Kazimierza, kiedy ten przebywał w Wilnie, wezwany przez matkę. Było to pierwsze i jedyne spotkanie z królewiczem, który widząc zachwyty w oczach chłopca wpatrującego się w jego złote ciżmy, podarował mu je na pożegnanie.

Głos księdza intonującego rozpoczęcie mszy wyrwał Wawrzka ze wspomnień. Zerknął na swoje nogi i się uśmiechnął. Był 1489 rok. Od spotkania z księciem minęło kilka dobrych lat, a on wciąż miał jego ciżmy. Dotychczas tylko patrzył na nie od czasu do czasu, ale dziś zdecydował, że je wreszcie włoży. Pasowały jak ulał.

– Czas wracać do domu – szepnął do stojącego obok Jaśka, z którym zaprzyjaźnił się podczas pobytu u mistrza Wita.

Jaśko był kiedyś małym, niegroźnym złodziejaszkiem, ale przyjaźń z Wawrzusem i nadzór Wita Stwosza wyprowadziły go na dobrą drogę. Dziś był dorosłym mężczyzną, który zamiast kradzieży miał uczciwą pracę.

– Ano, czas wracać – przytaknął Jaśko.

Wawrzek miał nadzieję, że jego rodzice wciąż żyją, są zdrowi i nadal mieszkają w Porębie. Nie doczekali już końca mszy. Wymknęli się cichaczem, aby jak najszybciej ruszyć w drogę. Nie wiedzieli, że mistrz Stwosz został następnego dnia zaproszony na dwór królewski i że miał tam przyjść w towarzystwie swoich pomocników, których para królewska pragnęła poznać.

– Wasz ołtarz – mówiła zachwycona Elżbieta – to najprawdziwszy

skarb. Drugiego takiego nie widziałam nigdzie. Rozsławi Kraków daleko poza granice naszego królestwa. Przyjmijcie dodatkowo tę nagrodę. – Wskazała na swojego ochmistrza, który trzymał w ręce spory trzosik, pobrzękujący przy każdym kroku. – I zapamiętajcie, jeżeli kiedykolwiek będziecie potrzebować pomocy, możecie przyjść z tym do nas. – Kazimierz uśmiechnął się na słowa żony, przytakując zgodnie.

Chociaż nie odezwał się słowem, wyraz jego twarzy mówił dobitnie, że podziela pogląd królowej.

*

Elżbieta ukradkiem ocierała łzy. Nie chciała, żeby Kazimierz zobaczył, że cichutko pochlipuje. Kiedy nie płakała, modliła się do Najświętszej Panienki i zadawała pytanie, na które nikt nie znał odpowiedzi. Dlaczego jej ukochany mąż zмага się z ciężką chorobą, a zaledwie kilkanaście dni wcześniej czuł się wyśmienicie? Do Grodna przyjechali w maju 1492 roku. Byli w doskonałych humorach, chociaż ostatnimi czasy zmartwienia przysparzali im niemogący dojść do porozumienia synowie: Władysław, król Czech, który po śmierci Macieja Korwina zapragnął nałożyć na głowę także węgierską koronę, i Jan Olbracht, również mający na nią wielką ochotę. Początkowo ojciec, Kazimierz Jagiellończyk, poparł Jana w staraniach o tron węgierski. Ten krok spowodował, że na Węgrzech rozgorzała wojna, którą, niestety, Jan, nawet z pomocą ojca, przegrał. Przez jakiś czas panowała zgoda, ale Jan miał gorącą krew, lubił wojaczkę, alkohol i kobiety. Nie bacząc na sprzeciw króla polskiego, swojego ojca, który tym razem nie zaproponował pomocy, znowu ruszył na brata. W połowie lutego albo na początku marca – tego zamartwiająca się Elżbieta nie pamiętała – dotarła do nich wieść, że ich najstarszy syn Władysław Jagiellończyk 1 stycznia 1492 roku pokonał pod Preszowem swojego młodszego brata. Jan, jak donoszono rodzicom, bił się za dwóch, był mężny, ale nieco

lekkomyślny, i gdyby nie pomoc rycerza Piotra Krupskiego, już by nie żył. Świadkowie z podziwem opowiadali, że ten ostatni, widząc w rękach królewicza Jana złamany miecz, oddał mu swój, nie zważając na to, że gestem tym skazuje się na pewną śmierć. Dzięki jego poświęceniu Jan Olbracht utorował sobie drogę ucieczki.

– Odnaleźć rodzinę tego dzielnego rycerza i wynagrodzić sowicie – rozkazał Kazimierz, kiedy tylko dowiedział się o jego czynie.

Aby nieco odpocząć od rodzinnej zawieruchy, on i Elżbieta zdecydowali się pojechać do Grodna, jak tylko pogoda się poprawi. U bram grodzieńskiego zamku stanęli w połowie kwietnia. Na początku wszystko układało się pomyślnie. Kazimierz zorganizował polowanie na grubego zwierza, potem nawet turniej rycerski zakończony ucztą, na której poczuł się nieco słabo.

Rankiem następnego dnia już nie mógł podnieść się z łóżka. Męczyła go biegunka i wymioty. Lekarz orzekł, że to pewnie zatrucie, i zaordynował picie naparu z ziół przez kilka kolejnych dni, aż do poprawy zdrowia. I rzeczywiście, Kazimierz poczuł się lepiej, prawie zdrow, ale nie na długo. Biegunka i osłabienie powróciły. Od tygodnia leżał w łóżku. Maj miał się już ku końcowi, a medycy nie potrafili pomóc Jego Królewskiej Mości. Widząc w ich oczach bezradność i przerażenie, Elżbieta zwróciła się o radę do bernardynów, którzy polecili królowej, żeby nie zważała na medyków, tylko zaczęła leczyć męża czerstwym chlebem i pieczonymi gruszkami.

– Nie wierzysz chyba, kochaniutka, że na nogi postawią mnie pieczone gruszki – szepnął Kazimierz i zaraz dodał: – Gdybyś kucharza poprosiła o pieczoną giczą cielecą, to coś mi się zdaje, że szybciej bym ozdrowiał. – Pomimo osłabienia wciąż jeszcze trzymały się go żarty. Elżbieta widziała w tym promyk nadziei.

Po trzech dniach, które Kazimierz spędził o chlebie i gruszkach, jego stan zaczął się poprawiać. Elżbieta pocałowała spocone czoło śpiącego

spokojnie męża i odetchnęła z ulgą. Medycy już chcieli przyznać się do porażki, kiedy choroba zaatakowała ponownie, tym razem ze zdwojoną siłą. Biegunki stały się intensywniejsze, czasami nawet krwawe. Kazimierzowi opuchły nogi i miał kłopoty z oddychaniem.

– Posłuchaj, moja duszko, i wy, panowie. – Elżbieta nachyliła się nad szepczącym z wysiłkiem mężem, a zebrana rada koronna zrobiła to samo. – Czuję, że moje dni są już policzone. Pragnę, aby moje miejsce na tronie królestwa zajął Jan Olbracht, a na Litwie niech rządzi Aleksander. – Zamknął oczy. Był wyczerpany.

W takim stanie trwał jeszcze kilka kolejnych dni, ale chociaż Elżbieta modliła się gorliwie, wiedziała, że tylko cud może uratować ukochanego męża.

– Serce jest coraz słabsze, Wasza Królewska Mość – powiedział Jakub z Zalesia, przyboczny lekarz, patrząc z troską na królową.

Po południu Kazimierz jeszcze na chwilę otworzył oczy.

– Więc czas umierać – szepnął, szukając ręki Elżbiety. A potem uściśnął ją lekko i wydał ostatnie tchnienie.

Elżbieta westchnęła głęboko, łapiąc z trudem powietrze, jakby coś dławiło ją w gardle, szybko zamrugała oczami, żeby rozproszyć zbierające się w nich łzy, i powoli wstała z krzesła, na którym spędziła ostatnie tygodnie. Miała ochotę schować się gdzieś, żeby nikt jej nie znalazł, ale wzywały ją obowiązki wobec zmarłego, synów i poddanych. Czas w Grodnie wraz ze śmiercią Kazimierza dobiegł końca. Dwa dni później orszak z ciałem zmarłego króla wyruszył do Krakowa. Dotarł tam 11 lipca i od razu odbyła się uroczystość pogrzebowa. Takiego pogrzebu jeszcze w Polsce nie widziano. Wydawało się, że z każdego zakątka kraju do Krakowa przybyli poddani. Ci bogaci i ci biedni – wszyscy pragnęli oddać ostatni hołd ukochanemu władcy. Za jego trumną szli chorążowie, którzy nieśli dwadzieścia banderii podległych królowi ziem, ukazując jego potęgę.

Kazimierz spoczął na Wawelu. Przebywający wciąż w stolicy Wit Stwosz dwa dni po pochówku otrzymał wezwanie na zamek. Przybył tam niezwłocznie. Królowa czekała na niego cała ubrana na czarno. Twarz miała bladą, oczy podkrążone, a usta zaciśnięte.

– Mój ukochany mąż cenił wasz kunszt rzeźbiarski, mistrzu Stwoszu, dlatego zlecam wam przygotowanie jego nagrobka – rzekła bez zbędnych wstępów, czekając na odpowiedź gościa.

– Wasza Wysokość, to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Od razu zabieram się do pracy.

Po jego wyjściu Elżbieta udała się do swojej komnaty. Nareszcie została sama. Rzuciła się na łóżko jak mała dziewczynka i zaczęła płakać. Głośno, spazmatycznie i długo. Tak długo, aż zmorzył ją kojący sen, z wolna leczący rany na sercu i duszy, tęskniących za mężem, z którym spędziła prawie czterdzieści zgodnych i szczęśliwych lat.

WDOWA



Przez kilka dni po pogrzebie Kazimierza Elżbieta nie wychodziła z komnaty i z nikim nie rozmawiała. Nie opuszczała jej nawet na posiłki. Przynoszono je na tacy. Często wracały nietknięte. Damy dworu, urzędnicy dworscy, pokojowe i pokojowcy czy zwykła służba zaczęli się martwić o królową.

Już miano wzywać medyka, kiedy Elżbieta pojawiła się rankiem na śniadaniu. Chociaż wciąż była ubrana na czarno od stóp do głów, jej twarz wyglądała zdrowiej, pojawiły się na niej rumieńce, widoczne jeszcze dwa dni temu pod oczami sine kręgi wyraźnie się zmniejszyły, a usta nie były już zaciśnięte w wąską linię. Wprawdzie podczas posiłku nie odezwała się ani słowem, ale widać było, że słucha rozmów prowadzonych przyciszonym głosem, a niekiedy przytakiwała temu czy innemu zdaniu. Na koniec na ustach królowej pojawił się nawet lekki uśmiech.

Zmiana jej nastroju była dla dworzan tajemnicą. Szybko jednak udało się ją rozwikłać. Cóż innego, jeśli nie troska o los dzieci, mogło wydobyć Elżbietę z otępienia i marazmu. Zdała sobie sprawę, że jeśli będzie siedziała w swojej komnacie i ciągle popłakiwała, wypełnienie woli Kazimierza może napotkać przeszkody. O ile ster rządów na Litwie został przekazany kilka lat wcześniej, kiedy ojciec wysłał Aleksandra

do Wielkiego Księstwa, aby sprawował tam władzę w jego imieniu, o tyle następstwo na tronie polskim nie było już takie jednoznaczne.

– Na Boga! – wykrzyknęła któregoś dnia, kiedy jak zwykle siedziała sama w komnacie. – Przecież pretensje do tronu może zgłosić mój nieobliczalny najstarszy syn Władysław albo Zygmunt.

Jakby na potwierdzenie jej przypuszczeń, że tron polski może ominąć Jana Olbrachta, mimo że taka była wola zmarłego monarchy, dotarły do Krakowa niepokojące wieści.

– Dziś rano otrzymałem list od zaufanego człowieka. Donosi mi on, że niektórzy panowie szlachta, popierani przez niechętnego nam prymasa, wysuwają na tron polski swoich kandydatów w osobach książąt mazowieckich Janusza II i Konrada II – mówił Krzesław Kurozwęcki. Wysoki i chudy prywatny sekretarz zmarłego króla, od dawna pełniący też funkcję kanclerza wielkiego koronnego, miał tubalny głos niepasujący do jego sylwetki.

Elżbieta spojrzała na sekretarza, który czekał na jej odpowiedź.

– Dziękuję. – Nie dodała nic więcej, ale on wiedział, że w głowie królowej już kiełkuje pewien plan.

Od razu zabrała się do pracy. Napisała do swojego najstarszego syna Władysława Jagiellończyka, prosząc go, żeby nie wysuwał pretensji do tronu polskiego. Odpowiedź przyszła zaskakująco szybko. Elżbieta przeczytała, uśmiechnęła się i szepnęła do siebie:

– A to ci czart.

Władysław zgodził się na prośbę matki, ale wysunął żądanie, żeby Jan Olbracht zrzekł się na jego korzyść księstw śląskich. Elżbieta postanowiła przedyskutować tę sprawę z młodszym synem Janem. Tymczasem musiała wysłać jeszcze kilka listów. Pierwszy skierowała do mieszkańców Gdańska. Taką samą treść przekazała też wielkiemu mistrzowi zakonu krzyżackiego, prosząc o uszanowanie ostatniej woli męża. Potem napisała do syna Fryderyka, zaklinając go w liście, aby

zrzekł się pretensji do biskupstwa warmińskiego. Chodziło o to, żeby urzędujący biskup Łukasz Watzenrode, który nie pałał sympatią do Jagiellonów, zmienił do nich nastawienie. Fryderyk posłuchał matki, która dobrze przewidziała reakcję duchownego. Watzenrode jeśli nawet nie był przychylny jej planom, to w każdym razie nie zamierzał w nie ingerować. Aby mieć pewność, że jej zamiary się powiodą, wysłała jeszcze jeden list. Tym razem do Aleksandra, na Litwę. Ten zaś pod wpływem matczynej prośby, a może perswazji, ostrzegł książąt mazowieckich, że jeżeli nie zrezygnują z pretensji do polskiego tronu, poznają, co znaczy braterska lojalność i zemsta wielkiego księcia litewskiego.

Czas mijał. Lato powoli zaczynało ustępować jesieni. Kraków znowu się radował, a o ważnym i radosnym wydarzeniu donosiło światu bicie kościelnych dzwonów, które obwieszczały mieszkańcom, że mają króla. Elżbieta odetchnęła z ulgą, kiedy jej syn Jan Olbracht w koronie na głowie i z królewskimi insygniami władzy opuścił wawelską katedrę. Jej zabiegi się powiodły, o czym dowiedziała się już na sejmie elekcyjnym w Piotrkowie, który odbył się w sierpniu. Kilka tygodni po tym wydarzeniu, w dniu 23 września 1492 roku, skończyło się w Polsce bezkrólewie.

Bardzo się jednak myliła, sądząc, że może usunąć się w cień i odpocząć. Niebawem okazało się, że przysłowie „Niedaleko pada jabłko od jabłoni” nijak ma się do Jana Olbrachta i jego ojca, zmarłego króla Kazimierza Jagiellończyka. Gdyby lekkomyślność Jana mierzyć energią i odwagą jego ojca, wówczas podobieństwo byłoby ogromne. Ba, lubił nawet, podobnie jak ojciec i dziadek Władysław Jagiełło, muzykę. Interesował się sztuką, w szczególności malarstwem, ale jeszcze większe upodobanie miał w alkoholu, od którego dziadek i ojciec stronili. Uwielbiał też Jan Olbracht kobiety, za nic mając zarzuty grzechu, sprośności i cudzołóstwa. Królowa co dnia dowiadywała się

o kochankach syna. Kręciła głową, modliła się o poprawę jego charakteru, próbowała interweniować, ale na nic się to zdało.

– Wstyd przynosisz pamięci ojca. – Chodziła po sypialni Jana Olbrachta, nie zważając na to, że jej syn jeszcze na dobre się nie rozbudził ani nie wytrzeźwiał. Starła się także ignorować fakt, że pod kołdrą, drżąc jak osika, leży naga panna, którą Jan bezczelnie obejmował, nie patrząc na matkę. – Prawie czterdzieści lat przeżyliśmy z twoim ojcem w zgodzie i bez grzechu. Kochał mnie, chociaż nie byłam panną piękną i powabną. Swego czasu przyznał mi się, że spotkał na swej drodze niewiastę, którą miał poślubić, a która okazała się kobietą o cudnej urodzie. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie pomyślał, jak by to było mieć ją u swego boku, w ciepłym łożu. Ale kochał mnie i myśl tę natychmiast porzucił. Spowiadał się potem z tego, uważając się za złego męża. Niewiernego, chociaż zgrzeszył tylko myślą. Jako matka proszę cię, abyś szanował pamięć ojca i starał się dorównać mu w prawości. – Nie czekając na reakcję syna, wyszła z komnaty, trzaskając drzwiami. Takie zachowanie nie przystawało damie, a co dopiero królowej, ale gotowała się ze złości, której musiała dać upust. Kilka dni po połajance Jan sprawił, że miała ochotę przełożyć go przez kolano niczym rozkapryszonego bachora i złoić mu skórę cienką trzcinką.

– Znaleźliśmy go włóczącego się po mieście. Pijanego, zaczepiającego przechodniów. Towarzyszyła mu pewna dama. Śmiem twierdzić, że niepochoząca z dobrego, szlchetnego rodu. Nie wiemy, jak do tego doszło, ale Jego Wysokość wdał się w bójkę i został lekko ranny. Bardziej niż ciało zapewne ucierpiała jego duma. Jest już w swojej komnacie, gdzie medycy opatrzyli mu ranę, podali coś na ból głowy, a pokojowcy umyli go i przebrali. Śpi zapewne.

Elżbieta słuchała w milczeniu, kiwając z powątpiewaniem głową. Ponadto wciąż martwiła się, że jej dwaj synowie zasiadający na tronach – jeden polskim, drugi wielkksiążęcym – mimo słusznego już wieku

wciąż byli bezzenni. Jan miał niebawem skończyć trzydziesty trzeci rok życia, Aleksander był zaledwie o dwa lata młodszy. Siedziała w swojej komnacie i właśnie rozważała, kto mógłby stanąć u boku jednego albo drugiego, kiedy dostała list, którego nadawcą był prywatny medyk kolejnego jej syna, biskupa Fryderyka. Od jakiegoś już czasu dochodziły ją słuchy, że Fryderyk prowadzi podobnie hulaszczy tryb życia jak Jan, tyle że nie afiszuje się ze swoim upodobaniem do trunków i kobiet. Lekarz donosił, że jej syn jest chory na „chorobę dworską”^[7], którą zaraził się najpewniej od którejś ze służących. Elżbieta rozplakała się na głos. Łzy bezsilności i złości płynęły po jej twarzy jedna po drugiej. Nagle przestała płakać. Już czuła się lepiej. Oczyszczona z nagromadzonych złych emocji. Musiała sprawić, aby Jan Olbracht i Aleksander stanęli na ślubnym kobiercu. Miała nadzieję, że żona będzie miała dobry wpływ na starszego z synów. Co zaś do Fryderyka... Cóż, należało z nim pomówić.

W przypadku Aleksandra jej zabiegi zakończyły się sukcesem. Posłowie, których wysłała swego czasu aż do Moskwy, spisali się znakomicie. Ci sami panowie, w osobach kasztelana wileńskiego Aleksandra Jurewicza Holszańskiego i kasztelana trockiego Jana Jurjewicza Zabrzezińskiego, 3 grudnia 1494 roku wyruszyli po przyszłą synową do Moskwy. Dziś, 15 lutego 1495 roku, Elżbieta przyglądała się zaślubinom swego syna Aleksandra z Heleną, córką wielkiego księcia moskiewskiego Iwana III. Nie była jednak do końca uszczęśliwiona. Chciała się nawet wycofać z zaaranżowanego i zatwierdzonego przez posłów mariażu, gdy dowiedziała się, że prawosławna księżniczka nie zamierza przejść na katolicyzm, co dla niej, gorliwej katoliczki, było ciosem w samo serce.

– Nie zamierzam niczego zrywać, matko. – Aleksander mówił spokojnie, ale drgający policzek zdradzał jego zdenerwowanie.

Mogła się tego domyślić. Jej syn zakochał się w księżniczce bez

pamięci w chwili, kiedy ujrzał jej portret. Nie dziwiła mu się. Helena była piękną kobietą. Gdyby tylko była bardziej uległa, pomyślała Elżbieta, słuchając przysięgi składanej przez synową.

Niedługo po ślubie Aleksandra Elżbieta wróciła do Krakowa, gdzie znowu wpadła w wir swatania i koligacenia dzieci. Martwiła się najstarszym Władysławem, który przez duchownych uważany był za bigamistę.

– Matko! – Fryderyk chodził zdenerwowany po komnacie w pałacu biskupów krakowskich, który wciąż był w przebudowie, po tym jak w 1462 roku poprzedni budynek wraz ze znajdującym się w sąsiedztwie kościółkiem i klasztorem Franciszkanów, spłonął prawie doszczętnie. – Przemów naszemu bratu do rozumu. Jeżeli się nie opamięta, czeka go ekskomunika. Jawnie grzeszy, żyjąc z wdową po Macieju Korwinie, królową Beatrycze, skoro jego ślub *per procura* z Barbarą Hohenzollern nie został rozwiązany. Cóż z tego, że panna młoda nigdy nie dotarła do pana młodego. Nie tylko prawo, ale i przyzwoitość zabrania ponownego ożenku, kiedy poprzedni nie został rozwiązany. W oczach ludzi, Kościoła i Boga mój brat Władysław jest grzesznikiem bigamistą.

Nie mogła polemizować z tymi argumentami. Władysław, oczarowany urodą żony Macieja Korwina jeszcze za jego życia, wdał się z nią w romans, a po jego śmierci rychło ją poślubił.

Elżbieta za punkt honoru wzięła sobie uporządkowanie spraw zarówno Władysława, jak i hulającego po Krakowie Jana Olbrachta. Te zabiegi sprawiły, że choć najstarszy syn wciąż był żonaty, udało jej się zaaranżować przyszłe, ważne w oczach Boga, małżeństwo z księżniczką francuską Anną de Foix. Przy okazji zeswatała z jej młodszą siostrą, Germaine, Jana Olbrachta.

Po niezbyt długich pertraktacjach papież Aleksander VI unieważnił w 1500 roku dwa poprzednie małżeństwa Władysława. Po zamku krążyły plotki, że udało się to tylko dlatego, iż papież wywodzący się

z rodziny Borgiów sam nie był wolny od grzechu.

Elżbieta odetchnęła z ulgą. Powoli wszystko zaczynało układać się po jej myśli. Czekwała teraz z niecierpliwością na ślub Jana Olbrachta. Niestety, w czerwcu 1501 roku dotarła do niej smutna wiadomość, że król zmarł nagle 17 czerwca. Jego następcą miał zostać brat Aleksander, do którego kandydatury przekonał matkę Fryderyk.

Wielki książę litewski Aleksander Jagiellończyk przybył do Krakowa w grudniu i tego samego miesiąca został koronowany na króla Polski. Jego małżonka przyjechała za mężem dopiero następnego roku, w lutym. Niestety, ze względu na prawosławne wyznanie nie mogła zostać koronowana, co jeszcze bardziej pogłębiło niechęć Elżbiety do synowej, dla której na domiar złego odprawiono nabożeństwo prawosławne.

Chociaż Aleksander zdawał sobie sprawę, że nie należy do matczynych ulubieńców, otoczył ją troską i szczerą miłością. Nie ominęły ich jednak niesnaski.

– Po moim trupie! – krzyknęła Elżbieta, nie zważając na to, że jej rozmowie z Aleksandrem przysłuchują się Helena i Zygmunt, młodszy brat króla. – Za żadne skarby nie dam swojej zgody na ten ożenek. Twoja siostra Elżbieta albo poślubi katolika, albo trafi do klasztoru. Nie pozwolę, aby połączono ją z prawosławnym hospodarem Bogdanem.

– Przychylam się do słów matki – odezwał się Zygmunt, który także nie pałał sympatią do Heleny.

Aby odsunąć od siebie złe emocje, zajęła się sprawą nagrobka zmarłego niedawno syna. Kolejne lata przyniosły starzejącej się królowej same nieszczęścia. Najpierw w 1502 roku zmarła jej najstarsza córka Jadwiga, o którą wiele lat wcześniej starał się Maciej Korwin. Przez lata Elżbieta żyła z poczuciem winy, że źle wybrała dla córki męża. Jadwiga nie znalazła szczęścia u boku księcia bawarskiego Jerzego Bogatego, który okazał się hulaką i rozpustnikiem. Aby pozbyć się

małżonki, wysłał ją do zamku Burghausen, gdzie w otoczeniu liczego dworu żyła do śmierci, nie zaznawszy jednak prawdziwej miłości, o której dla swoich córek marzyła Elżbieta, myśląc o swoim udanym małżeństwie.

Nie zdążyła się otrząsnąć po jednej śmierci, kiedy dowiedziała się, że ze światem doczesnym pożegnała się kolejna jej córka, Anna, księżna pomorska.

– Nasza kochana królowa od dnia, w którym zmarł król Kazimierz, wciąż chodzi w czerni i niknie w oczach – szeptali zatroskani dworzanie.

Jakby ciosów było mało, w marcu tego samego 1503 roku po długiej chorobie zmarł biskup krakowski, Fryderyk, jeden z ulubionych synów Elżbiety. Zygmunt, który od dawna przebywał na dworze swego brata Władysława Jagiellończyka, przybył niezwłocznie do Krakowa i otoczył matkę szczególną troską. Postanowił zająć ją czymś, co pozwoliłoby choć na chwilę oderwać jej myśli od smutnych wspomnień.

Długo zastanawiał się, co może pomóc jego matce pogrążonej w głębokiej żałobie. Rozesłał wici po stolicy i otrzymał odpowiedź. Zmierzał właśnie na spotkanie na ulicę Żydowską, przy której mieszkał Baltazar Behem, człowiek cieszący się szacunkiem i zaufaniem mieszkańców Krakowa.

Baltazar Behem chodził niecierpliwie po głównej izbie kamienicy, czekając na księcia Zygmunta. Od dwóch dni, czyli od momentu, kiedy zaanonsowano jego przybycie, zachodził w głowę, cóż za interes może sprowadzać do niego tak znamienitego gościa.

Fakt, że pełniąc od lat obowiązki notariusza, był wykonawcą licznych testamentów mieszczan i szlachty, a poza tym pełnomocnikiem przy różnych transakcjach, nie umniejszał jego ciekawości. Pomyślał, że być może chodzi o pożyczkę. Był człowiekiem majątnym, u którego pomocy finansowej szukało wielu możnych, a jak wiadomo, królewicze zawsze borykali się z problemami finansowymi. Myśl ta zmartwiła go nieco,

ponieważ idąc za radą ojca, nigdy nie trzymał w domu gotówki. Wszystko inwestował w krakowskie księgarnie, papiernie, a ostatnio kupił nawet nową kamienicę, przy ulicy Gołębiej, którą zamierzał zapisać w testamencie swoim dzieciom.

– Po co włożyłem ostatni grosz w papiernię Bernarda – szepnął do siebie, kiedy pomyślał o ostatnich interesach, które prowadził z pewnym przybyszem ze Szwabii, Bernardem Jeklem z Küessnacht.

Frasował się jeszcze przez chwilę. W końcu służący zaanonsował przybycie gościa. Książę Zygmunt od razu przeszedł do rzeczy. Szukał człowieka, który mógłby zainteresować swoją działalnością jego matkę.

– Królowa od lat inwestuje w księgi. Uwielbia czytać. Niech więc znajdzie w tym chwilę wytchnienia od żalu, który głęboko ją trawi i powoduje, że posuwa się w latach. – Zygmunt skończył mówić i czekał na odpowiedź Behema.

Twarz Baltazara rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Przeprosił szacownego gościa na chwilę i zniknął w drugiej izbie. Nie było go dłużyj czas, a kiedy znowu się pojawił, był obarczony licznymi zwojami różnych wielkości.

– Niech Jego Książęca Mość raczy zerknąć – powiedział, rozprostowując jeden z nich.

Oczom Zygmunta ukazał się piękny malunek, a obok treść spisana gotycką majuskułą. – To tylko zarys tego, z czym noszę się od dawna. Czyż nie byłoby mądrze w jednej księdze zebrać wszystkie krakowskie przywileje i statuty, przysięgi, roty i cechowe ustawy? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – A wszystko to w trzech językach: polskim, łacińskim i niemieckim, żeby każdy mógł przeczytać i poznać swoje prawa.

Zygmunt skinął z uznaniem głową i wyciągnął do Behema rękę, w której trzymał przyjemnie dźwięczący trzos pełen pieniędzy.

*

Stanisław Berg rozprostował kości. Stracił rachubę czasu. Musiał zapytać o datę. Był już 30 sierpnia 1505 roku. Podróżował od wielu dni. Do kraju przybył na zaproszenie Piotra Tomickiego, który od dwóch lat przebywał w Poznaniu na dworze tamtejszego biskupa Jana Lubrańskiego. Chciał przyjechać już wcześniej, na pogrzeb kardynała Fryderyka Jagiellończyka, u którego ten był sekretarzem, ale, niestety, sprawy, które miał do załatwienia w Italii, mu na to nie pozwoliły. Wreszcie mógł przyjechać i odwiedzić przyjaciela, jednak najpierw chciał zatrzymać się w Krakowie. Teraz wracał z Rzymu, będąc uprzednio w Bolonii. Studiował w obu tych miastach i rad był niezmiernie, że niedawno uzyskał tytuł doktora obojga praw na La Sapienza w Rzymie. Wreszcie po latach mógł spokojnie wrócić do domu. Do Krakowa, który kochał najbardziej na świecie i tylko tu czuł się dobrze. Rozejrzał się powoli. Ulicę Kanoniczą zastał w takim stanie, w jakim ją opuszczał, chociaż musiał przyznać, że zdało mu się, iż wypiękniała. Uśmiechnął się do swoich myśli, zerkając na dom wznoszący się przed nim. Lubił znać historię budynków, w których mieszkał albo miał się zatrzymać na dłużej. Kiedy wprowadził się na Kanoniczą 4, rozpytywał o początki domu. Przeszukiwał archiwą, ale nie mógł niczego znaleźć, jakby ginęły w mrokach zapomnienia. Udało mu się dowiedzieć, że dom, należący niegdyś do fletnisty Szyszki, król Kazimierz III sprzedał Florianowi z Mokrska, który swego czasu piastował urząd biskupa krakowskiego. Po śmierci duchownego kamienica stała się własnością kapituły krakowskiej, a z czasem rezydencją kanoników krakowskich, do których on także miał szczęście należeć. Był z tego tak dumny, że nie zdając sobie sprawy, za każdym razem, gdy o tym myślał, wypinał pierś do przodu i wyżej unosił głowę.

Westchnął umęczonym głosem. Nawet młodzieniaszka zmęczyłaby

tak długa droga, dlatego postanowił nieco odpocząć, a dopiero potem udać się w odwiedzinę do domu rodzinnego. Jego ojciec Jan oraz starszy brat piastowali zaszczytny urząd rajcy krakowskiego. Chociaż wysłał z Rzymu listy, donosząc o tytule doktorskim, nie mógł się doczekać, kiedy pochwali się osiągnięciem osobiście.

Już kładł rękę na ciężkiej kołatce, kiedy potężny grzmot wdarł się w harmider panujący na ulicach osady Okół. Spojrzał w niebo. Wciąż było czyste. Było jednak duszno i parno. W taki dzień burza nie była czymś niezwykłym. Po raz kolejny uchwycił kołatkę i wtedy rozdzwoniły się dzwony krakowskich kościołów. Wszystkie jednocześnie. Zdziwiło go to niezmiernie. Zresztą nie był jedynym, który zamarł z wrażenia. Ludzie zatrzymywali się w miejscu, wsłuchując się w rozdzierające serce dźwięki. Rozglądali się dookoła, patrząc ze zdziwieniem jeden na drugiego.

– To pewnie pożar! – krzyknął ktoś bezmyślnie, omal nie wywołując paniki.

Nigdzie jednak nie było dymu. Nie słychać też było okrzyków wzywających ratunku. Wszystko było jak zwykle. Prawie wszystko – gdyby nie bijące bezustannie kościelne dzwony.

Przed kościołem Najświętszej Marii Panny zebrał się tłum, domagając się wyjaśnień. Dzwony biły już ponad pół godziny i ludzie czuli narastający niepokój. Z lękiem spoglądano na ziemię. W ludzkiej pamięci wciąż było żywe trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Kraków niecałe pół wieku wcześniej. Zresztą dopiero kilka lat temu udało się zlikwidować zniszczenia, jakich doznał kościół. Tłum gęstniał. Rynek zaczął się zapełniać. Nikt już nie cieszył się zakupami w Sukiennicach. Kramy opustoszały. Szeptano między sobą, próbując odgadnąć powód, dla którego uderzono w kościelne dzwony. Podobne sceny rozgrywały się także przed innymi kościołami. Duchowni, wychodząc do wiernych, rozkładali ręce, sami czekając na wyjaśnienia. Posłańcy przynieśli tylko

jeden krótki rozkaz.

– Zaczynjcie bić w dzwony, a żywo, i nie przestawajcie, dopóki nie wrócimy. – Z takimi słowami zwracali się do nich dworscy wysłannicy.

Zmieniali się więc braciszkwowie i księża na dzwonnicach, ani na moment nie wypuszczając grubych sznurów ze zmęczonych dłoni i patrząc na bijące serca dzwonów. Widać musiało wydarzyć się coś niezwykłego.

*

Aleksander Jagiellończyk, król Polski i wielki książę litewski, leżał w szerokim łożu na zamku królewskim w Krakowie. Przywieziono go tu z Radomia, gdzie na sejmie radzili panowie szlachta, kiedy poważnie zaniemógł. Miał zamknięte oczy, ale był przytomny, co w ostatnich kilku dniach z powodu trawiącej go gorączki zdarzało się nader rzadko. Ale nie tylko gorączka była problemem. Nie czuł połowy ciała. Nie mógł poruszyć lewą ręką ani nogą. Miał wrażenie, jakby jego członki nie należały już do niego, chociaż wciąż tkwiły przy ciele. Paraliż wykrzywił mu usta i nie pozwalał mówić. Bojąc się o jego życie, przywieziono go czym prędzej do Krakowa i od razu oddano pod opiekę najlepszych lekarzy. Kiedy wynoszono go z wozu, otworzył oczy, co wymagało od niego sporego wysiłku. Jego wzrok napotkał zatroskane spojrzenie Heleny, która od razu przypadła do niego. Jego piękna, olśniewająca żona Helena, księżniczka moskiewska, jak zawsze trwała przy nim. Nigdzie nie widział matki Elżbiety. Chciał o nią zapytać, ale choroba mu na to nie pozwalała.

Lekko unióśł powieki. Przez zasłonę z rżęs dostrzegł siedzącą przy łożu postać. Wyteżył wzrok. A któż by inny?, uśmiechnął się w myślach. Jego żona siedziała ze zwieszoną głową. Sądząc po spokojnym, równym oddechu, spała.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, które odbyło się w Wilnie

dziesięć lat temu. Była zima. Luty tamtego roku był niezwykle srogi. Czekał na nią od kilku godzin.

– Zaraz zamarzniemy – usłyszał głos jednego z dworzan.

Podzielał jego zdanie. Ale o ileż gorzej mieli siedzący w siodłach. On przynajmniej siedział w wozie. Na ramiona miał narzucone grube i dające ciepło szaty, a do tego jeszcze płaszcz podszyty sobolowym futrem. Na uszy nasunął futrzaną czapę, a skostniałe dłonie schował pod pled, który sługa położył mu na nogach jeszcze na pałacowym dziedzińcu.

W końcu usłyszeli tętent końskich kopyt i obracające się koła ciężkich wozów wyładowanych po brzegi. Poza tym księżniczce towarzyszył dwór w liczbie osiemdziesięciu osób. I chociaż wszyscy zabrali tylko niezbędne rzeczy, końca wozów nie było widać aż po horyzont.

Helena miała być piękną kobietą, o czym donosili mu niedawno posłowie, których wysłał w swaty na dwór moskiewski. Wcześniej widział tylko malutki portrecik. Czekał więc z niecierpliwością, aby potwierdzić prawdziwość ich słów. Kiedy wyszła z wozu, który jej ojciec Iwan Srogi kazał obić sobolami i szkarłatem, nie dało się nie zauważyć jej pięknej twarzy. Zaprosił ją do swego powozu, ale odmówiła, prosząc o możliwość podróżowania wozem, z którego wysiadła. Miała delikatny, lekko zachrypnięty głos, który tylko dodawał jej atrakcyjności. Zgodziłby się na wszystko. Chciałby jej podarować gwiazdkę z nieba.

Musiał westchnąć głośno do swoich wspaniałych wspomnień, bo Helena poruszyła się w fotelu. Wstała i pogłaskała go po gorącym czole. Chyba chciała coś powiedzieć albo go pocałować, ale wtedy drzwi do komnaty się otwały i ktoś do niej podszedł. Łzy, które wywoływała gorączka, zamazywały mu obraz i nie mógł rozpoznać twarzy. Nie potrafił też dosłyszeć słów wypowiedzianych szeptem. Sądząc jednak po zawartych w nich emocjach, wiadomości nie były dobre.

*

Piotr Tomicki herbu Łodzia zdziwił się, widząc na dziedzińcu zamku w Głogowie tak wielką liczbę rycerzy. Najwyraźniej sposobili się do turnieju.

– Czyżbym trafił na dzień turniejowy? – zagadnął podkomorzego, który wyszedł mu na spotkanie, odprowadzając do komnat przygotowanych dla gości.

– Niestety, mylicie się. Królewicz Zygmunt organizuje gonitwę. Pewnie ani jego świątobliwość kardynał Fryderyk, miej Boże jego ducha w opiece, ani biskup poznański, nie urządzają takich rozrywek? – Podkomorzy uśmiechnął się przyjaźnie, a kiedy Piotr Tomicki skinął potakująco głową, ciągnął dalej. – Zaprowadzę was teraz do komnaty. Królewicz przyjmie was, jak tylko gonitwa dobiegnie końca. Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, wezwijcie pokojowca, który wam usłuży.

Jak się później dowiedział, w gonitwie nie używano broni, lecz jedynie liczono na spryt i sprawność fizyczną. Nie zamierzał siedzieć w komnacie, kiedy na zewnątrz czekała go pyszna zabawa. Jak przypuszczał, na gonitwie się nie skończyło i rycerze rozochoceni zabawą wdali się w pojedynki, krzyżując miecze, których szczęk niósł się po dziedzińcu.

Usadzono go wśród innych gości, jacy zjechali na ten szczególny dzień do Głogowa na zaproszenie królewicza Zygmunta, który siedział teraz w pobliżu. Nie na tyle jednak blisko, aby można było z nim porozmawiać. Piotr Tomicki przyjechał tu w konkretnej sprawie. Miał przekazać młodemu królewiczowi list od biskupa poznańskiego Jana Lubrańskiego, który przez wiele lat był przyjacielem kardynała Fryderyka Jagiellończyka, zmarłego przed dwoma laty brata królewicza.

Chociaż biskup nie wtajemniczył go w treść listu, to przyglądając się otoczeniu Zygmunta, Piotr Tomicki chyba się jej domyślił.

Tak jak kiedyś w pałacu kardynalskim, tak i teraz w biskupim szerzyły

się plotki. Ściany miały uszy, więc zasłyszane wiadomości rozchodziły się lotem błyskawicy. Dlatego zdążył zorientować się w sytuacji królewicza Zygmunta, która jeszcze za życia jego brata Fryderyka spędzała temu ostatniemu sen z powiek. A teraz, ze względu na poważny stan zdrowia króla Aleksandra, o którego życie wielce się lękano, troska ta przeszła na innych. Zamartwiał się także jego pryncypał, biskup poznański, z którego polecenia Piotr Tomicki zjawił się w Głogowie.

Ukradkiem zerknął na towarzyszącą królewiczowi kobietę. To zapewne Katarzyna z Ochstatów, zwana także Telniczanką. Nie dziwił się Zygmunтови. Siedząca po jego prawicy niewiasta, która teraz poufale kładła swoją dłoń na rękę królewicza i nachylając się ku niemu, szeptała mu coś do ucha, była piękna. U ich stóp bawiło się troje dzieci. Najstarszy chłopiec z płową czupryną mógł mieć pięć, może sześć lat. Dwoje pozostałych było chyba dziewczynkami.

Książęce bękarty, przemknęło mu przez myśl. Od razu skarcił się za takie myślenie. Nie było winą dzieci, że urodziły się z nieprawego łoża. I nigdy, na ich nieszczęście, nie będą miały takich praw jak potomkowie, którzy zrodzą się w przyszłości z małżeństwa zawartego przed obliczem Boga.

Królewicz Zygmunt był aż nadto świadom obecności Piotra Tomickiego, na którego zerkał, kiedy ten nie patrzył w jego stronę. Spodziewał się wieści od matki, z Krakowa, w sprawie brata Aleksandra, dlatego gdy doniesiono mu, że przybył poseł z listem, w pierwszej chwili pomyślał: „Nareszcie”. Radość szybko jednak ustąpiła miejsca irytacji, kiedy okazało się, że to posłaniec nie ze stolicy, lecz z Poznania. Nie miał bowiem ochoty na połajanki ze strony biskupa. Mógł ich słuchać od swego brata Fryderyka, niech Bóg ma go w swojej opiece, ale nie od biskupów. Dlatego ucieszył się, że mógł z czystym sumieniem przesunąć spotkanie z kanclerzem biskupa pod pretekstem gonitwy

i konieczności zabawiania gości. Na przeczytanie nieprzyjemnego listu zawsze będzie czas.

Spojrzał na Katarzynę i odwzajemnił uśmiech. Czule pogłaskał ją po dłoni, mocno zaciskając wokół niej swoje palce. Mógł się zżymać, ale wiedział, że będzie musiał się zgodzić co do treści listów i kiedyś, pewnie już niedługo, rozstać się z Katarzyną, odprawiając ją nie tylko ze swego łóża, lecz także z dworu. Popatrzył też na bawiące się dzieci, które bardzo kochał, chociaż wydawało mu się, że nie będzie zdolny do takiej bezinteresownej miłości. One także będą musiały odejść. Zostaną wraz z matką. Już dawno obiecał sobie, że brak ojca wynagrodzi im szczerze w inny sposób. Kiedy przyjdzie czas, syn otrzyma zasłużone zaszczyty, a córki zostaną odpowiednio wydane za mąż.

I gdzież ten list z Krakowa?, pomyślał zaniepokojony. Co tam się, do stu diabłów, dzieje? Był zdenerwowany, a w takich chwilach szybko tracił panowanie i dawała o sobie znać jego porywczą, nieskrępowaną naturą.

*

Klemens, którego od dawna zwano Młodszy, podniósł głowę znad kolczugi, którą właśnie kończył. Coś niepokojącego działo się w mieście. Czyżby czeladnicy po raz kolejny próbowali wzniecić zamieszki, których celem było wymuszenie podniesienia zapłaty za ciężką robotę? Spojrzał na swoich czeladników i kilku robotników. Pracowali w pocie czoła, skupieni, nie myśleli o buntach i rzucaniu pracy, bo płacił im znacznie lepiej niż inni płatnerze. Pokiwał głową. Potrafił zrozumieć rozterki buntujących się ludzi. Cóż to za płaca?, pomyślał. Półtora grosza za dzień dla kogoś, kto nie miał fachu w ręku i był tylko pomocnikiem, oraz maksymalnie trzy grosze dla czeladnika. Inni też nie mieli lepiej. Taki trębacz z kościelnej wieży – osiem groszy za tydzień, albo miejski pisarz – czterdzieści osiem groszy na miesiąc. Wiedział, że miejscy urzędnicy

i pracownicy lubili narzekać i rzadko przyznawali się do tego, że oprócz gotówki dostawali od miasta jeszcze odzież, jedzenie, a nawet mieszkania i opał, o który martwili się pozostali mieszkańcy Krakowa. A było o co. Bo zimy bywały srogie, a węgiel i drewno drogie. Wielu ludzi zamarzało, nie mogąc pozwolić sobie na zakup opału, inni ogrzewali się raz na kilka dni, siedząc w lodowatych budach.

Koniec końców, marna płaca urzędników i zatrudnianych przez miasto była i tak o wiele lepsza niż rzemieślników.

Bicie dzwonów nie milkło. Zaczął się denerwować. Ostatni raz tak dawały o sobie znać w dniu wydarzeń, w których brał udział jego ojciec Klemens, przezywany Starszym.

Chociaż miał wtedy zaledwie dziesięć lat, obrazy z 16 lipca 1461 roku na zawsze wryły się w jego pamięci, choć szczegóły już nieco się zatężyły.

Matka wysłała go po ojca do warsztatu znajdującego się na tyłach domu.

– Ojcze! – wołał już od drzwi, które zawsze były szeroko otwarte. – Ojcze! – zawołał jeszcze kilka razy, aby przekrzyczeć stuk młotów i szczęk stali. – Matka prosi na obiad – mówił zdyszczonym głosem, kiedy wreszcie dotarł do stanowiska, na którym pracował Klemens Starszy.

Zasiedli do posiłku. Akurat dziękowali Panu Bogu za dary, jakimi ich obdarzył, gdy do izby wszedł rosły mężczyzna w towarzystwie drugiego, młodszego. Nie zawracali sobie głowy pukaniem, powitaniem mieszkańców czy zwykłym przepraszam. Dla niego byli intruzami. Przyglądał się im z uwagą. To pewnie ojciec z synem, pomyślał. Zgrzyt odsuwanej stołki, z którego wstawał ojciec, sprawił, że jego myśli rozpierchły się jak wystraszone koty na podwórku.

– Witam wielmożnego starostę rabsztyńskiego w mych skromnych progach. – Ojciec skłonił się przed wyprostowanym jak struna mężczyzną, u którego na twarzy igrał nieprzyjemny uśmiech. – Zapraszam do warsztatu. Zbroja już czeka.

Goście bez słowa wyszli za Klemensem Starszym. Nie wiedząc czemu, odetchnął z ulgą. On i matka wciąż siedzieli przy stole i czekali na ojca. Nic nie zapowiadało późniejszej tragedii. Nagle na placu rozległy się wrzaski. Rozpoznali głos ojca. Był wzburzony. Wybiegli na podwórze. Ojciec stał tam, patrząc bezradnie w stronę bramy, w której znikwały powoli sylwetki wielmożów. W dłoni trzymał osiemnaście groszy, zamiast dwóch złotych, jakie Andrzej Tęczyński, starosta rabsztyński, miał zapłacić za zbroję, która zresztą leżała na ziemi, jakby ktoś rzucił ją tam w zdenerwowaniu. Ojciec bez słowa wyjaśnienia wybiegł z warsztatu. Jego syn nie mógł spokojnie siedzieć w domu, kiedy gotowała się jakaś przygoda. Dogonił więc ojca, który szedł od jednego warsztatu do drugiego, opowiadając, jak to Tęczyński orzekł, iż zbroja, po którą przyszedł, była wykonana niedbale.

– Za ten marny kawałek żelaza, który śmiesz nazywać zbroją, nie powinienem zapłacić ani grosza, ale jako człowiek honoru dam ci przynajmniej kilka groszy za materiał, jaki zużyłeś. I małą radę, najmij się, mości płatnerzu, na nauki u jakiego mistrza. – Tęczyński ryknął śmiechem, ubawiony własnym żartem.

Ojciec nie zamierzał zgadzać się z jego słowami. Zażądał pełnej zapłaty, a wtedy zamiast pieniędzy dostał siarczysty policzek. Wieść, że napadnięto jednego z krakowskich rzemieślników, rozniosła się po mieście błyskawicznie. Wnet na ulice stolicy wyległ rozwścieczony tłum. Policzek wymierzony jego ojcu był tylko iskrą zapalną. Niechęć do wielmożów pławiących się w zbytku, którzy ograbiali ciężko pracujących na każdym kroku, sięgnęła zenitu i trzeba było tylko odpowiedniej chwili, by wybuchnęła.

Koniec końców, Andrzej Tęczyński poniósł śmierć, a jego ojciec, Klemens Starszy, aby ratować własne życie, musiał uciekać z Krakowa. Najpierw osiedlili się we Wrocławiu, a potem w Żaganiu, gdzie ojciec zmarł. Wówczas on, tęskniąc przez lata za Krakowem, powrócił

do miasta, gdzie założył warsztat płatnerski.

Dzwony wciąż biły. W mieście działo się coś niepokojącego.

– Pożar czy zamieszki jakie? – zapytał jeden z czeladników. – Może skoczmy popytać?

– Brać się do roboty! Nie za plotkowanie wam płacę, jeno za machanie młotem – rozkazał Klemens, podnosząc się ze stołka, na którym siedział. – Nie ma się co martwić na zapas – dodał po chwili uspokajająco. – Wieści same do nas przyjdą.

I żeby dać przykład swoim ludziom, zabrał się do roboty, chociaż z ciekawości skręcało mu żołądek.

*

Zamierzał zjechać do Krakowa na 15 sierpnia, ale sprawy potoczyły się tak, że przybył do miasta dopiero wczoraj. Dziś z samego rana chciał się udać na zamek i prosić o widzenie z królową Elżbietą. Był już na Powiślu, kiedy naszła go niedająca się zwalczyć pokusa, aby zerknąć na ołtarz. Zawrócił więc w stronę kościoła Mariackiego. Szedł powoli, spacerkiem, delektując się pogodnym dniem. Głowę miał spuszczoną. Martwił się, że ktoś może go poznać, a nie miał ochoty na pogaduszki, dopóki nie porozmawia z Jej Wysokością.

Był na Franciszkańskiej, akurat w pobliżu miejsca, w którym jeszcze kilka dekad wcześniej stał Pałac Biskupi wraz z klasztorem i kościołem, kiedy do jego uszu doleciał pierwszy dźwięk kościelnego dzwonu. Zatrzymał się i popatrzył na puste miejsce, ale pamiętał doskonale, że jeszcze podczas pierwszych lat jego pobytu w Krakowie, pod koniec 1479 roku, pełno tu było zgliszczy przypominających o dawnej świetności. Smutne świadectwo wielkiego pożaru. Czyżby dziś miał być świadkiem kolejnego? Przyspieszył kroku. Chyba nie tylko jego kroki stały się szybsze, lecz także bijące dzwony. Już po chwili ich dźwięk było słychać w całym Krakowie. Ludzie zatrzymywali się w miejscu.

Rozglądali niepewnie, z lękiem w oczach. Zadawali pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. Rzeka ludzka parła w stronę rynku. Mężczyźni, kobiety z dziećmi na rękach i same dzieci, biegające to tu, to tam, podniecone dziwnym wydarzeniem. Wszyscy zmierzali do kościoła.

Kiedy dotarł pod bazylikę, kłębiły się tam zdenerwowane tłumy. Ludzie przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Wołali księdza. Chcieli odpowiedzi. Jakiś duchowny wyszedł do tłumu, ale z takiej odległości nie słyszano co mówił. Wciąż nie było wiadomo, jaka jest przyczyna bicia dzwonów.

– Mistrzu Wicie?! – Ktoś dotknął jego ramienia. – Mistrzu, czy to na pewno wy?

Spojrzał na niemłodego już człowieka o twarzy pooranej zmarszczkami i ciemnych włosach poprządkanych srebrnymi nitkami. Przyglądał mu się przez chwilę, aż wreszcie go sobie przypomniał. Wszak współpracował z nim przez dłuższy czas.

– Stelmach Maciej, ten z domu koło Waltera! – wykrzyknął i objął rozmówcę serdecznie. – Kopę lat, Macieju. Kopę lat! – dodał po chwili.

– Ciężko mistrza poznać. – Maciej z Brzezin zerknął na dwie głębokie, czerwone szramy na policzkach Stwosza.

– Macieju, życie nikogo nie oszczędza i na wszystkich swoje piętno odciska – odparł Stwosz, ale nie zaspokoił ciekawości stelmacha.

Przyjeżdżając do Krakowa, właśnie tego się obawiał. Że ludzie, którzy go znali i pamiętali, jak wyglądał, będą patrzyli z niedowierzaniem na blizny niebędące powodem do dumy, lecz świadectwem hańby.

Chociaż z całych sił starał się nie myśleć o przeżyciach ostatnich lat, te nie dawały o sobie tak łatwo zapomnieć.

Prawie dziesięć lat temu, w 1496 roku, powrócił z żoną do Norymbergi. Niestety, Barbara zmarła kilka miesięcy po przeprowadzce. Osierociła nie tylko ich dzieci – syna i córkę, ale także jego. Na długi czas pogrążył się w żałobie. To chyba żal zaćmił mu

umysł i spowodował, że zatracił zdrowy rozsądek, z którego był do tej pory znany, i wdał się w konszachty z dwoma nieuczciwymi kupcami norymberskimi.

– Mówię wam, mistrzu Stwoszu, nie pożałujecie. – Hans Starzedl zaklinał się na wszystkie świętości, prosząc go o dużą pożyczkę. – Jak dobijemy targu, pożyczka zwróci się wam w dwójnasób.

Zawierzył kupcom, ale oszuści stracili jego pieniądze i swoje i ogłosili bankructwo. Nie pomógł nawet sąd. Wtedy postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Musiał podkusić go do tego diabeł. Stwosz wystawił sfałszowany weksel. Kiedy fałszerstwo zostało wykryte, schronił się w klasztorze karmelitów.

– Opat, brat Benedykt, zgodził się na twój pobyt tylko dlatego, że jesteś moim ojcem. – Jan, jego syn, kiwał z dezaprobatą głową. O tym, że potępiał jego czyn, dowiedział się już wcześniej.

Na jakiś czas udało mu się uniknąć kary. Nie na długo jednak, bo chociaż doszło do ugody, to kiedy tylko wyszedł za klasztorne mury, został aresztowany z oskarżenia publicznego i wtrącony do lochów. Dzięki pomocy zięcia, Jörga Trummera, który wyjednał mu wstawiennictwo biskupa Würzburga, Wawrzyńca z Bibra, oraz rycerza Betza von Romrodta, uniknął kary śmierci. Nie udało mu się jednak całkowicie uniknąć kary.

W mroźny poranek, 4 grudnia 1503 roku, wywleczono go z lochu i zaprowadzono na niewielki więzienny dziedziniec, gdzie czekał już na niego kat z rozgrzanym do czerwoności prętem, którym wypalił mu na obu policzkach piętna. Na dodatek musiał opuścić miasto. Kiedy zbyt szybko się ociągał z wypełnieniem nakazu, ponownie popadł w konflikt z Radą Miejską. Ostatecznie, aby znowu nie znaleźć się w lochach, udał się w podróż.

Stał teraz przed drzwiami kościoła Mariackiego, unikając ciekawskiego wzroku stojących dookoła ludzi, szepczących, że jest wśród

nich mistrz Stwosz. Wraz z tłumem czekał na wieści. Jak tylko się dowiem, pomyślał, udam się do królowej. Chciał wrócić do miasta, w którym mieszkał przez tyle lat.

*

Baltazar Behem wciągnął powietrze głęboko w płuca. Zapowiadał się gorący dzień. Zadarł głowę, żeby spojrzeć w niebo, ale to nie błękitny, bezchmurny nieboskłon przyciągnął jego bystre spojrzenie, lecz figura aniołka, która od lat strzegła kamienicy. Westchnął ciężko. Rozejrzał się dookoła, jakby szukał przypadkowego rozmówcy. Niestety, był sam.

– A masz ci! – wykrzyknął sam do siebie. – Wstrętne szare ptaszyska. O, i znowu leci jedno z drugim! – Pomstował, machając na zmianę to prawą, to lewą ręką. Odganiał nadlatujące gołębice. – Dopiero co cię umyto – zwrócił się do anioła trzymającego w dłoni trójkątną tarczę.

Stał jeszcze chwilę przed domem, przyciskając do piersi trzymany w dłoniach pakunek. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiał. Jechać czy zrobić sobie spacer?, myślał.

– A co tam, przejdę się. Dobrze mi to robi – powiedział na głos, jakby z kimś rozmawiał, ale za towarzyszy miał tylko rzeźby na kamienicach i gołębice, patrzące na niego z wyrzutem. – Niech wam to nawet nie przychodzi do głowy! – zawołał, przechodząc pod parapetami, na których siedziały.

Był tak zaaferowany rozmową z ptakami i aniołkiem, że w pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi. Dzwony. Dzwony biły już, kiedy gotował się do wyjścia z domu i zegnał z żoną. I zamiast milknąć, ich głos tylko się wzmacniał. Teraz zrozumiał, dlaczego był sam na ulicy. Zauważył, że na rynku kłębił się tłum. Znowu się zatrzymał. Co robić, co robić?, myślał gorączkowo. Chciał dziś porozmawiać z Jej Wysokością. Nie umawiał się wcześniej, bo nie był pewien, czy uda mu się skończyć dzieło, a wiedział, że królowa Elżbieta przyjmie go

na audiencji. Zawsze chętnie słuchała o czynionych przez niego postępach. Czekwała z niecierpliwością na kodeks, w którym miały się znaleźć statuty i przywileje miasta Krakowa, a wszystko w pięknej oprawie, wzbogacone kolorowymi ilustracjami.

Ciekawość wzięła górę. Zawrócił do domu. Wszedł do głównej izby, aby odłożyć księgę, którą królowa już dawno nazwała Kodeksem Baltazara Behema, z czego był niezmiernie dumny.

– Już jesteś z powrotem? – Żona wystawiła głowę z kuchni, w której rozdzielała codzienne obowiązki. – A nie mówiłam, żebyś poprosił o audiencję? Ale ty zawsze, kochanieńki, musisz mieć swoje zdanie. Pycha cię zgubi. – Stała naprzeciwko męża i pogroziła mu palcem.

– Nie, duszko. – Podeszedł do niej i pocałował ją w czoło. – Skoro jeszcze tam nie byłem, to i odesłać mnie nie mogli. Czyż nie słyszysz bicia w dzwony? – I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. – Ciekawi mnie, co się dzieje. Tłum ludzi zebrał się na rynku. Dowiem się, o co chodzi, i kiedy z Jej Wysokością się spotkam, będę mógł zdać relację. Wiesz przecież, jak lubi ostatnio drobne ploteczki. – Uśmiechnął się szeroko, nie zważając na dezaprobatę malującą się na twarzy małżonki.

– Pycha i ciekawość. Dwa grzechy. Zawiodą cię prosto do piekła. Modlić się powinieneś, prosząc o wybaczenie, a nie po ulicach chodzić i ucha nadstawiać, słuchając tego, co dla nich nieprzeznaczone.

– Wiem, wiem, kochanieńka. – I już stał przy drzwiach, trzymając rękę na klamce. – Pomódl się za mą duszę! – dodał na pożegnanie i już go nie było.

*

Wspinała się wyżej i wyżej. Z każdym kolejnym szczeblem robiło się coraz jaśniej, cieplej i przyjemniej. Strach, który czuła na dole, powoli mijał. Serce się uspokoiło. Uczucie paniki, które towarzyszyło jej

od dawna, zniknęło. Zadarła głowę i spojrzała przed siebie. Jeszcze tylko dwa stopnie. Da radę. Podniosła gołą, brudną stopę i chciała ją postawić wyżej, kiedy poczuła, że wokół kostki zaciskają się czyjeś palce. Zaczęła szarpać z całych sił, aby wyrwać nogę, ale uścisk był mocny. Stalowy. Na skórze, cienkiej jak pergamin, przez którą widać było błękitne poskręcane żyły, pojawiły się strużki krwi. Zerknęła w dół, żeby zobaczyć, kto ją trzyma. Palce były dziwne, zniekształcone, grubokościste, pełne zgrubień i czyraków. Czarne, jakby powleczone smołą. Zamiast paznokci z końców wystawały grube, zakrzywione szpony. Krzyknęła. Strach wrócił ze zdwojoną siłą. Zaczęła tracić równowagę. Rozpaczliwie rozglądała się dookoła, szukając czegoś, czego mogłaby się złapać. I nagle poczuła, jak leci w dół. Pęd powietrza uniósł materiał, oplątując go wokół chudych nóg. Przygotowywała się na zderzenie z ziemią, ale nic takiego nie nastąpiło.

Po chwili znalazła się na suchej, spękanej ziemi. Przed nią stał ogromny, gładki, lśniący głaz. Panujący mrok rozświetlało kilka palących się świec ułożonych w okrąg. Stały wokół białej kartki papieru, na której ktoś czerwonym atramentem namalował koło. Podeszła bliżej i zrozumiała, że to nie atrament, lecz świeża krew. Świece i zapisany papier leżały tuż przed głazem. Jakiś wewnętrzny głos nakazał jej, aby na nim usiadła, a bose stopy położyła na kartce papieru. Kiedy to robiła, dotknęła malunku. Krew była jeszcze ciepła. Wykrzywiła się z obrzydzenia, ale chociaż bardzo chciała stamtąd uciec, nie mogła wstać. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Usiadła więc, chociaż nie miała na to ochoty. Zamarła. Gdzie jestem?, przemknęło jej przez myśl. To chyba grot. Z ziemi wyrastały zimne, wilgotne skały. O dziwo, na jednej z nich ktoś zawiesił kawałek strzaskanego lustra. Pochyliła się w jego stronę. Jej odbicie było zniekształcone. Mimo to dostrzegła, że ma na sobie jakieś poszarpane łachmany, cuchnące i brudne. Dotknęła włosów. Były białe niczym śnieg zimą. Na głowie tkwił wieniec

z suchych liści i gołych gałęzi, które niczym korona cierniowa drapały ciekłą skórę na czole, powodując, że po skroniach spływała krew. Odsunęła się z przerażeniem. I wtedy zauważyła, że na kolanach trzyma rozłożoną księgę. Stronice były poszarpane na brzegach, w niektórych miejscach lekko nadpalone. Kartki na rogach wytarte od ciągłego przewracania. Pochyliła się nad nią. Wpatrywała się w dziwne pismo, którego nie rozumiała.

Wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać. Z oddali słyszała ludzkie głosy. Ktoś coś mówił. Zbliżał się. Kroki były ciężkie. Wołał ją. Gdzieś biły dzwony.

– Wstawaj, jędzo! – Ceklarz pełniący służbę w zamkowej baszcie, którą ludzie nazywali złodziejską, kopnął leżącą na ziemi starą kobietę.

Katarzyna Sommerlich została brutalnie wyrwana z dziwnego, koszmarne snu. Rzeczywistość nie była lepsza. To nie grota, pomyślała, ale loch, w którym siedziała od kilku dekad. Zimne wilgotne ściany napawały ją większym obrzydzeniem niż panujący w lochach smród ekskrementów i śmierci, która przechadzała się po korytarzach, zbierając każdej nocy zniwo. Jakimś cudem jej celę omijała z daleka.

Spojrzała na wykrzywioną nienawiścią twarz strażnika, trzymającego w dłoniach małą miskę z zimną breją, którą dostawała na śniadanie, obiad i kolację. Jego chrapliwy oddech świadczył o problemach z gardłem.

Kiedy wyciągnęła rękę po jedzenie, zdała sobie sprawę, że odgłos dzwonów, które słyszała we śnie, nie był tylko majakiem sennym, lecz rzeczywistością. Ich dźwięk nie milkł od dobrych kilkunastu minut. Wzmagał się tylko i wzmagał, wdzierając w każdą komórkę jej obolałego ciała. Nie mogła już tego znieść. Zasłoniła uszy sękatymi palcami, ale wciąż go słyszała. Na mieście musiało dziać się coś niezwykłego. Może pożar? A może zamieszki? A może... Ostatnio tak donośnie i długo dzwoniono na wieść o śmierci króla. Podniosła się

niepewnie, trzymając się chropowatych, ociekających wilgocią ścian. Była słaba. Bała się, że upadnie. Trzęsły jej się nogi, ale stała, słuchając w napięciu.

– Nie, nie może być! – wykrzyknęła i zarechotała tak głośno, jak tylko mogła. – Wreszcie się doczekałaś, stara jędzo! Śmierć przyszła po ciebie. Po ciebie, nie po mnie! – Śmiała się spazmatycznie.

– Jak się zaraz nie zamkniesz, wywłoko, to i po ciebie przyjdzie! – Strażnik sięgnął po pęk kluczy trzymany przy pasku, dając jej do zrozumienia, że zaraz otworzy celę. Bili ją nie raz, zostawiając sińce i krwawe ślady. – Masz szczęście, że Jej Wysokość każe trzymać cię przy życiu. Czasami pyta o ciebie. Boim się, że może zechcieć tu kiedy do ciebie przyjść. Gdyby nie to, już dawno skręciłbym ci kark. Obcielibym ci uszy, żebyś nawet w piekle nie mogła słyszeć. Wydłubalibym oczy, żebyś nie widziała, i ucielibym język, żebyś nie potrafiła donosić. A na koniec zaszylibym usta.

Katarzyna spoglądała na strażnika. Po tylu latach spędzonych w więzieniu często modliła się o śmierć. Pragnęła jednak, aby ta przyszła podczas snu i zabrała ją szybko. Bezboleśnie. Nie chciała dodatkowego cierpienia, dlatego osunęła się na ziemię. Wystraszyła tym tłoczące się wokół niej robactwo i szczury, zaglądale do stojącej nieopodal miski.

A dzwony wciąż biły.

*

Elżbieta zaczęła podupadać na zdrowiu po niespodziewanej śmierci Jana Olbrachta w 1501 roku. Kolejne lata, które nie szczędziły jej trosk i smutnych wieści, tylko pogorszyły już i tak nadwątlone siły. Do łóżka położyła się w połowie lipca. Od początku sierpnia męczyła ją gorączka. Większość dnia przesypiała. Lekarze, martwiąc się o królową, zataili przed nią informację, że jej syn Aleksander też jest złożony ciężką

chorobą.

Wieczorem 29 sierpnia Elżbieta poczuła się lepiej. Zjadła porządną kolację, napiła się wina. Wzięła nawet książkę do ręki i przeczytała kilka stron. Potem spokojnie zasnęła. Kiedy rano następnego dnia pokojowa przyszła rozsunąć ciężkie stopy broniące dostępu uciążliwym promieniom słońca, królowa już nie oddychała.

Umarła z delikatnym uśmiechem na ustach, śniąc pewnie o szczęśliwym życiu z ukochanym Kazimierzem.

OD AUTORKI

Historia życia Elżbiety Rakuszanki jest niczym bajkowa opowieść o księżniczce, która w dzieciństwie utraciła rodziców i wraz z osieroconym rodzeństwem została powierzona pod opiekę nieczułego stryja. Zamknięta w zimnym zamczysku marzyła, że kiedyś przyjdzie jej wieść życie ciekawe i radosne u boku wiernego, kochającego ją małżonka. I tak się stało. Chociaż początki jej związku z Kazimierzem Jagiellończykiem nie wróżyły najlepiej, to jednak para ta jest uznawana za jedną z najbardziej udanych w polskiej monarchii. Na kartach niniejszej powieści ukazane zostało życie Elżbiety od najmłodszych lat aż do śmierci. Ze względu na to, że powieść rządzi się swoimi prawami, pozwoliłam sobie zmienić nieco niektóre wydarzenia, co nie zwalnia mnie z obowiązku udzielenia informacji na temat faktów historycznych.

Helena Kottanner, która pojawia się w powieści już na pierwszych stronach, była zaufaną dwórką Elżbiety i znała ją od najmłodszych lat. Do Polski jednak nigdy wraz z nią nie przyjechała. Gdy Elżbieta wyszła za mąż za Kazimierza, Helena wraz z drugim mężem Janem Kottannerem zamieszkała w Wiedniu.

Okres świąt Bożego Narodzenia ma charakter szczególny. To czas oczekiwania, radości, rodzinnych spotkań w blasku udekorowanej choinki, która jest dla nas stałym elementem dekoracji. Symbolem, tradycją. Zwyczaj ten pochodzi jednak dopiero z przełomu XV i XVI wieku. Zrodził się na terenie Alzacji, dlatego w pierwszej połowie XV wieku dwór Elżbiety strojono co najwyżej jedliną.

Pierwszy znany portret Elżbiety Rakuszanki pochodzi z XVI wieku.

Niemal na pewno nie pozowała ona Rogierowi van der Weydenowi, który na kartach powieści maluje nie tylko jej portret, ale także kilka miniatur, z których jedną otrzymuje Kazimierz. W rzeczywistości Jagiellończyk nie miał okazji zapoznać się z wizerunkiem Elżbiety, dlatego informacje o jej wyglądzie, które dotarły do niego tuż przed ślubem, tak bardzo nim wstrząsnęły, że o mało nie doszło do skandalu.

Ważnym wydarzeniem była śmierć Władysława III Warneńczyka, która odbiła się nie tylko na sytuacji w kraju, ale dotknęła również jego matkę i brata. Królowa Zofia jesienią 1444 roku przebywała w swoich dobrach na zamku sanockim i to tam, a nie jak w powieści, w domu swej siostry Wasylisy, zastała ją tragiczna wieść o śmierci syna. Nie wyruszyła też z Sanoka do Kazimierza, aby poinformować go o stracie brata.

W podróży przedślubnej do Krakowa towarzyszył Elżbiecie dwór oraz fraucymer. Jednakże po koronacji wszystkie dotychczasowe dwórki oraz pozostałe osoby towarzyszące zostały odesłane na dwór jej brata, Władysława Pogrobowca.

Otoczenie Elżbiety zmieniło się całkowicie. Przydzielono jej nowych ludzi wyznaczonych przez męża Kazimierza Jagiellończyka. Tak więc damy dworu występujące w powieści to postaci zarówno historyczne, jak chociażby Dorota Konięcpolska, jak i fikcyjne.

Pierworodny syn Kazimierza i Elżbiety Władysław urodził się w środku nocy, nie rankiem. Kroniki nie wspominają także, aby jego przyjście na świat zostało uhonorowane w jakiś szczególny sposób, a już na pewno nie wyprawiono z tego tytułu turnieju rycerskiego, który opisałam, ponieważ Jagiellonowie znani byli z awersji do nich i prawie ich nie organizowali. Poza tym trwała wojna z zakonem, tak więc rycerze byli potrzebni na polu walki i wycieńczeni, a skarbiec świecił pustkami, dlatego turniej rycerski byłby zapewne uznany za rozrywkę drogą i niepotrzebną.

Elżbieta miała dużo szczęścia. Nie tylko znalazła w osobie Kazimierza kochającego i wiernego męża, ale także darzyła ją przyjaźnią jego matka, królowa Zofia, która od samego początku poczuła do niej ogromną sympatię. Niestety, synowa i teściowa spotykały się raczej sporadycznie, ponieważ Zofia wycofała się z Krakowa i zaszła w swoich dobrach w Sanoku.

Wojna z zakonem trwająca trzynaście lat na długi czas rozdzieliła Elżbietę i Kazimierza. Nigdy nie doszło do ich wyjazdu do Sandomierza, o którym piszę, ponieważ w tym czasie król przebywał w Wielkopolsce, a do Sandomierza ściągnął dopiero w grudniu, i to na jeden dzień.

W powieści obok postaci historycznych występują także postaci fikcyjne, nie jesteśmy bowiem w stanie, mimo ciągle prowadzonych badań, dotrzeć do wszystkich, którzy wówczas pracowali dla dworu królewskiego.

W tym miejscu chciałabym podziękować konsultantowi historycznemu, dzięki któremu udało mi się uniknąć niedomówień i przekłamań.

Chciałabym także złożyć podziękowania redaktorce za profesjonalną redakcję powieści, cierpliwość, wyrozumiałość i możliwość rozmowy o każdej porze dnia i nocy.

Mam nadzieję, że zapoznanie się z historią życia Elżbiety Rakuszanki sprawi Czytelnikom wielką przyjemność, bo była to kobieta niezwykle silna, której los nie oszczędzał od pierwszych lat życia. Pozbawił ją nie tylko rodziców, ich ciepła i miłości, ale także wygod i jedzenia, co wpłynęło niekorzystnie na jej wygląd i nadszarpnęło zdrowie. Nie złamało to jednak jej silnego i, jak uważali niektórzy, wyniosłego charakteru. Pomimo braku fizycznej atrakcyjności potrafiła oczarować swoją osobą Kazimierza, który kochał ją przez całe życie, dochowując rzadkiej w tamtych czasach wierności.

Przypisy

- [1] Pierwsze słowa modlitwy *Ojcze nasz*.
- [2] Cyt. za: A. Fijałkowski, *Średniowieczne koronacje królewskie na Węgrzech i w Polsce*, „Przegląd Historyczny” 1996, t. 87, nr 4, s. 723.
- [3] Oryginalna opowieść o zmarłych nawiedzających przykościelny cmentarz jest zawarta w *Kronice Thietmara*, Księga I, ustęp 11 (7), s. 9-10, tłum. M.Z. Jedlicki, Universitas, Kraków 2014.
- [4] Do takiej sytuacji doszło podczas gonitw karnawałowych na Długim Targu w Gdańsku w 1454 roku, kiedy Krystyna, córka rajcy Arnolda Finkenberga, odmówiła wręczenia nagrody synowi chłopca, Lenardowi z Dąbrowy.
- [5] *Pieśń o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego*, [w:] *Album literackie: pismo zbiorowe poświęcone dziejom i literaturze krajowej*, red. Kazimierz W. Wóycicki, [t. 1], Warszawa 1848.
- [6] Dzisiejszy Lidzbark.
- [7] Chodzi o chorobę weneryczną.

Rok 1436. W Wiedniu na świat przychodzi Elżbieta Rakuszaneczka, córka króla Albrechta II Habsburga i Elżbiety Luksemburskiej. Po śmierci rodziców Elżbieta wraz z rodzeństwem doświadcza surowych warunków życia, a nawet biedy, co nie pozostaje bez wpływu na jej wygląd. Choć dorastająca Elżbieta zdaje sobie sprawę ze swej brzydoty i wie, że ma małe szanse na zamążpójście, marzy o dobrym i czułym mężu.

Los uśmiecha się do niej, gdy na dworze jej brata pojawiają się posłańcy polskiego króla, Kazimierza Jagiellończyka. Wkrótce Elżbieta wyrusza do Krakowa, aby poślubić Kazimierza. Pomimo braku urody Elżbieta rozkochuje w sobie króla Polski, rodząc mu trzynaścioro dzieci, a dzięki zdolnościom dyplomatycznym osadza kilkoro z nich na tronach europejskich.

Książka przedstawia dzieje wyjątkowej kobiety, która z młodziutkiej nieurodziwej dziewczyny, nieobeznanej z polskim dworem, wyrasta na ukochaną żonę i matkę oraz szanowaną królową.



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-245-8288-4

EAN 9788324582884

U.KS.HIS045.1.01.01